

De. 1. 1.

**Tom CCIX.**

**SERYA 6.**

**ROK 53.**

**ZESZYT 627.**

**BIBLIOTEKA**  
**WARSZAWSKA.**

**M A R Z E C.**

**1893.**

---

**TOM I. — ZESZYT 3.**

---

**WARSZAWA.**

**Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.**

**1893.**

LITERATURA, NAUKI, SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY  
SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,  
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. — MONARCHIZM ELEKCYJNY I KONFEDERACYE W DAWNEJ POLSCE,—przez <b>A. Rembowski</b> . . . . .	425
II. — SIOSTRY (ciąg dalszy),—przez <b>Z. Kowerską</b> . . . . .	472
III. — NAUCZANIE POCZĄTKOWE z powodu książki W. Dawida,—przez <b>Fl. K. Gąsiorowski</b> . . . . .	514
IV. — KRONIKA LONDYŃSKA, — przez <b>E. S. Naganowski</b> . . . . .	545
V. — PRZYSZŁA WOJNA JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKU- TKI,—przez <b>Jana Blocha</b> . . . . .	568
VI. — Z CYKLU „ITALIA“. Poezya: I. Nad Ticino.—II. W Parmie.—III. W zatoce Baji i Willa Cycerona.—IV. „Sul Mare“,—przez <b>M. Kono- pnicką</b> . . . . .	626
VII. — KRONIKA MIESIĘCZNA . . . . .	635
VIII. — WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	654
IX. — Dyskusya . . . . .	661



De. II. 1.

# MONARCHIZM ELEKCYJNY I KONFEDERACYE

## W DAWNEJ POLSCE.

1) „Volumina legum.“ — 2) „Dyarysze zjazdów rokoszowych w r. 1606“ (manuskrypt, wydrukowany w IX, X, XI i XII tomach wydawnictwa Ordynacyi hr. Krasieńskich.—3) Lengnich: „De polonorum confoederationibus“—i „Prawo pospolite Królestwa Polskiego.“—4) Bodin: „De republica libri sex.“—5) Stadnicki: „O tronie elekcyjnym w dawnej Polsce.“—6) Szujski: „Jeszcze o elekcyi w domu Jagiellonów w Polsce“ i „Artykuł o wypowiedaniu posłuszeństwa.“ Przyczynek do dziejów konstytucyi polskiej. — 7) Raczyński: „Archiwum tajne Augusta II.“ — 8) „Materialien zur Geschichte polnischer Landestheile unter preussischer Verwaltung.“ — 9. Eobarzewski: „Zaszczyt wolności polskiej angielskiej wyrównywający.“ — 10. Caro: „Das Interregnum Polens im Jahre 1587 und die Parteikämpfe der Häuser Zborowski und Zamoy-ski.“—11. Hube: „O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyjskiego u narodów słowiańskich.“—12) Krasieński: „Geschichte des Ursprungs, Fortschritts und Verfalls der Reformation in Polen.“ — 13) Zakrzewski: „Powstanie i zwrot reformacyi w Polsce.“ — 14. Bobrzyński: „Z dziejów ludu.“ — 15) Chomętowski: „Materiały do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku.“ — 16) Stroynowski: „O godnach dziedziów z włościanami.“—17) „Pawłów od roku 1767—1795 od jednego domowego przyjaciela opisany.“ — 18) „Akta Komisji Boni Ordinis“ (Archiwum magistratu miasta Warszawy. Protokół B 1, Nr 3/a). — 19) Balzer: „Początek sądów kapturowych.“ Studya nad prawem polskim. — 20) Prochaska: „Konfederacya lwowska 1464 r.“ — 21) „Krótki respons na dyskurs przeciwko konfederacyom przedrukowany.“—22) Kochowski: „Historya panowania Jana Kazimierza.“ — 23) Górnicki: „Włoch, to jest trzech dni rozmowa na elekcyi Króla Zygmunta III.“—24) August Bielowski: „Pisma Stanisława Żółkiewskiego.“—25) Opaliński: „Satyry albo przestrogi do naprawy rządu y obyczajów w Polsce należące.“ — 26) „Votum Mikołaja Spytka Ligęzy z Bobrku,

które miał oretenus w senacie in publico na sejmie pierwszym koronacji Zygmunta III,\* „Votum tegoż na seym walny w roku 1635 i 1637“ (Turowski). — 27) „Naprawa R-tey do elekcyi nowego Króla“ (1573), wydanie Turowskiego. — 26) „Konfederacya lwowska z r. 1622“ (wydanie Turowskiego).

### Monarchizm elekcyjny.

W dawnej Polsce cała władza publiczna spoczywała w rękach królewskich. „Rex viva lex erat“ i monarchizm, uważany za najwyższego hetmana, sędziego i t. p., był piastunem funkcji rządowych, których powoli ustępował na rzecz potężniejszych stanów, za pośrednictwem nadań specjalnych: immunitetów, czy przywilejów. Jeszcze Lengnich ośmiela się wyrazić zdanie następujące: „Jeżeli-by zaś trafiło się co takiego, czegośmy nie dotknęli, a była jaka wątpliwość, czy król sam przez się, czyli też ze zgodą stanów ma o tym stanowić, wierzył-bym: że jeżeli nie masz żadnego o tym prawa, że to w królewskiej mocy ma bydź, w czym jej ani prawo pisane, ani zwyczaj nie opisuje. Bo powaga królewska jest dawniejsza, jak powaga stanów, która im nie cała razem, ale powoli, różnemi czasy i po części była udzielona; stąd można miarkować, co się w całości zostało, czego wspólności stany nie nabyły.“ Mimo to, z końcem XVI-go stulecia, stany sejmikujące i sejmujące zdobyły duży zakres przywilejów, wkraczających w sferę prerogatywy królewskiej, i słusznie Bodin zaliczał w owej epoce monarchizm polski do rzędu bardzo określonych i ograniczonych przez szlachtę.

Zdaniem Stadnickiego: „Odkąd na widowni dziejów Polska w wybitniejszych rysach występuje, t. j. od drugiej połowy X-go stulecia, była ona przez lat czterysta monarchią dziedziczną, w całym tego słowa znaczeniu, jeżeli pod tem rozumie się kraj, w którym najwyższą władzę piastuje jeden — syn po ojcu, wnuk po dziadzie, w braku tych, brat młodszy po starszym. Przeciwno temu absolutnemu przyznaniu zasady dziedziczności tronu w dawnej Polsce czynił pewne zastrzeżenie Szujski, wykazując ślad idei elekcyjnej w rytuale kościelnym koronacji Łokietka, przechowanym dotąd w archiwum kapituły krakowskiej, a podług którego prymas zapytywał zgromadzonych: chceciez mieć Królem N?— na co odpowiadali antyfoną: „Radzy, radzy, radzy.“ Miał jednak słuszność Szujski, nie przywiązując do owych słabych śladów elekcyi wielkiej wagi. Ostatecznie bowiem nie zaprzeczały one Piastom prawa dziedziczenia tronu, i tylko w miarę rozkładania się Polski na coraz liczniejsze dzielnice, sprawa sporna elekcyi i sukcesyi ustąpiła wydzielaniu spadków według prawa prywatnego.

Na Jadwidze dopiero skończyło się prawo dynastyczne. Jagiello dnia 18 lutego 1386 roku był jeszcze tylko „dominus et tutor regni Poloniae,” a jakkolwiek w tymże roku, w czerwcu, na przywileju Nowokorczyńskim tytułował się królem, zamęt pojęć i niewykształcenie idei monarchicznej było zawsze tak wielkiem, że królestwo jego mają za wygasłe ze śmiercią królowej Jadwigi i podtrzymują je nieuznanem wprzód prawem wnuczki Kazimierza W., Anny Cylejskiej. Dynastia Jagiellonów utrzymała się na polskim tronie nie bez pewnych trudności, ale już pierwiastek elekcyjny wzmógł się znacznie, i nietylko że rady koronne, czyli senat polski i litewski, wybierały króla z domu Jagiellonów, ale na sejmie elekcyjnym w roku 1446—ażeby wyrzucić nacisk na królewicza, dawniejszego elekta, stawiono mu przed oczy, jako kandydata do tronu, Fryderyka, księcia Brandenburgii, zaręczonego w r. 1431 z Jadwigą, jedyną córką Władysława Jagielly. Metropolita gnieźnieński, Wincenty, pierwszy wniósł ową kandydaturę, a Zbigniew z Oleśnicy, uchodzący za najcelniejszego męża stanu, jakiego kiedykolwiek Polska wydała, w świetnej mowie przedstawił zgromadzeniu: że za życia jeszcze Władysława Jagielly, sędziwi doradcy chcieli go mieć następcą Króla na polskim tronie. Przrzekał bowiem kandydat, że miasta zakładać, przystanie morskie tworzyć będzie, Ruś i Podole z gruzów podniesie, a że samo królestwo, dręczone różnemi nadużyciami, mianowicie podwodami (rozumie się, miał tu na oku dobra duchownych), pod łagodnem jego berłem odżyje.

Zygmunt I, pragnąc uniknąć zamieszania i niepokojów, towarzyszących zwykle wakującemu tronowi, zdołał za życia swego przeprowadzić wybór królewicza Zygmunta Augusta w roku 1529, czyli, że elekcyja przeszła w fazę „designationis,” będącej na zachodzie Europy wstępem do utrwalenia się dziedziczności tronu. Po śmierci jednak Zygmunta Augusta w roku 1572 nastąpiła epoka tak zwanych „wolnych elekcyi,” czyli wyboru królów, nieograniczonego względami na dynastję, dawniej w kraju panującą. Gdy więc Bodin chlubił się, że we Francyi królowie właściwie nigdy nie umierają, a ta oryginalna fikcyja prawna służy ku temu, aby wszyscy zrozumieli, że z chwilą śmierci jednego monarchy drugi bezzwłocznie obejmuje rządy i że tylko tym sposobem unika się niepewnej sukcesyi tronu, owej „*incerta regni successio—qua peste nulla perniciosior in republica existere potest*,” o Polsce, opierając się na opowieści kanclerza Zamoyskiego, miał tylko to do nadmienienia, że: „*ipse interregnum habet anarchiam*” i że podczas tych bezkrólewii „*nihil tam sacrum, et tam sanctum, quod non foedissime soleat et cum summa impunitate contaminari.*”

Wolne elekcyje utrwały przedewszystkiem w Polsce konfederacyjne sejmowanie, doniosłości zaś konfederacyi dla ustroju państwo-

wego poświęcony będzie następny rozdział. Obecnie zastanowić się należy jedynie nad wpływem, jaki wolne elekcyje wywarły na istotę monarchizmu w Polsce. Poznanie bowiem tego wpływu rozjaśni w naturalnym rzeczy biegu inną, równie doniosłą kwestyę, a mianowicie: dlaczego władza królewska nie była w stanie wystąpić w Polsce z tą siłą wobec stanów sejmikujących i sejmujących, jak na zachodzie Europy?— i dlaczego w następstwie nie mogła spełnić wysokiej misji politycznej, której zwiastunem był monarchizm oświecony i absolutny? Jakkolwiek Kościół nie cofnął elektom namaszczenia i nie odjął im tym sposobem charakteru „Pomazańców Boskich“ (divini, nie humani juris), a nawet wolno wybranemu królowi udzielił zaszczytny przydomek „orthodoxus,“ kładąc go tym sposobem na równi z bratnią drużyną monarchów katolickich; to jednakże elekcyjni monarchowie od 1573 r. wydawali się zawsze czems niezupelnem i anormalnem w ukoronowanem gronie. Sam akt elekcyi musiał stanom dawać poczucie siły i jedności wobec elektów, co się też niewątpliwie objawiło przy pierwszym wyborze w zastrzeżonej możności wypowiedzenia królowi posłuszeństwa. Nic nie pomogły ograniczające interpretacye tak niebezpiecznego prawa, powoływano się na nie następnie niejednokrotnie i one służyły za podstawę federacyjnym związkom w XVII-ym i XVIII-ym wieku.

Jeżeli stany sejmujące zdobywały się na poczucie jedności wobec grozy „niebezpiecznego czasu“ elekcyi, to po dokonany wyborze łączyła je znowu trwoga i podejrzenie, że nowy elekt zacznie przemyślać o dziedziczości tronu, która stanie się prędzej lub później wrogą dla przywilejów stanowych. Sejmujące stany znajdowały w obu razach potężnego a naturalnego sprzymierzeńca w mocarstwach ościennych, którym elekcyje otwierały szerokie wrota do ubezwładnienia Rzeczypospolitej i do wyzyskania jej słabości na rzecz dobra własnego państwa. Kiedy też praktyka XVII-go wieku odstoniła głęboką ranę elekcyjną w organizmie Rzeczypospolitej, potencye ościenne przyszły do przekonania, że nic dla nich nie było-by niebezpieczniejszego nad sukcesyjny tron w Polsce. Wobec niego bowiem zniknąć-by musiały jedna po drugiej kardynalne wady, osłabiające państwo polskie, a tego sobie ościenne mocarstwa, dążące do własnego dobra, życzyć nie mogły. Nawet wolny wybór następcy za życia króla został osławiony, jako pośrednio dążący do absolutnej władzy, a ostatnie zamysły i pokuszenia się Augusta II-go o tron dziedziczny miały, podług przebiegłej rady Fleminga, odbyć się w tajemnicy przed obcemi mocarstwami, gdyż należało przewidywać ich opór przeciw podobnej reformie.

Od 1717 roku, jak zauważył Hofman, winy nasze się kończyły, a rozpoczynały cudze, choć właściwiej należało powiedzieć, że błędy nasze przeistaczały się w cudze dobro. Zasadnicze wady ustroju Rze-

czypospolitej, a między innymi w pierwszym rządzie wolne elekcye, stały pod gwarancją prawa międzynarodowego i wytrącały królom wszelką moc przeprowadzania niezbędnych reform. W końcu XVI i w XVII wieku, mocarstwa ościenne nie zdołały jeszcze zapobiedz temu, że po trzykroć korona pozostała w rodzinie Wazów, a w końcu XVII-go i w XVIII-ym wieku po dwakroć w rodzie Sasów. Nawet, jeżeli szczerze można wierzyć, nie sprzeciwiały się mocarstwa temu, aby Jakób Sobieski wstąpił na tron po swym bohaterskim ojcu. Z tem wszystkiem obca interwencya zakreślała wokół państwa polskiego coraz to ciaśniejsze pierścienie i po zgonie Augusta III-go postanowiono do tronu przypuścić tylko Piasta bez znaczenia, a przytem dobrać mu w danym razie małżonkę po-za rodami dynastów, oraz nie dozwolić na zmianę kardynalnych zasad ustroju państwowego. Fryderyk II pruski uważał się już za specjalnego obrońcę anarchicznych swobód republikańskich wraz z „liberum veto.“ Wszelkie zamiary reform w tym kierunku uważał za „schädliches Dessein,“ któremu wszelkimi siłami zapobiegać należy, a nawet zapewnienia Panina nie zdołały uspokoić jego nieufności i zdobyć zezwolenia na częściowe usunięcie „liberum veto,“ uchwalone przez sejm z r. 1764. Jak bitwę pod Warszawą w r. 1656, tak i wybujałe swobody republiki polskiej, uważali monarchowie pruscy za kolebkę pruskiej mocy, oraz pruskich zwycięstw (Wiege der Preussischen Kraft und der Preussischen Siege) i nie dopuścili nawet do tych reform, które innym mocarstwom wydały się nietylko bezpiecznymi, ale i niezbędnymi dla utrzymania jakiegokolwiek wewnętrznego ładu.

Wobec stanów sejmikujących i sejmujących znajdował się monarchizm polski w położeniu trudnem i krępującem. Stany bowiem nie obradowały kuryami, lecz w dwóch izbach, a zarówno w senacie, jak i w izbie poselskiej, choć nie mógł jeden stan uchwalić nic takiego, co by było przeciwnem przywilejom drugiego, ale w każdym razie głosowanie odbywało się „viritim,“ a nie stanami—czyli, że wszystkie głosy były sobie równe. Jeżeli więc „liberum veto“ nie popsulo od razu całego dzieła, rozstrzygała w prawodawstwie prosta większość votów. Po roku 1573, wbrew temu, czego Karnkowski żądał i czego oczekiwał, powaga senatu coraz bardziej topniała, nietylko wśród rzeszy sejmikującej, ale i na sejmie. Powoli bowiem wyrobił się zwyczaj prawny, który dogmat troistości stanowej przeistoczył zupełnie. W połowie XVI-go wieku uważano jeszcze króla i senat za stany, czyli pierwiastki składowe sejmu, bez których zgody żadna ustawa nie mogła przyjść do skutku, a jednak już wtedy dawały się słyszeć narzekania, że posłowie: „pany i króla nic sobie nie ważą i sami tylko chcą być „totum.“ W XVII i XVIII stuleciu większość izby poselskiej decy-

dowała już o wszystkim i, jako organ najliczniejszy, zdolną była przełamać opór monarchy i senatu.

Stan więc rycerski zapanował na sejmikach i sejmach wyłącznie, a monarchizm, nie mając za sobą silnego mieszczaństwa, nie był w mocy rozdzielić szlachtę i pozyskać trwale jedną jej część dla swej władzy. Nie da się zaprzeczyć, że królowie wytwarzali bezprzestanku własne stronnictwo wśród grona sejmikującego i sejmującego, i że posiadali nawet potężny na pozór środek w szafowaniu łaskami, w rozdawnictwie urzędów i królewszczyzn; ale sam pr. Caro, który temu środkowi przypisywał duże znaczenie, wykazał, że tkwiło w nim także nasienie złego w postaci niewdzięczności obdarowanych, a zawiści pominiętych, zwanych zazwyczaj malkontentami. Zaszczepienie też trwalszego nieporozumienia między szlachtą a panami, w celu uczynienia po-nad nimi króla arbitrem, nie udało się nawet Augustowi II, pomimo to, że miał własny skarb i własne wojsko do dyspozycji. Stronnictwo więc królewskie w sejmie było ciągle zmienne, a nad osłabieniem jego pracowały wytrwale obce wpływy, przyrzekające w imieniu przyszłego elekta hojne wynagrodzenie, bądź to za odstępstwo, bądź to za opozycję.

Inne źródła, z których monarchizm na zachodzie Europy czerpał siłę, okazały się w Polsce również nikłemi i mało znacznemi. Nauka polityczna, występująca pod wpływem reformacyjno-religijnych prądów w Polsce XV-go wieku i powtarzająca wcześniej Ostroroga starotestamentowe twierdzenie, że serce króla znajduje się w ręku Boga (*cujus cor in manu Dei situm est*), zdobyła się na prace, zachwalające teorye Machiavella, wraz z dziedzicznym monarchizmem. Jeszcze w XVII wieku spotkać się można z cytowaniem Machiavella, jako powagi naukowej, ale to rzadko, i aż do drugiej połowy XVIII-go stulecia trzeba było czekać na otwarte i bezwzględne potępienie wolnych elekcji. W końcu XVI-go stulecia, mimo wolnego obioru, dowodził wprawdzie Karnkowski: że każdy król chrześcijański „in suo regno“ tak się ma, jak dusza w ciele, która „mouet universum corpus“ jako słońce, które świat oświeca i ożywia, jako „imago Dei,“ mądrość Boska „filius Dei,“ który „a fine usque ad finem pertingit et disponit omnia suaviter.“ Pragnął też Karnkowski, aby od niego, jako od głowy Rzeczypospolitej, poczynał się „motus, ordo et progressus actionum“ na sejmie i aby nikomu innemu nie przynależało kończyć ich i do skutku przywozić, jeno królowi, czyli żeby jemu samemu konkludować wypadało. Później jednak do nauk politycznych zakradło się duże bałamuctwo w pojmowaniu władzy królewskiej, a „Głos wolny“ St. Leszczyńskiego najlepszym pozostać dowodem, jak górujący w wielu razach po-nad swą epoką umysł uległ teoryom rozkładowym, wytworzonym powoli przez wolne elekcye.



Prawo rzymskie, które zachodniemu monarchizmowi wykształciło legiony wiernych i sprawnych urzędników, nie było w stanie oddać królom elekcyjnym w Polsce tychże samych usług. Pomimo rozpowszechnionej u nas nauki prawa rzymskiego, obawiano się rozszerzenia i ustalenia jego zasad. Lękano się niektórych absolutystycznych jego reguł i pryncypiów, krępujących swobodne rozwinięcie krajowych instytucji. Dość wspomnieć Orzechowskiego, który głosił: „*Quod principi placet legis vigore habet*,” to jest owa pierwsza reguła prawa cesarskiego, dla której samej brzydzą się Polacy prawem cesarskiem; a dalej o samej zasadzie mówi: „*romanae servitutis sunt illa carmina*.” Zebrawszy też wszelkie po temu szczegóły, oświadczył Hube bez wahania, że prawo rzymskie w zakresie polskiego prawa ziemskiego, tak cywilnego, jak i kryminalnego, prócz kilku rozporządzeń z niego wziętych, nie miało znaczenia legalnego, a w praktyce nie zaszczycało się siłą prawa pomocniczego. Znaczenie jego na tem polu było tylko znaczeniem nauki, która ciągle była wysoce szanowaną i skrzętnie uprawianą tak w szkole, jak i w literaturze prawniczej. Inaczej się rzeczy miały jedynie w sferze prawa miejskiego; tu bez zaprzeczenia miało prawo rzymskie przyznaną u nas siłę prawa pomocniczego.

Niewątpliwie królowie posługiwali się w swej kancelaryi daleko chętniej takimi, których mogli uważać jako: „*juris caesarei ac pontificii consultissimi*,” ale gdy w końcu XVI i w XVII w. monarchizm zachodni organizował coraz to liczniejsze władze administracyjne, walczące z reprezentacją stanową, w Rzeczypospolitej polskiej, jak to już poprzednio zaznaczonem zostało, czy to do sądów królewskich, czy do kancelaryi królewskiej, wcisnął się żywioł niewydiscyplinowany szlachecki, który egzekutywie monarszej odejmował w stanowczych chwilach niezbędną siłę. Dodać jeszcze należy i tę okoliczność, że, jakkolwiek ministerya i wszelkie znaczniejsze urzędy otrzymywały nominacyę od króla, to jednakże na szafowanie urzędami wywierały stany sejmujące różnolity a skuteczny nacisk, a prócz tego i sprężystość rządu podkopaną była tem, że król ministra niesfornego lub niezdolnego nie mógł oddalić od urzędu, w imię zasady prawa angielskiego „*durante beneplacito*,” lub jak w sądzie „*quamdiu bene gesserit*,” lecz w danym razie trzeba było obejść trudność pozornem wynagrodzeniem i targowaniem się z opornym dygnitarzem. Niektóre też urzędy ministeryalne, jak np. hetmaństwo, uważała szlachta za mediatora „*inter majestatem et libertatem*,” a samodzielność hetmańskiej władzy i jej znaczenie zapewniały z góry pobłażanie hetmanom, a często i bezkarność w razie nieposłuszeństwa królowi.

Jedną z przyczyn wzrostu władzy monarchicznej na zachodzie Europy była niewątpliwie reformacja religijna i ona-to ustaliła zasadę:

„cujus regio, illius religio,“ zapewniającą panującym protestanckim w ich kościele stanowisko biskupa „quoad externa.“ Pomimo tego jednak, że dosyć wcześnie zawitały do Polski prądy reformacyjne, nie zdołały wszakże przyjąć się głębiej i wywołać w społeczeństwie większego rozdzielenia. Gdy pewna ilość magnatów i szlachty porzuciła Kościół katolicki, a stan rycerski począł nazywać króla „zwierzchnim wszechpasterzem.“ duchowieństwo zaś obarczać zarzutami, mającemi zazwyczaj świeckie motywa, Zygmunt August nie pomyślał ani na chwilę o korzystaniu z waśni i zapewniał podniosłemi słowy: „Niech mię też żaden tak nie rozumie, abym kogo miał przywodzić do wiary okrucieństwem abo też srogoszczią jaką, czyje sumnienie obciążacz. Iszcze i nie jest też intencya moja, bo też wiari nie moja rzecz budować i wiem, że to sprawa Ducha ś-go.“ Nie była też owa waśń tak głęboką, a strony powaśnione nie posiadały równej siły, aby można było na poróżnieniu się ich trwałem oprzeć system politycznej akcyi. Pamiętnemi pozostaną słowa Zamoyskiego, wyrzeczone do jednego z adeptów reformy: „Kiedyby to mogło być, abyście wszyscy byli Papiężnikami, dał-bym za to połowę zdrowia mojego, żebym drugą połowę żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności. Ale jeśli kto będzie wam gwałt czynił, dam wszystko swe zdrowie przy was, abym na tę niewolę nie patrzył.“

Zresztą ze śmiercią Zygmunta Augusta nastąpił zwrot stanowczo niekorzystny dla protestantyzmu. Jeżeli w przededniu obioru nowego króla udało się pozyskać dysydentom upragnione równouprawnienie przez konfederacyę z r. 1573, to, jak zapewnia prof. Zakrzewski, nie powinno nas to zwodzić. Konfederacya, nigdy przez duchowieństwo za prawo, cały naród obowiązujące, nie uznawana, była prawie czerem słowem i zapewniała równouprawnienie, dopóki protestanci byli dosyć silnymi w kraju, aby się było potrzeba z nimi rachować. Ponieważ jednak od śmierci Zygmunta Augusta protestantyzm począł nikać, zrazu powoli, potem coraz szybciej, przeto w misyi pojednawczej, godzącej dwa potężne rozłamy społeczne, nie mogli Królowie elekcyjni znaleźć siły, wzmacniającej ich władzę.

Monarchizmowi zachodnio-europejskiemu udało się jeszcze pozyskać większy wpływ za pośrednictwem odosobnienia deputacyi stałych od stanów sejmujących i sejmikujących, oraz przez zaszczerpienie tym sposobem zubożętnienia w klasach uprzywilejowanych dla instytucyi reprezentacyjnych. Wybieralnym królom w Polsce było powyższe zadanie zbyt trudnem do wykonania, i nawet ryzykowny Fleming nie śmiał podobnego projektu podsunąć Augustowi II-mu. Wprawdzie często zrywane sejmy pozwalały przypuszczać, że rada senatu zajmie z czasem stanowisko trwałych deputacyi sejmowych i stanie się powol-

nem narzędziem w rękach energicznego monarchy; ale zaporę nieprzebytą uformowały sejmiki, wśród których niknęła powaga senatu, i żadna deputacya, ani kolegialna władza, nie dała się odosobnić od wiecznie czujnego i ruchliwego tłumu szlachty. Sejmiki też podtrzymywały w uprzywilejowanych klasach chęć do sejmowania w pełnym komplecie, a z ową chęcią szło w parze podejrzenie i nieufność do wszelkich deputacyi trwalszych, które podkopywały najkardynalniejszą zasadę konstytucyi republikańskiej: „nie na nas, bez nas.“

Monarchizmowi zachodnio-europejskiemu udało się po wielu usiłowaniach roztoczyć opiekę nad poddanymi klas uprzywilejowanych, oraz powoli zrobić wyłom w twierdzy, jaką własność dominialna, ubezpieczona władzą patrymonialną, stanowiła. Królowie elekcyjni w Polsce rozumieli wybornie doniosłość misyi, zwiastującej sprawiedliwość i zgodę między stanami, ale nie mogli podolać zadaniu, któremu zaledwie w części zdołał sprostać monarchizm oświecony, lecz absolutny. Nie należy zapominać, że pierwszy wolno wybrany król spotkał się na wstępie swych rządów z uzurpowaną, pełną władzą patrymonialną nad włościanami, a to w rzeczach zarówno świeckich, jak i wyznaniowych. W roku bowiem 1573 szlachta w zakresie dominiów i względem własnych poddanych zapewniła sobie zasadę: „cujus regio, illius religio,“ czyli, że zdobyła dla siebie to, czego monarchizm nie zdołał pozyskać dla korony. Usunięcie przywilejów, wybujających w tak potężną pasorzytną roślinę, przechodziło siły królów elekcyjnych, choć pośrednio wpływali wedle możności na złagodzenie doli włościanina, zapewniając mu przynajmniej troskliwą opiekę i wymiar sprawiedliwości w obrębie królewszczyzn. Na oświeceniszą część szlachty musiało też dodatnio wpłynąć gorące współczucie i szczerza modlitwa, jaką „Pomazańcy Boscy“ zanosili pod postacią wotów przed ołtarzem, aby uprosić dla włościan lżejszą dolę. Niema też prawie dłuższego okresu, w którym-by możnowładcy nie nakładali własnowolnie hamulca władzy patrymonialnej. Panowie, uzurpujący sobie w XVII wieku na wzór monarchów tytuł: „z łaski Bożej,“ okazywać poczęli coraz częściej troskliwość o dobro swych poddanych, a w drugiej połowie XVIII-go w. zwrot powyższy potężniał coraz bardziej i stał się prawie powszechnym. W XVIII wieku, równie jak i w poprzednich, należy elekcyjnym królom przypisać lwią część w zasłudze wymierzania sprawiedliwości przeciążonym włościanom. Nawoływali bowiem nieustannie do reform, a podjęte przez magnatów dzieło emancypacyi włościan podnosili, jako szczególną, im osobiście świadczoną łaskę, składając na każdym kroku dziękczynienia.

Co się zaś tycze miast wolnych królewskich, dotkniętych ciężko rabunkowem gospodarstwem starostów i wojewodów w XVII i XVIII

wieku, to i w tym razie wybieralny monarchizm czynił wszelkie możliwe wysilenia, aby zapobiedz ekonomicznej ruinie mieszczaństwa i uratować od szlacheckiego wyzysku, co się tylko uratować dało. Jan III dekretem z roku 1663 uzupełnił organizację miasta Poznania, w roku zaś 1756 wydano nową ordynację w sądach asesorskich dla tegoż miasta, a w roku 1764 zniesiono wszelkie jurysdykcyje duchowne i świeckie po miastach. Panowanie Stanisława Augusta zawiera cały szereg reform, dążących do wskrzeszenia i zabezpieczenia samorządu municypalnego. Zaraz w pierwszym roku rządów (1 Junii 1765), król mianował dla starej i nowej Warszawy Komisję Boni Ordinis dla przejrzania y przeczytania praw, przywilejów y ordynacyi dawnych i innych dokumentów i t. d. i t. d. Prócz tego Komisyja Boni Ordinis miała rozpoznać wszelkie krzywdy i nadużycia, bezpośrednio dotykające miasta i o tem sądy asesorskie zawiadamiać. Sejm z 1768 roku upoważnił monarchę do wyznaczenia dla wszystkich miast królewskich Komisyi Boni Ordinis, które-by się zajęły reformą praw municypalnych. Zdaje się jednak, że choć następne sejmy zezwalały na podobne Komisyje, myśl reformatorska Stanisława Augusta urzeczywistnioną została na większą skalę dopiero w roku 1777, i z tej myśli przekonać się łatwo, jak wybornie pojmował monarchizm swe zadanie względem stanów uposledzonych.

W stosunkach międzynarodowych monarchizm elekcyjny nie był w stanie oddawać Rzeczypospolitej tych usług, co królom dziedzicznym na zachodzie Europy. Elektom trudniej było pozyskać wysokie związki rodzinne wśród dynastów i wyzyskać w następstwie pokrewieństwo na rzecz państwa. Nie uszły uwagi Roschera niedogodności, płynące z tego względu dla Rzeczypospolitej, a Łobarzewski przypominał jeszcze w XVIII wieku, że, jak Polska miała elektów, posiadających własne dziedziczne państewko, wówczas doznawała poszanowania od ościennych i liczono się z nią nawet w dyplomatycznych stosunkach. Piast nie mógł już rachować na powyższe względy, i gdy monarchizm cświecony w stosunkach międzynarodowych powoływał się otwarcie na zasadę, głoszącą, że: „das Recht des Stärkeren ist die Jurisprudenz der Souveräne,“ elektom piastowski przypadła z natury rzeczy rola zupełnie bierna, wsparta jedynie na chwiejnej podstawie równowagi europejskiej.

Monarchizm elekcyjny w Polsce mógł się niewątpliwie pochłubić wyjątkowemi osobistościami, pragnącemi być rzeczywistym władcą i panującym. Zdobi go również szereg świetnych czynów, które nie przestaną po wsze wieki oświecać niebieskich stropów gwiaździstą tarczą (tarcza Sobieskiego); ale we współzawodnictwie z sejmami i sejmikami uledez musiał z tego powodu, że nie było ciągłości i tradycyi w jego

pracy, że zwykle jedno panowanie, choćby takie, jak Batorego, było za krótkie do spełnienia dzieła reformy, a elekcyja następna niszczyła owoce polityki nawet najzdolniejszego monarchy. W tejsze samej więc dobie, w której monarchizm oświecony stał się skalą brązową, roztrącającą gmach reprezentacyi stanowej, w Polsce można było o królach elekcyjnych zaledwie powiedzieć, że byli-by niewątpliwie spełnili taką samą misję polityczną i stali się zwiastunami silnego rządu, gdyby nie stracili wraz z domem Jagiellonów dziedzicznej korony.

### K o n f e d e r a c y e .

W drugiej połowie XV-go stulecia poczęła się reprezentacya stanowa w Polsce coraz to wyraźniej formować i z każdą chwilą prawidłowej oraz stalej funkcyonować. Nie mniej jednak sprzysiężenia, spiski, czyli konfederacye w dawniejszem znaczeniu, pojawiały się jeszcze w roku 1464, w którym to czasie: „tak ziemia Lwowska, jako też powiat Żydaczowski, tudzież miasto Lwów, ponieważ od lat wielu aż po dziś dzień mnogo cierpią nieprawości, ucisku, ciężarów, krzywd i wiele szkód ponoszą, że pod brzemieniem tychże wytchnąć nie mogą, przeto, chcąc temu zapobiedz i w przeciwnościach naszych mieć podostatkiem siły, jako też dorady, my, wymieniona szlachta, połączyliśmy się z mieszczaństwem Lwowa węzłem braterskiej unii, przyjmując tychże za współbraci i współspiskowców (conjuratos) i t. d.“ Za Zygmunta I-go, w r. 1537, pospolite ruszenie, zamiast walczyć przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu, przypomniało sobie szereg pretensyi do króla i, chcąc wymódz na nim ustępstwa, „zaczęli schacki między sobą przyjacielskie... o rzeczach ucziwych, o wolnościach, jak: pod Opoką, Nieszawą, Czerwińskiem.“ Dekret sejmowy z r. 1538 nazwał głównych konspiratorów „rokoszanami.“ Pomimo, że się uciekali do łaski J. K. Mości, „aby w sąd z niemi nie wchodził, za więźnie poczytani według miłosierdzia i łaski J. K. Mości.“

W roku 1563, opierając się podatkom, nałożonym przez sejm, wyraża się szlachta województwa Sandomierskiego w instrukcyi sejmikowej: „aby żadna angaria przez urzędy wkładana być nie mogła, aż wszystkim ku wiadomości ustawa ta przyjdzie, która gdyby była przeciw wolnościom, aby ich na sobie rozciągać nie dopuścili, stądże urosły te spiski, które my kaptury zowiemy, w których stoi, jako się przysięgą przodkowie nasi sprzysięgli, nietylko duszę przed Bogiem krzywoprzysięstwem obwiązując, ale też i ciało przed ludźmi poczeiwością tak każdy bronić był powinien praw tych i t. d.“ Na sejmie w Piotrkowie w roku 1565 posłowie znowu zgodnie oświadczyli, że: „Nie mamy w Pol-

see, ani wiemy o żadnym stanie, jedno jako o jednym Państwie, tak i o jednym prawie, którego strzedz powinniśmy, bo przodkowie nasi kaptur na to sobie spisali.“ Najważniejszym jednak źródłem, odświeżającym w społeczeństwie ideę federacyi, były elekcye królów, i dlatego słusznie Lengnich nazywa konfederacye podczas bezkrólewia najstarszemi (*quod eadem omnium antiquissima*).

Żywioł związkowości, czyli federacyi, nie rozwinął się wszakże w XV wieku w takiej imponującej pełni, jak podczas wolnych elekcji od roku 1573. Dawny sposób obierania króla (*modus eligendi regis*) składał nasamprzód w ręce senatu władzę elektorską; następnie sejm cały uczestniczył w funkcji wyborczej, a mimo to, że podczas wakującego blisko rok tronu, przed objęciem rządów Kazimierza Jagiellończyka, stany Królestwa nie zawiązały konfederacyi, jak to miało miejsce w r. 1572, zwykle jednak zapytywano miasta o zdanie i Rzeczpospolite miejskie wykazywały w szeregu swych przywilejów niezaprzeczonego udział w elekcji królów i to od najdawniejszych czasów. Przez to samo jednak, że obiór króla polegał głównie na określeniu prawa sukcesyjnego panującej dynastji, i że sama doba bezkrólewia trwała zazwyczaj krótko, niebezpieczeństwa i zamieszanie publicznego w kraju nie były ani tak powszechne, ani tak groźne, a przedewszystkiem nie dawały pola do nieustającej interwencji postronnej, narzucającej państwu polskiemu cudze interesa. Porównywając też dawne elekcye z późniejszymi wolnemi, Lengnich zauważył: „*et quae in annalibus eorum temporum occurrunt electiones, si cum hodiernis conferantur, simulacra potius electionum quam electiones habendae* i t. d.“

Z tem wszystkiem nie musiały i dawne elekcye korzystnie wpływać na ustrój państwowy, kiedy Zygmunt I tak usilnie starał się o wybór syna za swego panowania, i to nie dlatego bynajmniej, ażeby się obawiał, iż narody, pod jego berłem złączone, odsuną dom Jagiellońców od tronu, lecz z wyraźnie wymienionego powodu: że tym sposobem uniknie się zamieszania i rozterek w kraju. Zygmunt Stary doznał już nieufności sejmujących stanów, które w roku 1537 domagały się natarczywie i wymogły na wybranym od dość dawna Zygmuncie Augustcie uznanie: „że nikt z poddanych naszych nie winien nam posłuszeństwa, dopóki wszystkich praw nie potwierdzimy,“ a później w roku 1550 drugie przyznanie: „a jeślibyśmy sami przeciwko temu co uczynili, tedy nie inaczej rozumiane być ma, jeno żeśmy w tem przeciw przysiędze naszej wykroczyli.“ Sejm jednak w roku 1537 wymógł na Zygmuncie I daleko znaczniejsze i dla przyszłości donioślejsze ustępstwa. Na mocy przywileju z tego roku, senatowi przysługiwała inicjatywa w zwołaniu sejmu elekcyjnego, a do aktu wyboru króla przypuszczono wszystką szlachtę; jej też dostało się w udziale orzeczenie aktu unii, że w elekcji

ma brać udział Litwa i Polska, oraz że sejm elekcyjny ma się odbyć w Koronie.

Jeżeli Zygmunt I dostrzegł złowróżbną groźbę dla państwa polskiego w elekcyach ograniczonych, to Zygmuntowi Augustowi stała się ona nieustannie dręczącym widmem zagłady. Podtrzymywał królewskie obawy Przyłuski, który za dziedzicznym monarchizmem a przeciwko elekcyom przytoczył tyle przekonywających racyi stanu, że dojrzałego jego sądu i przenikliwości spostrzeżeń nie powstydzil-by się nawet sam Bodin. Zygmunt August uważał usunięcie elekcyi za zadanie niemożliwe do osiągnięcia. Zresztą, dopóki go nie opuszczała nadzieja dochowania się potomstwa, elekcyi samej nie uważał zrazu za akt zbyt groźny dla ustroju państwowego, pod warunkiem naturalnie, że dokonywanym będzie za życia panującego monarchy. Najważniejszym więc praktycznym celem dla Zygmunta Augusta było osiągnięcie dezygnacyi dla następcy, takiej, jakiej sam doznał w r. 1529. Dopiero gdy monarcha nabył pewności, że sukcesora państwu nie zostawi, troska jego o zorganizowanie należyte elekcyi wzrastała z każdą chwilą. Na sejmie w roku 1558 podkanclerzy w imieniu króla ostrzegał o niebezpieczeństwach, któremi-by Rzeczpospolita zginąć mogła przez to, iż żadnego porządku „de successione et electione regis nie masz dostatecznie opisanego. Król się tedy stara, aby po swem zejściu usunąć niebezpieczeństwa, w które ją przywieść jeśli co tedy, to najrychlej może.“

W odpowiedzi posłowie wspominają o przywileju, uzyskanym od Zygmunta I-go i zapobiegającym niebezpieczeństwom bezkrólewia, a ów: „przywilej sławny do tego należący o złożeniu seymu po odumarcie Króla dał (Zygmunt I), którym przywilejem wolni woliencie Króla nam wszystkim obywatelom koronnym, zdawna używane, zatwierdzić raczył,“ a w końcu żądają lepszego i dokładniejszego opisanie owego seymu elekcyjnego. Senat jednak, czyli panowie, dotknęli największej trudności, jaka w akcie elekcyjnym spoczywała, i wykazali posłom w odpowiedzi: „że to rozumieją być w tym przywileju (Zygmunta I-go 1538) szkodliwym, iż do tej elekcyi wszyscy się zjechać i wszyscy króla obierać mają, a gdyż to jest rzecz niepodobna, aby „in tanta multitudine“ porządek i zgoda być miała, bo każdy autoritatem sobie uzurpować będzie chciał, a stąd confusio i faccie byćby musiały, przeto się JMościom widziało, abyście WMość o tem radzili, jakoby żadnego stanu od tego nie odciskając, był mianowany poczet ludzi, którzy-by się na tę elekcyę zjechać mieli, naznaczać ze wszech stanów, bo inaczej trudnoby zgoda być miała i granice-by się zewsząd ogoliły, gdyby się na jedne kupe wszyscy obywatele zjechać mieli.“

Podług opracowanego na tymże sejmie sposobu elekcji króla, dokonać aktu wyborczego powinien być sejm, a „posłowie wybrani na ów sejm walny mieli mieć od braci swej osobę mianowaną na elekcję Królestwa, którą by proponować mieli między drugimi, a to aby pod pieczęcią od szlachty mieli, gdy się innym wszem która inna osoba zdać będzie, jeno aby wiedzieli od wszech intencję wspólną. Na sejm wojewoda może mieć 20 osób pocztu, kasztelan 10, a poseł 6.“ „Mieszczanie krakowscy aby sub obedientia byli tych panów, którzy na zamku będą: Rajcy krakowscy aby przysięgali Regno et Regi, na potem zawsze: ci, którzy teraz są, poprawić mają przysięgi swej, bo nie przysięgają jeno regiae personae tylko, przeto tempore interregni mogli-by się z powinowactwa wymawiać. A na potem rajcy nie mają być wybierani, jeno Polacy, których jeśliby tak wiele nie było, tedy jednak aby na większą połowę zawždy było Polaków a nie Niemców, a także we wszystkich innych mieściech i w Gdańsku“ (potem zrobiono dla Gdańska wyjątek).

Projekt sejmowy z roku 1558 przejęty był dużą nieufnością i podejrzeniem względem przyszłego grona elektorów. Pełno też znajdujemy przepisów drobnostkowych, zabezpieczających wolne elekcye od postronnych wpływów. Na sejmie walnym będący, tak panowie, jak i posłowie: „żaden listów ani cudzoziemskich, ani domowych, ani z wojska przyjmować ma, jeno publice in coetu omnium ad electionem pertinentium. Ani nikt listów odsyłać nie może.“ Przedewszystkiem jednak potężne brzemie nieufności przytłoczyło episkopat Rzeczypospolitej. „Jakiego strachu pełni my być musimy, jeślibyśmy takowe ludzie ku tej elekcji przypuścić mieli, którzy się przysięgą obowiązali we wszystkim i przeciw każdej osobie autoritatem ich mandata Papieżów rzymskich bronić omnibus viribus suis, a jeśliby sami obecnie nie mogli, tedy bez omieszkania wszystko, coby się przeciw nim działo, by też najtajemniej im to było zwierzone, jemu oznajmić przysięgają, a k'temu jego ustaw papieskich nanosili do nas, któremi uciskają nas, a ku poddaństwu swemu nas nuczą, a sroższemu daleko niż W. K. Mość, który nam rozkazywać raczysz wedle prawa naszego pisanego.“ Powołując się też na liczne dowody, że: duchowni nietylko jaśnie nieposłuszeństwo samemu majestatowi sejmowemu okazują i że sami opowiedali się, że: „w takiej radzie być nie chcą, gdzie się dzieje przeciw Papieżowi abo jego władzy a pożytkom i jaśnie go zwali Panem i dobrodziejem swoim.“ Tymczasem „ten pan rzymski raczej to widzi, aby się Korona wniwecz obróciła, aniżeliby z jego władzy i powagi co najmniej się umniejszyć miało.“

Nietylko episkopat polski wobec zbliżających się elekcji otoczono podejrzeniami; temu samemu losowi uległa na sejmie w r. 1558 władza hetmańska, choć co do niej pocieszano się przynajmniej moty-



wami bardzo ogólnej i niepewnej natury. „Jeśli się tego bali, aby hetman którykolwiek natenczas będzie, nie przychylił się z wojskiem temu, komu-by życzył, iżby go królem obrał, tedy ponieważ ziemia takie wojska-by miała chować, aby przeciw swemu narodowi będąc Polaki mieli co czynić, jeszcze się ta zdrada w Polsce nigdy nie znajdowała i ta niewiara nigdy w rodzie polskim nie bywała, abyśmy sami przeciw sobie tej niewiary używać mieli, jako to u Wenetów.“

Projekta sejmowe z r. 1558 speszły na niczem, ale obawa i niepewność: czem się staną przyszłe wolne elekcyje dla państwa, wzrastała. Na sejmie w r. 1565, zacięta polemika, jaką Siennicki przeprowadził z duchowieństwem, była złowróbnym zwiastunem odmętu, jakim groził Rzeczypospolitej najważniejszy akt prawa państwowego. Gdy episkopat wspomniał na rzeczonym sejmie o elekcyi: „że początku opisanego nie masz,“ Siennicki oświadczył: „że to prawda i pięknieby o tem namiawiać, bo to nasze zginienie rychlejsze już skądinąd. Ale obaczcie WMość, kto to rozpierał na sejmie Piotrkowskim trzyletnim—temeście nas WMość odprawili, niechajże po staremu będzie. Ano podobno na to stare już kto sobie drogę ściele, boć już o tem ludzie popolicie szepczą, że snąć WMość Księża o Panie już sobie zamyśliwacie, jakiego wam jurisdycyki waszej potrzeba.“ Na to biskup krakowski odparł: „Ale jako więc byśmy mieli o takowym się starać, jakiego wam potrzeba, a nie nam, o takowym się starać będziem pewnie, jakiego nam potrzeba“ i wzamian odebrał zapewnienie od Siennickiego, że: „my (szlachta) też obierzemy sobie takiego, jakiego nam potrzeba, nie jakiego wam.“

Na sejmie w r. 1569 posłowie uważali za stosowne przypomnieć monarsze: „że Król Jagello odstąpił prawa successyi i dziedzictwa swego, któregokolwiek miał w W. X. Litewskiem, wieczniemi czasy i darował them koronę polską i t. d.“ „Modum zaś electionis Regis, przez pana Reja in privato colloquio nostro podany, aby każdy ślacheć po oznajmieniu śmierci królewskiej, do dwie niedziel powinien in armis do przedniejszego miasta onego województwa jechać, a tam posły swoje obrać, aby jechali do Krakowa, gdzie korona, a panowie rady wszyscy aby byli powinni być do tej niedzieli w Krakowie na sejmie, a tam połowie posłów z pany radzić, a kiedyby się nie zgodzili panowie z onymi posły, tedy do drugich posłów apellacya ma być, a na kogo się ci zgodzą, ten ma być królem polskim.“ Zygmunt August z dziwną przenikliwością umysłu ostrzegał i napominał sejmujących, aby: „modum electionis ulozicz szybko, bo jeśli tego nie opatrzyacie, tedy ta praca moja i WMość wszystkich, bodaj bych był fałszywym prorokiem, życze sobie tego, tedy by się wnywecz obróciła.“ Radzi też monarcha, aby skarb stały ufundować na wypadek elekcyi i mieć na oku hetmana,

aby się nie mieszał do samego aktu obioru, a w końcu jeszcze raz przekonywa, że „jeśli W Mość nie najdziecie zwyczaju obierania nowego króla tempore interregni, bo tha sprawa pewnie tho rozerwie thi zjednoczenia. Żebyście trudnosczy okolo obierania panów swich nie mieli, gdy to wielką trudnoscz na wsitkich państwach czyni. Abi wolue obieranie bilo a nie poniewolne, gdyż się to y za przodków moich dziewało, że nie kogo wszyscy, alie kogo kielka obrali, panem zostawał. Na wsem tedy wolnosczy trzeba strzedz Rzeczypospolitey, a zwlaszcza w gruncie, jako to jest modus electionis.“

Sejm w roku 1570 poruszył jeszcze sprawę sukcesyi tronu: „która namowa z wotum p. Leckiego i p. Szremskiego, koncludowana jest przez p. marszałka: aby prośba do WM. Panów koronnych uczyniona była, aby Król J Mość tej successyi zaniechać raczył, a w domniemaniu narodu polskiego do cudzoziem nie przywodził, gdzieśmy zawždy tę wdzięczność panom swym okazowali, iż potomstwo pana swego nie opuszczali, a wszakże i swą przestrogą prosić, aby już pismem tego nie ruszono, coby nam na potomne czasy szkodzić mogło. A tak, jeżeli Pan Bóg potomka dać raczy, gotową rzecz po sobie będzie miał, iż gdzieby ten nie był wzięt na królestwo, opatrzon być ma, a drudzy dołożyli, gdyż Panem jest wszystkiego.“

Im więcej prawdopodobieństwo bezpotomnego zejścia Zygmunta Augusta zmieniało się w pewność, tem gorętsze dawała szlachta zapewnienia, iż nie zapomni o potomku królewskim, ale o wyborze następcy za życia monarchy lub o określeniu prawa elekcyjnego nie chciała poważnie pomyśleć. Tymczasem bezkrólewie zapowiadało się jak najgorzej. Nieufnością otoczyła szlachta zawczasu episkopat, rajców miast królewskich i hetmańską władzę, a na sejmie w r. 1570 Lecki bardzo trafnie oznajmił królowi, że: „przypatrujemy się temu dobrze, iż jako dziś na nas, tak przed tem i na przodki nasze frasunki i trudności rozmaite przychodziły, jednak przodkowie nasi mieli tę pociechę w frasunkach swych, że potomstwo panów swych zawždy w oczu mieli, że gdy ich co kiedy dolegało, a Pan z nich tej doległości przecie, mimo sprawiedliwości nie zdejmował, skromnie to na się naznaczali, będąc pewnej nadzieje, iż kiedy czego Pan nie dokonał, potomek pewnie dokonać mógł. Teraz my tej pociechy nie mając, bo potomka W. K. Mości nie widzimy, ustawicznie w żałości i w smutku być musimy, bo to dobrze patrzemy, jeżeli W. K. Mość tego zajątrzenia, które między nami jest, prze niesprawiedliwość, uśmierzać nie będziesz, przyjdzie do tego, gdzieby śmierć Pan Bóg na W. K. Mość przypuścić raczył, że jeden drugiemu oczy łupić musi.“ Marszałek zaś Biecki, żegnając Króla, konstatował, że: „nad Polską wisi gniew Boży, bo Król sprawiedliwości nie czyni i wielka jest różność w chwale milego Boga.“

Jakkolwiek na razie nie zdawano sobie jasno sprawy ze wszystkich konsekwencji prawno-państwowych, jakie zniknięcie na czas dłuższy władzy królewskiej za sobą pociągnąć musi, to jednakże przeczuwano, że do organizmu Rzeczypospolitej wprowadzi bezkrólewie rozstrój, do pojęć prawnych zamęt, a swobodę indywidualną, i tak już zbyt wybujałą, przeistoczy w wyuzdanie i swawolę. Nic też dziwnego, że za życia Zygmunta Augusta, jak świadczy Heidenstein, biegały po kraju dziwne przepowiednie, jakoby po śmierci jego państwo całe razem z nim zginąć miało. Umysły wielu przejmował strach i obawa, które, jak wiadomo, nie były bez podstawy. W ostatnich bowiem czasach, Zygmunt August, z powodu słabości zdrowia, sądów odprawiać nie mógł, a swawola wielu ogromnie rosła. Gdyby razem tedy ze śmiercią króla bojaźń prawa ustała, jak przewidywał Heidenstein, wszystko rzuciło-by się na rozboje i mordy. Takie były obawy, a rzeczywistość po śmierci Zygmunta Augusta bynajmniej im kłamu nie zadała. Zaledwie w dwa tygodnie po śmierci króla, wyraża się zjazd łowicki publicznie w urzędowym dokumencie: „gwałty, najazdy, mordy i łupieże już się na wielu miejscach naczynają.“

Wobec roznamiętnienia klas uprzywilejowanych, spotęgowanego brakiem wymiaru sprawiedliwości, gdy się rozeszła przygnębiająca wieść o wygaśnięciu domu Jagiellonów, przypomniano sobie konfederacyę, która wszystkich powołuje do przymierza w celu uniknięcia wspólnych niebezpieczeństw, a przytem i dla zapewnienia wszystkim trwałego i, jak się wyrażano, wiecznego pokoju. Nieubłagana konieczność nakazywała stanom uprzywilejowanym uciec się do dawnych „kapturów“, przechowywanych we wspomnieniach i w praktyce ubiegłych stuleci. Zaznaczyć bowiem należy, że żadnej organizacyi bezkrólewia w chwili śmierci Zygmunta Augusta nie było. Sejm bez monarchy tracił prawodawczą moc, a urzędy, wykonywające namiestniczą władzę królewską, uważano za stosowne pozbawić na czas interregnów siły egzekucyjnej. Jedynie ogólnikowy przywilej Zygmunta I (1537) składał prawo obierania króla w ręce całej szlachty, bez żadnego bliższego określenia. Cała więc prawno-państwowa organizacya bezkrólewia musiała być dopiero w dobie wolnych elekcji wytworzona, a ponieważ praktyka wskazywała coraz liczniejsze i nieprzewidywane niebezpieczeństwa, przeto: zwyczaj prawny był chwiejnym i wypełniał się powoli, prawie z każdą nową elekcją. Zrazu senat próbował zagarnąć kierownictwo bezkrólewem, coby w następstwie organizacyę najdonioślejszego aktu prawno-państwowego poddało jego doświadczeniu i rozwadze. Województwa wszakże, mając w pamięci przywilej Zygmunta I-go i strwożone zamieszaniami w kraju, zawiązały w obrębie swych ziem konfederacyę, zobowiązując się wspólnymi siłami utrzymać bezpie-

czeństwo na zewnątrz, a pokój wewnątrz i powstać wspólnie przeciw każdemu, coby się z pod prawa wylamywał.

Osloniwszy jakby wspólnym kapturem życie, mienie i spokój wojewódzkich stanów, należało zaspokoić potrzeby całego Królestwa, zabezpieczając też same pożytki Rzeczypospolitej i wybierając jej nowego króla. Zasada wszakże „nic na nas, bez nas“ dawała się jedynie przeprowadzić w ciśniejszym obrębie jednej ziemi, o bezpośrednim zaś udziale wszystkich w konfederacyi generalnej ani mowy być nie mogło. Trzeba się zatem było z konieczności udać do systemu reprezentacyjnego; a ponieważ sejmy walne przedstawiały już gotowe wzory, przeto się niemi posiłkowano, wprowadzając modyfikacye, nakazane przez niezmierną doniosłość aktu elekcyi. Nasamprzód sejmiki konfederacyjne w r. 1573 wybrały posłów na sejm konwokacyjny w większej liczbie, niż na zwykłe sejmy walne. Później wrócono do normalnej cyfry, ale trudno stanowczo orzec, czy się utrwalił zwyczaj, wzbraniający wyboru liczniejszych reprezentantów. Sejm konwokacyjny zwał się konfederacją generalną: odbywał się „sub vinculo confederationis“, czyli że liberum veto jednego posła lub mniejszości sejmowej rozerwać go nie było w możności. Wprawdzie probowano w r. 1696 i tej jadowitej broni przeciwko konwokacyjnemu sejmowi, lecz, jakkolwiek sejm uważano na razie za zerwany, nie miało to żadnej praktycznej doniosłości, albowiem podpisano konfederacyę generalną, a na sejmikach relacyjnych posłowie oznaczyli dzień elekcyi, umówiony na konwokacyi, i sejmiki predelekcyjne zostały w odpowiednim czasie zwołane.

Do jakiego stopnia wolne elekcye nie miały żadnej ustalonej formy prawnej, dowodzi najlepiej fakt, że w roku 1573 powstał spór między prymasem a marszałkiem w. k. o to, komu przysługuje zwołanie uniwersałem sejmików i sejmów podczas bezkrólewia. Stany oświadczyły się za uprawnieniem prymasa, ale zaledwie usunięto jedną kwestyę wątpliwą, wystąpiła na widownię druga, daleko ważniejsza: kto ma brać udział w wyborze króla i jaki ostatecznie ustrój nadać elekcjom? Jak na konwokacyi, tak i na elekcyi, posiłkowano się z musu zwyczajami reprezentacyjnymi, przejętymi od sejmów walnych; ale szlachcie, powołującej się na przywilej Zygmunta I-go, wydał się pośredni udział w tak ważnym akcie państwowym niedostatecznym i, poparta teoryami Jana Zamoyskiego, postanowiła, o ile okoliczności na to pozwalały, wprowadzić w życie zasadę: „nic na nas, bez nas.“ Przyjął się tedy zwyczaj, że każdy szlachcie, niezależnie od posłów swego województwa, mógł wziąć udział w elekcyi, a później ten zwyczaj ujęto w pełniejszą formę tym sposobem, że każde województwo, jeżeli uznało za stosowne, uchwalało „pospolitem ruszeniem“ wybierać nowego króla. Chociaż żadna elekcya nie skupiła wszystkich ziem po-

rządkiem pospolitego ruszenia, nie mniej jednak tak licznych zjazdów nie zdołano ująć w formę walnego sejmowania i zamieniły się też raczej w obozowiska, wśród których niemożliwym prawie było utrzymać jakikolwiek porządek, nie mówiąc już nic o karności i ładzie.

Pospolite ruszenia trudno było zużytkować należycie do wypraw wojennych, cóż dopiero mówić o wspólnych naradach i o zgodzie, potrzebującej spokoju i rozwagi. Chcąc więc elekcyi dać choć pozór prawidłowego ustroju, oddzielono sejm od tłumu szlachty, zgromadzonego pospolitem ruszeniem, i postanowiono, że sejm kieruje przygotowaniem do elekcyi, a szlachta oddaje wyłącznie głosy na nowego króla. Dopiero też w ostatniej chwili udawali się senatorowie z posłami do swych województw, obozujących w polu, na stanowiskach wyznaczonych przez marszałka w. k., i łącznie ze szlachtą głosowali na króla. Stany, skonfederowane w związkach wojewódzkich, zarówno jak w kapturze generalnym, przeświadczone były o niedostatecznym ustroju bezkrólewia, o czem zresztą wszystkich nieustające bezbrawia przekonywały. Proszono więc Stefana Batorego, aby obmyślił bezpieczniejszy modus electionis, ale jednocześnie wzrastało podejrzenie, że tego sposobu może elekt użyć do zapewnienia sobie dziedziczności tronu. Gdy Jan Kazimierz w imię dobra Rzeczypospolitej domagał się wyboru nowego króla za swego życia, szlachta obróciła w niwecz jego zamiary, właśnie z tego powodu, że w Czechach i w Węgrzech od dezygnacyjnej elekcyi rozpoczęła się dziedziczność tronu.

Najwyraźniejsze dowody, przekonujące o zgubności wolnych elekcyi i o tem, że się po nich tylko coraz to większych zawieruch spodziewać było można, nie zdołały przekonać szlachty, że owa największa wolność jest bardzo wątpliwej wartości. Przynajmniej pomyslano dość wczesnie o jednym zapobiegawczym środku, a mianowicie o tem, aby ukrócić bezprawia i nieporządki za pośrednictwem ściślejszego wymiaru sprawiedliwości. Sądy, wymierzające w imieniu króla sprawiedliwość, po jego śmierci traciły władzę; należało zatem, przejściowo na czas trwania bezkrólewia, wytworzyć organ, który-by sprostał tak trudnemu i nadzwyczajnemu zadaniu. Zrazu województwa pozostawiały starostów w sądach grodowych, lecz później sejmiki całe pełniły funkcję sądowo-karną, a gdy trybunał w tak licznym i swarliwym składzie okazał się niepraktycznym, wybierał sejmik znaczną liczbę deputatów, którzy sądzili przestępstwa ważniejsze, stanowiąc sąd kapturowy. Sądy konfederacyjne wojewódzkie, skutkiem tego, iż były zbyt licznymi, spełniały źle swoje zadanie i, jak to prof. Pawiński potwierdza, nie zdołały zapobiedz licznym nadużyciom. „Doprowadzono bowiem liczbę sędziów do potwornych rozmiarów. Bywało stu i więcej deputatów, jak opiewa konstytucya z 1764 roku. Ta „nieumiarkowana

liczba—są słowa tejsze uchwały—bywała częstokroć przyczyną uciążliwości obywateli, ale co więcej, raczej tamowała, niżeli ułatwiała bieg sprawiedliwości, bo wywoływała—jak twierdzi też ustawa—między sędziami poróżnienie. Bardzo też wczesnie straciły sądy kapturowe swą powagę, a wartość ich musiała być bardzo wątpliwą, kiedy je uprzętniono zaraz przy pierwszych usiłowaniach reform za Stanisława Poniatowskiego.“ Konfederacja generalna z roku 1588 unormowała stosunki sądowe miast i miasteczek królewskich podczas bezkrólewia, o czem sejmiki i konfederacye kilku województw przepomniały zupełnie. Miasta i miasteczka zachowały swoje prawa i jurysdykcyę karną podczas interregnów. Tylko, gdyby szlachcie był pojmany w mieście na gorącym uczynku, wtedy nie urząd miejski ze starostą lub podstarościm sądzić go miał, jak uchwalił statut toruński z roku 1520, ale sąd kapturowy z miejskim urzędem, a wyrok stawał większością głosów sędziów kapturowych.

Na polu elekcyi okazała się wczesnie jeszcze gwałtowniejsza potrzeba specjalnych i energicznych sądów. Wprawdzie szlachta województw, udająca się pod Warszawę na elekcyę, posiadała w organizacyi pospolitego ruszenia sąd, ale, niezależnie od tego, niezbędnem było potężne ramię sprawiedliwości, które-by wszystkie wojewódzkie obozy, przytykające do siebie, w rygorze utrzymać potrafiło. Marszałkowi w. koronnemu polecono uformowanie sądów generalnych kapturowych, zwanych „*judicium compositum*“, które składało rycerstwo z trzema senatorami, po jednym z każdego narodu. (Małopolska, Wielkopolska i W. Ks. Litewskie). Jak sądy kasztelańskie nie zdołały w pospolitych ruszeniach wojewódzkich utrzymać dyscypliny militarnej, tak samo i sądy kapturowe generalne nie zapewniły masie elektorów nawet względnego spokoju. Jak to Górnicki wczesnie przepowiadał: kto miał większy poczet i kto był mocniejszy, ten nietylko wybierał, ale mógł sztydzić z sądów bezkarnie, a dzieje wolnych elekcyi przypominały raczej federacyę obozów, aniżeli śprzysiężenie się stanów Rzeczypospolitej. Przepiękny obraz elekcyi króla Michała, jaki nam pozostawił w pamiętnikach swych J. Ch. Pasek, nie jest bynajmniej wyjątkowym. Rozważny i uczony Lengnich, choć musiał elekcyę uważać za najdonioślejszy akt prawa państwowego polskiego, nie mógł jednak zaprzeczyć temu, że: „elekcyja rzadko bywa bez zamieszania, ale trafiają się zabójstwa, rąbania bez kary, sami nawet senatorowie bywają w niebezpieczeństwie, co ledwie kiedy może być inaczej, na tak wielki zjazd ludzi, oprócz tego, że wolność narodu w niektórych rzeczach to pozwałać się zdaje, która się nigdy nie wydaje bardziej, jak podczas interregnum. Przy obieraniu Zygmunta III-go, pole krwią zbroczone, żołnierz do boju uszykowany y szopa senatorska spalona była. Przy obie-

raniu króla Michała, pod wałami ognia dawano, tak, że kule po polu latały, senatorowie i posłowie, uchodząc z życiem, bramami uciekać chcieli, lecz gdy do nich ognia dać chciano, na swoje miejsca nie bez wstydu powrócić musieli. Przy obieraniu Augusta II-go z pałaszami na marszałkowskich żołnierzy y na pole uderzyć chciano, tak, że marszałek koronny o tę krzywdę uskarżać się musiał. Dobyto szabel i w samym kole poselskiem, przy marszałku samym poselskim, szlachcie kulą zabity i sam marszałek ledwie niebezpieczeństwa uszedł.“ Pomimo, że doświadczenie uczyło, iż tak wielkich mas żadna organizacya w ryzie utrzymać nie potrafi, dopominało się w roku 1622 wojsko korporacyjnego udziału w elekcji. Nie przystały skonfederowane stany na podobne żądanie, ale pozwoliły każdemu żołnierzowi-szlachcicowi korzystać indywidualnie z praw wyborczych.

Bezkrówność i zamęt, sprowadzane peryodycznie przez bezkrólewia, zamiast skłonić konfederacye do skrócenia tej nieszczęsnej doby, wywołały przeciwny skutek. Gdy bowiem na pierwszych elekcjach król obejmował rządy, zaraz po ogłoszeniu go elektem na polu przez prymasa, i znosił tem samem bezkrólewie, później odroczone ów pożądaný moment aż do sejmu koronacyjnego i zaprzysiężenia pactów conventów. Trzy, stosunkowo dość prędko po sobie następujące, elekcye, (Henryka, Stefana Batorego i Zygmunta III) przeistoczyły obieranie króla w niewzruszalny akt prawa państwowego i ustaliły nieco zwyczaj, organizujący bezkrólewia. Doświadczenie, wytworzone owemi pierwszymi trzema elekcjami, było w stanie rozwiać wszelkie złudzenie głębszych umysłów, ale stanowi rycerskiemu bezkrólewie właśnie dawało poczucie wszechwładności, oraz świadomość, że za pośrednictwem powtarzających się interregnów, a w następstwie konfederacyi generalnych, przewaga władzy monarchicznej i senatu nie będzie w przyszłości możliwą. Owocem zaraz pierwszej elekcji były artykuły Henryczyańskie, uwalniające od posłuszeństwa monarsze w razie złamania lub niedotrzymania przysięgi. Jakkolwiek artykuły powyższe uległy z czasem łagodniejszej interpretacyi, jednakże wszystkie następne pacta conventa piętnowały elektów znamieniem odrębnego stanu, który z innemi stanami zawierał quasi-prywatną umowę. Poważna senatu na polu elekcyjnym topniała zupełnie. W dobie obierania monarchy, senatorowie, złączeni z województwami, znaczyli tyle, co każdy szarak szlachecki, a nawet prymas, zwany konwencyonalnie (interrex) międzykrólem, musiał się liczyć ze względami równości szlacheckiej i unikać nawet drobnych pozorów wynoszenia się nad „panów braci.“

Sejmy konfederacyjne, stanowiące uchwały większością głosów i nadające przewagę izbie poselskiej, dbały troskliwie o to, aby moc

wykonawcza, pozostająca z natury rzeczy w rękach prymasa i hetmanów, była jak najbardziej ograniczoną i pod nieustającą kontrolą sejmową. Postanowiono też drobniejsze jedynie sprawy bieżące oddać prymasowi, a ważniejsze pozostawić do decyzji samego sejmu. Prócz tego, dodano do boku prymasa i hetmanów deputacje sejmowe, złożone z senatorów i posłów, które-by nad ich działalnością czuwać mogły. Nawet to kardynalne złudzenie, że przynajmniej na polu elekcyjnym szlachta, zebrana z całego kraju, urzeczywistni zasadę: „nic na nas, bez nas“ i zgodnie wybierze króla, rozwianem zostało bezpowrotnie przez pierwsze trzy elekcyje. Pokazało się, że zebranie wszystkiej szlachty z tak obszernego państwa w jedno miejsce jest niepodobieństwem i że zawsze pewna ilość województw nie przybyła z umysłu lub dla poważnych przeszkód. Następnie zaś owa sławiona ogólna zgoda przeistoczyć się musiała w zgodę większości, czyli w decyzję mocniejszego. Ponieważ jednak w stanowej konstytucyi mniejszość nie zwykła ulegać większości, przeto podwójny wybór monarchy był nieuniknionym i brutalnej sile przychodziło decydować o zwycięstwie. Ażeby mniejszości ułatwić zgodę na elekta większości, zwoływano niekiedy przed koronacją sejm walny (sub vinculo confoederationis), zwany poparciem konfederacyi, i na nim przystępowali opponenci do aktu obioru, dokonanego przez większość województw.

Zaraz też pierwsze trzy bezkrólewia wywołały pisma broszurowe, potępiające konfederacyę, zarówno jak i bezrządne elekcyje, które sfederowana Rzeczpospolita doprowadzała do skutku. Pierwsza konfederacya generalna po śmierci Zygmunta Augusta nazwaną została przez Solikowskiego rozprzężeniem jedności religii, najgorszą swywolą, która ludziom złej woli otwiera drogę do zamieszania, a nawet królom daje sposobność pod płaszczykiem religii do wymówienia się od dochowania przysięgi. Macicą wszelakiej licencyey zwie, prócz Solikowskiego, konfederacyę jeszcze inna broszura z 1622 roku. Anonimowy autor nawołuje, aby tym środkiem „nie zabijano ojczyzny,“ i pragnie dać naukę konfederatom, „aby się przejrzeni w swej konfederacyi, a obaczyli: jako na piekło, utratę sławy swej, na zniszczenie ojczyzny, korony polskiej robią.“ „Ze złego gniazda urodziła się ta konfederacya, naprzód wieków naszych odłączeni od Kościoła katolickiego ludzie w Niderlandzie, swoją konfederacyą popisować się, zmocnić poczęli. Od nich wzięli miarę oziębli i źli katolicy. Korzeń złego zbytnia wolność albo raczej swawola, której póki sobie dobrowolnie sami nie ujmą na sejmie, ażeby ich wielu rządziło, nie zabronią, ani karności złego, ani nadzieje lepszego nigdy nie będzie. Plewiarza obcego, uchoway Boże.“

Była jeszcze na początku wieku XVII-go broszura, p. t. „Diskurs przeciwko konfederacyjey,“ która zwie konfederacyę „przeciwną bo-



skim y ludzkim prawom y rozumowi przeciwną.“ Na ową broszurę „Krótki respons“ odpowiedział, że: „związki pokoju y przymierza, nie tylko z bracią, jedney ojezyny synami, ale by nie wiem z jakim nieprzyjacielem, choć Żydem, choć poganinem, sanctissime zawarte y solenni juramento naywyższych głów stwierdzone, nie powinny być targane.“ Tłumne elekcyje znowuż nie wydały się „największą wolnością, jakiej na całym świecie nie masz,“ przebiegłemu Włochowi, którego do rozmowy Górnicki wprowadził. „Gdzie bowiem na świecie obierają porządnie pany sobie, jako w Rzymie y w Wenecyey, poganów nie wspominam, gdzie też jest elekcyja, tam nie w polu obierają, ale w murze y jeszcze tych dobrze zawrą, którzy go obierają, aby nie wyszli stamtąd, aż Pana obiorą. A przecie póki nie obierą Pana, jest ten, kto rządzi a zbrodnie karze.“ Co najgorszego zaś jest w polskiej elekcyi, to obieranie króla w polu — „a cóż to innego jest jeśli nie to, żeby go ten obrał, kto będzie możnym?“

Nie pomogły jednak rozumne i rozważne głosy, upominające, że: konfederacye są tylko wygodnym płaszczykiem, osłaniającym egoizm stanów, oraz że elekcyje niezgodne doprowadziły Węgry do upadku. W dobie pierwszego bezkrólewia konfederacya zapewniła szlachcie pełną władzę patrymonialną nad włościanami i przekonała zarazem rycerstwo, iż może być na przyszłość wygodnym środkiem, zapewniającym mu przewagę nad senatem i nad królem. Najgorszem też następstwem wolnych elekcyi było przeistoczenie konfederacyi w instytucyę prawa państwowego, zastępującą w bezkrólewiu sejmy walne koronne. Rzeczpospolita sejmująca, w której monarcha był stanem, czyli pierwiastkiem składowym nieodzownym, zamieniała się na czas bezkrólewia w Rzeczpospolitą skonfederowaną, posiadającą tę samą moc, co poprzednia, a tylko związaną „modo arctius et in certam rem.“ Kaptury, sprzysiężenia, spiski, które w XIV i XV-ym wieku występowały na widownię w celu utrzymania pokoju i bezpieczeństwa publicznego, przybierały, dzięki bezkrólewiom, powagę coraz trwalszego i uświęconego zwyczaju, budząc zarazem wśród rycerstwa silne przeświadczenie, że to samo sprzysiężenie się, czyli konfederacya, może być wybornem narzędziem do osiągnięcia ważnych zadań politycznych, nawet za życia króla. Ile razy więc za rządów monarchy poważne niebezpieczeństwo groziło Rzeczypospolitej, a sejmy walne, zrywane coraz częściej, nie dawały należytej gwarancyi ocalenia państwa od wewnętrznych, czy zewnętrznych wrogów, konfederacya nasuwała się rycerstwu, jako nadzwyczajny środek, wywołujący dużo złego, ale mający zapobiedz jeszcze gorszym klęskom.

Gdy Jan Kazimierz opuścił, jako wygnaniec, ziemie Królestwa i państwu zdawała się grozić ostateczna zagłada, rozpaczliwe położenie

zdawało się usprawiedliwiać sprzysiężonych, którzy, nie ufając sejmom zależnym od uporu lub przedajności jednego posła, zapewniali, że: „dopóki łaskawy Bóg gruntownie ojczyzny naszej nie uspokoi, zostawać w jedności i w tej poprzysiężonej konfederacji obiecujemy i obowiązujemy się jednostajnie wszyscy w tem przedsięwzięciu pozostawać, sprzyśęgamy się i ligujemy się stateczną konspiracją.“ Jeżeli też na usprawiedliwienie Tyszowieckiej konfederacji można powtórzyć słowa Lengnicha, że: „erat eo tempore misera Reipublicae facies, cum Rege quasi exule, princeps externus, Regnum gravi servitute premeret, omniaque ad victoria leges referret.“ I w tym celu — „in hunc finem pro religione, rege et juribus, adversus hostem, qui sacra et profana turbaverat, initum foedus, cui omnes accedebant, qui salvam volebant patriam etc.“, to nie o wszystkich sprzysiężeniach można było powiedzieć, że były „stateczną konspiracją.“ Zdarzały się wypadki, że szlachta, wiążąc się w konfederację, stawała przy majestacie królewskim i niby to w obronie jego władzy, ale w rzeczywistości po to jedynie, aby go jeszcze bardziej skrępować, a nie brakło i takich wydarzeń, że jednocześnie zawiązywały się dwie konfederacje z celami i zadaniami wprost sobie przeciwnymi.

Ponieważ konfederacje za życia króla powstawały zawsze w czasach wielkiego zamieszania, gdzie o sejmowaniu walnem mowy być nie mogło, przeto zawiązywały się zwykle nie na sejmie, tak, jak konfederacje generalne na sejmie konwokacyjnym, i jeszcze mniej, niż tamte, posługiwały się zwyczajami sejmowania walnego. Czasami niewielka liczba rycerstwa i senatorów zawiązywała konfederację w miejscu, które wyjątkowe okoliczności czyniły chwilowo dogodnym, a później dopiero przystępowały do niej województwa (Tyszowiecka). Innymi razem znowu województwa, uzurpując władzę królewską, ruszały własnowolnie „pospolitem ruszeniem” na wskazany punkt i tam zawiązywały przymierze (Gołąb). Organizacja konfederacji przy królu nie była również ustaloną, i gdy raz główna władza powierzoną była hetmanom, w innych wypadkach marszałkowie konfederacji przeważną odegrali rolę. W każdym razie, konfederacje przy królu nosiły cechę daleko wyłączniejszą szlachecką, niż związki generalne za czasów bezkrólewia. Zwano je też niekiedy konfederacją szlachecką, a o powoływaniu i przyjmowaniu do nich „innych stanów,” czyli niektórych miast królewskich, nie było wzmianki. Zato miały konfederacje przy królu z sejmami walnymi to wspólne, że stały przy królu, t. j. że go uważały za pierwiastek składowy związku, ale wobec zasady: że najważniejsze sprawy państwa decydowały się absolutną większością głosów, a wota senatu i zdanie królewskie tworzyły zawsze znakomitą mniejszość, zyskiwał związek trwałą przewagę nad monarchą, któremu nie

pozostawało nic innego, jak mu uleźć, lub go zwalczać przy pomocy drugiej konfederacji.

Jeżeli też konfederacja generalna na sejmie konwokacyjnym przekraczała zwykle zakres zwyczajowo ustalonych atrybucyi, to cóż dopiero mówić o konfederacji przy królu, zawiązywanej w wyjątkowych okolicznościach i niedopuszczającej do utrwalenia się jakiegokolwiek zwyczaju. „Że zaś na konfederacji nietylko radzą, ale y wojnę prowadzą przeciwko nieprzyjacielowi, albo obcemu, albo domowemu, albo przeciwko obydwu, nie trzeba się dziwować, że się w ten czas to dzieje, co w każdym zamieszaniu: zabójstwa, pustoszenia, rabunki, y insze które prawo wojny wymaga. Dlatego dobry obywatel nie zawsze sobie konfederacji życzyć ma, ani bez potrzeby do konfederacji nie przystąpi, jeżeli publiczna całość zwyczajnym radzenia sposobem może być zabezpieczona. Jakkolwiek też konfederacye zawiązywane były w obronie króla i Rzeczypospolitej, królowie nigdy obywateli do niej nie używali,“ a łącząc się z wytworzoną mimo ich woli, starali się zakończyć ją jak najrychlej przez sejm pacificationis, który czasami, dla nierozzerwania go, odbywał się „sub vinculo confoederationis.“ Nawet konfederacji sandomierskiej, której tyle zawdzięczał August II, nie pozwolono istnieć, dopóki się jej główny cel nie urzeczywistnił, i rozwiązano ją w roku 1717, a niejednokrotnie prócz tego zakazywano na przyszłość tworzenia podobnych związków, widząc ich bezmierną szkodliwość dla kraju.

Wadliwy ustrój sejmów wywoływał w chwilach niebezpieczeństwa konfederacye i to wówczas, „gdy tego niebezpieczeństwa stany oddać nie mogły, albo dlatego, że nie mogły sejmu mieć, albo że sejm nie doszedł y o drugim nie masz nadziei.“ Z tem wszystkiem jednak jeszcze trudniej było wynaleźć ustrój prawny dla przymierza całej szlachty, która, stając pozornie przy królu, pragnęła coraz konsekwentniej i natarczywiej, aby zasada: „nic na nas, bez nas,“ urzeczywistnioną została w najdrobniejszych szczegółach. Pod względem ekonomicznym były konfederacye dla kraju rujnującemi. Jak twierdzi Hofman: naród, który zazdrościł rządowi dwu milionów rocznie zwyczajnego podatku, zapłacić od razu musiał konfederatom w r. 1611—140 milionów, w r. 1618—20 milionów, w r. 1662—10 milionów, a w roku 1717 — 190 milionów. Jakikolwiek jednak były straty materyalne, które Rzeczpospolita ponosić musiała dzięki konfederacyom, nie stanowiły one jeszcze najgorszego owocu rabunkowej gospodarki konfederatów. Prawdziwą klęskę dla życia państwowego przygotował rozkładowy wpływ konfederacji, które dla coraz bliższych pozorów chciały przeistoczyć Rzeczpospolitą sejmującą w Rzeczpospolitą skonfederowaną. Jeżeli też w r. 1573, wobec wygaśnięcia domu Jagiellonów, wskrze-

szono na wielką skalę wspomnienie dawnych kapturów, to nie ograniczono następując związków przymierza na dobre bezkrólewia lub na wypadek ostatecznego niebezpieczeństwa, grożącego królowi i Rzeczypospolitej, ale rozszerzono zwyczaj sprzysięgania się do niemożliwych konsekwencji i starano się nadać cechę prawną nawet związkom przeciw królowi i przeciw Rzeczypospolitej sejmującej. W związkach powyższych już nie cały stan szlachecki, ale jego część uzurpować zwykła „*potestatem plus quam comitalem*,” a przytem rościła do tego pretensję, że w niej się utożsamia majestat całej Rzeczypospolitej.

### Rokosz i związki wojskowe.

Z mianem „rokosz” spotkał się już w r. 1538, albowiem dekret sądu sejmowego, przytoczony poprzednio, nazwał głównych przywódców wojny kokoszej rokoszanami. W manuskrypcie, wydrukowanym w IX, X, XI i XII tomach wydawnictwa ordynacji hr. Krasieńskich, znajdują się wzmianki, utrzymujące: że „bywały konstytucje takowe, które starodawni Polacy i Węgrowie rokoszami nazywali. Rokosz zaś, jest wielkie rugowe prawo, na którym sędzi się *generalitas cum officialibus*. Sądzić tedy ma rokosz króla o *periurium*, o kontempt prawa pospolitego, o *crudelitatis*, o *severitatis* opresyję. Sądzić senatory i urzędniki o arogancję, *assentację* i perfidyę; sędzić bracią o *prodicję*, coby widzieli w nich *fraudis et doli*. I dlatego egzekucya rokoszu szlacheckiego nazwana jest kapturem, że wojsko sędzi — wielka potencya mniejszą potencję. A stąd ów obyczaj, jak mają, kiedy się na sejmiech senatorowie oponują, także i posłowie drudzy, kiedy się do braciej o co referują i pozwalają na co nie chcą, albo i artykułami gardzą, kapturem szlacheckim królowi potrzęsają, bo oni wojewody i króla postanowili i po wojewodach zasię króle rokoszem zbierali i starsze prawo rokoszowe, niż król.“

„Rokosz jest ostatnia prawie kotwica, do której się ludzie czasu gwałtu i w ten czas, kiedy tego *extrema necessitas Republicae* exigit, kupić mają. I jest rokosz *unum ex violentis remediis antimonium* własne, którego jeśli winien i ten czas, kiedy potrzeba i jak jako potrzeba, być użyteczne, jeśli i nie w czas i leda jako, twoja to śmierć, twoje to zginienie. A naprzód, wiadoma to jest rzecz, że takie poczucie nasze i konfederacya taka, ostatnia jest pociecha naszej miłej ojczyzny. Dobrzem nazwał na początku rokosz *sacram anchoram*, to jest ostatnią obroną każdej wolnej Rzeczypospolitej. Rokosz powinien mieć powagę większą od sejmowej (*authoritatem plus quam comitalem*) i reprezentować całą Rzeczpospolitą, a przytem trzeba, aby wszystkie in genere

potrzeby Rzplitej, na tym miejscu, bez żadnego odkładania, obmyślane, namówione i konkludowane były: eo et non alio scopo. Ruszywszy się bowiem wszystkiego nie zawrzeć, albo zostawić coby drugim rokoszem (a ten co wiedzieć kiedy), poprawować, jest to rzecz *extremae demetiae*. K'temu takowemu zjazdu nie masz pamiętnika jako w Polsce był i co wiedzieć, jeśli dziatki nasze drugiego doczekają. Takie tedy zjednoczenie serc ludzkich, takie prace i nakłady *ludibrio irrisioni* (jedno minąwszy, drugie zminąwszy) *hominum exponere*, a tylko *imagine libertatis optatae*, rozjechać—zaprawdę nie godzi się.“

„Powinien tedy stan ślachecki bronić swych praw na sejmie, *representabiliter* autem, ale gdyby już widzieli, że król prawa gwałci, senator *annuit*, coby się miał *opponować*, to on pozwala, a to już na takową *oppressyję* od królów i senatorów, ma stan rycerski swoje *representalia*, ma *faedus*, ma wielkie rugowe prawo, co go rokoszem zowią, ma egzekucyę, ma kaptur, ma wolną zawsze *kommocyę* do niego, *tempore interregni et tempore regni*. To tu jest król, jest senator, jest duchowny, jest świecki. Jest na króla *paena*, jest na senatora *paena*, jest na urzędnika *paena* a egzekucya jest przy wojsku. Przodkowie nasi zabiegając temu, aby ubożsi od możniejszych wzgardy i krzywdy nie odnosili, chcąc między niemi postawić *aequalitatem et statum mutuae reverentiae*, temu stanowi rycerskiemu *fundamenta custodiendae libertatis commiserunt*, dali im *eam facultatem in republica*: że mogą *zwierzchność* karać, o gwałt praw i wolności swoich i dosyć piękną *rationalem reciprocationem* sprawiedliwości uczynili, w tej porządnej Rzeczypospolitej na zadzierżenie praw jej i wolności, że ma stan rycerski króla w tej Rzplitej i senatorów, których powinien karać i sądzić. O co? O rebelią prawu *pospolitemu*.“

„Zagarniając *jura majestatica plus quam regiae et comitiales* rokosz wymawiał się od wszelakiej odpowiedzialności. Na tym bowiem rokoszu, każdy co kto zadawa komu, reprezentuje *wszytką* Rzeczypospolitą w osobie swej, a Rzeczypospolita karana być nie może. Jakie przyczyny jednak skłoniły rokoszan do utworzenia związku, który, *uzurpując* sobie prawie *absolutną* władzę państwową, chciał sądzić i karać króla wraz z całym senatem? Naznaczenia tego zjazdu i zjechań tu się, są wielkie przyczyny i żaden nie jest, ktoby nie czuł jako samo postanowienie Rzplitej *żałośnie* każe nam radzić o sobie i o dobrym jej. Gdziekolwiek oczy obróciemy, zewsząd żal, strach i bojaźń następuje. Dom ten Rzplitej *śmiercią* wewnątrz *podnicony*, ale i z zewnątrz *jawnie* jest *zesromocony*, w każdym stanie *corruptio*. Klejnot on wielki, którym narody *wszytkie* *ubieczeliśmy* — wolność i swoboda nasza, *per contemptum, temeritatem et per potentiam* *oprymowana*, przez *praktyki* *nachylona ad interitum*. *Cudzoziemskich* *ludzi*

rady nastąpiły. Ludzie dobrzy opuszczeni i bez nagrody są, wszystkie stany wątleją, a ci co mieli przestrzegać praw, albo per socordiam opadli i zlenieli, albo dla prywat i wakacyjnej oniemieli, że sami stróże Rzplitej stali się nieprzyjaciołmi jej."

Po-za obrębem ogólnikowych i nieco urojonych wyrzekań, znajdujemy jednak gruntowniejsze usprawiedliwienie rokoszu. „Choćby nie było innego motivum do mówienia w tym kole, sejm przeszły per vim zawarty, non obstantibus protestationibus, wielu przednich województw całe na to zezwolonych. Przytem jako nas ślacheiców koronnych głosy były oprymowane, nuż gwałty, łapania ślacheiców i to same wielkie jest, o czym należy mówić i zgola radzić o sobie." Jeszcze wyraźniej wyłuszcza powody zawiązania rokoszu Stadnicki (dyabel). „Pociągnął mnie do tego sejm przeszły, na który byłem posłem, gdzie obsadzono mnie hajdukami, rajtarami, lancknechtami, cudzoziemcami, przeciw prawom i wolnościom naszym i przysiędze. Tu tedy przyjechałem praw ojczyzny i wolności naszych bronić, nie dla buntów, turbacyjej, jeśli by kto był i ja sam jeśli byście to o mnie rozumieli WMość, abym miał być przeciw pokojowi i prawom naszym i tę dobrą robotę rozrywać, roznieście mnie na sablach i psom rozrućcie." Rokoszanie kilkakrotnie w ciągu obrad, a przedewszystkiem w swych uniwersałach zaznaczali z naciskiem: „że ponieważ sejmi i sejmy, jako środki lecznicze zwyczajne, zamieniły się w truciznę i trudno się na nie spuszczać (tanquam ordinaria remedia versa in venenum), w tym tedy zamieszaniu Rzplitej dziwować się nie trzeba, w tym rady potrzeba nie pojedynkowej, ale społecznej, jako wolnemu narodowi, lecz fundament ten cel zgromadzenia, który, że Pan Bóg in tanta frequentia chciał mieć. Czasu gwałtu do kupy zbiegać się potrzeba, tylko iż to narodu naszego vitium największe, po szkodzie być mądrym. Nie mogą tedy te rzeczy być uspokojone, jeno rokoszem, aby winnica pańska była z kąkołu wypłeniona." Dlatego Stadnicki nie wahał się oświadczyć, że dla niego „król Zygmunt III już umarł civiliter, i niechaj kto chce co czyni, on się z tym opowiada, że króla Zygmunta za pana nie uważa i poddaństwo mu wypowieda."

Jakkolwiek zjazdy rokoszowe w r. 1606 były dość liczne i kierownicy sprzysiężenia zaznaczali z zadowoleniem, że rzadko które elekcyje mogły się taką mnogością szlachty pochlubić; to jednakże nie ulega wątpliwości, że groźny rokosz Zebrzydowskiego, pragnący sądzić i karać króla oraz dygnitarzy, obejmował tylko część stanu rycerskiego i to część znakomicie mniejszą. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że lojalna szlachta zawiązała bezzwłocznie konfederacyę przy królu, a większość senatorów dopomogła do opracowania teoryi przeciwrokoszowej, która tradycyjnym i normalnym instytucyom reprezen-

tacyjnym, oraz władzy królewskiej, pragnęła przywrócić pierwotną moc i siłę, oświadczając zarazem, że rokosz jest przeciw prawu, lub z gwałtu praw. Wojewoda Jazłowiecki wypowiedział też: „Ja rokoszu nie wiem, quo fine, nie wszystko Rzplita była pod Lublinem, ale siła nas jeszcze szlachty w Polsce, co też tak szable możemy mieć jak i drudzy.” Stadnickiego zwie Jazłowiecki Nalewajką i życzy mu takiego samego losu. Arcybiskup lwowski przypomina rokoszanom, że „do poparcia tych rzeczy siła tych środków zażywano, jakich przodkowie zażywali nasi. którzy z stołków wstawali, mówiąc: Królu, zawołamy na bracią, nie wołali jednak, woleli errata principis postrachem hamować, aniżeli tumultem leczyć. Ostry był też zaraz z przodku postępek w tej sprawie, bo dignitas regia prawem Bożem jest umocowana, consensu orbis aprobowana, ale i prawa nasze przysięgą nas obowiązują. Gostomskiemu, wojewodzie poznańskiemu, jako zrazu tak i teraz nie podobał się taki proces naprawowania zepsowanych praw i w klubie poprawowania rzeczy powaryowanych, gdyż mamy przykłady, jakimi sposoby i drogami tego dochodzić per justa media. Rokoszanie z Rzeczpospolitą uczynili tak, jakoby lekarz uczynił, kiedy-by tercyjanę (febry), na którą nigdy żaden nie umarł, leczył desperato, tak jakoby ich więcej pomorzyła niż pozdrowiła. Było w Rzplitej coś nierządu, wyszło było to i owo z kluby, ale przecie nic nie było śmiertelnego, żyliśmy w niej nietylko commode, nietylko feliciter ale i gloriose, doma we wczasiech i dostatkach, u postronnych w sławie, a nieprzyjacielowi postrachem.”

Wojewoda sieradzki przestrzegał rokoszanów, że łatwiej zwieść ludzie, ale dyrygować i rozwieść, nie będzie to w ich mocy, zresztą, zwracając się listownie do Zebrzydowskiego, wypominał mu, iż „na swój rozum się nie sadząc, ani tego sobie arroganter przypisując, abyś W Mość miał więcej od nas ojczyznę miłować. A komuż się najmniejsza krzywda w tym zamieszaniu od Pana (króla) tak od nas dzieje (po bitwie Guzowskiej)? Nie z naszej strony ludzie z rapinii żyją i teraz ludzi trapią. Zaczyn i okrutne swawoleństwo nastąpiło ludzi, którzy się z tamtej gromady (rokoszu) rozwinięszy, jako nieprzyjaciele miasta palą, ludzie okrutnie mordują, łupią, najeżdżają domy szlacheckie, gwałty czynią ucziwym pańienkom i mężatkom nie przepuszczają, że już prawie bezpiecznymi w domach naszych, że w temże zamieszaniu Rzplita, co rusz w większe niebezpieczeństwo i w długi wpada.” Wojewoda wileński wyraził wątpliwość: czy zjazd rokoszowy zdoła zapobiedz nadużyciom i wzmocni rząd, ale żadne votum senatorskie nie przeniknęło tak do głębi złej natury konfederackich zjazdów wszelkiego rodzaju, jak to, które hetman Żółkiewski wygłosił na sejmie w Warszawie w r. 1607. „W tym zamieszaniu Rzeczypospolitej,— wyrzekł słynny i tylekroć zwycięski wódz — nie widzę innego sposobu do

uspokojenia i pogodzenia, jeno sejm, którego *authoritas* u przodków naszych była w wielkiem poszanowaniu i wszystkie prawa i wolności swe na nim sobie stanowili. Tymże sejmem co złego jest w ojczyźnie, co z prawa i porządku domowego wypadło naprawić. A od tego począć, co jest *urgens*, co barziej dolega ojczyznę, co uraża braci naszych animusze i tak wiśnickim artykułem jako i rokoszowym ja nie przyznawam *legimitatem*. I nie byłbym ślachecciem wolnym, ale *mancipium*, kiedybym postanowieniu rokoszowemu podpadać miał i jako oni na nas, tak my na nich nie stanowić nie mogli i nie stanowiliśmy, aleśmy my to wszystko referowali do zgody sejmiiu."

Szlachta, skonfederowana przy królu, wyrzekała także gorzko na zjazdy braci, „które oni mimo wiadomości J. Król. Mości, prawa naszego i nasze zwyczaje w prawie opisane, składają i na nich *authoritatem plus quam comitale* sobie uzurpują. Czym iż prawo pospolite i porządek w naszej Rzeczypospolitej, zwyczajny pomieszany jest i wolność się pospolita gwałta, to że w równej wolności będąc, bez nas, na nas, co się JMościom zda, stanowią. Konfederacya w Wiśni upraszała też hetmana Żółkiewskiego, ażeby z tym żołnierzem, który na ten czas jest zebrany, ku granicy od Węgier, bliżey Króla JMości przymknął i *provideret securitati R-cae* i J. Król. Mości, gdzie i sami JMościowie chętnie i radzi jedziemy i zdrowia nasze przy Królu JMości poniesiemy."

Jeżeli rokoszanie zdobyli się w r. 1606 na zręcznie wymotywowaną teorię, usprawiedliwiającą związki, które króla pociągały do odpowiedzialności, to stronnictwo, pragnące powrotu do zwyczajnego sejmowania, nie zaniedbało swej sprawy. Przeciwko doktrynie rokoszowej wystąpiono z wybornemi traktatami, które z niezwykłym talentem i dojrzałym rozumem stanu dowodziły, że rokosze jedynie zgubę państwu przynieść mogą. „Zjazd jest potrzebny kendy jest niebezpieczeństwo nagle, któremu się zabezpieć inaczej nie może, umyślnym, szczerym, ku obronie nic swego nie szukając. Bo z drugiej strony kendy nie trzeba zwodzić armatam *multitudinem*, nie jedno przeciw prawu, ale i rozumowi, bo gdzie ludzie zbrojni, tam przypadki niebezpieczne. Nic też lepszego jako sejm, bowiem stany, na sejmie bywają zgromadzone. Praktykuje król, mówić mu na sejmie, król na sejmie jest. Praktykuje duchowny, na sejmie mówić, bo tam duchowni praktykują. Jako przeciwko tatarskim strzałom, polskie kopije w polu, tak przeciwko praktykom na sejmie ich odkrycie. Ztąd pewno: że pan kanclerz nieboszczyk pod Jędrzejowem więcej nie zawarł, jedno starać się: aby sejm był. Tak tedy sicut *aqua ignem extinguit*, tak sejm gasi praktyki wszelakie."—Niewiadomy autor wybornego traktatu przyznaje: „że nie wszystkie *pacta conventa* są wypełnione, ale też czas nie jest



w nich naznaczony, kiedy wypełnione być miały." Twierdzi zaś, „że szlachtę chudą od inszych równych sobie i mniejszych, więcej potyka na rok tyrannidis, niż jej Król. Mość za te 18 lat uczynił."

„Rokosz zatem, to jest rzeczypospolitej rozwiązanie jakieś i porządku wszystkiego pomieszenie. Naprawy taki sposób jest barzo niebezpieczny, dlatego też od przodków naszych używany rzadko, tak, iż o jednym tylko własnym czytamy Rokoszu Zygmunta Starego, przed 70-u laty pode Lwowem (1537). Lecz kto się onemu dawnemu, a terażniejszemu przypatrzy rokoszowi, a urazy won wiek pierwszy i terażniejszy, przyznać słusznie musi, nierówno być ten w Rzeczypospolitej niebezpieczniejszy niż on pierwszy. Wiek on był prosty w obyczaje, w dostatki, nie rozróżniała chęć w ludziach i religio, nie popsowane były obyczajów dobrych postępki i dostatki, ani do obcych narodów przejażdżki częste, umysłów górności, rozruchy takież, jakież u nas często narodziły, elekcyjej nie było. Pan był Polak, król z ojca zasiadł, trzydzieści lat już panował w Polsce, gdy do rokoszu przyszło, sposób nawet zaczęcia na on czas rokoszu przeciwko nieprzyjacielowi koronnemu z Panem. Tu wszystko inaczej, ztąd też niebezpieczeństwo musi być większe, a tym większe, iż na on czas o jedno zgodnie powstali wszyscy, różność tylko między senatem a rycerstwem była, tu i senatu część wiąże się do rycerstwa i rycerstwo niezgodne z sobą, a znać część większa rokoszowi przeciwna. Niech jako kto chce cukruje i chwali tego terażniejszego rokoszu złożenie i tak nagłe i gwałtowne wewnętrznego pokoju et status Rzplitej poruszenie, trudno to jednak baczny pochwalić może, bo ani przyczyny do tego tak wielkiej nie baczymy. Prywatne urazy, wielu prywatne inter potentiores z ambicyjej nieprzyjaźń et contentiones pochodzące, res laxiores z jednych, et honoris ambitio, a u drugich inopia, a zatym nowych rzeczy chciwość i snadniejsze poratowanie, w zamieszanie nadzieje. Owo odkryto mówiąc, przyczyną my wszystkiego sami, potrzeba-by Boskiego niż ludzkiego rozumu wiecej, któryby i w serca i w myśli patrząc, umiał o takowy rząd różności wszystkich dogodzić humorum i ukontentować wszystkich. Ale to niepodobna było wszędy i zawždy narzekanie na to. Bo nie wiem jako to rokoszem nazwać, który złożą mimo 144 senatorów, mimo wszystkiego rycerstwa pozwolenia i wiadomości ich, tylko 148, którzy się w Lublinie podpisali, stanowią na nas, bez nas, rzeczy tak wielkie, gdzie libere non emittebantur voces, ale kto ad placitum nie mówił, fuki, huki zachodziły, ubliżenia ludzi zacnych potykały, zaczym jedni odjeżdżać, a drudzy nieprzychodzić musieli. Cóż to takowy za rokosz prze Bóg? gdzież tu wszystkich na jedno zgadza i tak, że to za jednego króla, królów inszych nad sobą mamy wiele? a nie opresyaż to? a zatym civile bellum? Non desunt nobis

ordinaria media, dlatego są sejmy, niechże go nam temu tylko gwoli teraz złożą. I większych rzeczy przodkowie nasi i za nas dopinali już na sejmach. Sejmu tedy potrzebujemy, o sejm prosimy, rokoshu i tak gwałtownego zjazdu ani widzimy być potrzeba, ani my paccati cives pozwalamy.”

Zjazdy rokoshowe starały się usilnie o zniweczenie uroku, jaki majestat królewski zawsze w Polsce wywierał. Ułożono też zręcznie „Rady Kallimachowe“, któremi, naśladując Olbrachta, miał się nibyto Zygmunt III powodować, a podobnego Kallimachowi Machiavella zohydzano, utrzymując, że: „Machiavellum zwykli czytać, co sadzą brata na brata, przyjaciela na przyjaciela.” Namętne porywy Stadnickiego nie zdołały jednak uspić sumienia samych rokoshan. Wśród burzliwych obrad daje się też w samym kole rokoshowem słyszeć niekiedy głos rozważny i spokojny, przypominający, że „urazy wprowadzie są i te mamy leczyć, ale tego się bojemy, aby nam subtelnościami nie spychano Pana — nie mówię znieść Pana, ale corrigere, często impossibilitatem na Pana kładzicie, suspicyami go otaczacie” i t. p., i t. p. Rady duchowne z obowiązku swego przypominały prawo Boskie, osłaniające „Pomazańców Pana“ i wzbraniające wypowiadać im posłuszeństwo. Co jednak najważniejsza, to że w dobie, „gdy się ten straszliwy grzmot uczynił w Rzeczypospolitej“, czyli, gdy się zorganizował Rokosh Zebłydzowski, znaczna część rycerstwa nie dała się skusić hazardownym teoryom Stadnickiego i, wbrew wszelkim tentacyom, oświadczyła wprost rokoshanom: „jeśli ganicie, że Machiavellus uczy — jeden rozumnie panował, nie wiem jeśli będziecie chwalić, kędy ślachta przeciw królowi, a chłopci przeciwko ślachcie powstają i wybiwszy ślachtę, sami chłopci jako w Hollandyi będą.”

Zygmunt III używał zrazu negocyacyi dla uśmierzenia niepokojów i przypominał rokoshanom, że: „nadzieją karmiąc, miłą każdemu chęcią wolności uwodząc, pożądlivej poprawy nawet, władze hetmańskie i wojenne przywłaszczywszy sobie, trybunalskim sądom, któremi się sprawiedliwość i pokój pospolity twierdzi, suspendować rozkazawszy, subselia nowe sądów niezwyeczajnych postanowili et temerariis egzekwowali decretis.” Rokoshanom też zarzucał monarcha: „że nie tak kochane wolności w sercu, jako concepta odia się szerzyły, nie prawa, wolności, ale żądza rządzenia, nie rozum ale afekt, oczy, usta, serce rządziły. To też nie bacząc, że sami znieważywszy swobody, nawiedli przeciwko Panu dział; przeciwko swobodom cudzoziemców, przeciwko wolnościom wojsk, przeciwko Panu nieposłuszeństwa, przeciw zwierzchności swywoi. Gdy zaś rokoshanie umyślnie królowi drogę zajechali, bitwę dali i niezbożnie na niego rękę podnieśli i do takowego, którego się zawsze strzegł krwie rozlanie, uporem i natarciem swym go przy-

wiedli i teraz się znowu do gromady zbierają i nowe w Rzeczypospolitej mieszaniny i sedycyje, porozumiewając się z obcemi Pany, zniecają” — uważał Zygmunt III za stosowne winnym zagrozić dekretem, odsądającym od dóbr dziedzicznych i odsyłającym ich do sądu sejmowego.

Chcąc wyobrazić całą Rzeczpospolitą i zagarnąć ster rządów, musiał Rokosz przyjąć z konieczności pewną formę obrad. Konfederacye generalne w czasach bezkrólewia były dlań w tym wypadku najdogodniejszym wzorem. Województwa wzywano też na zjazdy rokoszowe albo pospolitem ruszeniem, albo, gdyby to było zbyt uciążliwym, proszono o przysłanie deputatów. Dla umożliwienia obrad, delegowano z pośród pospolitego ruszenia także deputatów do koła, ale nie bardzo było dla nich bezpiecznem brać jakąś uchwałę „do większej gromady“, bo rokoszanie mieli nieprzewyciężony wstręt do neutralistów i ostrzegali, że takowych w Atenach ścinano. Obradom deputatów asystowały województwa w pewnem oddaleniu, biorąc jednak niekiedy bezpośredni udział w naradach. Sądy rokoszowe, zastępujące trybunały, nie wzbudzały w szlachcie żadnej ufności i oświadczano też otwarcie: „przyjadę na rokosz, jedno niechże mam takowe sędzie, coby rozsądni byli, a nie coby sablami koło szyi szeptali.” Zresztą koło rokoszowe zagarniało wszelkie prawa, bądź to królewskie, bądź sejmowe, i nie miało najmniejszego względu na panujący w Rzeczypospolitej ustrój. Organizacyi jednak dobrej i sprężystej nie wytworzyło, o czem zresztą sami rokoszanie byli przeświadczeni, narzekając: jest-ci kim, ale rządów nie dostaje.

Ponieważ Rokosz czuł się słabym, a wiedział, że od energii i śmiałości zależy osiągnięcie zamierzonych przezeń celów i zadań, przeto starał się sterroryzować spokojniejsze i rozważniejsze rycerstwo, za pośrednictwem wprowadzenia, jak słusznie Żółkiewski zauważył: „iście nalewajkowskich zwyczajów.“ Sędziwy hetman, czerpiący naukę z arystotelowskich źródeł, nie omieszkał też nawet w testamencie zalecać synowi: „z temi się nigdy nie łącz, jeśli by kto chciał do odmiany rzeczy przywozić i owszem, przy Panu, królu swym, wedle możności się zastawiaj. Takowe odmiany Panów, daleko nie chodząc, węgierską ziemię i wołoską do zniszczenia i do upadku przywołdły i u nas najciężej by to raz począć, nie byłoby temu końca, jeno upadkiem Rzplitej. Pomnąc na to, że wszelka zwierzchność od Pana Boga, choćby też i nie dostatki, jakie w Panu, lepiej jest do jedności, niżli na odmianę, która jest szkodliwa i bardzo niebezpieczne rzeczy przywoździ. I królowie mają nad sobą większego króla, który ich będzie sądził, jeśli się co od nich perperum, ku krzywdzie ludzi im od Pana Boga powierzonych dzieje.”

Statysci antyrokoszowi z r. 1606 pojmovali już wybornie różnicę, jaka zachodzi między zjazdem z r. 1537, a rokoszem Zebrzydowskiego; Lengnich zaś, przyjmąwszy raz za zasadę, że rokosz jest wystąpieniem całego rycerstwa przeciw królowi wraz z senatem, nie mógł się następnie w dziejach Polski typowego rokoszu dopatrzeć, albowiem zarówno w r. 1606, jak i późniejszymi czasy, tylko część rycerstwa, w połączeniu z niewielką liczbą senatorów, występowała przeciw królowi. Rokosze jednak, w szeregu różnych konfederacyi i sprzysiężeń, odróżnia ta właściwość, że pewna część rycerstwa z kilkoma senatorami pragnęła sprzymierzeniu swemu nadać majestat Rzplitej, w tym celu, aby króla wraz z dygnitarzami do odpowiedzialności za niedotrzymanie pactów conventów i ukrzywdzenie wolności pociągnąć. Nie chodziło tu o liczbę rycerstwa, tylko o cel spisku i ten nadawał odrębny charakter rokoszowi, czyniąc zeń konfederacyę przeciw królowi, kiedy inne, choćby pozornie, stały przy królu lub zawiązywały się w czasie bezkrólewia.

Nasladując stan rycerski, przyuczyło się i wojsko zawiązywać konfederacyę, gdy skarb pusty nie był w możności wypłacenia im wysłużonego żołdu. Marszałkowie, wybrani przez związkowych, usuwali wojsko od władzy hetmanów i przedstawiali monarsze artykułowane prośby, wśród których znajdowała się dość często nagana, mniej lub więcej wyraźna, dla jego rządów. Za Jana Kazimierza, związek wojskowy, któremu marszałkował Świderski, wyrzucał między innymi monarsze, że dobra Tykocińskie konferował Czarnieckiemu. „Nie czyniło tego wojsko z ządności, albo żeby nie uznawało zasług Czarnieckiego, ale że dobra Rzplitej żołnierskie w dziedziczne obrócono i co mogło siłą ukontentować, jednemu się dostało, a zatem obawia się wojsko związkowe, aby temi łagicyami dobra ojczyzny i chleb żołnierski nie wyskrzył się.“

O konfederacyi lwowskiej z r. 1622 znajduje się w broszurze pod tymże samym tytułem wzmianka: „że jest ludzi niektórych z wojny tureckiej pozostałych kupa, złą przysięgą związanych i na złą rzecz. Ci ludzie, choćby im zapłacono, chcą jednak w konfederacyi sejmu czekać, aby Rzeczpospolitą naprawili.“ Sprzysiężenia jednak nie zwykły były czekać na zaspokojenie swych potrzeb i na zapłatę należnego żołdu, lecz, przywłaszczwszy sobie prawo królewskie i Rzeczypospolitej, wszystkie intraty, tak z królewskich jako i duchownych dóbr pochodzące, czy to ekonomie, czy starostwa, jako też biskupów, opatów, kapituł i całego duchowieństwa dobra opanowawszy, żupy solne wielkie, bocheńskie, samborskie, jako cła wodne i portowe inwenkty, ewekty, monopolie, akcyzy, wszystkie Rzplitej rzeczy i królewskie procenta zagarnęli, nie dlatego, żeby rozszarpać mieli, lecz żeby w jedną

masę komputowane, prędszą żołdu mogli odebrać exolucyę i rekompensę za niesłuszne rozszafowanie w skarbie żołnierskich pieniędzy.

Bywały wypadki, że żołnierze po siedm lat czekać musieli na wysłużony żoład i że w nieszczęśliwych czasach, za panowania Jana Kazimierza, wymagano od nich niekiedy za wiele poświęceń. Być bardzo może, że Kochowski miał racyę, wyrzucając, że: „żadnej nacyi nie masz na świecie tak niemiłosiernej na żołnierza, jak Polska. Piechoty z głodu umierają, bosą nogą, jak drwa od mrozu padają, niema względu i komizeracyi onych przyodziać, odziać, kawalkiem chleba posilić i t. d., i t. d.” Z tem wszystkiem, jednak rokosze wojskowe były najgroźniejsze ze wszystkich i, sprowadzając na kraj nieobliczone klęski materyalne, demoralizowały wojsko, które powinno było świecić przykładem karności i poświęcenia. Związki wojskowe uważały się za potencyę lekceważącą króla i sejmy, a odbierającą drogą samopomocy swoje należności. Volumina legum zabraniają dość często „nietylko konfederacyjey żadnych i buntów czynić, ale ani kół, ani schadzek żadnych, krom kiedy za rozkazaniem hetmańskim, do namów i usłużenia J. Król. Mości i Rzeczypospolitej będą wezwani y dla przełożenia potrzeb swych albo nie doszcia zapłaty. Gdy zaś na potym do takowych (przez hetmanów niedozwólonych) i tym podobnych związków, buntów, spisków i konfederacyjey, quocunque praetextu uczynionych, ktokolwiek przystępować ważył, albo ich fovere, protegere i z nimi correspondere śmiał, takowemu żadna amnistya na potym nie będzie dana, a dana pro vana et nulla censebitur. Owszem, królowi przeciwko takowym gwałtownikom praw i pokoju pospolitego, wszystkiemi swemi i Rzplitej siłami, gdyby tego potrzeba była i pospolitym ruszeniem powstaną, et nullo clementiae loco relicto, takowych na zdrowiach, honorach, substancyach karać będą.”

Częste powtarzanie konstytucyi przeciwko konfederacyom wojskowym (1609, 1623, 1624, 1662) przekonywa dostatecznie o ich bezskuteczności. Uwzględniwszy też okoliczności, towarzyszące rokoszom wojskowym, przyjść należy do przekonania, że królowi wraz z sejmem nie pozostawało nic innego, jak ugoda z kołem wojskowym, i przy pomocy owej ugody, odtargowanie czegoś z uroszczonych pretensyi, lub potrącenie tego, co z sekwestru majątku Rzplitej samowolnie pobranem zostało. Rokosze wojskowe bowiem zawiązywały się w dobie uciążliwych i nieszczęśliwych wojen. Związkowi reprezentowali zazwyczaj poważną siłę wyćwiczzonego żołnierza, który niekiedy, mimo swych pretensyi i związku, dawał się namówić do nowej wyprawy przeciw nieprzyjacielowi. Poskromienie więc takiej potencyi za pomocą pospolitego ruszenia można było zaliczyć do przedsięwzięć bardzo ryzykownych. Jak groźnemi zaś dla kraju były owe „święczone związki“, naj-

lepszy dowód stanowi ten fakt, że one utorowały na czas krótki drogę podatкови pogłównemu, którego postrach turecki na szlachcie wymódził nie zdołał. W jaki sposób rokosze wojskowe prowadziły obrady, jak rozsiekiwały lub rozstrzeliwały podejrzanych sobie rotmistrzów i hetmanów, na to znajdują się najwymowniejsze świadectwa w pamiętnikach Kochowskiego i Paska. Nawet tak wybujałej fantazyi żołnierzowi, jakim był J. Chryzostom Pasek, wydał się srogi związek Świderskiego środkiem wątpliwej legalności, a że wojsko doszczętnie pustoszyło królewszczyznę i dobra duchowne, to wszystkie źródła współczesne stwierdzają zgodnie.

Przynajmniej konfederacye wojskowe, uzurpując sobie prawa królewskie i zagarniając skrupulatnie prowenty kraju, nie przystrajały się w majestat Rzeczypospolitej. Oświadczały one swe wierne służby królowi, dopominając się jedynie o wypłacenie im należnego żołdu. Naprawianie Rzeczypospolitej małą u nich odegrywało rolę i rokosze wojskowe zachowały swój ściśle militarny charakter. W rządzie konfederacyi, jakie wypełniały karty historii polskiej w XVI, XVII i XVIII wiekach, dostrzegać się daje wyraźnie stopniowanie, odbijające się także na ich doniosłości prawnopństwowej. Nasamprzód, konfederacye generalne, podczas bezkrólewia, obejmowały poza szlachtą i insze stany uprzywilejowane (miasta królewskie), oraz dobiły się w prawie państwowem znaczenia instytucyi normalnej, działającej w ściśle określonej dobie życia państwowego. Konfederacye, za życia króla i przy królu związane, zawarły się wyłącznie w stanie szlacheckim, nie obejmując go jednak w całości. Monarchowie nie uciekali się nigdy do powyższego środka, jakkolwiek zmuszeni byli przyjmować go i ponosić gorzkie nieraz owoce jego działań. Konstytucye usiłowały wprowadzić zakazać zawiązywania podobnych konfederacyi, ale okazywały się bezsilnemi wobec dawnych nawyknień, podtrzymywanych gorliwie przez ościenne mocarstwa, których interesom się owe konfederacye często nieświadomie wysługiwały.

Konfederacye wreszcie przeciw królowi, t. j. pociągające go do odpowiedzialności i grożące mu degradowaniem, zarówno jak i związki wojskowe—ponieważ obejmowały małą część rycerstwa, a ośmielały się utożsamiać z Rzplitą lub uzurpować sobie prawa królewskie, nie zdołały pozyskać nawet skromnych znamion legalności i napiętnowane zostały nazwą spisku, buntu, sprawiającego zamieszanie w kraju i nalewajkowski obyczaje. Dodać jeszcze należy, że konfederacye, w razie bezkrólewia i za życia króla przy nim zawiązywane, przetrwały aż do sejmu czteroletniego, który dopiero rozstał się z owym nadzwyczajnym organem prawodawczym, uznając jego przestarzałość.

## Konfederacje płynęły z natury konstytucji polskiej.

Z poprzednich rozdziałów przekonać się było można, że konstytucya Rzeczypospolitej polskiej z wieków XVI, XVII i XVIII-go powstawała zwolna i urobiła się, równie jak i na zachodzie Europy, pod wpływem i działaniem konfederacji z XIV i XV-go stulecia. W związkach owej wczesnej doby historycznej tkwiło już poczucie zasady, że sprawami, obchodzącemi wszystkich, wszyscy zajmować się powinni, i że dobro oraz spokój publiczny stanowią nieodzowną troskę każdego obywatela. Z tej zasady zaś wypłynęła inna, często powtarzana w XVII w.: „nie na nas, bez nas“, która odmiennemi tylko słowy wyraziła myśl zasadniczą pierwotnych sprzysiężeń. Konfederacje jednak XIV i XV-go wieku mogły pragnienie bezpośredniego udziału wszystkich w sprawach publicznych urzeczywistnić zaledwie w ciasnych granicach województwa lub ziemi. Nawet w tak szczupłym terytoryalnym obszarze, organizacya sprzysiężeń nie wytrzymywała ognia próbnego na czas dłuższy. Tem mniej więc oczekiwac było można, ażeby zasada: „nie na nas, bez nas“ w obszernem państwie ściśle urzeczywistnioną być mogła.

System reprezentacyjny okazał się zatem nieuniknionym, ale, tak samo jak na zachodzie Europy, pozostał nawskróś przesiąkniętym żywiołami federacyjnymi, które dla organów reprezentacyjnych przechowywały nieufność, a nadzieje wszystkie pokładały w ziemiach, powiatach i województwach, gdzie wszyscy uprzywilejowani mogli brać bezpośredni udział w naradach. Duch federacyjny nie obumarł bynajmniej w ustroju państwowym polskim z XVI-go wieku. Pominąwszy bowiem tradycję kapturów, która się żywo przechowała w pamięci stanu szlacheckiego, przypomnieć należy, że instrukcye poselskie, darzące reprezentantów wojewódzkich ograniczoną władzą i nakazujące uchwały odnosić do braci, nadawały sejmom walnym charakter federacyi ziem i województw. Tym sposobem wszystko, co sejm uchwalił, stawało się ważnem dopiero wtedy, gdy się na to województwa zgodziły, bądź uprzednio, bądź następnie, a ponieważ w sejmikach wojewódzkich brała udział prawie cała szlachta, przeto urzeczywistniła się pośrednio w wielkiem państwie zasada: „nie na nas, bez nas.“ Żaden też podatek z majątku lub krwi nie mógł być nałożonym lub powiększonym z pominięciem tej wszechwładnej zasady. Wszystko, czego tylko Rzeczpospolita śmiała się domagać od swych obywateli, musiało się odbywać w imię zgody wszystkich, tak samo jak i na zachodzie Europy.

Odrębność województw, uważających się nasamprzód za samodzielny całość, a nie za część całości, podkopywała nieustannie powagę organów reprezentacyjnych, nie pozwalając utwalić się zasadzie, nakazującej mniejszości uległość i posłuszeństwo dla większości. W takim położeniu rzeczy, gdy zabrakło tronu monarszego, który się mógł uważać prawie za dziedziczny, i gdy zabrakło tej silnej spójni, jednoczącej wszystkie ziemie, uosabiającej majestat Rzeczypospolitej i nakazującej powagą swą uległość sejmowym mniejszościom, powrócono do związków federacyjnych, pod których wpływem wytworzyła się konstytucya stanowa i jakie tkwiły, mniej lub więcej utajone, w jej naturze. Sejm walny uważał się bez króla za organizm bez głowy, bezkrólewie groziło państwu chaosem niepojętym i rozpadnięciem się na atomy; pozostawało jedynie, jako środek zapobiegający gwałtownym niebezpieczeństwom, sprzymierzenie się wszystkich, czyli konfederacye różnych odcieni, z których najlegalniejsza i nienuklniona, bo prowadząca do obioru nowego króla, wydała się Opalińskiemu „piekłem czy chaosem jakimś.“

Konfederacye nietylko przeistoczyły istotę dawnych zjazdów urzędniczych, oraz przyczyniły się do wyrobienia systemu reprezentacyjnego, ale stały się zarazem konsekwentnem uzupełnieniem reprezentacyi stanowej i należy je uważać za nieuniknionej jej wypływ. Przypomnieć też wypada, że konfederacye XIV i XV-go wieku, podobnie jak i na zachodzie Europy, przyczyniły się w Polsce do utrwalenia przywilejów i rozwinięcia odrębności pojedynczych stanów. Bratnie związki tychże stanów (*fraterna unio*) między sobą, w celu zabezpieczenia pozyskanych swobód i spokoju publicznego, dążyły przeważnie do ograniczenia władzy monarszej. Od samego więc początku istnienia, organa reprezentacyjne nosiły podwójne federacyjne piętno, t. j. czyniły wrażenie sprzymierzenia się ziem i sprzymierzenia się stanów. Te same objawy stworzyły długotrwałą zapórę rozwojowi instytucji reprezentacyjnych na zachodzie Europy i, powołując się na nie, nie dozwalał żaden stan ograniczać swych przywilejów, ani monarsze, ani reprezentacyi stanowej, a w razie odkrytych zamiarów, uciekał się do konfederacyi, jako do środka, który stanowił „*sacram anchoram*“ porządku stanowego.

Pozostaje jednak wątpliwość dla niektórych badaczów: czy istotnie konstytucya dawnej Rzeczypospolitej polskiej, począwszy od XVI-go, a skończywszy na XVIII wieku, była stanową, w tem znaczeniu państwowo-prawnem, jak na zachodzie Europy? i czy sejmy polskie można nazwać reprezentacyą stanową, gdy powszechnie wiadomo, że tylko jeden stan był na sejmach reprezentowanym, a tym stanem było rycerstwo. Wątpliwości powyżej wyrażonej nadaje pewną siłę



przekonania i ten wzgląd, że jeżeli ograniczymy porównanie do formy prawno-państwowego ustroju, wtedy istotnie nie znajdziemy na kontynencie europejskim żadnej konstytucyi, nie wyłączając nawet węgierskiej, która-by była podobną do dawnej polskiej. Dlatego też w części pierwszej powyższego studyum starałem się wykazać: że gdyby definicya konstytucyi, oraz reprezentacyi stanowej, miała uwzględniać jedynie różnolitość form państwowo prawnych, to stworzyła-by tyle gatunków teźże konstytucyi, ile tylko było ziem i powiatów, posiadających odrębną reprezentację stanową. Nietylko bowiem, że każda konstytucya stanowa w całym państwie posiadała bogatą i oryginalną ornamentykę prawną, którejbyśmy daremnie szukali choćby w sąsiednim kraju, ale w temże samem państwie stany prowincjonalne jednej ziemi posługiwały się zwyczajami, odrębnymi od używanych w sąsiadującej prowincyi.

Pojęcie zatem konstytucyi oraz reprezentacyi stanowej na zachodzie Europy powstało niezależnie od wybijającej różnolitości form prawa państwowego. Urobilo się ono na podstawie tożsamości rozwoju społecznego, która w odmienne formy wlała tę samą treść prawa państwowego. Pod wpływem i oddziaływaniem konfederacyi, wyrobila się też w Polsce, zarówno jak i na zachodzie Europy, konstytucya oraz reprezentacya stanowa. Powstały także za czasów Jagiellońskich trzy rzeczypospolite, czyli stany w zachodnio-europejskiem znaczeniu, a każdy z tych stanów wspierał się na specjalnej twierdzy przywilejów, które, czy to własność dominialną, czy municypium królewskie, przeistaczały w państewko, szczyzące się własnymi poddanymi. Należy bowiem przypomnieć, że miasta królewskie, posiadające dobra ziemskie „in commune“, a zdaje się, że tym tytułem posiadały je wszystkie, miały swych poddanych, zarówno jak duchowieństwo i szlachta.

Konstytucya dawna w Polsce zdobyła najkardynalniejsze podwaliny stanowości, wraz z odosobnieniem się możnowładztwa patrymonialnego od duchowieństwa i miast wolnych i wraz z pozyskaniem przez te trzy stany rozległego samorządu. Rozwój samej reprezentacyi jest już mniejszego znaczenia, chociaż i w tym kierunku najważniejsze znamiona są niezaprzeczenie wspólne z zachodem Europy. Zwyczaje, powołujące organa reprezentacyjne do bytu, wytwarzały się w Polsce tak samo, jak i gdzieindziej, powoli, i tak samo nie pozbyły się ani chwiejności, ani nie nabrały z biegiem czasu jednolitości. Dość tylko przypomnieć, że Prusy królewskie zachowały do ostatniej doby dużo właściwości w swej konstytucyi prowincjonalnej, a w kwestyach drugorzędnych, prawie każdy sejmik uważał za możliwe uzupełniać zwyczaj, który bardzo często przeświecał brakami i niedostatkami. Zwy-

czaj, urabiający szczegóły konstytucyi oraz reprezentacyi stanowej, rozwijał się z początku w Polsce dość powoli i męźniał dopiero z końcem XVI wieku, gdy życie państwowe wywoływało nieustannie kwestye palące na porządek dzienny. Władza sejmów i sejmików, organizacya elekcyi, rozwijały się niejako w oczach w coraz to ścisłej określone organa Rzeczypospolitej, a nawet niedogodne chwile obozowania pod Pskowem przyczyniły się do dokładniejszego odgraniczenia atrybucyi hetmańskich od marszałka W. Koronnego.

Zwyczaj prawno-państwowy nie rozwijał się także w Polsce jednostajnie, ale dostrzegać się dawało ciągle wahanie i zwroty w kierunkach wprost przeciwnych. Gdy w chwilach nagłego niebezpieczeństwa ofiarność i poświęcenie dawały większą siłę organom reprezentującym całość nad częściami, w dobie spokoju egoizm partykularny i stanowy starały się wydrzeć przejściowe ustępstwa i powrócić do dawnej przewagi. Konstytucya państwowa w Polsce przyswoiła sobie także wiele pojęć z prawa prywatnego i skutkiem tego skłonną była do przeistoczenia praw, swobód, oraz dobra publicznego, w prywatne. Co się zaś tycze reprezentacyi stanowej w Polsce, to, mimo wszelkiej odrębności form prawnych, przedstawia ona niezaprzeczone podobieństwo z zachodnio-europejskimi instytucjami. Zgodnie z tem, co można było spotkać gdzieindziej, każdy stan w Polsce zyskał taki zakres przywilejów i tak obszerny udział w reprezentacyi wojewódzkiej i krajowej, jaką posiadał siłę społeczną. W XVI stuleciu zdobyły sobie w Polsce moc sejmowania i sejmikowania trzy stany, a ponieważ potęgę socyalną posiadały różną, przeto stopień udziału w reprezentacyi musiał być odmienny. Jakkolwiek jednak od początku XVI-go wieku duchowieństwo z rycerstwem otrzymało w porównaniu z miastami królewskimi przeważne stanowisko, nie mogło słabszemu odebrać, ani ograniczyć jego przywilejów i każdy z monarchów musiał zaprzysięgać nie tylko szlachcie i duchowieństwu, ale i miastom królewskim dawne swobody.

Wszędzie też dostrzegany objaw wypierania słabego stanu przez mocniejsze, a przynajmniej ograniczania jego udziału w reprezentacyi, pojawił się również i w Polsce. Miasta królewskie, zasiadające na sejmach ordynaryjnych, po śmierci Zygmunta Augusta, widząc bierną rolę, jaka im przypadła w udziale, zaniechały swego przywileju, ale pamiętały o przysługującym prawie i w najważniejszych aktach obioru króla (konwokacya i elekcyja) brały udział, składały suffragia i wykonywały sądy kapturowe, a to głównie dlatego, aby elekta skłonić do zaprzysiężenia im przywilejów i zarazem, aby przypomnieć stanom innym, podczas uroczystego ceremoniału, towarzyszącego koronacyom, że są zawsze ich współbraćmi. Przewaga stanu rycerskiego nad duchow-

wnym i mieszczańskim, jaka się w Polsce XVII i XVIII-go wieku nadmiernie rozwinęła, nie jest w możności nadania konstytucyi republikańskiej innego charakteru, jak ten, który się objawił na zachodzie Europy. Nie może tego tem mniej dokonać różnica w formie ustroju reprezentacyi, jak np. w ilości kuryi, w wotowaniu wirylnem, i t. p., albowiem najkardynalniejsze pojęcia władzy monarchicznej, sejmowania i sejmikowania, a nadewszystko tenże sam ustrój społeczny, utrwalony typowym samorządem stanowym, przemawiają za podobieństwem i wspólnością zasad prawno-państwowych z zachodem Europy.

Historya konstytucyjna dawnej Rzeczypospolitej polskiej może się poszczycić także niejednym objawem, nie licującym z egoizmem i prywatą stanową, a wota sejmujących, zarówno jak i prace statystów, pragnęły niejednokrotnie, aby konstytucye na sejmach stawały, jak dekreta trybunałów, większością głosów, ażeby posłowie reprezentowali Rzplitą a nie województwa, instrukcye zaś były życzeniami a nie nakazami, aby do obrony Rzeczypospolitej przykładaly się wszystkie majątki ziemskie; jednym słowem, aby był stały skarb, stałe wojsko, a równość prawna, tak wysoko pod względem etycznym posuniętą, że mocniejszy pociągany miał być do surowszej odpowiedzialności za swe czyny, niż słabszy. Pomimo jednak, że zawsze występowała na widownię spora ilość wyższych umysłów, które, składając Rzeczypospolitej dojrzałą radę, winszowały zarazem: „aby się nieustannie w starości swojej tak odnowiła, jak się stary orzeł odmładza“, odmładzanie owo było zazwyczaj chwilowem uniesieniem, a nie usunięciem trwałem wadliwych instytucyi. W dobie też, kiedy na zachodzie Europy oświecony monarchizm zwalczał coraz potężniej gmach stanowych przywilejów i na jego miejsce przygotowywał nowy porządek, wszczepiający poczucie dobra państwowego we wszystkie warstwy społeczne, w Polsce, powtarzając słowa Opalińskiego: „My opak, bo privatam libertatem lubiem — O publicam nie dbamy, ztąd też prawa nasze — Pod naszą własną władzą, a nie my pod onych — Które żeśmy już dawno z tej egzekucyey — Obnażyli y rządu y prawa nie mamy.“ Cały organizm Rzeczypospolitej zdawał się wysilać i wyczerpywać na rozwój wybujałych swobód indywidualnych, a w dodatku, dobrym chęciom monarchizmu elekcyjnego stanęły na przeszkodzie interesa mocarstw ościennych, które wszystkie błędy stanowej organizacyi, całe niedołęstwo owej lichej maszyny, której wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zatrzymać zdoła, osłoniły gwarancyą międzynarodową.

Zachodzi pytanie: czy statysci polscy XVIII-go wieku pojowali, jak np. De Lolme we Francyi, różnice, zachodzące między konstytucyą polską a organizmem politycznym Anglii, i czy nie ludzili się

pozorami, mniemając, że ich porządek państwowy nie wyrodził się bynajmniej, lecz może być porównany z najdoskonalszym wzorem, za jaki uchodziła wówczas konstytucja brytańska. Z traktatu Olizara Wołczkiewicza dowiadujemy się, że rząd angielski, „tak wychwalony y wielbiony od najślawniejszych polityków, jako y od wszystkich światłych pisarzów wieku XVIII-go, był także osobliwie od polityków w naszej Rzplitej za model najzupełniejszego wzoru, do przyjęcia nam w tyłu pismach uprzemie i patryjotycznie zalecany y najgorliwiej radzony, co do sposobu przyjęcia na sposób angielski dziedzictwa tronu, jako w Rzplitej najzbawienniejszego.“ Chociaż istnieje wiarogodne świadectwo, stwierdzające wielość pism polskich, polecających konstytucję angielską swemu krajowi do uwzględnienia, z powodu, że broszury z tej epoki są rozproszone i trudne do odszukania, porzestać muszę jedynie na przejrzeniu kilku z nich. Pierwsze miejsce należy się niewątpliwie Konarskiemu, który w swym monumentalnym traktacie, p. t.: „O skutecznym rad sposobie, albo o utrzymaniu ordynaryjnych sejmów“, przytaczał niejednokrotnie swemu społeczeństwu za wzór instytucje i zasady reprezentacji angielskiej. Konarski utrzymywał, że: „w Anglii, Szwecyi y u nas, stany zgromadzone na sejmie, mają moc w sobie całych Rzeczypospolitych y absolutnie decydują, bo nasze prowincye nie przywłaszczyły sobie, każda osobno, supremum dominium, ale poddane są panowaniu całej, zgromadzonej w Królu, w senacie y posłach, Rzeczypospolitej.“ Porównanie powyższe nie sprowadzało jednak Konarskiego na manowce i pozwalało mu wszędzie dostrzegać kapitalne różnice. „Prócz reprezentacji, zdaniem jego, najwyższej w każdym państwie, zawsze bezprzestannie potrzebnej, prócz Rady, rezolucyi y decyzji w rzeczach między seymem a seymem przychodzących, ile które do sejmu odwlec-by się nie mogły, równie potrzebnej, jeszcze potrzebna jest taka władza w Rzplitej, która-by prawa i rzeczy ustanowione na sejmach przez powinność swoją utrzymywała, przypilnowała, doglądała y do exekucyi skutecznie przyprowadzała między seymem a seymem, aby na następujących seymach stany Rzplitej mogły być informowane: czy przeszłych i ostatniego seymu ustawy wykonane są, lub daczego niewykonane. Ta najpierwsza straż i władza egzekucyi między seymem a seymem należy w Anglii do króla cum ministerio, a w Szwecyi do senatu.“ Gdy zaś idzie o przekonanie zaslepionych, że jednomyślność na sejmach stała się chimera nawet w Holandyi, oraz że większość wotów przyniosła wszędzie błogie owoce, wtedy dla Konarskiego Anglia była najświetniejszym wzorem i jej dziejami przekonywał, że nigdy król większości przekupić nie zdołał. Za to Olizara Wołczkiewicza nie potrafił w zupełności olśnić geniusz konstytucji angielskiej, choć przyznawał

w końcu swego traktatu, że zapewnia krajowi „rząd umiarkowany.“ Jakkolwiek Fryderyk II pruski w „mężney szczerości“ utrzymywał, że „chyba Szwaycary, dla położenia tylko swego, dłużej w systemie europejskim rzetelną wolność, t. j. rzeczpospolitą zachować będą mogły“, a słowa tego „pismami w Europie chcącego gurować puł Bożka“, robiły na Olizarze pewne wrażenie, to jednak nie przestał utrzymywać, że: „co bezpiecznem jest w Anglii, nie było to w Holandyi, nie będzie tym bardziej w Polsce i śmieszna przy tych stosunkach stawiać nam Anglią za model: iż tronu dziedzicznego uzurpacya nie znajdzie tak jak w Anglii z wezwania sił obcych (y u nas pomocy). Lepiej-by zatem poprawić elekcyę królów według rad wielkiego Russa, Wielhorskiego, Rzewuskiego. Nie dla tronu obieralnego była Polska strząsiona, lecz dla nierządu, niemocy wewnętrznej, nieoświecenia, prywaty, niedostatecznych praw y sposobów co do elekcyjnej.“

Trzeci traktat, przypisywany Łobarzewskiemu, zawiera dla badaczów literatury politycznej prawdziwą niespodziankę. Z tytułu bowiem pracy można było wnosić, iż autor podtrzyma i usprawiedliwi zdanie, że: zaszczyt wolności polskiej wyrównywa w pełni angielskiemu; tymczasem wykazane zostały różnice z tak wyborną znajomością prawodawstwa angielskiego, że śmiało traktat Łobarzewskiego można stawić na równi z dziełem De Lolme'a. Przedstawiwszy wielką władzę egzekucyjną monarszą i przekonawszy, że, mimo tytułu atrybucyi Korony, „Angielczykowie tak są wolni, jak powietrze pod niebem,“ Łobarzewski pisze następujące słowa: „Prawda, iż zapatrzywszy się na wielkie prerogatywy Króla angielskiego, wojskiem, prawem i skarbem władającego, zadrzeć musi natura przemocy się bojąca, przeto roztropna ustawa rządu angielskiego jedną sprężyną zagroziła Królowi swemu stania się uciążliwym narodowi, a ta sprężyna którą sam naród włada, nie insza jest jak podatek, którego ustanowienie izba mniejsza sobie rezerwowała. Każda władza nic nie znaczy bez skarbu, dlatego naród angielski w ten czas Królowi swojemu ofiaruje subsidia, gdy tego widzi potrzebę, a odmawia mu, gdy Król bądź dla passyi swojej, lub ambicyi, a nie dla dobra powszechnego, onych użyć zamysła.“

Łobarzewski rozumie korzyści, płynące z odpowiedzialności ministrów, ale pragnie silnej i dziedzicznej władzy monarszej, bo mieć Króla wcale bez mocy jest zostawić rząd bez głowy, jest wprowadzić zamieszanie w radach, chęć ustawicznej rządu poprawy i tyle przypuszczać członków do rządu, ile pierwszych się znajduje panów w kraju, a znowu dziedzictwo tronu jest ustawą z swej natury najroztropniejszą, a osobliwie w tym czasie, gdy naród polski otoczony mocnymi sąsiada-

mi. Żeby zaś na obradach publicznych nie było niechęci jednej ziemi do drugiej, a stąd wynikający punkt honoru, że jedna ziemia sady się nad drugą, każdy z reprezentantów obranych nie reprezentuje w izbie poselskiej miasto, dystrykt, lub prowincję, lecz cały naród. Nie dość zaś, że każdy poseł reprezentuje członek wielowładnej ndzielności, ale pluralitas formuje ciało. A jako chory zdaje się zupełnie na doktora, klient na patrona, tak i lud oddaje ufność tym, którzy z talentów znani, posiadają znajomość obrotów politycznych. Tam, gdzie prawa aż nadto ubezpieczają wolność dla każdego, wypływa opressya dla wszystkich. Wolność narodu angielskiego na tem się zasadza, aby czynić to, co prawa nakazują, a nie czynić, co mu się sprzeciwia. Konfederacya dała wprawdzie jestestwo tej sławnej angielskiej konstytucyi, nazwanej „la grande charte“, jako fundament wolności, taż konfederacya wymogła od różnych następców tronu potwierdzenia teyże samej konstytucyi i zjednała tron familii Brunświckiej — ale w Anglii rzeczy widocznie (jawnie) bywają robione. Dlatego jest szkodliwa i będzie w każdej rzeczypospolitej konfederacya, w której wolność duku nie jest prawem ubezpieczona i lękać się trzeba w każdej rzplitej sekretnych związków, bardziej na uciemżenie jednej partyi przeciwko drugiej służących a nie dla dobra powszechnego. Anglia ma więc w tem wielki awantaż, którego choć przy wielkiej usilności rzadko inne wolne rzeczypospolite dostąpić mogły, to jest, że reformować może rząd swój peryodycznie. Środek zaś, któren parlament angielski wynalazł, jest tym pewniejszy, że nie prosto zmierza do swego celu. Nie będzie się często oponował parlament directe przeciwko uzurpowaney powadze Króla, nie będzie ją attakował w ten czas, kiedy ją egzekwuje, nie zmierza nigdy, iżby obalić zupełnie moc egzekwującą, bo wie, że naród wolny bez niej obejść się nie może, lecz usiłuje, ażeby osłabić tylko sprężyny, a przez to nie irytując tron posiadających i partyzantów onego, nie staje się okazją domowego zakłócenia. Wszystkie też potrzebne do dobrego naprawienia rządu okoliczności układają się z nowym Królem, któren nie mając żadnej do czynności influencyi, w czasie gdy antecessor panuje, nie zna też uporeczywości lub urazy przeciw nikomu własnej. Delikatność zaś takowa postępowania narodu z Królem prowadzi za sobą ufność, która pobudza Króla do natężenia wszystkich sił swoich, aby ludowi uszczęśliwienie, a panowaniu swemu chwałę przyniósł, a naród przymusza do wdzięczności Królowi.

Przytoczyłem tylko donioślejsze poglądy Łobarzewskiego, wszakże dodać winienem, że praca jego zawiera prawdziwe bogactwo obserwacyi cennych dla nauk politycznych. Pozwolę też sobie jedynie, w uzupełnieniu wytkniętych przez rozumnego statystę XVIII-go wieku

różnie, zauważyć: że ustroj społeczny Anglii, zarówno jak i jej samorząd hrabsko-parafialny, nie były podobne do ustroju społecznego dawnej Polski, ani do jej tak zwanego samorządu lokalnego. W Rzeczypospolitej polskiej możnowładztwo pozyskało władzę absolutną nad swemi dominiami i ludnością na nich zamieszkałą. Samorząd lokalny zatem był zawisłym od panów patrymonialnych i przejawiał się, zarówno jak i na kontynencie europejskim, w formie, którą Stein nazwał samorządem własności ziemskiej, kapitału i zawodu. Miasta dziedziczne w nie o wiele lepszem znajdowały się położeniu, a miasta królewskie pozyskały wprawdzie samorząd bardzo rozległy, ale dlatego właśnie przeistoczył on municypalność w zamknięte przed Rzeczpospolitą państwo, które pragnęło wykonywać funkcje publiczne, nietylko lokalnej, ale i ogólniejszej natury.

Samorząd lokalny brytański nie stracił swego czysto publicznego charakteru na rzecz patrymonialnego możnowładztwa, lub potężnych municypalności. Od opłat na rzecz gminy, tak samo, jak od podatków na rzecz państwa, nie zdołała się uwolnić własność widoczna i przynosząca pożytki (*the visible and profitable property in the parish*), bez względu na stan, do jakiego należała. Każdy z płacących podatek (*ratepayer*) miał prawo brać udział w naradach parafialnych; nadto, zarówno wsie, jak i miasta, podzielone były na parafie, a wszystkim parafiom mógł parlament poruczyć zadania publiczne do spełnienia i sędziowie pokoju (*justice of the peace*), najważniejsi urzędnicy królewscy w organizmie samorządu, byli zawsze w stanie zmusić opornych do wykonania nałożonego przez władzę prawodawczą obowiązku. Skutkiem tego, samorząd lokalny w Anglii łączył w imię dobra publicznego wszystkie klasy społeczne w codziennej, wytrwałej pracy. W samym zarodzie niszczyły instytucje gminne wszelkie odrębności stanowe, nie dopuszczając do wytworzenia się odosobnionych twierdz możnowładczych i municypalnych. Na trwałej opoce *selfgovernmentu*, który nie zatracił charakteru publicznego, stanął też spoisty gmach parlamentarny, jednoczący wszystkie stany w politycznie urobiony naród, gdy tymczasem samorząd lokalny w Polsce można było nazwać co najwyżej nieswobodnym, czyli typowo-stanowym, a samoistność ziem, powiatów i województw nie była wcale samorządem w pojęciu administracyjnem, lecz, jak to trafnie prof. Pawiński zauważył, samorządem niemal równorzędnym z państwem, z którego podobizną można się było spotkać na kontynencie Europy.

W końcu uważam za stosowne nadmienić, że twierdzenie prof. Bobrzyńskiego, jakoby ustawa polska z roku 1505, uświęcając udział szlachty w życiu państwowem, stworzyła parlamentaryzm, może wy-

wołać nienuzasadnione porównanie konstytucyi polskiej z angielską i w nauce o państwie spowodować tylko zamieszanie pojęć. Gdy bowiem w dobie powstawania reprezentacyi stanowej w Polsce, zjazdy wszelkie nazywano „conventus, comitia lub consilia,“ nadanie im w chwili, gdy szlachta w nich udział wzięła, nazwy parlamentaryzmu, może mimowolnie nasunąć myśl, że sejmy polskie od roku 1505 rozwijały się w odmiennym kierunku, niż na zachodnim kontynencie Europy, a ożywione były prądami pobratymczemi, właściwemi parlamentom angielskim. Parlamentaryzm polski z roku 1505 stanie się jeszcze ciemniejszym i niezrozumialszym, gdy zwrócimy uwagę na to, że pod wyrazem „parlamentaryzm“ rozumie nauka polityki, zgodnie z historykami prawa państwowego angielskiego, system rządu, czyniący ministerjum zawisłem od poparcia większości izby gmin. System powyższy wyrobił się i utrwalił w Anglii dopiero na początku XVIII-go wieku, a z państw kontynentalnych w owej epoce, nie wyłączając Polski, żadne go sobie nie przyswoiło.

Tak samo prof. Bobrzyński utrzymuje, że w r. 1505 „z sejmików i sejmów (w Polsce) wydobywała się gwałtownie nowa idea państwa prawnego, łamiącego polityczną odrębność stanów i pociągającego wszystkie stany do tych samych ciężarów publicznych. Pozostawiam na uboczu kwestyę: czy istotnie polityczna odrębność stanów została zniweczona w roku 1505, a zajmę się pokrótce pytaniem: czy odpowiedniem jest zastosowywanie do dawnego porządku państwowego w Polsce nazwy państwa prawnego. Pojęcie państwa prawnego (Rechtsstaat), przejęte z nauki niemieckiej, nie jest dotąd zupełnie ustalone. Nasamprzód u pisarzy XVIII-go wieku spotykamy się z myślicielami (Puffendorf, Kant), uważającymi państwo jako instytucyę, przymuszającą do urzeczywistnienia prawa (Zwangsanstalt zur Verwirklichung des Rechts). W nowszych czasach uznano ów pogląd jednostronny za niewystarczający i państwo prawne, lub jak je trafniej przezwiał prof. Oczapowski — praworządne, miało być postulatem, udoskonalającym konstytucyjne nowożytne państwa. Ów doktrynerski „Rechtsstaat“ stanie się zrozumialszym, jeśli przypomnimy sobie, że konstytucye XIX-go wieku kładły główny nacisk na określenie ściśle organów prawodawczych, a administracyi pozwalały często samowolnie wkraczać w dziedzinę praw indywidualnych. Państwo praworządne pragnęło usunąć powyższe niedostaki, a to takim sposobem, że miało nadal rządzić się ściślym wymiarem sprawiedliwości, i to nietylko w zakresie prawa cywilnego, ale i publicznego wogóle; podług zaś Steina: „Der Rechtsstaat ist die durch das Gericht verwirklichte verfassungsmässige Verwaltung.“ Prawdą jest, że zaczątki państwa praworządne-



go znalazł Gneist w odległych dziejach Anglii i Niemiec, ale były to zaczątki, które bynajmniej nie zawdzięczały swego pojawienia się udziałowi rycerstwa w sejmach i sejmikach. Ze względu więc, że naukom politycznym, zarówno jak i innym, zależy wiele na ścisłej terminologii, nie wydaje mi się stosownem nazywanie dawnego państwa polskiego czysto nowożytnym terminem, nierozdzielnym niejako z prawem państwowem XIX-go stulecia.

A. REMBOWSKI.

---

# SIOSTRY.<sup>1)</sup>

---

Wiadomość, że Marcin idzie do Brazylii, zrobiła istną rewolucję wśród służby dworskiej i wśród robotników fabrycznych. Umysły doszły do jakiegoś szału wolności, niezależności i pragnienia zmiany dotychczasowego bytu. Marcin, ulubieniec pana, mający pensję, ordynaryę i ogrody większe, niż wszyscy okoliczni furmani, Marcin, któremu dziedzic pozwolił trzymać cztery sztuki bydła, szedł do Brazylii! To przekonało najbardziej zatwardziałych i niedowierzających. Opowiadano sobie najdziwniejsze legendy o ilości rozdawanych w Brazylii gruntów, o żyzności tamtejszej ziemi, o wygodach i bogactwie, czekających na wychodźców. Zaręczano, że jakiemuś chłopu objawiła się Matka Boska i powiedziała mu: „idź do Brazylii”; działy się jakieś cuda, ludzie miewali sny nadzwyczajne, ukazywały się im jakieś postacie w bieli, stukające do okna... słyszeli jakieś głosy, wołające na nich... Opanowała wszystkich istna gorączka, podniecana ciągle zabobnością, ciemnotą i pragnieniem używania.

— Dosyć się już biedny lud nacierpiał — mówili robotnicy — przysła i na niego kolej, że się nie będzie tulał z kąta w kąt, jak ta sierota bez ojca i matki, jeno będzie siedział na swojej ziemi!... na własnej ziemi!...

Ogarnęło ludzi lenistwo bez granic. Nie dbali o zarobek, wyciągali ze skrzynek i węzłków grosz zaoszczędzony w pocie czoła i prze-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt za m. luty „Biblioteki.“

pijali go w karczmach, włóczyli się po dalekich odpustach i jarmarkach, sprzedawali za bezcen kożuchy i sukmany na rachunek ciepła w Brazylii, krowy i świnie na rachunek wyjazdu w dalekie strony. Kobiety przepędzały czas na rozmowie, nie myślały ani o sadzeniu kapusty, ani o okopywaniu kartofli. Sprzedawały wszystko, co mogły, żydom, włóczęgą się po wsiach, i żyły z dnia na dzień, czekając podróży, urastającej w ich oczach na coś wykrojonego z bajki, bo mężczyźni mieli płynąć morzem, a kobiety i dzieci miały lecieć powietrzem na maszynie.

Zbierano się w kółka, radzono, rozprawiano, krzyczano. Byli tacy, co, brodę w kułak wsunawszy i spuściwszy oczy ku ziemi, stali zamysleni i niepewni; insi, krzycząc, starali się wmówić słuchaczom najdziwniejsze bajki. Nie brakło utrzymujących, że na własne oczy widzieli takiego, co wrócił z Brazylii i przywiózł z sobą jabłko, większe niż głowa ludzka, co sami słyszeli czytany list, w którym znajomy im wychodziec opisywał dziwy o Brazylii. Panowie mówią i w gazetach drukują, że tam ludzie chorują i cierpią biedę, ale wiadomo, panowie... nie chcą tracić robotnika... Pan stoi na chłopie; jak chłopą zabraknie, to i pan zginie.

Od robotników, wyrobników, rzemieślników i wogóle ludzi nie posiadających ziemi, zaraza rozciągnęła się i na włościan właścicieli. Sprzedawali grunta za bezcen i szli w świat z zawiniątkiem na plecach i trochę gotówki w węzełku chustki. Szał emigracyjny szerzył się, jak płomień pożaru.

Do niejednej rodziny zajrzała już była nędza. Żona, obarczona drobnymi dziećmi, została była w domu, mąż poszedł naprzód do Brazylii, żeby lepszych gruntów przed nim nie rozebrano. Obiecał pisać, obiecał przysłać pieniędzy, tymczasem nie dawał znaku życia, zginął bez wieści, a rodzina, żyjąca z dnia na dzień, czekająca gorączkowo wieści o zdobytych bogactwach, cierpiała głód... zaczynała zebrać.

Stosunki z dnia na dzień stawały się trudniejsze i coraz mniej normalne. Wyzyskiwacze obdzierali lud, rozbałamucając go do najwyższego stopnia, wsie się wyludniały, roboty w polu zalegały, stan rzeczy stawał się opłakany.

Zygmunt był jak człowiek, któryby własnem ciałem chciał zatrzymać wylew. Fala odtrąciła go, zepchnęła i toczyła się, niedbająca o pojedyncze wysiłki. Służących swoich chciał początkowo zatrzymać przemocą. Wynikły z tego istne bunty. Parobcy i fornale nie chcieli iść do roboty, wreszcie przyszli przed ganek i, krzycząc i grożąc, upominali się o uwolnienie i należąca się im pensję. Kobiety krzyczały najgłośniej. Między niemi Marcinowa zabierała głos najczęściej i posunęła się do słów obelżywych. Gdy Zygmunt spróbował jeszcze przy swojej

woli się utrzymać, służący jego poczuli zniknąć w nocy, zostawiając w jego ręku należące się im pieniądze. Niektórzy, znikając, wyrzekali się nawet sprzętów i zapasów, byle wędrować prędzej do krainy ciepła i nieprzebranych bogactw.

Skończyło się na tem, że Zygmunt musiał ludzi uwolnić. Niektórzy z nich nie poszli wcale do Brazylii, tylko, przeprośnowawszy kilka tygodni, przepiwszy i przejadłszy pieniądze, wzięte za krowy, przyszli prosić, by ich napowrót do służby przyjęto. Wyszli ludźmi zamożnymi, dobrze odzianymi i wyglądającymi, a wracali nędzarzami, wybladłymi i obdartymi.

Sprawa brazylijska wyczerpywała wszelką cierpliwość Zygmunta i wszelką siłę panowania nad sobą. Gryził się, wpadał w gniew, nie mógł patrzeć na szaleństwo ludzi, pozbywających się mienia, dobrobytu i biegnących ku nędzy, może ku śmierci, z otwartymi ramionami. Pożegnanie z Marcinem kosztowało go wiele. Marcin płakał, w chwili odejścia przypomniał sobie dobrodziejstwa swego pana.

— Czy to jabym kiedy stąd odszedł — wołał szlochając — ale z kobietą niema rady!... Póty mi głowę kotłowała, póty nade mną wzdziwiała, póki całkiem nie zgłupiałem!... Wszyscy, powiada, będą panami, rozbiorą ziemię co najlepszą, a ty jeden, głupi, będziesz w służbie i zginiesz w służbie!... A jak wzięła płakać, to choć ty z domu uciekaj!... Teraz już za późno, trza nam już iść, bośmy wszystko sprzedali i niema nawet do czego głowy przytulić!... Ja to idę, jak bydlę, co go na powrozie na rzeź ciągną.

Stosunki z dnia na dzień stawały się smutniejsze. Niepokój i groza na widok ludzi lecących w przepaść udzieliły się nawet najbardziej obojętnym i samolubnym. Okolica przestała myśleć o zabawie. Dwory pustoszały coraz bardziej, służba emigrowała lub nie chciała spełniać obowiązków, pijąc i włócząc się rozbałamucona. Do obrabiania pól musiano sprowadzić ludzi z dalszych okolic, Zygmunt zamówił robotników fabrycznych na Szląsku. Dla przykładu musiał odmówić mieszkań i zasiłków kobietom z dziećmi, których mężowie wyemigrowali. Okrucieństwo to bolało go, odbierało mu sen i rozstrajało go do najwyższego stopnia. W pierwszej chwili, odmówiwszy łzom i błaganiom, czuł pewien rodzaj zadowolenia na myśl, że na twardą wolę zdobyć się mógł i umiał, lecz potem wspomnienie niedoli osieroconych rodzin przesładowało go i każdą chwilę mu zatruwało.

Jedną z żebrzących i płaczących kobiet Józefa wsparła, czem mogła. To jej sprowadziło mnóstwo próśb, którym zadosyćczyniła małemi datkami i trochę chleba i słoniny, wyproszonemi u Mani.

Zygmunt spotkał raz kobietę z dzieckiem na ręku, bladą i obdartą. Poznał w niej żonę jednego z parobków. Zapytana, czego chce,

odpowiedziała, że tylko tak... do pani Rzeweckiej... Pani Rzewicka nie opuszczała biednych ludzi... tak się do niej ściągałi...

Poszedł szukać Józefy. Była w swoim pokoju, zapukał więc do niej. Nastroił twarz surowo:

— Co to znaczy, Józiu, — rzekł, udając gniew — ja ludzi wypędzam, a ty ich przyjmujesz? Powiadają mi, że się ubodzy do ciebie ściągają...

Józefa z oczu jego wyczytała, że grał komedję.

— Ja ich jednemi drzwiami wypędzam, a ty ich wpuszczasz drugimi — mówił dalej.

— Nie bój się — odparła, śmiejąc się — nie zbogacą się oni mojami datkami... Twój system nie nie ucierpi... nawet ich od głodu uchronię nie potrafię, ale...

— Jest jakieś ale?

— Ale chciałabym ich wspierać skuteczniej i liczę na ciebie, że mi w sekrecie przed samym sobą, tak, żeby właściciel Zarębia nie o tem nie wiedział, dasz możność ratowania tych ludzi od nędzy.

— A to prawdziwie kobieca logika — wołał Zygmunt rozweselony — mogę nawet dać, ale tobie, Józiu, ile zechcesz, tylko nie tym ludziom.

— Właśnie tym ludziom... inaczej przyjąć datku nie mogę.

— A więc tym ludziom, dlatego, że to są twoi ubodzy, twoi protegowani!

— O, jaki-by to był nędzny powód! Dasz dlatego, że już tyfus głodowy między nimi się rozpoczyna, że tam są głodne dzieci, niewinne szalowi rodziców...

— Nie mów mi już nic więcej, Józiu! Czy ty myślisz, że ja się sam nie wstydzilem we własnym sumieniu przed tym człowiekiem, przed tym marzycielem, który chciał żyć dla drugich, dla tych szczególnie, którzy, pracując dla niego, byli jakby w opiekę mu oddani. A więc dam ci dla ubogich, ile ci będzie potrzeba. Wspieraj ich, byle nie w moim imieniu. Ja muszę być konsekwentny, ale przecie na głód i chorobę obojętnie patrzeć nie mogę! Ah, Józiu, czemu człowiek musi tak często kłamać sobie samemu i innym? Czy mógłby być żywot tak ubłogosławiony, który-by się nigdy fałszem nie splamił, ani w słowach, ani w czynach? Czy są na świecie ludzie, którzy-by żyli swoim własnym życiem, to jest, nigdy nie kłamiąc swoim wiarom i przekonaniom? Jeżeli są tacy, to im zazdroszczę z całej duszy!

— Twój datek nie doprowadzi nikogo do kłamstwa. Powiem ubogim, że im wręczam ofiarę dobrego człowieka...

— Ty nie będziesz kłamać, ale ja kłamię od rana do nocy! Łączę nieszczęśliwych, którym chciałbym powiedzieć słowo pociechy, udaję okrutnego... Przed samym sobą pozuję na człowieka silnego, a jestem

słaby, słaby, słaby... Kieruję tu i rządzę wszystkim energicznie, ale to energia aktora! Ja samego siebie stawiam w położeniu człowieka silnego duchem i staram się postępować, jakby on postąpił...

Józefa się śmiała.

— Ależ człowiek, który-by całe życie udawał świętego, mógłby być kanonizowany najśluszniej!

— Zawsze mi się zdawało, że kiedyś osiągnę prawdę w życiu... zawsze do tego tęskniłem!... Ja do małżeństwa dlatego tak wzdychałem, żem pragnął jawności i prawdy w miłości... Wszelkie związki krótkotrwałe upokarzały mię, bo były kłamstwem. Wmawiałem sobie upodobanie, postępowałem, nie kochając, tak, jakbym kochał... Marzyłem o małżeństwie, jako o głośnem uświęceniu uczuć, którym człowiek oddaje się na zawsze!... Tymczasem prawda ode mnie ucieka... nie chce mojej duszy... Ja obecnie kłamię przed Manią, bo z nią dyplomatyzuję; kłamię przed matką, której chcę wmówić, żem zupełnie szczęśliwy; kłamię przed tymi nieszczęśliwymi, którym wmawiam, żem bezlitośny i obojętny; kłamię przed rządzcami, dyrektorami i urzędnikami, żem stanowczy, energiczny i silny... kłamię przed tobą, Józiu!... Tak, ja przed tobą kłamię! Przrzekłem ci szczerłość, a szczerym nie jestem, bo wstyd mi skarżyć się przed tobą, wstyd mi, tobie, kobiecie, użalać się na to, co mię boli i pokazywać ci się wiecznie cierpiącym, wiecznie godnym litości... Sama zresztą zabroniłaś mi dotykać materji, która mię najbardziej zajmuje... Więc kłamię i przed tobą, bo nie mówię wszystkiego, bo często udaję spokój, którego nie doznaję! Ale już tak być musi, i ja, kochający prawdę, skazany jestem na kłamstwo. Z twojej łaski pozbędę się wyrzutów sumienia, bo ty tych biedaków, których ja odpycham, przytulisz i nie zostawisz ich bez pomocy. Odbiorą ją z twojej ręki, którą błogosławię!

Wziął rękę Józefy i patrzył na nią z tkliwością.

— Jaką ty masz ładną rękę, Józiu!

— Taka bezużyteczna ręka człowieka, który nigdy nią nie pracował... Ah, prawda, nawet użyteczna do pewnego stopnia, bo z pomocą ołówka pozwoli mi żyć niezależnie.

Jakaś nagła przykrość i żal ogarnęły duszę Zygmunta.

— Józiu, nie mów mi o twoim wyjeździe! — zawołał — ja tego po prostu słuchać nie mogę!

— Jakże uniknąć konieczności?

— Czyż to-by było niepodobieństwem dla ciebie przyjąć od przyjaciela, od szwagra, ten kawałek dachu nad głową, który tu masz?

— Niepodobieństwem, Zigmuncie.

Na twarzy Zygmunta odmalował się ból i zawód. Wyszedł, nie mówiąc.

— Nie mogę tu zostać — powtarzała sobie Józefa — nie mogę!

Ale cierpiała. Ten człowiek, który przez jej ręce świadczyć chciał dobre uczynki, który ofiarował jej przyjaźń i do niej zwracał się po pomoc moralną, musiał pozostać sam jeden. Ona go zostawi wśród trudów bardzo ciężkiego życia, bez żadnej istoty, oddanej mu i pomocnej.

Wezwano ją do kobiety z dzieckiem. Udzieliła jej pomocy i obiecała przekonać się naocznie o jej nędzy. Kobieta głośno ją błogosławiła:

— Niech jaśnie pani Bóg najwyższy wynagrodzi! Niech Matka Boska zesze pani wszystko, co jeno sobie pani zamyśli... co jeno sobie pani życzy!

Zygmunt, przechodzący przez kurytarz, w którym stała kobieta, cofnął się. Nie chciał jej złapać na gorącym uczynku przyjmowania jałmużny, ale słyszał błogosławieństwa. Wzruszyły go one. Wydało mu się, że na głowę Józefy w istocie spływa łaska Boża z błogosławieństwa ubogiej. „Co jeno se pani zamyśli.“ O czem mogła marzyć Józefa dla siebie, o jakim szczęściu, o jakiej pomysłowości? Była jeszcze młoda, a życie jej wyglądało tak, jakby nie żądało już niczego od przyszłości.

Józefa wzięła się naprawdę do zaradzenia nędzy w Zarębiu i innych folwarkach, należących do Bielmońskiego. Miała wprawę w organizowaniu pomocy, w umiejętnym rozdzielaniu środków. Teraz, gdy już głodni chwilowo byli nakarmieni, największe niebezpieczeństwo przedstawiał tyfus, napastujący przeważnie najbiedniejsze rodziny. Józefa stała się opatrnością chorych i dostarczycielką wszystkiego, czego im brakło.

— Ah, ta Józia — mówiła Mania do męża — zawsze ta sama! Zobaczysz, ona nam tu jeszcze tyfusu do domu naniesie! Poco ona do tych ludzi chodzi?... przecie sprowadza aż do nich doktora... Zawsze egzaltowana i koniec!

— Moja Maniu, ludzie bez żywszych uczuć zwykle zarzucają egzaltację żywiej czującym. Tak było i tak będzie do końca świata. My, egoiści, nie możemy pojąć uczuć Józji. To darmo, my i ona jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi.

— Ona jest doprawdy drapieżnie dobroczynna. Obdarła-by wszystkich ze wszystkiego dla swoich ubogich. I tak było zawsze. Wiecznie jakieś składki, prośby... Ażem się za nią wstydziła. Raz podsłuchałam, jak stary Dersowicz, opodatkovany przez Józję, mówił: „Gdyby Rzewicka była mniej ładna, toby trzeba było od niej uciekać.“

— Stary Dersowicz znał się na rzeczy, skoro spostrzegł wdzięk Józji.

— Uciekał od niej, bo jest jeszcze większym skąpcem, niż wielbicielem piękności. Zresztą... czy ty doprawdy znajdujesz Józję tak ładną?

— Moja Maniu, od jakiegoś czasu straciłem zupełnie moje dawne, banalne pojęcie o piękności.

— Mianowicie?

— Nie umiem ci tego określić dokładnie. Życie zmienia wyobrażenia człowieka o wszystkim, więc i o tej rzeczy nieuchwytniej, która się pięknnością nazywa.

— I ta zmiana wyobrażeń wpłynęła na upiększenie Józji w twoich oczach?

— I tego nie wytłumaczę ci dokładnie... Ja nie widzę Józji piękną, ale raczej czuję ją piękną. Może nie oczy moje zachwycają się nią, tylko umysł mój uderza harmonia, w niej zawarta, i to coś nieuchwytnego, co jest piękniejsze, niż piękność sama.

— Prawda, że to dziwnie zawile.

— A widzisz, niepodobna tego zrozumieć.

— Przytem strasznie poetyczne: „coś piękniejszego, niż piękność sama.”

— Pięknem jest naprzykład oko niebieskie lub czarne, wielkie, osadzone wedle przepisów natury i estetyki. Ale przytem wyraz jego może być martwy lub bezmyślny. Spojrzenie, owo coś, co nie leży w samym kształcie, jest tą pięknnością wyższą... Józja cała jest uosobieniem takiej właśnie piękności, której się nie widzi, a którą się odczuwa.

— Nie wiem, co ty tam w niej widzisz! Jeszcze teraz, w tej czarnej sukni... z tem skromnem uczesaniem... wygląda, jak zakonnica!

Mania nigdy znieść nie mogła pochwał, oddawanych piękności innej kobiety. Napelniało to jej serce goryczą i gniewem. Odeszła z odętymi ustami, była obrażona na męża i miała jakiś żal do Józfy. Pobiegnęła do lustra i, stojąc przed niem, patrzyła na siebie uważnie.

Przecież była od siostry piękniejszą! Porównania nawet żadnego uczynić nie było można. Była o kilka lat młodszą, była świeższą, miała regularniejsze rysy, efektowniejszą postać. Ręce tylko większe i mniej piękne.

Poco też Józji jakakolwiek piękność, kiedy żadnego użytku uczynić z niej nie potrafi! Poco ładne ręce osobie, która niemi podnosi głowy tyfoidalnych i wlewa do ust spieczonych lekarstwo! Wszelki wdzięk zewnętrzny był już jej niepotrzebny. Będzie biegać z lekcyi na lekcyę, jako nauczycielka rysunku... Dobrze, że Józja wyjedzie z Zarebia!



Mania niedokładnie wiedziała, czego zazdrościła Józefie, ale czuła do niej żal za to, że była dobroczynna, że jej nie interesowały przyjemności młodszej siostry; bo choć udawała zajęcie się toaletami i zabawami Mani, ta ostatnia przeczuwała dokładnie, że to było tylko powierzchnowe ustępstwo. Chór błogosławieństw, wznoszący się ku Józefie z ubogich izb, nawiedzonych nędzą i tyfusem, przyprawił Manię o gniew. Sama nie lubiła proszących, widok biedy ją niecierpliwił i napępiał odrazą. Nie było to skąpstwo, gdyż lubiła wyrzucać pieniądze bezmyślnie, ale wrodzony brak sympatii. Krzywiła się ze wstrętem na widok łachmanów i ręki błagalnie wyciągniętej, pewna zaś uparta szczerłość i niepodległość uczuć broniła ją od udawania fałszywej litości.

— Ja tego nie rozumiem — mówiła — żeby jedna ręka odmawiała tego, co druga daje! Zygmunt powypędzał rodziny wychodźców, a teraz, gdy one na wsi u chłopów poosiadały, to je Józia obsypuje darami. Jabym im zabroniła pokazywać się i nawet zapomniiała-bym o ich istnieniu.

— Moja Maniu, miałaś zawsze namiętność wydawania się gorszą, niż jesteś — rzekła Józefa, która się starała wobec Zygmunta osłaniać siostrę od jego krytyki.

— O, ja wcale nic nie udaję! Poco-bym też miała robić sobie ten kłopot!

Postępując w duchu owej bezwzględnej szczerości, oświadczyła Zygmuntowi, iż wołała-by, żeby jego matka nie przyjeżdżała pilnować jej w chorobie:

— Ja tak nie cierpię dopytywania się, co mi jest, troskliwości, chodzenia koło mnie na palcach, rad, ubolewań, czułości, wzruszeń, a za tem wszystkim twoja matka przepada. Może-by mogła przyjechać potem... później...

Dopiero prośbom Zygmunta uległa.

— Kiedy pragniesz tego koniecznie... Już sobie powiedziałam, że tę całą historję przecierpię, zaciąwszy zęby. Niech więc będą i sceny rozczulenia, i rady, na doświadczeniu oparte... Zniosę wszystko, kiedy innego sposobu niema!

To wszystko wypowiedziała tonem nawpół lekkim, nawpół ironicznym, z wyraźnym odcieniem złego humoru.

Zygmunt nie odpowiedział nic. Coraz rzadziej teraz wybuchał, czując dobitnie, że to było zużywanie sił napróżno, że Mania nie miała w duszy nic takiego, do czego jego uwagi mogły-by się odwołać.

Napisał do matki, iż pragnie jej obecności w strasznej chwili, już tak blizkiej... że Mania czeka na matkę z otwartymi rękami...

Czuł ból, pisząc te słowa. Popępiał znowu kłamstwo, i to kłamstwo względem osoby, przed którą dawniej nie miał tajemnic. Zaadresował list i rzucił pióro z bardzo gorzkim uczuciem. Oszukiwać wszystkich wkoło siebie, to była teraz jego dola.

Wyszedł w pole, żeby być samotnym, żeby nie widzieć nikogo... Natura bywa też pocieszycielką.

— Natura i praca! — zawołał, wmawiając sobie, jako teoryę, uczucia, które nie leżały w jego duszy. Miał przed sobą naturę bujną, zdrową, której dzieła były mu znajome, jak rysy ukochanej twarzy, miał pracy tyle, że czasem sił mu nie starczyło, a czuł się rozdrażnionym, niezadowolonym, gniewnym.

Na gościńcu, przez który przejść musiał, żeby się dostać do robotników, koszących owies, ujrzał siedzącą przy drodze kobietę z czworogiem dzieci. Nie potrzebował pytać, od razu wiedział, że to były ofiary brazylijskiego wychodźstwa. Nędzne łachmany, wybladłe twarze, coś w spojrzeniu, co wyrażało ból, zgnębienie, rozpacz... Chciał przejść, nie pytając o nic, gdy nagle wynędzniała kobieta podniosła się z wielkim, rozdzierającym jękiem. Przypadła do kolan Zygmunta:

— Marcim umarł! — wołała łkając. — Jeden gałgan, co był pono gdzieś leśniczym, miał *leworvel*... I on siedł z nami do Brazylii... jakoś tam w zabawie przestrzelił rękę Marcinowi... Dojechalismy do Hamburga... Marcina wzięli do szpitala, dostał gorączki... O, Boże, Boże! jak mi te krowiny nie chciały iść na jarmark, to ja se zaraz myślałam, że nas nic dobrego nie czeka, jeno sama zgryzota!... Najmłodsze dziecko mi też pomarło!... A to się tak nazad do obory ciągnęły, że ani ich było przepomódz... a ryczały, że aż mi się serce krajało... zaraz wiedziałam, że to nic dobrego z tej Brazylii nie wyniknie!

— A męża gwałtem zmusiłaś do rzucenia tu wszystkiego i do pójścia na kraj świata! — zawołał Zygmunt z bólem i gniewem.

— Bo to ludzie!... jak zaczęli szczekać...

— Nie, to nie ludzie, to ty namawiałaś wszystkich i sprowadziłaś nieszczęście, nietylko na siebie, ale i na innych! Ty Marcina zabiłaś!

— Mój panie złoty, niech się pan nie gniewa, niech pan ma litość nad biednymi sierotami! Do kogóż ja się teraz udam nieszczęśliwa? Dachy nad głową z dziećmi nie mam! Ten, co nas prowadził, pokazywał jakieś papiery... pono Marcin od niego nabrał pieniędzy... potem ode mnie odbierał... wszystko wyciągnął, cośmy jeno mieli... jeszcze u niego jakiś dług został za szpital!

Na wspomnienie, że ta kobieta, która teraz przed nim na kolanach się czolgała, najgłośniej krzyczała, gdy on wychodźcom stawał

przeszkody, że to ona zabiła Marcina, na to wspomnienie gniew i jakaś twardość i oschłość opanowały Zygmunta.

— Nie mam tu mieszkań dla żebraków — zawołał — idź i zaznaj nędzy za tę zbrodnię, którą popełniłaś!

Kobieta płakała i błagała jeszcze. Zygmunt odszedł z zaciśniętymi gniewnie ustami. Zdawało mu się, że potrzebował tej zemsty za śmierć człowieka, którego szczerze żałował, że jakaś żądza okrucieństwa zaspokojoną w nim została, że dał ujście jakiemuś wybuchowi, który się w nim długo przygotowywał. Dopiero po dłuższej chwili poczuł wielką przykrość. Nigdy w sobie nie podejrzewał barbarzyńcy, mogącego znaleźć w okrucieństwie choćby chwilowe tylko zadowolenie. Czyżby do tego dojść miało, by musiał sobą pogardzać?

— Ty jesteś tu aniołem stróżem naszym — rzekł do Józefy, wróciwszy do domu — jeszcze pod swoje skrzydła musisz przyjąć Marcynową z dziećmi... Trzeba jej dać kwotę, potrzebną do najęcia mieszkania na wsi i do zaspokojenia pierwszych potrzeb... jest to zawsze żona przyjaciela... Obszedłem się z nią okrutnie, tak okrutnie, że mię to aż upokarza... Tobie będę zawdzięczał, że nie będę potrzebował rumienić się przed sobą samym.

— Jestem twoim jałmużnikiem, szafarzem łask...

— Bylebyś tylko chciała na urządzie tym pozostać...

— Stanie się on niezadługo zbyt czynnym. Stosunki się ułożą normalnie... Wychodźtwo się skończy... Los Marcinowej i wieści dochodzące odstręczają ludzi od wędrówki... Zresztą jesień się zbliża, ludzie w tej porze domów opuszczają nie będą...

— Nie wyjedziesz, Józiu! Zatrzymają cię jęki tutejszych biednych... Boję się, że między owemi jękami i mój głos rozróżnisz.

Zygmunt chciał zawołać, że pobyt jej w Zarębiu był jałmużną dla niego, ale był w jednej z chwil, w których дума zamykała mu usta i czyniła mu niepodobną wszelką skargę.

Matka jego przybyła do Zarębia. Oboje z Józefą użyli wszelkich wysiłków i cudów dyplomacji, by nie spostrzegła złego humoru i oschłości Mani, która, powtarzając, iż sobie powiedziała, że „tę całą historię“ przebędzie cierpliwie, bywała znudzona i kwaśna. Nie wyjeżdżała już w sąsiedztwo, obcisłych sukien nosić nie mogła, nie zapraszała swoich satelitów, bojąc się, by jej nie znaleźli mniej piękną, czas dłużył jej się niezmiernie.

Pani Bielmońska bała się synowej. Zdawało jej się, że jednym spojrzeniem, jednym odezwaniem się niebacznym może zepsuć coś w szczęściu syna.

Gdy w pierwszych dniach października przybył jej wnuk zdrowy i silny, usuwała się z pokoju chorej, by jej nie być natrętną, nie chciała

wziąć na siebie żadnych dyspozycyi, ani zarządu, by niczem Mani, nawet niechęcący, w drogę nie wejść.

Na ramieniu matki popłynęły łzy Zygmunta, łzy szczęścia, gdy ciężkie przejście skończyło się pomyślnie i gdy dał się słyszeć krzyk dziecka — jego dziecka!

Ucałował nogi Mani, która mu się w tej chwili wydała odrodzona i godna najwyższej miłości. Przysięgał sobie w duchu, że z pomocą maleństwa, leżącego w poduszkach, on zdobędzie sobie nakoniec duszę tej kobiety, która, blada, spoczywająca z przymkniętymi oczami, wydała mu się piękniejszą, niż kiedykolwiek. Ona i dzieciątko, to były jego skarby, jego przyszłość cała! Szeptał więc matce, nie wstydząc się łez swoich:

— Jaki Bóg dobry... jaki ja jestem szczęśliwy! Mamo, żeby ją tylko ustrzedz teraz od wszystkiego, coby jej zaszkodzić mogło!

Kilka dni spędził na usługach Mani, otaczając ją staraniem najwyższem, bojąc się dla niej każdego hałasu, każdego wzruszenia. Postanowił zapomnieć na ten czas o wszystkim innem, o odstawie buraków, która się odbywała już na wielką skalę, o najmowaniu robotników fabrycznych, o niezliczonych interesach cukrownianych. Gdy Mani przestało grozić niebezpieczeństwo, interesa te wzięły go naraz szturmem. Kłopotów namnożyło się sporo.

---

Pewnego dnia, przy obiedzie, który dla Mani noszono jeszcze do jej pokoju, Zygmunt opowiadał matce i Józefie o swoich „fabrycznych biedach“, jak je nazywał. Robotnicy, ściągani ze wszystkich stron, okazali się, po większej części, ludźmi z pod ciemnej gwiazdy. Wynikało stąd spraw tysiące. Jeden z dyrektorów był chory, obawiano się dla niego tyfusu... Na domiar wszystkiego, kasyerka fabryki Obrowieckiej szła za mąż i prosiła o uwolnienie.

— Ta kasyerka — mówił Zygmunt — to był jeden z najlepszych moich urzędników. Stara panna, pedantka, obowiązkowa do najwyższego stopnia... Moja fabryka ucierpi na tej spóźnionej miłości panny Idalii. Nielatwo znajdę odpowiedniego człowieka na jej miejsce.

— Czy to są trudne obowiązki? — zapytała Józefa.

Zygmunt spojrział na mówiącą. Ujrzał ją okrytą szkarłatnym runieńcem. Oczy jej błyszczały, widocznie myśl jakaś nagła i nowa przemknęła przez jej głowę.

Wzruszenie to wytlómaczonem mu zostało, gdy po obiedzie, wzięwszy go na stronę, zapytała cicho i nieśmiało:

— Czy ja nie mogła-bym zająć miejsca panny Idalii?

— Ty, Józiu, ty?... To jest obowiązek, przykuwający do miejsca... zmuszający do stosunku z różnymi ludźmi...

Nie dokończył litanii zastrzeżeń, porwał nagle ręce Józefy i, rozpromieniony, wzruszony propozycją, która coraz głębiej w umysł jego zapadała, zawołał:

— Że mnie też to na myśl nie przyszło, że ty-byś mogła, że ty-byś chciała!... Prawda, wszak to taki sam zarobek, jak dawać lekcye rysunku! Józiu, jakaś ty dobra, jakaś ty rozumna! Przecie znalazł się środek na to, byś ty między nami została! Już teraz wierzę, że się zły los ode mnie odwróci i zacznę być szczęśliwym, szczęśliwym!...

Radość Zygmunta wzruszyła Józefę. Więc on naprawdę czuł aż w głębi duszy tę przyjaźń, którą jej zaprzysiągł? Patrzyła na niego rozrzwoniona, z jakimś słodkim uczuciem, mającym w sobie coś macierzyńskiego. Ona mu w przyjaźni swojej da wszystko, co jedno serce drugiemu dać może, i strzedz będzie interesów jego, jak własnych. Dopiero teraz wiedziała, że to niezaspokojone pragnienie, które nosiła w sercu, było potrzebą przywiązania się gorąco do istoty, dla której przywiązanie tō było-by błogosławieństwem. Wiedziała to teraz, gdy stał przed nią człowiek, którego oblicze promieniało niewysłowionem szczęściem dlatego, że obiecywała pozostać blisko niego.

Zygmunt prosił o tajemnicę jeszcze przez dni kilka, co do projektu Józefy. Przejęła go zabobonna trwoga, by nie stanęła nagle przed nimi jaka nieprzewyciężona przeszkoda. Chciał obmyślić wszystko, przygotować umysły, Manię uprzedzić...

— No, Józiu, pamiętaj, między nami teraz na życie i śmierć!

Uśmiechnęła się, rzucając mu jedno z tych spojrzeń, które go przenikały do głębi.

— Teraz, Józiu, będę już miał siłę na wszystko, i odwagę, i wytrwałość!

Tego dnia odzyskał swoją dawną wesołość, na której zanik skarżyła się pani Bielmońska. Podczas posiedzenia wieczornego obok szeszlonga Mani, opowiadał jakieś epizody z czasów uniwersyteckich, które pobudziły wszystkich do śmiechu i wesołości. Matce jego zdawało się, że to jeszcze ten chłopiec w studenckim mundurze, którego śmiech tak wesoło dźwięczał w mieszkaniu, które z nim podzielala.

Coś z dawnego, dziecinnego prawie wesela, odżyło w nim w istocie. Było mu w duszy tak jasno, jak gdyby przeczuwał jakieś przed sobą jutro radośne, pełne słońca i nadziei.

Józefa, patrząc na niego, myślała:

— Czyżby doprawdy odżył tak dlatego, że pozostaje przy nim? Nie, nie, to widok żony zdrowej, dziecka, matki... Jakaś cząstka przypada i na mnie, ale to tylko drugi plan życiowy.

Jednak uparcie wracała jej myśl pierwsza: „Ta cała wesołość, to szczęście strzelające z oczu, to dlatego, że ja zostaję.” Gniewała się na siebie. Poco dawać do głowy przystęp jakimś mrzonkom? Przyjaźń nie miewa w życiu tak wybitnej roli...

Mrzonka urosła powoli na przekonanie, które krytyka napróżno wyrugować usiłowała. W uczuciach Józefy rozlało się jakieś słodkie roztkliwienie. Była więc doprawdy komuś do szczęścia potrzebną?

Nadjechali Szarogórscy, ożywieni i gorączką podróżniczą owiani. Pozwalali sobie tego roku na wielką przyjemność. Mieli najbrzydsze miesiące spędzić na południu i zabawić się trochę rozsądną i umiarkowaną grą w Monte-Carlo, gdyż oboje hazard lubili.

— Szczęśliwa jesteś — ozwała się Mania do przyjaciółki, której od niedawna *ty* mówiła — ja tak zawsze marzyłam o ucieczce od tej naszej zimy szkaradnej. Mam też ogromną ochotę zobaczyć przecie raz, co to jest ruleta.

— Dlaczego-by pani pojechać też nie miała? — zapytał Szarogórski.

— Dlaczego? Bo Zygmunt wyobraził sobie, że on pracować musi, że tu bez niego wszystko do góry nogami się wywróci!

— Żeby też ludzie, tak bogaci jak państwo, nie przebywali tam, gdzie im się podoba... Zdrowie pani tego wymaga i koniec!

— Trzeba-by udawać chorobę, podszeptać doktorowi, gdzie ma mię wysłać...

Zygmunt, nieobecny przy tej rozmowie, wszedł pod jej koniec.

— Ułożyliśmy tu plan bez pana — rzekł Szarogórski do wchodzącego. — Państwo oboje jedziecie tego roku na zimę do Monte-Carlo.

— Tak, tak — zawołała Mania — to już nieodwołalne!

Zygmunta odezwanie się Szarogórskiego i Mani objęło płomieniem. Coś zawołało w nim głośniejsze, niż wszelkie rezonowania, niż wszelkie względy: Nie pojedę, nie ruszę się z Zarębia, żadna siła do tego mię nie zmusi!

— Mania nie może teraz dziecka odjechać — rzekł spokojnie. — I ja-bym moich interesów opuścić nie mógł... Z powodu emigracyi mam rozliczne kłopoty.

Pani Bielmońska, na boku, mówiła Szarogórskiej o tyfusie dyrektora fabryki, o małżeństwie kasyerki... Poczeiwa kobiecina chciała usprawiedliwić syna, opowiadając o jego troskach.

Mania, siedząca przy Szarogórskiej, zawołała:

— Co? Ta wyzółkła panna Idalia idzie za mąż?

— Idzie za wdowca z dwojgiem dzieci — rzekł Zygmunt.

— Nie będzie więc już kasyerką?

— Nie.

— Masz już kogoś na jej miejsce?

— Mam.

— Znowu kobietę?

— Tak.

— Kogóż takiego?

— Kogoś, kogo znasz dobrze, ale nazwisko powiem ci później.

— Znajoma? To mię wcale nie cieszy. Tego rodzaju stosunki są okropnie krępujące. Taka osoba wiecznie-by chciała należeć do naszego towarzystwa... nie rozumie swego stanowiska... Ty wiesz, jak ja się nie umiem naginać do żadnego przymusu... Rozumiesz mię?

— Niebardzo.

— Ale ja Manię rozumiem doskonale — podchwyciła Szarogórska. — Taka kasyerka jest to, bądź co bądź, osoba niższego stanowiska, a z takimi jedyny możliwy stosunek jest wielka grzeczność, ale trzymanie na pewnej odległości, inaczej stosunek ów powoli zaczyna ciężać... Zawsze się jest w strachu, by się taka osoba nie obraziła... Zwykle bywa gorzka i zazdroszcząca dostatków, toalety, zabawy... Czuje się upokorzoną, wyszukuje plam na słońcu, wszystko, co się mówi, bierze do siebie... najłatwiej ją zadrasnąć niechęć... Może to jeszcze stara panna?

Zygmunt z Józefą zamienili spojrzenie i uśmiech.

— Nie stara, nie panna, nie obraźliwa, nie zazdroszcząca ani dostatków, ani toalety, nie wyszukująca plam na słońcu — rzekł Zygmunt, śmiejąc się.

A gdy się znalazł sam z Manią:

— Chciałem w cztery oczy z tobą pomówić o nowej kasyerce w Obrowcu... Józia chce nią być.

— Józia? Cóż znowu? Cóż to za niemądry projekt? Ja się na to nigdy nie zgodzę!

Zygmunt zaciął zęby. Znowu, jak parę godzin temu, poczuł w sobie siłę i wolę nieprzepartą. Stawi czoło wszystkiemu, wszystko pokona, a Józefą musi osiąść w Obrowcu. Niema takiej przeszkody, której-by nie zwalczył, i tak być musi, jak on chce! Spokojnie zapytał.

— Dlaczego wydaje ci się to tak dziwnem?

— Ja nie chcę mieć siostry na takim stanowisku! — zawołała Mania. — Do czego to podobne, by ona brała pensję od ciebie i pracowała tu w ten sposób! To jest upakarzające dla mnie! Powiedzą, że moja siostra zmuszona jest na chleb zarabiać! Niech sobie obejmuje

miejsce, gdzie chce, byle nie tu! Wreszcie dajmy jej rocznie jaką kwotę, z której-by w Warszawie żyć mogła!

— Nie znasz jej! Ona od nas takiej kwoty nie przyjmie.

— To niech sobie pracuje w Warszawie, ale nie tu! W całej okolicy powiedzą, że ja pochodzę z Bóg wie jakiej rodziny, że mię wzięłaś z nędzy!... To-by mię upakarzało!

— Słuchaj, Maniu, mówię teraz do ciebie poważnie i stanowczo: Józia sama zaproponowała mi objęcie przez siebie miejsca Idalii. Ja się na to zgodziłem z radością i projektu tego nie zmienię. Będzie to dla Józii miejsce spokojne i dające jej pracę znośną, przyjemniejszą daleko, niż praca nauczycielska. Zatem tę pracę jej dam!

— Już ja sobie z nią poradzę!—zawołała rozgniewana Mania.— Powiem jej po prostu, że nie życzę sobie mieć pod bokiem siostry na podrzędnem stanowisku... że miłość własna moja na tem cierpi...

Zygmunt zbliżył się do Mani z zaiskrzonym wzrokiem, z pobladłymi ustami. Nie widziała go nigdy takim dotąd.

— Nie powiesz jej tego—rzekł przyciszonym, drżącym głosem— bo ja ci tego zabraniam!

— Zabraniasz mi? Jakie prawo masz zabronić? Myślę, że mogę mówić siostrze mojej, co mi się podoba!

— Maniu! — głos Zygmunta drżał coraz mocniej — ty nie żartuj ze mną! Przyrzekłem Józii miejsce u siebie i miejsce to jej dam!

— Zobaczymy!

— Jeżeli stawisz ku temu przeszkody...

— Stawię je!

— To pożalujesz tego!

— Ciekawam, co zrobisz.

— Dotąd ulegałem twoim zachciankom, ale potrafię być nieubлагanym.

— To się nazywa ulegać zachciankom! Nie pozwoliłeś mi nawet spędzić zimy w Warszawie!

Zygmunt z wręczym w piersi gniewem usiłował zapanować nad sobą. Musiał zapanować! Nie chciał i nie mógł obchodzić się grubiańsko z żoną, z kobietą.

— Choćbyś Józii osadził tu, pomimo mej woli — mówiła dalej Mania — to ja potrafię ją stąd wysadzić! Józia—to czulek, dwa słowa dla niej wystarczą.

Czoło Zygmunta pokrywało się coraz większą chmurą; chodził po pokoju, zagryzając usta, by nie wybuchnąć. Stał wreszcie przed Manią i patrzył na nią przez chwilę posępny i zamysłony:

— Zawsze pragniesz tego karnawału w Warszawie? — zapytał wreszcie.



— Naturalnie.

— A ja pragnę—głos jego drżał—pragnę Józnię samotną i ubogą przytulić do naszych serc... zapewnić jej zadowoloną i spokojną przyszłość.

— A więc — zawołała Mania, patrząc przenikliwie w oczy Zygmunta — więc staje między nami umowa dobrowolna. Ja będę milczeć i nie powiem Józni ani „tak” ani „nie”, ale za to spędzimy zimę w Warszawie! To jest moje ostatnie słowo.

— Przecież masz dziecko!

— Dziecko możemy zabrać z sobą, lub zostawić tu z mamką i boną. Chcesz tak, to dobrze! Inaczej nie pozwolę na to kasyerstwo Józni.

Zygmunt uczył się bardzo przygnębionym. Gniew i jakaś energia nieznaną opadły w nim, jak spienione fale po przejściu burzy. Był zmęczonym walką i, jak zawsze, bezbronnym wobec bezduszości Mani.

— Jeżeli moje interesa nie postawią mi nieprzewycięzonej przeszkody, pojedziemy na karnawał do Warszawy.

Mania klasnęła w ręce z radością.

— Najmiemy apartament!... coś takiego się znajdzie... zaraz napiszę do Felci!

Była cała przemieniona w wesele i radość.

— Widzisz, jakis ty dobry! — zawołała, rzucając się mężowi na szyję — teraz już nic do mego szczęścia brakować nie będzie!

Zygmunt przyjął uścisk żony z chłodem bezmiernym. Nie odepchnął jej, choć miał do tego ochotę. Stał w jej objęciu, zimny jak kamień.

— Zobaczysz, że i ja umiem być dobrą dla tych, co się mnie nie sprzeciwiają! — wołała Mania. — Tak nam będzie dobrze w Warszawie, zobaczysz!

Uwolnił się od jej uścisku i wyszedł, milcząc. Gdy się znalazł u siebie ukrył twarz w dłoniach. Czuł jakby ciągle podstępującą mu do gardła gorycz pożycia swego z kobietą, tak bardzo różną od niego charakterem. Objęło też jego duszę niewysłowione upokorzenie. On kupował u żony zgodzenie się na to, co przeprowadzić pragnął! On po prostu urządzał nędzne handle moralne! Chciał Józnię zapewnić byt i zadowolenie, i to była chęć szlachetna, ale jednocześnie, dla doprowadzenia myśli tej do celu, gotów był podkopywać powagę swoją względem żony. Rok temu przemocą prawie wywiózł ją z Warszawy, a teraz zgadzał się na zamieszkanie tam z nią na czas karnawału.

Zaraz potem powiedział sobie na swoją obronę, że rok temu ufał jeszcze możności uczynienia z Mani moralnej towarzyski swojej, dziś zaś wiedział, że, odsunięta od flirtu w stolicy, znaleźć go sobie potrafi na wsi... że dla niej w życiu już nigdy nie innego, prócz zabawy i zadowolenia próżności, wartości mieć nie będzie.

Powoli rezonowanie usprawiedliwiające jego postępek coraz głośniej odzywać się zaczęło i zagłuszyło w końcu skrupuły prawie zupełnie. Radość przemawiała w nim najgłośniej. Zwalczył zatem przeszkody i odtąd będzie miał zawsze blisko siebie tego dobrego ducha swego, tę jedyną istotę, która go rozumiała. Już jej od siebie nie uwolni teraz nigdy, nigdy! Będzie odtąd zawsze jego moralną własnością. Czuł, że taką stać się dla niego gotowa, że jej przyjaźń należała do tych, co się przed żadnem poświęceniem nie cofają. Warto więc dla niej uczynić wszystko, warto nawet znieść rumieniec wstydu i to przykre poczucie, że ścieżki, któremi się chodzi, nie wszystkie są proste.

Mania tryumfowała w duszy. Mówiła sobie, że powoli tak męża pokona, iż przeprowadzi z nim, co zechce. Poszła za niego, żeby używać jego dóbr i używać ich będzie.

— Na przyszły rok — mówiła nazajutrz do Józefy — pojedę na południe... to już z pewnością. Tę zimę przepędzimy w Warszawie. Muszę się tego karnawału wytańcować za ten cały nudny czas, który przeżyłam na oczekiwaniu choroby i na chorobie.

Zygmunt mówił już teraz głośno wszystkim, że siostra jego żony będzie kasyerką w Obrowcu. Chciał to zaznaczyć jak najmocniej, miał bowiem ciągle uczucie, że coś drogiego, coś, co mu było skarbem, musiał ratować od niebezpieczeństwa. Prosił pannę Idalię, by się przeniosła na ostatni miesiąc urzędowania do innego domu, chciał bowiem odświeżyć mieszkanie, które dotąd zajmowała.

Urządzeniem siedziby dla Józefy cieszył się, jak dzieciak. Usiłował przypomnieć sobie jej upodobania. Pamiętał, że lubiła ogień na kominku, sprowadził więc śliczny kominek, który wmurować kazał. Po dwa razy na dzień jeździł oglądać pracę robotników, żył naprzód zdumieniem i zadowoleniem Józefy, gdy się ujrzy w mieszkaniu, małym ale ślicznym.

Józefa przysłała trochę mebli i sprzętów z Warszawy, dokąd pojechała dla zwinięcia domu. Meble jej Zygmunt własną ręką rozstawił, czując w sercu roskosz służenia i uścielania gniazda istocie kochanej. Oglądał okna, by z nich nigdzie nie wiało, spoglądał przez nie na widok, na który patrzeć miały oczy Józefy, uśmiechał się, widząc ogień płonący na kominku.

— Jak tu będzie miło, ciepło i ślicznie, gdy ta dusza tu zamieszka — mówił sobie.

Przysunął przed kominek dwa fotele, widząc naprzód ją i siebie rozmawiających, jak dwoje przyjaciół. Rozrzewniło go to. Tęskno mu było do tej rozmowy, do zamienionego z Józefą spojrzenia. Czemu ona tak długo w Warszawie siedziała? Tak tu było źle bez niej! Czy tylko nie zmieniła projektu?

Ogarnął go strach nagły. Nie, nie, ona mu zawodu nie zrobi!

Już teraz nie rozumiał, by Józefa mogła być daleko, by fotel, który widział obok swojego, nigdy przez nią do cichej, szczerzej rozmowy nie miał być zajęty. Nie, to się stać nie mogło, to-by było zbyt okrutnem z jej strony!

Mania już była powróciła do zdrowia zupełnie. Wszyscy utrzymywali, że wypiękniała jeszcze. Z nowym też zapałem wróciła do życia dawniejszego. Zapraszała znowu do Zarębia licznych gości, wszakże zabawy źle się kleiły, bo czas i drogi były fatalne.

Między małżeństwem wynikły zatargi. Mania chciała do Warszawy jechać zaraz, Zygmunt utrzymywał, że obiecał jej tylko pobyt w karnawale. Nie mógł teraz opuścić cukrowni, Mania się gniewała. Najszkaradniejszą porę, najkrótsze dni kazano jej spędzać na wsi. Nie miała nawet toalet zimowych, bo sprawunki wszystkie odkładała do własnego pobytu w Warszawie. Felcia już najęła mieszkanie. Doskonale się zdarzyło, że jedna rodzina, której dorosła córka zachorowała na suchoty, wyjechała do Włoch...

— Dziecko miało być jej zbawieniem! — powtarzał sobie w duszy Zygmunt z najwyższą goryczą. Stawał się względem żony coraz mało-mówniejszym, coraz zimniejszem.

Mania nie zdawała sobie sprawy ze zmiany w obejściu się Zygmunta, nie domyślała się jego uczuć, ani przypuszczała, że rozdrażnienie, żal, ból, rozczarowanie, zastępowała w nim obojętność, ta zimna jak śmierć pocieszycielka, na którą, jak na śmierć, niema ratunku. Po zachwytach miłości nastała była dla niego epoka żalu i gniewu. Teraz z tych szałów i goryczy wyrastał kamienny spokój obojętności. Zamiast dawnych walk, perswazyi, prośb, zaklęć, gniewu, przychodziła teraz apatyczna oschłość i chłód. Zygmunt z pewnym rodzajem zadowolenia zeznawał przed sobą, że świat jego moralny stał przed Manią zamknięty na wszystkie zamki i pieczęcie. Była to cicha zemsta, której bynajmniej nie odczuwała Mania. On wszakże z rodzajem złej uciechy widział, jak jego serce mściło się za niego, za jego zawody i cierpienia. Nie powiedział nigdy żonie, że jej już nie kocha, tylko patrzył na nią czasem z wyrazem bezgranicznego chłodu, powtarzając w duszy:

— Nie kocham cię, nie kocham, nie kocham!

W tych niemych wyrazach, rzucanych ku niej, mieściła się jego zemsta za to, że przy jego boku zabierała miejsce tej wysnionej niegdyś istoty, która miała być poezją, wdziękiem i dobrem, która miała mieć tak piękną duszę, by jej powab zewnętrzny wydawał się tylko tej duszy wyrazem.

Przyjechała wreszcie Józefa i, po paru dniach pobytu w domu Mani, przeniosła się do swego własnego mieszkania. Zygmunt wprowadził ją tam z bijącym sercem, rozrzewniony, jak gdyby była narzeczoną, rozpoczynającą nowe życie. Pragnął, by ją na progu owiały wszystkie jego troskliwe myśli o niej, wszystkie marzenia o jej szczęściu i spokoju wśród tych ścian.

Dwa fotele stały przed kominkiem tak, jak je postawił, roślin z pięknym liściem pełne były kosze.

— Jakże tu ślicznie! — powtarzała Józefa — jak mi tu będzie dobrze, jaka ja tu będę szczęśliwa!

Osadziwszy swojego „dobrego anioła” w Obrowcu i dawszy mu lekcye panny Idalii, oświadczające z nowym obowiązkiem, Zygmunt, naglony przez Manię, musiał pomyśleć o podróży do Warszawy. Naznaczył ją na połowę grudnia. Przychodziło mu do głowy wysłanie Mani samej, jakkolwiek czuł całą niestosowność takiego pomysłu. Chociaż... czy to nie było wszystko jedno, czy Mania bawiła się i czas na niczem traciła sama, czy też miała dla decorum obok siebie znudzonego męża?

— A gach — myślał z ironią — a kochanek, to wieczne niebepieczęństwo, zawieszony nad głową młodych kobiet! Ha, Mania gotowa zapewne była wziąć go dla zabawy, dla rozrywki, dla zmiany, a on, mąż, musiał pilnować i strzedz, by do tego nie doszło! To był jego obowiązek i to jest przecie najgłówniejsze zajęcie, jakie go czekało w Warszawie. Na tem musi spędzić trzy miesiące zimowe, śledząc bacznie i oglądając się na wszystkie strony, który z próżniaków, otaczających jego piękną żonę, ma największą szansę zabawienia się z nią w miłość. Co za rola wstrętna podejrzliwego męża! Musi on jak smok pilnować skarbu! O, bo to skarb! Takiej płci jasnej, takiej atlasowej skóry, takich ust rumianych nie znajduje się na każdym kroku! Wszak nieraz podsłuchiwał słów: „szczęśliwy człowiek” odnoszących się do niego ze względu na piękność Mani. Szczęśliwy człowiek! Niech więc swego szczęścia strzeże jak oka w głowie, by czasem nie spłynęło w ramiona innego mężczyzny. Niech opuści wszystko inne, wszystko, co ma za swoją powinność, bo jedne rumiane usta mogą w pocałunku przystać do innych ust...

Na to przypuszczenie, zazdrość poruszyła sercem Zygmunta. On już nie kochał Mani, ale była jego własnością i nie odstąpi jej nikomu

innemu! Głupia, nędzna natura ludzka! Samemu odsuwać się uczuciem coraz więcej od kobiety, a drzeć na myśl, że ktoś inny uczucie to dać jej może!

Kajdany! kajdany! I ma to swoje głębsze znaczenie, niż pospolite pojęcie, przywiązane do tego wyrażenia. Kajdany! Nietylko prawo je tworzy. Wiązą się w nie jakieś nici tajemnicze, w najciemniejszych głębiach duszy. Często składają się na nie najuielociczniejsze, najsprzeczniesze uczucia. Wszystko zresztą jest nędzą i nielogicznością w sercach ludzkich.

Zygmunt obiecywał sobie tak wiele po uczuciu ojcowstwa, że go rzeczywistość zawiodła. Ta maleńka, bezwładna, automatyczna istota, którą zwykł odwiedzać codziennie po parę razy, tak mało była podobna do chłopca o złotem sercu i żelaznych mięśniach, o którym marzył, że wobec niej czuł tylko interes względny, dotyczący raczej przyszłości... Dziecko było takie brzydkie, choć wszyscy mówili, że śliczne! Maleńka, pomarszczona, krzywiająca się buzia... ciało niekształtne... Nie rozumiał prawie, że stara matka jego obsypywała to stworzenie pieścotami i najczulszemi słowami. Pani Bielmońska nie opuszczała Zarębia. Ułożono się, że gdy Zygmunt z żoną wyjadą do Warszawy, ona zostanie przy dziecku, które do chrztu trzymała i któremu poświęcała większą część czasu swojego.

Tak, jak to Zygmunt przewidywał, w mieszkanku Józefy zamieszkała jej dusza. Gdy do niego wchodził, czuł się odrazu owianym innym powietrzem. Prawie codziennie wpadał tam na chwilę wieczorem, gdy po zamknięciu rachunków i kasy Józefa była wolna od pracy. Zwykle sam rozpałał ogień na kominku, gdy ona patrzyła na niego tym wzrokiem, który teraz sam przed sobą nazywał „talizmanem” swoim. Wśród zajęć dnia, układów z interesantami, uwag nad złym humorem Mani, czuł w sobie coś odrębnego, co być jakby jego prawdziwym tajemnym życiem, ogniem wewnętrznym, czuł chwilę, w której wieczorem znajdzie się u Józefy. To był jego *talizman*, jego *kawalek nieba*, *zwootka poezyi* w jego prozaicznym życiu.

Bytność jego codzienna u Józefy trwała zwykle chwilę tylko. Mówili o ubogich, nazywających teraz Józefę „pani kasyerka” i przychodzących do niej z zaufaniem, o książkach, których sobie wzajemnie udzielali, czasem jakieś zagadnienie ogólniejsze zajmowało ich myśli. Nie mówili już ani o przyjaźni wzajemnej, ani o żadnych zobowiązaniach, jakie na nich nakładała. Nie wątpili o sobie.

Powoli duchowe życie Zygmunta przeniosło się zupełnie do Obrowca. Gdy teraz czytał coś zajmującego lub pełnego talentu, co jego umysł jakby płomieniem obejmowało, nie oglądał się już wkoło siebie z tęsknotą za bratnim duchem, zdolnym pojąć zachwyt jego

lub wzruszenie, ale myślał zaraz o swej wieczornej wizycie, o chwili, w której zawiezie Józefie książkę i przeczyta jej ten rozdział... ten ustęp... podzieli się z nią tą lub ową myślą. Dla Józefy zakresłał czytając i naprzód odczuwając wywołane w niej wrażenie. Coraz bardziej opanowywał go czar dzielenia z kobiecym, subtelnym i pełnym intuicji umysłem myśli i poglądów własnych. Czuł w sobie obudzony na nowo interes życiowy i rozkosz bycia młodym.

Niewdzięczność ludzi, którym chciał zapewnić przyszłość, ich ucieczka do Brazylii, była zawsze dla niego kwestyą bolesną, ale przestała być mu ciągłą trucizną. Zaczynał poznawać nowych ludzi i interesować się nimi, obmyślać znowu kasy pożyczkowe, wsparcia i wygody życia. Razem z Józefą układali projekta i wprowadzali je w życie.

---

Z Warszawy, gdzie nareszcie osiadł z Manią na zimę, przyjeżdżać miał na dwa dni w tygodniu do Zarębia. Bez tego nie mogły obejść się jego interesa. Przystępując próg mieszkania, które Felcia najęła, powiedział sobie, że pięć dni, długich pięć dni próżniactwa i nudy w każdym tygodniu, poświęci na bawienie żony i na pilnowanie, żeby zabawa trzymała się granic kokieterji godziwej, to jest tej, która wszystko obiecuje, ale którą od spełnienia obietnic ustrzedz musi nadzór i opieka. Będzie tu miał czas po temu! Wszak dla roli „chińskiego smoka”, straszącego nieprzyjaciela, znajduje się tu przy boku żony. Żony? Często teraz zapytywał siebie ze śmiesznym przestrażeniem, czy ta kobieta była doprawdy żoną jego. Tak sobie niegdyś sam wyraz *żona* i istotę, na którą nim zawołał, wyidealizował, że teraz nie mógł z marzeniem pogodzić rzeczywistości. Chłód i spokój kamienny nie odstępowały. Propozycje Mani, tyjące się zabaw i urzędzenia domu na stopę wykwintną, spotykały się najczęściej ze słowami nawpół obojętnymi, nawpół roztargnionymi:

— Dobrze, jak chcesz!

— Jak się twój mąż zmienil!—mówiła Felcia do Mani.—To teraz inny człowiek!

— Widzisz, jakem go przez dwa lata przerobiła. Trzeba tylko umieć wziąć się do rzeczy. Zobaczysz, że go powoli tak ugłaskam, tak go wytresuję, że się stanie ideałem męża. Co ja z nim miałam z początku!

— Co, sceny zaraz w miodowym miesiącu?

— Nie, miesiąc miodowy był najnudniejszy. Nie widywaliśmy nikogo i on był taki czuły, taki słodki, jak lukrecya. Mówię ci, nuda

bezwierna; ciągle pocałunki już mi się wtedy przejadły!... Na śniadanie, na obiad, na kolację, zawsze tylko czułość i admiracya! I poetyczne zachwyty, i porównania rąk moich z różanemi listkami, a oczu moich już nie wiem z czem... Ale byłam cierpliwa, jak anioł... Potem cierpliwości mi zbrakło, gdy mi zaczął mówić o „bratnich duszach“, o „wspólnej pracy“, o życiu „z oczami utkwionemi w cel jeden“, o kształceniu się wspólnem, o czytaniu poważnem i o *ludzie!* Bo ten *lud*, to jego choroba! Dobrali się z Józją, która też zawsze jakichś obdartusów protegowała. Więc wyobraź sobie, ja miałam „kochać lud.“ Szeroko miałam sobie wykładane, że powinnam go poznać, przypatrzeć się nędzom jego, życiu jego... że obowiązkiem moim jest to i owo... nosić lekarstwa po chałupach, zaglądać do szkółki... no, nie wiem... uczyć abecadła! Na początku zeszłej jesieni brał mię, jak ofiarę swoją, sadzał przy sobie i czytywał mi takie nudziarstwa, żem ziewała, a wkońcu spałam, jak zabita! No, wyobraź-że sobie takie wieczory, spędzane we dwoje na czytaniu! To można oszaleć. Pomyślałam sobie nareszcie: „Eh, tak dalej być nie może...“ i jakem zaczęła po swojemu, tak pan mąż tańczy teraz tak, jak mu zagram! Już niema nigdy między nami mowy o „kochaniu ludu.“ Prawda, ten ludek zrobił mu niespodziankę, bo się wyniósł do Brazylii, zebrawszy się poprzednio w rodzaj zbuntowanej kupy i powiedziawszy Zygmuntowi kilka frazesów mało parlamentarnych. I to, zdaje mi się, trochę go oblało zimną wodą, dość, że powoli przerobiłam go na swoje kopyto.

Mania mówiła to wszystko lekko i z pewnym rodzajem oryginalnego wdzięku. W jej pięknych ustach cały ten dramat, opowiedziany żartobliwie, wydawał się wesołą zabawką.

— Ja wiedziałam, że się tak skończy—mówiła Felcia.—To tylko brzydkie żony mają czasem krzyż pański z mężami. Chyba, że są bardzo bogate. Ale, ale... wiesz, Edzio... żeni się z panną z Ukrainy, córką marszałka Obelskiego, brzydką, ale podobno krociową. Dzień ślubu już naznaczony.

Mania spłonęła rumieńcem na wspomnienie Edzia. Był to jeden z tych rumieńców, które okrywają podstępnie lica młodych kobiet, gdy te ostatnie przypuszczają, że ktoś w ich obecności wymówił umyślnie imię, które je żywiej interesuje.

Mania, czytając czasem w powieściach historię rozdziału dwóch serc, wyobrażała sobie przez chwilę, że to były dzieje jej i Edzia, że ich rozłączył los nieubłagany, że ta bohaterka, znosząca katusze, to była ona sama. Te chwile przelotnego marzenia i pozowania przed sobą na heroinę romansu były skromną daniną, składaną przez Manię światu mistycyzmu i wyobraźni. Pozytywne rozmyślenia o kombinacjach toaletowych i projektach rozrywek rozpraszały prędko te ma-

rzenia i umiały je zdmuchnąć tak lekko, jak wiatr morski zabiera słomkę z pokładu. Jednak powoli dorywcze rojenia, których źródło zdawało się znajdować w wezglowiu szezlongu, na którym do czytania kładła się Mania, zdołały wreszcie zająć część jej głowy, gdyż teraz, gdy Felcia wymówiła imię Edzia, rumieniec, któremu Mania zadziwiła się sama, wywołał je w jej pamięci. Edzio tak się pomieszał w jej głowie z bohaterami, którym było na imię Raul, Gaston, lub Robert, że postać jego przybrała w jej umyśle jakieś kształty niepewne i mgliste.

— Bardzo zakochany?

— W jej krociami! On tu lada dzień wpadnie... przecie jego dawna miłość, to ty!

Mania odęła usta.

— O, przy konkurach nie stanie mu czasu na stare znajomości!

— A słyszałaś, co mówią o starszej siostrze Edzia?

Mania z młodemi kobietami, z którymi się spotykała, przepędzała czas na owych typowych rozmowach, w których żądza zabicia czasu łączy się z chęcią obmówienia bliźniego i poznania wszystkich spraw jego, mianowicie tych, które-by chciał w tajemnicy zachować... Miała swój dzień, w którym przyjmowała. W dniu tym i Zygmunt nie opuszczał salonu. Wychodził do progu naprzeciw gości, a następnie do progu ich odprowadzał. Panie i panowie zasiadali na chwilę i powtarzały się po tysiąc razy słyszane komentarze, o jakimś małżeństwie zawierającym się, o spodziewanym lub odbytym raucie lub balu, o jakiejś ekscentrycznej toalecie, o słówku lub dowcipie modnym w obecnym sezonie. Po chwili wychodzili jedni goście, wchodzili drudzy, którzy z małemi wariantami powtarzali to samo. Jedni drugich obmawiali, o ile można dyskretnie, lecz jednocześnie, o ile można, głęboko. Sztylety chowano między róże, wedle starożytniej tradycji.

Zygmunta dławiała nuda. Nauczył się na pamięć uśmiechów i ruchów niektórych pań, pozy niektórych panów, a potem to wszystko dużyło go, jak wstrętna potrawa, której przełknąć trudno.

— Jak wy możecie tak żyć?—zawołał raz, gdy Mania z Felą obmawiały przyjaciółki i przyjaciół swoich.—Nie robić nic, nic! Ubierać się, rozbierać się i obmawiać bliźnich. Toć ja nie wiem, czyście choć jedną osobę z waszego towarzystwa oszczędziły!

— Przecież im to nic nie szkodzi, że się trochę z nich pośmiejemy—odparła Felcia.—Cóżby się nareszcie na świecie robiło, gdyby nie można było dotknąć śmieszności ludzkich? A pan-by wołał, żebyśmy mówiły... no, o czym? Założmy się, że zgadnę... o „ludzie,“ o „zadaniu niewiasty, jako kapłanki ogniska domowego.“ Ha, ha, ha! Prawda? Jakież to nowy i zajmujący temat! A co to takich zabawnych przed-



miotów się przedstawia? Maniu, mówmy o *cnocie*, o *zastudze*, o *pracy*! Ha, ha, ha! to-byśmy się ubawily! Pan to pewno rozmyśla, dajmy na to... o niewoli Murzynów afrykańskich, albo o osadach rolnych, gdy my tu trochę plotek warszawskich Mani znosimy... Niewinne ploteczki! Tylko tyle, ile potrzeba, żeby nie umrzeć z nudów! Panowie macie swoje winty ukochane, swoje kluby, a my co? Plotki i trochę tego flirtu, a i to idzie, jak z kamienia!

— Plotki, czy flirt?

— Naturalnie, że flirt. Każdy woli karty, albo tam jakieś... niż kobietę z towarzystwa.

— O, niewdzięczni!

— Poprostu im się nie chce, bo to trzeba trochę zachodu, trochę kłopotu... trzeba czasem wyrzec się winta lub baka, albo przyjacielskiej kompanijki... trzeba być na usługach... towarzyszyć na koncert, do teatru... znosić kwiaty, nowości muzyczne... zgadywać myśli... to wszystko praca dla tych apatycznych próżniaków... Zresztą, ja panu powiem... oni się boją poprostu.

— Czego? Cnoty tych pań?

— Ale gdzież tam! boją się, bo to przecie różne rzeczy się zdarzają. Wystrzały, pojedynki, sceny, rozwody... słowem, nie mają tej odrobiny odwagi, jakiej koniecznie potrzeba przeciętnemu donżuanowi. Powiadam panu, wolą spać spokojnie, po mieszczańsku, niż mieć myśli zakłócone możliwością takiej brzydkiej i niemiłej zabawy, jak pojedynek amerykański.

— Więc ci panowie boją się poprostu mężów? Boże, boją się tych nieszkodliwych istot, tych ludzi, dobrze wychowanych! Wybaczcie mi panie, ale ochota donżuanów musi być bardzo słaba, skoro siły nasze mizerne wystarczają do jej odparcia!

— Mówię panu, że tak jest!—wołała, zapalając się Felcia.—Tchórzostwo sprawia, że są nieporuszeni, jak skały! Trzeba-by miny pod nich podsadzać!

— Ah, moje panie, jakże was żałuję!

— Pan mówi z ironią! Przecie ja niczego złego nie miałam na myśli! Flirt, to sobie taka zabawa, jak każda inna, ale trzeba na to koniecznie dwojga ludzi. Zresztą, jakim sposobem można dać dowód cnotliwości kobiecej, jeżeli się nie było zdobywaną, jeżeli nikt tej cnoty nigdy na próbę nie wystawił!

— Aa... cel jest tak szlachetny, że macie panie moje całe uznanie i sympatyę!

Mania wszakże skarżyć się nie mogła. Jej piękność tak ją z ogółu młodych kobiet wyróżniała, że wszędzie jej dawano pierwszeństwo. Widocznem to było szczególnie na wieczorach tańczących, które ją

upajały. Za grube pieniądze dostarczano jej tak szczęśliwie pomysłanych toalet, że stały się sławne. Opisywane były w „Kuryerze“ i wzbudzały zazdrości kobiece. O każdej mówiło się bez końca. Młoda kobieta była uważaną za najszczęśliwszą istotę na ziemi. Dziwiono się trochę, że opuściła dziecko... ale je przecie zostawiła pod opieką matki mężowskiej...

Na jej horyzoncie był mały, czarny punkcik. Podobno panna, o którą starał się Edzio, zasłyszawszy o jego dawnej miłości, dała mu do zrozumienia, że gdyby osmielił się powrócić do Mani, krocie jej pozostały-by dla niego rajem niedoścignionym. Edzio więc unikał Mani, nie bywał w jej domu, a spotkany czasem na chwilę, był grzeczny, ale sztywny.

Felcia zapytała go po prostu:

— Panie Edziu, pan jest do najwyższego stopnia niestały. Gdzie się podziała wielka miłość pana dla Mani?

— Pani Bielmońska jest zanadto piękna i zanadto powabna—odrzekł Edzio sztywno,—żeby można było zbliżyć się do niej bezkarnie. Zatem uciekam od niej.

— Ah, to przez cnotę? Zawsze mówię, że jesteście tchórze i koniec!

— Ja się z tem nie taję, że się boję pani Bielmońskiej. Bardzo się jej boję i dlatego właśnie w domu jej nie bywam.

Uciekał od Mani ostentacyjnie. To drażniło i gniewało młodą kobietę. Czasem tupała nogą z gniewem, myśląc o pozie Edzia. Felcia powtórzyła jej słowa jego, wcale tem nie wpływając na jej uspokojenie. Mania nie badała w tym razie swych uczuć, nie powiedziała sobie, że pragnie miłości Edzia, a mniej jeszcze zeznawała przed sobą, do czego-by ta miłość doprowadzić mogła; ale była gniewna i rozdrażniona. Gdy go spotkała, miała dla niego dumnie odęte usta, spojrzenie, jak lód zimne, i uszczypliwe słowa. Spotykała go wszakże bardzo rzadko i jakos tak się zdarzało, że go na ulicy npatrywała napróżno.

Edzio nie odstępował swojej marszałkówny. Miał długie; wierzyciele ścigali go i zatruwali mu życie. Nie było żartów, trzeba było dobić targu, a z Manią unikać nawet najłżejszych pozorów.

Spokojna, zimna głowa młodej kobiety zapalała się coraz żywiej. Żądza podobania się innym wzrastała z myślą, że Edzia dochodzą zapewne wieści o jej tryumfach, o jej piękności, o jej toaletach. W teatrze udawała, że nie widzi Edzia w łoży Obelskich, ale dla niego promieniała pięknoscią i ubiorem, dla niego rzucała uśmiechy innym, dla niego przynosiła do teatru taki duży bukiet fijołków, że zapach ich dochodził aż do łoży rodziny marszałka. Narzeczonej Edzia rzucała spoj-

rzenia dumne i tryumfujące, bo panna była brzydka, a Mania w poczuciu swej piękności czuła się wielką panią, gdy tamta była nędzarka.

Zygmunt towarzyszył Mani wszędzie, o ile znajdował się w Warszawie. Obracał się wśród stosunków nie go nie interesujących, mając swój „kawalek nieba“ w duszy i czując go tem wyraźniej w każdej chwili. Często, patrząc na ludzi otaczających go, myślał:

— Czyżby każdy z tu obecnych miał tak, jak ja, duchową tajemnicę, której strzeże przed okiem ludzkim... której nikt się nie domyśla... taką skrytkę z zakopanym skarbem, o który drży w dzień i w nocy? Czy przeznaczeniem ludzkim jest to kłamanie czynów uczuciu i uczucia czynom... to podwójne życie, w którym myśli i marzenia idą inną drogą, niż słowa i czyny? Czy każdy musi znosić upokorzenie dwulicowości i czy każdą duszę na tortury kładzie żądza prawdy, której życie wciąż zaprzecza?

Na dwa dni w tygodniu wykradał się do Zarębia, jak uczeń, jadący na wakacje. Chciał-by był przyspieszyć godzinę odejścia pociągu... serce mu biło na odgłos trzeciego dzwonka... Gdy dojeżdżał do Wardzyna, stacyi, na której czekały go konie, wyglądał przez okno, upatrując swego furmana... Wyskakiwał z wagonu, jak człowiek, biegnący do szczęścia. Musiał jechać przez Obrowiec, i choć była już godzina dziesiąta wieczorem, gdy przejeżdżał pod oświeconemi oknami Józefy, wstępował do niej i prosił o szklanekę herbaty.

Przyjmowała go uśmiechem. Mówiła mu zaraz o matce, którą często odwiedzała, o małym Jasiu, o swoich chorych, o swoich protegowanych...

W chwili, w której przestępował jej próg, uciszała się w nim wszelka walka, gasł niepokój, niecierpliwość i oczekiwanie. Było mu dobrze, dobrze! Niczego więcej nie pragnął, jak gdyby był rozbitkiem, którego-by nagle otoczyły rodzinne, ukochane ściany. Czasem stawał się dziwnie małomówny. Pozwalał Józefie służyć sobie, nalewać herbatę... Nie zrywał się dla odebrania jej filiżanki z rąk, noża, którym małemi swemi rączkami krajała dla niego chleb, patrzył tylko na jej ruchy, na jej postać...

— Co za dobra rzecz przyjaźń—rzekł raz do Józefy,—człowiek czuje się bezpiecznym... ufa i wierzy... Żebym był wolnym i kochał się w tobie, starał się o ciebie, tobym przed tobą pozował na usłużność, na dowcip... a ja sobie zasiadam u ciebie po mieszczańsku i pozwalam ci usługiwać... Nie stroję się do ciebie, nie usiłuję wydać ci się ani piękniejszym, ani lepszym... Grzech śmiertelny-bym ci wyznał, wziął-bym od ciebie jałmużnę bez upokorzenia... Moja miłość własna nie cierpi od żadnej prawdy, wychodzącej z ust twoich...

Józefa bywała teraz tak wesola, jak jej nigdy nie widywał dawniej. Lada drobiazg wywoływał jej uśmiech, będący błyskiem, ożywającym jej twarz, a nigdy wybuchem głosu, jak u Mani. Zajęcia jej nowe zajmowały ją. Była szczęśliwa, że mogła im zadosyćuczynić. Miała między rodzinami robotników coraz więcej znajomych. Ludzie przychodzili do niej ze swojemi nędzami.

— Tylko już nie wiem, co mam robić z jajami! Nie mam ani jednej kury, a jaj bez liku.

— Znoszą ci jaja? Wdzięczność chłopska dla człowieka, jadającego mięso, zawsze w mendel, pół kopy lub kopę jaj się przemienia.

Przywoził Józefie nowe wydawnictwa, książki...

— Jakie to jest okrucieństwo losu, że ja z tobą nie mogę spędzić wszystkich zimowych wieczorów... Tyle jest książek, które-bym koniecznie chciał przeczytać razem z tobą... są nawet takie, których bez ciebie za nic w świecie czytać nie chcę. Mam już długą listę tytułów.

— I kiedyż to mają przyjść te zimowe wieczory, które będziemy spędzać razem?—pytała nawpół smutno, nawpół żartobliwie Józefa.— To już chyba będzie w drugim życiu.

— W drugim także, Józiu, o naturalnie, że i w drugim, ale jeszcze i w tem musimy te wszystkie dzieła przeczytać razem. Dam ci ich spis i przyrzekniesz mi, że żadnego z nich nie ruszysz beze mnie.

Zygmunt przyjeżdżał zwykle w sobotę. Całą niedzielę przebywała zawsze Józefa w Zarębiu. Jechano razem do kościoła, potem przychodził tłum interesantów, przyjeżdżali rządcowie, Zygmunt miał pracę do samego wieczora. Wieczór spędzał między matką i Józefą i to była jego nagroda za wszystkie przymusy warszawski.

Na jednym z przyjęć Mani znalazła się strawa rzadka—nowa, bardzo sensacyjna plotka. Pewna panna, przebywająca przy zamężnej siostrze, uciekła naraz ze szwagrem do Ameryki.

— To nie pierwszy w świecie wypadek podobny!—wołała Felcia,— już słyszałam o kilku takich, co woleli siostrę żony, niż żonę!

Przy słowach Felci w duszę Zygmunta zapadł jakiś ciężar, którego cały dzień pozbyć się nie mógł. I on wołał siostrę żony, niż żonę. Nie myślał uciekać do Ameryki, kochał Józefę tylko gorącą, fantastyczną przyjaźnią, ale ta przyjaźń była dziś jego zbawieniem, jego radością i jedynem uczuciem, przywiązującym go do życia. Wołał siostrę żony, niż żonę, i Felcia mogła go śmiało zaliczyć w poczet tych, o których mówiła! Ta panna, uciekająca ze szwagrem do Ameryki, powracała mu na myśl, nurtowała jego umysł! Aż się na siebie gnie-

wał, że jej zapomnieć nie mógł i że od tej ucieczki jakiś cień zdawał się rozciągać aż ku niemu. Co on mógł mieć wspólnego z tą parą, okrywającą rodzinę skandalicznym rozgłosem? Jak śmiał myśleć o Józefie łącząc z myślą o tej awanturze? Ruszał ramionami, zdumiony dziwactwem własnej wyobraźni, ale, pomimo to, słowa Felci wracały mu do myśli i jakaś gorycz wyrastała z nich i zalewała mu serce. Potem nagle nastąpił w nim bunt samolubny przeciw wszelkim krępującym go więzom. A więc tak! Wolał siostrę żony, nietylko niź żonę, ale niź wszystko na świecie, i było mu to wolno! Nie czynił tem nic złego nikomu! Wszak siedział przy żonie przez pięć dni w tygodniu, a gdy wracał do Zarebia, załatwiał interesa, wypłaty, wydawał dyspozycye... Z Józefą spędzał tak mało czasu! Cóż był winien, że te krótkie chwile były mu wszystkim? Każdy potrzebuje przecie żyć dla czegoś na świecie. On żył dla przyjaźni swojej z Józefą i już teraz żyć inaczej nie mógł.

Gdy następnej soboty zatrzymywał się o dziesiątej wieczorem przed domem Józefy, ujrzał przechodzącą śpiesznie obok siebie parę. Przy blasku księżyca poznał chemika cukrowni, wracającego z żoną z jakichś odwiedzin i kłaniającego mu się nisko. Na twarzy tych ludzi zdał mu się igrać uśmiech złośliwy, w ich oczach ciekawość i złe uczucie, będące zadowoleniem z odkrytej tajemnicy bliźniego. Krew uderzyła mu do głowy; gniew, ból, żal, szarpnął jego piersi. Dlaczego ci ludzie uśmiechali się złośliwie? Więc oni śmieli!...

Wbiegł do Józefy, lecz już jej nie przyniósł radości, z jaką tu jechał, a i jej uśmiech zamarł na ustach, gdy na niego spojrzała. Po gorącym rumieńcu bladeść okryła jego policzki i sinemi obwódkami podkroiliła mu oczy. Józefa patrzyła na niego, nie mając odwagi o nic pytać. Usiadł milczący przy płonącym ogniu, w ogień zapatrzony, z zaciętymi ustami. Nie był jeszcze zdolny nad gniewem zapanować. Ludzie śmieli może dotknąć podejrzeniem najczystsze, najświętsze uczucie, jakie było na ziemi, uczucie, ratujące dwie dusze od osamotnienia, dwom duszom dające odwagę do życia! Czego oni się domyślali, co podpatrywali? Więc może sądzili, że on kochał Józefę namiętnością, że biegł do niej jako kochanek... że on, który pragnął jawności, prawdy w życiu, kochał siostrę swej żony miłością występłą? O podli, nędzni ludzie, nie mogący nawet przypuścić uczuć czystych, nie mających na celu grubego zadowolenia! Spojrzał na Józefę, która, milcząc, podawała mu herbatę. Przez długą chwilę wzroku z niej nie spuszczał. Śmiano może pomawiać ją!... Prawda, ona była ładna, pełna fizycznego wdzięku, ale on nic o tem nie wiedział. Kochał duszę tej kobiety! To, czego doznawał, zeniąc się z Manią, to było inne uczucie: kochał jej białe ciało, jej czerwone usta; ale ta kobieta, która była starsza od jego żony,

której blada twarz nie miała już świeżości młodzieńczej... Ludzie chcieli mu zatruć najpiękniejsze uczucie... takie, z którego był dumnym, bo mu dawało same czyste rokosze! Ale może mu się tylko zdawało! Chemik i jego żona mieli na ustach uśmiech, wywołany rozmową o czem innym, ani myśleli podejrzewać Józefy, a jemu tylko został w duszy jakiś strach, zbudzony opowiadaniem o owym występny szwagrze... Z pewnością tak było! Ludzie nie złego nie myśleli, tylko on im przypisywał podejrzliwość!

— Józiu, czy ty bardzo dbasz o sądy ludzkie?

— Jakoś nigdy nie myślę o tem, co ludzie powiedzą... Przecie nie mówią, że ja myślę o ucieczce do Ameryki z twoją kasą?

— O ucieczce do Ameryki?

Zygmunt usiłował się śmiać, ale właśnie ostatnie słowa Józefy przypomniały mu inną ucieczkę i zawołał z gniewem:

— Obmowa, to rzecz straszna, bo nieuchwytna... to taka broń, z którą niema walki! Łatwo było błędnym rycerzom bronić honoru swych dam, gdy nikt na ten honor nie napadał, ale gdzie szukać kłamliwego słówka, które wyrzekły nieżyczliwe usta i które, rosnąc, powtarzane jest przez ust tysiące?

— Nie gonić za niem, nie chwycić, pogardzić niem!

— Masz słuszność, Józiu, pogardzić niem, nie myśleć o niem, iść swoją drogą, zapomniawszy, że kiedykolwiek wyrzeczonym zostało!

Pomimo tego wykrzykniku, czuł ból wewnętrzny, świadczący, że nie tylko słówka obmowy wyraźnej, ale uśmiechu podejrzanego nie będzie mógł zapomnieć.

— Muszę cię pożegnać, Józiu.

— Tak prędko? Nie możesz mi już ofiarować ani jednej chwili?

— Muszę dziś wcześniej być w domu.

Kłamał. I tak niepotrzebnie!

Zaledwie był za progiem, poczuł to dobitnie. Poco tak śpiesznie uciekał z jedyne miejsca, gdzie mu było dobrze? Zostawił tam wszystkie myśli i pragnienia swoje, a sam, nie wiedzieć dlaczego, uchodził jakby przed wyrzutem sumienia. Czy dłużej, czy krócej przebywał u Józefy, było to wszystko jedno. Dla obmowy ludzkiej wystarczał cień pozorów. Wszak go zapewne widziano wysiadającego przed domem kasyerki, wchodzącego do jej mieszkania? A czy przebył w niem godzinę mniej, lub więcej, było wszystko jedno. On jednak skłamał swej przyjaciółce, że się śpieszył do domu, skłamał przed sobą potrzebę ucieczki. Furmana nie było przed domem, zapewne pojechał był do zajazdu na kieliszek wódki, więc Zygmunt podniósł wzrok ku oknom Józefy, wyteżając myśl ku niej i mówiąc jej wzruszone, rozrzewnione: „Dobranoc.“ Tak, niech jej noc będzie dobra, spokojna, cicha... niech

przed usnięciem nie dotknie jej umysłu żadne smutne wspomnienie, żadna obawa o jutro! Jej jutro, on, Zygmunt, miał w swoich rękach, bo je mógł i chciał otoczyć wszystkim, co jedna dusza ludzka drugiej dać może. On będzie przed jej progiem stał na warcie, by tego progu nie przestąpiło żadne słówko uchybienia dla niej. Niech śmiało oprze rękę na jego ramieniu, bo to ramię uczciwego człowieka!

Podczas tego rozmyślania doleciał uszu jego jakiś szelest. Był to przebiegający pies, ale Zygmunt drgnął całym ciałem i poprzednia obawa ogarnęła go. Jak iskra elektryczna umysł jego przebiegła myśl, że go ktoś widzi stojącego z okiem utkwionem w okna kasyerki. Boże, on się lękał własnego cienia!

Józefa pozostała zaniepokojona jego zachowaniem się i słowami. Dotknęła go jakaś obmowa? Jaka? To pewno Mania popełniła jakąś niedorzeczność, dała jakieś pozory, które urosły na plotkę!

Zygmunt poszedł ku zajazdowi, gdzie się spodziewał zastać furmana. Bał się własnego cienia, prawda, ale gdy kto ma w jakim kąciaku na ziemi wielkie szczęście, przy którym może się od czasu do czasu ogrzać, jak przed płomieniami kominka, to się o to szczęście lęka w dzień i w nocy... drży, jak matka o jedynaka... Bo gdyby mu to szczęście odjętem zostało... Nie, czegoż się on bał, czego drżał? Był po prostu śmieszny i zdenerwowany.

Następnej soboty nie wstąpił wcale do Józefy. Już na stacyi powiedział furmanowi, by jechał, co koń wyskoczy, prosto do Zarębia, nie zatrzymując się w Obrowcu. Przejeżdżając, spojrział tylko w górę na światło jej lampy. Przecież takiego spojrzenia nikt nie mógł wziąć za asumpt do podejrzeń? Gdyby je nawet widziała żona chemika...

Przywitał się z matką z roztargnieniem, zamysłony spożył kolację i wcześniej poszedł do siebie, nie zajrzawszy do kołyski śpiącego syna. Cierpiał i nieznośnego niepokoju pokonać w sobie nie mógł. Wystawiał sobie Józefę, czekającą na niego z herbatą, nasłuchującą jego przyjazdu, zawiedzioną za każdym turkotem, wyobrażającą sobie może, że był chory i nie mógł przyjechać, lub że wstąpić nie chciał! Tak też było. On wstąpić nie chciał, a teraz tęsknił bez miary, z siłą dotąd mu nieznaną, do tej jedynej! Jedyna? On miał żonę, dziecko, matkę... Nagle złożył głowę na rękach wspartych o biurko, przy którym siedział, pierś jego podniosła się czemś bardzo podobnem do łkania i zawołał z mieszaniną bólu, radości, zadziwienia, trwogi i oczekiwania:

— Jedyna!... Bo ją kocham, kocham, kocham!

Nazajutrz wyszedł naprzeciw Józefy sztywny i zimny. Nigdy go takim nie widziała. Przywitał ją konwencyonalną formułką. Nie mógł wczoraj zajechać, bo...

— O, skoro cię widzę zdrowym... Przecie nic złego się nie stało? Mania dobrze się ma?

— Doskonale. Tylko się tu tyle zajęcia nazbierało... same listy, które zastałem w Zarębiu... dziś mam pracę tak absorbującą...

Józefa rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, które aż na dno jego duszy zstępowało. Czyżby ona poczuła, że udawał i wykręcał się?

— Żałuję, że ci w pracy pomódz nie mogę—rzekła z prostotą.

W godzinę potem, gdy siedział w swym gabinecie, nic nie robiąc, zamysłony, z oczami zapatrzonemi w przestrzeń, a nic nie widzącemi, weszła do niego z dzieckiem na rękę. Jaś był taki śliczny, taki rumiany po śnie, że nie mogła oprzeć się pokusie pokazania go ojcu.

— Patrz, jak się do ciebie śmieje!

Podniósł ku niej wzrok zamysłony i, milcząc, śledził jej ruchy, gdy huśtała dziecko, nucąc.

— Masz zupełnie miłą młodą, szczęśliwą matkę, Józiu — rzekł jakimś głosem, który mu się urwał przy końcu zdania.

Własne jego słowa zadławiły go, bo po raz pierwszy, jak ostrze, przeniknęła go myśl, że to dziecko mogło być jego i Józefy dzieckiem, że ta kobieta, uśmiechnięta radośnie, mogła być jego... Krew uderzyła mu do głowy, niosąc jego wyobraźni dokładne widzenie raję, który utracił na zawsze. Ta kobieta z dzieckiem na rękę! Przestraszył się. Żeby tylko Józefa nie dostrzegła cierpienia na jego twarzy i tego dziwnego pomieszania.

— Józiu — ozwał się stłumionym głosem, — mam doprawdy myśl tak skłopotaną, że nie mogę się zająć nawet Jasiem.

— Chodźmy, Jasiu—rzekła Józefa do dziecka, tuląc je do siebie,— tatusz nas nie chce, wypędza nas, obejdziemy się więc bez niego.

— Możeby się ona mogła obejść beze mnie — myślał Zygmunt z niewystowionym bólem,—ale ja, czy się potrafię obejść bez niej? Ja siebie oszukiwałem w dobrej wierze... wmawiałem sobie przyjaźń dla niej... schodziłem powoli po pochyłości, łudząc się ciągle... Dziś widzę, że ją już od dawna kochałem! A teraz co czynić dalej? Wyznać jej wszystko i tym sposobem wypędzić ją stąd?

Już w chwili, gdy w myśli czynił sobie to zapytanie, podniósł się w nim jakiś szal przestachu. On miał istnieć bez Józefy? W ślad za przestachem stanęła w nim nagle, bez przygotowania, jakaś moc, która była buntem wszystkich jego sił żywotnych. Józefa zostanie przy nim, zostać musi, bo on tak chce! Choćby z całym światem miał stanąć do walki, choćby miał utracić wszystko! Przecież ona jedna jest mu konieczną do życia. Wszystko inne jest niczem! Wszystkiego wyrzec się może, tylko ona mu zostać musi!



A więc będzie znowu kłamał. Będzie udawał, że wszystko między nimi pozostało na dawnej stopie, że dobra, słodka przyjaźń jest jedynym jego uczuciem dla niej... Niczego wreszcie więcej, prócz przyjaźni, od niej nie żąda, niczego więcej nie potrzebuje. Być z nią pod jednym dachem przez jeden dzień w tygodniu, widzieć ją, tak, jak przed chwilą, z jego dzieckiem na ręku... mieć jej przywiązanie, jej ufność, jej spojrzenie... słyszeć jej głos, widzieć jej twarz rozblyskującą przy uśmiechu... To może człowiekowi wystarczyć na całe życie. Jemu przynajmniej to wystarczy! Tylko musi być niesłychanie ostrożny, nawet przebiegły... musi stąpać, jak po węglach, żeby jej zaufania nie spłoszyć, żeby się ona nie domyśliła nigdy, nigdy! Ona, taka czysta w życiu i myślach... pewno nieprzystępna namiętności... Będzie też przed ludźmi strzegł się wszelkiego pozorów. Nigdy nikt się nie domyśli, nie zobaczy... Jeżeli razi jego urzędników to, że w sobotę wieczorem zajeżdża on na chwilę do siostry swej żony, to wstępować przestanie zupełnie, lub wstępować będzie czasem, na chwilę. Potrafi udać spokój, cichą przyjaźń, potrafi niczego nie wymagać i niczego nie pragnąć. A więc, kiedy miłość jego jest tak zupełnie bezinteresowna, tak wszystkiego wyrzec się umiejąca, nie może przeto szkodzić nikomu i nawet w gruncie złem nie jest. Poco więc przed chwilą wyprawił Józef z dzieckiem i co mu przeszkadza iść ku niej, jak dawniej, gdy był jej przyjacielem jedynie. To ci szwagrowie są winni, którzy z siostrami swych żon uciekają do Ameryki. On nietylko o żadnej ucieczce nie myśli, ale miłość swoją uczyni niemą nazawsze. Był poprostu śmieszny ze swym przestraczem, ze swym bólem. Odkrył w swem sercu kopalnię czystego złota i nie odrazu poczuł się wybranym i najszcześliwszym z ludzi.

Poszedł, szukając Józefy po domu. Zastał ją, kąpiącą Jasia. Bawiła się, lejąc z kubka wodę na małe ciało i śmiejąc się z usiłowań dziecka pochwycenia rączkami lejącej się na nie wody.

— Biedny Jaś, patrzaj, jak wczesnie bawi się w chwytanie rzeczy niepochwytnych. To już zła ludzka natura... jeszcze z pieluch nie wyszedł, a już mu się zachciewa niemożliwości! Pochwycić w rękę i zabawić się strumieniem wody, płomieniem, to są teraz jego pragnienia. Cóż to będzie później! Ej, Jasiu, strzeż się!

— Śliczny tworzycie obrazek — rzekł Zygmunt, z chmurnem jeszcze czołem i z jakąś obawą przystępując do Józefy.

— A widzisz, żeśmy ciebie zwyciężyli—mówiła Józefa z uśmiechem, który jej rysom nadawał prawie dziecinny wyraz.—Byłam pewna, że rumiana twarzyczka Jasia będzie cię póty ciągnąć do dziecinnego pokoju, aż przyjdiesz i złożysz broń, i przeprosisz... A może дума

męska nie pozwoli ci przyznać, że byłeś w błędzie, przekładając jakieś gniewne rozmyślenia nad nas.

Mamka i bona wyjmowały dziecię z kąpieli, Józefa z Zygmuntem przeszli do biblioteki, gdzie oboje najlepiej przesiadywać lubili.

— Więc składam broń, przyznaję, że byłem w błędzie, przepraszam i obiecuję poprawę—rzekł Zygmunt ze drżeniem w głosie, które zadziwiło i jakimś strachem przejęło Józefę. Spojrzała na szwagra uważnie, potem zawołała z wybuchem szczerości, który ją często napał:

— Bo nie trzeba być brzydkim zazdrośnikiem i tworzyć sobie mar urojonych z lada przemykającego się cienia.

— Nie rozumiem cię.

— O, rozumiesz, rozumiesz! Nie udawaj spokoju, kiedy go w twej duszy niema. Domyślam się doskonale, co ci jest.

— A możesz mi swój domysł powiedzieć?

— Oto jesteś zazdrośny o Manię. Ktoś ją otacza grzecznościami, ona się bawi kokieteryą, ludzie utworzyli z tego plotkę, a ty cierpisz, dręczysz się... gdy tu do nas przyjedziesz, masz nawał interesów, ale siedzisz w fotelu zamysłony i nic nie robisz... myślisz, czy w tej chwili przy Mani nie znajduje się ten, który w twej wyobraźni wyrósł na rywala.

— Ah, Józiu, jakaś ty domysłna!

Jakaś radość przeniknęła Zygmunta. Radość człowieka, mającego tajemnicę, który widzi, że podejrzenia są na śladzie fałszywym.

— A widzisz, nie trudno cię odgadnąć, nie trudno też się domyślić, że w tem wszystkim istoty rzeczy niema, a tylko jest ze strony Mani próżność i chęć zabawy, z twojej miłość, która się podobno tak łatwo zazdrością zatruwa. Już wtedy, gdyś przede mną na plotkarskie języki narzekał, wiedziałam, o co ci chodzi.

Rozmowę przerwało wejście matki Zygmunta. Józefa została przy swoich domysłach.

Po obiedzie, gdy grała na fortepianie walca dla Jasia a bona tańczyła z dzieckiem po salonie, Zygmunt pomyślał, że w jego sercu pomieszaly się dziwnie pojęcia. Oto był jego dom, jego stara matka, oparta w fotelu, jego syn na ręku piastunki i jego wybrana, patrząca na dziecię wzrokiem matki. Tu więc było jego ognisko rodzinne, tu było dla niego życie serca i to schronienie przed światem, do którego ludzie dążą, jak wygnaniec do ojczyzny.

Upłynęło parę tygodni, przebytych dla Zygmunta w jakiejś mieszaninie snów rokosznych, obaw bez zasady, tęsknoty i postanowień najwyższej ostrożności. Mógł mieć swoją radość, swoje szczęście nawsze, całe życie, tylko trzeba mu było być oględnym, czujnym, panu-

jącym nad sobą. Nawet idąc z żoną na zebranie proszone, lub z wizytą, myślał: niech mię ludzie widzą jak najczęściej przy boku Mani... niech im się moja wesołość rzuca w oczy... niech mnie mają za zaślepionego, nawet za zazdrośnego męża... Kto ma skarb, musi go zakopać głęboko i przykryć tak, by go się żadne ludzkie oko nie domyśliło!

Mania coraz więcej się przekonywała, że męża zupełnie na swoje kopyto przerobi.

— Dziś chyba nie pojedziesz do Zarębia — rzekła mu pewnej soboty, — patrz, co się dzieje na dworze... światła nie widać od tumanów śniegu... pociąg się spóźni lub wykolei... nie dojedziesz z Wardzyna do domu... po prostu szaleństwem-by było jechać i nie pojedziesz.

— Pojadę.

W głosie Zygmunta była owa stanowczość i twardość nieugięta, z którą Mania zaledwie parę razy się spotkała.

— Kiedy ja cię proszę... będę niespokojna...

— Nie jesteś nerwowa, Maniu, będziesz spokojna, bo mi nic nie grozi. Zajmiesz się swoją toaletą balową... Gdybym dziś nie wyjechał, nie mógł-bym wrócić w poniedziałek... sama nie byłabyś na balu...

— Ah, ten bal!...

— Co? nie masz ochoty być na nim?

— Ale gdzież tam! Tylko moja toaleta balowa... Koniecznie-by do niej potrzeba naszyjnika z ametystów... Już moje wszystkie naszyjniki sto razy wszyscy widzieli...

— Cóż więc na to poradzić?

— Widziałam u jubilera...

— I cóż to kosztuje?

— O, dużo, bo jest fermoar brylantowy... ale możnaby fermoar odjąć...

— A z fermoarem?

— Trzy tysiące rubli.

— Weź ten naszyjnik. Pieniądze wręcę ci, wyjeżdżając.

— Ah, jakiś ty dobry!

Mania rzuciła się mężowi na szyję, lecz on odtrącił ją lekko. Pieścizoty jej były mu teraz nieznośne.

A skoro były mu nieznośne, skoro i serce jego odsunęło się od niej nazawsze, więc niech jej toalecie balowej nie braknie żadnego dopełnienia... pieniędzy gotów jej dostarczyć na wszystko... nie będzie skąpił na żadne jej zachcianki!

Była to w nim bezwiedna i nie wyrezonowana potrzeba zadosyćuczynienia żonie za zdradę serdeczną.

Zaśmiał się gorzko, gdy bezwiedne uczucie wytłómaczył sobie w słowach:

— A, tak! Naszyjnik za zdradę!

Potem zawstydzil się sam przed sobą, gdy inna, brzydsza jeszcze myśl przebiegła mu przez głowę.

— Niech ludzie mówią: Jak on ją kocha! Obsypuje ją kosztownymi prezentami!

To była myśl brzydka i podstępna, ale... cóż wreszcie dodaniem lub ujęciem będzie samemu faktowi obojętności, a nawet wstępu dla żony, gdy ludzie fałszywie rzecz sądzić będą? Naszyjnik uszczęśliwił Manię, a o jej szczęście tu chodzi.

Tamtej, jedynej, nie śmiał zawieźć nic. Przechodząc koło wystawy sklepu z kwiatami miał szaloną ochotę na bukiet gardenii, które były ulubionymi jej kwiatami, ale nie śmiał. Bał się własnego wzroku w chwili, gdy jej kwiaty oddawać będzie... Nie zawiezie jej nic... Opowie jej o naszyjniku, który tak uszczęśliwił Manię... nie, nie opowie jej tego, bo możeby się domyśliła, że to był okup za szczęście uściśnienia jej ręki i przebywania z nią pod jednym dachem przez dzień cały.

Zadymka szalała na dworze, ale jemu było dobrze zasuniętemu w kącie wagonu, marzącemu z zamkniętymi oczami... Biedni ci ludzie, którzy obok niego rozmawiali o jakiejś gorzelni, cenie okowity... Boże, jacy oni byli ubodzy, jacy od losu upośledzeni, jeżeli ich to zajmowało, że z kartofli robi się okowita, z okowity pieniądze... Marna rzecz, pieniądze! A, prawda, można za nie dać naszyjnik żonie, której się nie kocha...

W stanie dziwnego i nieznanego mu dotąd rozmarzenia dojechał do stacyi. Tak pragnął obecności Józefy, że siłą pragnienia i wyobraźni prawie sobie obecność jej stwarzał. Zamykał oczy i widział jej postać, jej uśmiech...

Na stacyi furman oświadczył, że w taką zadymkę niepodobna było jechać. Ślad zawiany, jedzie się bez drogi... w dzień ledwie dojechać było można... w nocy nikt nie trafi...

— Pojedziemy, Tomaszu!

— Proszę jasnie pana, ja się nie podejmuję.

— Pojedziemy, bo dziś muszę być w Zarębiu.

I znowu na samą myśl niemożności jechania podnosiła się w nim ta wola zwalczenia, przełamania wszystkiego, nawet niepodobieństwa. Józefa czekała i on musiał być przy niej. Dziś mógł nawet nie obawiać się złośliwego spojrzenia. Żona chemika siedziała z pewnością w domu, rada, że się na szaloną zadymkę wystawiać nie potrzebuje. Jego koni, stojących przed domem, nikt nie spostrzeże, więc będzie mógł posiedzieć chwilę dłużej...

Ledwie opuściwszy stację, furman poznał, że błądzi. W dziesięć minut po wyjeździe nie wiedział już, gdzie jest. Chciał, nie mówiąc nic

panu, wrócić, nie mógł już wszakże rozpoznać żadnego kierunku. Zostawił koniom odpowiedzialność za wszystko, popędzając je tylko, by nie ustawały. Pół nocy błądził z rozmaitemi przypadkami, pragnąc się oryentować, a nie mogąc znaleźć żadnych wskazówek. Około trzeciej po północy ujrzeni przed sobą jakieś światło i dyszlem uderzyli w coś twardego. Była to ściana domu. Zygmunt doszukał się drzwi i dobijając się do nich począł. Otworzyła mu Józefa.

Do przedpokoju jej wszedł nie człowiek, lecz jakaś góra śniegu, nastroszona na kohnierzu futra, na czapce, na plecach. Józefa domyślić się w nim tylko mogła szwagra.

Zziębłemi, sinemi i trzęsącemi się ustami Zygmunt ozwał się:

— Byliśmy pewni, że zmarzniemy wraz z furmanem. Nie wystawisz sobie, cośmy mieli za drogę... Kopaliśmy się po śniegu... wywróciliśmy się trzy razy... jestem po prostu skostniały... chciałem, idąc piechotą, namacać twarde tor drogi... zmęczyłem się i spościłem, potem zziębłem, jak nigdy w życiu. Nie mam nawet siły zdjąć tego wszystkiego z siebie.

— Pomogę ci.

Wspinała się ku Zygmunutowi, zdejmowała mu czapkę, futro... Gdy się od tego ciężaru uwolnionym poczuł, mógł już sam pozbyć się futrzanego obuwia, pełnego teraz śniegu i prawie przymarzłego do nóg.

— Każ zawołać furmana do kuchni... dajcie mu wódki lub herbaty... on naprawdę potrzebuje ratunku... konie muszą zostać na łasce Bożej...

Józefa pobiegła obudzić służącą, wydać rozporządzenia... Wróciwszy, zastała Zygmunta siedzącego w przedpokoju na ławce, oparłego głową o ścianę, bladego, prawie omdlałego. Dała mu się napić starego wina, potem śpiesznie przyniosła brzemię drzewa i rozpałała ogień na kominku. Gdy, klęcząc, dmuchała na płomień, usłyszała kroki Zygmunta. Przysunęła śpiesznie fotel do kominka.

— Usiądź tu — zawołała, — zaraz cię ogień rozgrzeje! A, mój Boże! Tyś cały drżący!

Przyniosła szal, kołdrę i poczęła otulać Zygmunta, jak dziecię. Szal owinęła koło jego ramion, kołdrą otoczyła nogi. Nie sprzeciwiał się jej. Zdrętwiały od zimna i zmęczenia, nawpół przytomnie patrzył na ruchy Józefy, poddając się jej troskliwości, jakby mu się troskliwość od niej należała. Śledził jej poruszenia, gdy na kominku, przy płonącym teraz jasno ogniu, postawiła garnuszek z wodą, pragnąc co najprędzej przygotować mu herbaty. Ciepło ogarniało go powoli, zaczynał zeznawać przed sobą, że mu jest dobrze, wargi jego przestały się trząść. Prosił jeszcze o wino, które, jak mówił, wlewało w niego życie.

— Furman już w kuchni—mówiła mu Józefa,—i on dostał wina... Ignacowa napaliła też ognia na kominie... Tomasz mówi, że nie pomogła koronka do Matki Boskiej, ani do świętego Antoniego, dopiero jak zaczął mówić *Żaczka uczonogo*, takeś, zaraz ty zobaczył światelko wśród burzy.

Zygmunt wziął rękę Józefy. Przechyliwszy głowę na poręcz fotelu, patrzył na mówiącą, chwycił dźwięki jej głosu. Zdawało mu się, że go oblewa nie tylko ciepło kominkowego płomienia, ale także jakieś ciepło, przejmujące jego istotę moralną.

— Dlaczego jeszcze nie spałaś, Józiu, i byłaś zupełnie ubrana?

— Czułam, że nie potrafię usnąć wśród tego szturmującego i świszczącego wiatru.

— O czym myślałaś?

— O tobie, Zyguncie.

Józefa powiedziała ostatnie słowa z zupełną prostotą i szczerością, patrząc prosto w oczy szwagra.

— O mnie myślałaś? Widzisz, Józiu, myśl twoja mię zbawiła... Byłaś zapewne niespokojna o błędzącego wśród zawieruchy i nie gasiłaś światła... Gdyby nie to światło, był-bym prawdopodobnie zmarł wraz z furmanem... Mogliśmy byli sto razy przejść lub przejechać koło tego domu, nie domyśliwszy się nawet, że jest blisko nas. Brnęliśmy na oślep i bylibyśmy jechali dalej, zabijając zmęczone konie, gdyby nie twoje okno oświetlone. Ocaliło nam ono życie. Nie żartuję, Józiu; jeszcze godzina takiej drogi, a był-bym już nie miał siły bronić się śmierci. Twoja myśl o mnie ocaliła nas.

Po dreszczach, które przed chwilą trzęsły ciałem Zygmunta, przychodziła lekka gorączka. Był też podniecony przez stare wino, mówił z trochę nienaturalnego pośpiechu i drżenia w głosie!

— Widzisz, jak ludzkości trzeba było zbawienia, tak go trzeba każdej egzystencji... moje życie go też potrzebuje i może mi ono tylko przyjść od ciebie... Ja zawsze wiedziałem, że mogę je otrzymać tylko przez kobietę... tą kobietą jesteś ty jedna...

Józefa patrzyła z przestrachem na rozgorączkowane policzki Zygmunta. Była pewna, że był nieprzytomny.

— Tak—rzekła,—zbawienie przyjdzie ci przeze mnie, bo kazałam przygotować ci łóżko, kazałam je wygrzać, a tobie koniecznie trzeba się położyć i to natychmiast.

— Kiedy mi tu tak dobrze!... nie pamiętam, by mi kiedy w życiu tak dobrze było... Chodź, Józiu, usiądź tu przy mnie... bliźniutko... daj swoją rękę... będziemy rozmawiać... Prawda, jak to dobrze rozmawiać tak we dwoje, gdy wszystko w domu spoczywa, a na dworze wiatr hu-czy? Wtedy dwoje przyjaciół... takich dobrych przyjaciół, jak my, le-

piej czuje, jakim szczęściem jest mieć na świecie jedną taką duszę, przed którą można nie mieć ani tajemnic, ani podejrzeń, ani wątpliwości, ani żadnej obawy...

— Na jutro zostawmy rozmowę. Teraz idź do łóżka. Musi tam już wszystko być gotowe.

— Nie, proszę cię, nie wypędzaj mię...

— Ty masz gorączkę, Zygmuncie.

— Nie, ja mówię przytomnie, zupełnie przytomnie... mam trochę gorączki, czuję to, ale jestem trzeźwy, zupełnie trzeźwy!... a tak mi potrzeba z tobą porozmawiać!

— Rozmawiajmy więc.

Józefa stała przed kominkiem, poprawiając głównie i dokładając drzewa. Blaski płomienia padały na jej twarz bladą, dając jej pozór wielkiego ożywienia i odbijając się w jej wzroku, jakby zdwojonemi błyskami.

— Józiu, jakaś ty ładna!

— O, widzisz, że masz gorączkę! że ci potrzeba co najprędzej spać się położyć!

— Wcale nie! Nie sądz tylko, że ci chciałem powiedzieć głupi komplement, jaki się mówi próżnym kobietom... to była prosta szczerość. Wydałaś mi się w tej chwili prześliczna, stojąca tak w blaskach płonącego ognia... Ale to jest bardzo obojętne, czyś ładna, czy nie... Powiedziałem głośno, com myślał, i koniec!

— Dobrze. Przypuścimy, że jestem ładna. Ale oto i herbata gotowa.

Zygmunt patrzył jakimś mętnym wzrokiem na Józefę, której wysmukłe kształty w fałdach szlafroka wyglądały wdzięczniej, niż zwykle. Przysuwała mały stoliczek do ognia, zносиła rozmaite jedzenie, zachęcając zgłodniałego podróżnego do posilenia się. Niepokój jej o niego ustał. Śmiała się, opowiadając, że w pierwszej chwili nie poznała Zygmunta i myślała przez mgnienie oka, że jakiś rabuś chce ją okraść, zmusiwszy ją przemocą do otworzenia kasy. Podczas takiego wichru nikt-by nawet krzyku nie usłyszał.

Śmiech opowiadającej zamarł na jej ustach, Zygmunt powstał nagle z jakimś pomieszaniem wyrazem twarzy:

— Bądź zdrowa, Józiu!—rzekł drżącym głosem.

— Co to ma znaczyć?—zawołała.

— Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Pójdę na nocleg do zajazdu.

— Cóż znowu? Żartujesz chyba?

— Nie, nie żartuję i widać, że uczynić tak muszę, skoro tak czynię. Nie zatrzymuj mię!

Spojrzała w jego oczy surowe z niepokojem i trwogą.

— Dobrze. Pójdiesz, ale ja cię odprowadzę.

-- Ty mię odprowadzisz?

— Tak, bo ty jesteś nieprzytomny, Zygmuncie.

Rozśmiał się przykro, aż go ten śmiech zabolął.

— Właśnie dlatego isć muszę, że nie jestem trzeźwy, choć nie wino mię upaja! Nie bój się o mnie. Dojdę do zajazdu, trzymając się ściany domów. Co-byś ty mi pomódz mogła? Nie miała-byś siły kopać się w śniegu po ramiona. Musiał-bym cię chyba nieść. I co-byś ty w zajęździe robiła?

— Myślałam cię odprowadzić z latarnią i wrócić tu zaraz... Mój Zygmuncie, łóżko dla ciebie gotowe... nie bądźże dzieckiem!

Ujrzała w jego wzroku wyraz takiej stanowczości, że zamilkła. Nie rozumiała wcale przyczyn Zygmunta, ale była teraz przekonana, iż był trzeźwym zupełnie. Odprowadziła go, milcząc, do przedpokoju, i milcząc też patrzyła, jak przywdziewał podróżne ubranie.

— Jutro, jak zwykle, przyślę po ciebie—rzekł jej od progu.

Znalazłszy się znowu na dworze wśród szalejącej zadymki, pomyślał:

— Nie powiedzą przynajmniej, że ja tu noce przepędzam.

Józefa po jego wyjściu została jakby oszołomiona zdziwieniem i pełna niepokoju o jego zdrowie, które narażał na nowo, pomimo gorączki. Jaki on był dziwny tym razem! Z początku był z pewnością trochę pijany, gdy mu przyszło na myśl pięknoscią jej się zachwycić, lecz później nagły zamiar ucieczki wytrzeźwił go. Ale dlaczego uciekał? Tego zupełnie zrozumieć nie mogła. Wyteęzała myśl, czyniła najdziwniejsze przypuszczenia, ale nie prawdopodobnego wymyślić nie mogła.

Nazajutrz, w Zarebiu, Zygmunt zaraz na wstępie powiedział jej:

— Czyś darowała temu obrzydliwemu pijakowi, jakim byłem wczoraj? Może twoje stare wino ochroniło mię od choroby, ale mię uczyniło zupełnie niepoczytalnym. Pokazuje się, że należę do rzędu mężczyzn, którzy po pijanemu każdej kobiecie się oświadczają, bo zdaje mi się, że ci prawil jakieś grzeczności, a potem, Bóg wie, dlaczego, szedłem całą godzinę do zajazdu, brnąc po śniegu i z trudnościami się kierując, kiedy u ciebie miałem posłanie przygotowane.

Był cały dzień trochę sztywny dla Józefy.

— Zwykła logika ludzka—myślała młoda kobieta—postąpił wczoraj niewłaściwie i ma za to żal do mnie!

Wieczorem, przy lampie, gdy matka Zygmunta usiadła na swoim miejscu w salonie, usłyszano zdaleka odgłos płaczu dziecinnego. Józefa pobiegła do pokoju Jasia. Po chwili weszła z dzieckiem na rękę i usia-



dła z niem na kanapie, stojącej w rogu, zdala od lampy, mogącej razić oczęta Jasia.

— Niedobra niania — mówiła do malca — poszła sobie... dziecko zostawiła samo w kołysce, a dziecko lubi towarzystwo...

Zygmunt usiadł też na kanapie, żartując z dziecinnie spieszczonej mowy Józefy, bawiąc się usiłowaniem Jasia dosięgnięcia do jego wąsów, wreszcie, zamiast przysunąć twarz do rączek malca, wyciągnął ramię i, otoczywszy niem kibić Józefy, przybliżył ją wraz z dzieckiem ku sobie.

Uczynił to bez namysłu, bezwiednie, i dopiero gdy Józefa była tuż obok niego, a mały Jaś szarpał go za wąsy, zmieszał się i ukrył zmieszanie, udając, że zabawa syna ból mu sprawia.

— Aj, to boli!

Ale co się stało z Józefą? Jej twarz, zwykle bladą, oblał płomienny rumieniec, jakiś nieoczekiwany, niepojęty rumieniec, za który gniewała się na siebie. Rumieniec ów dostrzegł Zygmunt i radość, szczęście, rokosz bezmierna opanowały nagle jego serce. Po chwili zeznał przed sobą wyraźnie, że, właśnie z powodu zmieszania Józefy, powinien był odsunąć się od niej, było wszakże dyplomatyczniej udawać zupełny spokój. Wszak o kilka kroków siedziała jego matka, której sama obecność była gwarancją czystości jego zamiarów. Rozmawiał więc z jakąś nienaturalną wesołością, doznając przytem w głębi duszy niezmiernego wzruszenia.

Józefa miała uczucia ptaka złapanego. Chciała-by była uciekać, a bała się okazać trwogę, czy zadziwienie. Co-by pomyślał Zygmunt, gdyby za drobną poufalskość, której szwagrowi i przyjacielowi za złe mieć nie mogła, okazała mu swoje niezadowolenie? A może powinna mu je była okazać? Co znowu? Ona o dziesięć lat starsza od Mani, ona w czarnej sukni bez żadnej ozdoby, z gładko uczesanymi włosami... Siedziała chwilę, czując opasujące ją ramię Zygmunta, z płonącymi policzkami, przejęta jakimś dziwnym niepokojem, wreszcie wzięła Jasia i poszła z nim do dziecinnego pokoju. Zygmunt zasunął się w głąb kanapy, nie słyszał nic, co matka do niego mówiła. Był wzburzony i szczęśliwy. Przed chwilą miał w objęciu kobietę ukochaną i ta kobieta, czysta w myślach i intencjach, zadrżała przytulona do niego... Twarz jej płonąca miał jeszcze przed oczyma, a w żyłach własnych niepokój, który w niej odgadł przed chwilą.

Nie gniewało go to bynajmniej, że długo nie wracała od Jasia. Czuł, że pragnęła się uspokoić, że odwlekała chwilę wejścia do salonu ze spokojnem na pozór czołem i udanym uśmiechem na ustach... ze spojrzaniem, które się ku niemu podniesie pogodnie, choć je zmieszanie ciągnąć będzie ku ziemi. Jakaś zła radość ogarnęła go na myśl, że i ona

udawać będzie musiała i kłamać tak, jak on kłamał. Ha, więc będą udawać oboje, udawać obojętność, choć w sercach ich... I w jej sercu? Jaki z niego był śmieszny marzyciel! Co on sobie śmiał wyobrazać? Rumieniec Józefy niczem innym nie był, tylko wygórowaną wstydlivością młodej kobiety... taką nadszulością dumy niewieściej, która jest uczuciem mimowolnem, bezwiednem. Był szalony, że na jedno mgnienie oka wziął je za co innego... Przejął go żal za tą złotą chwilą, którą tylko co przeżył, za tą mrzonką niezwyklego szczęścia, która mu duszę porwała.

Gdy Józefa wróciła do salonu i poczęła spokojnie rozmawiać z panią Bielmońską o kształcie pantofelków włóczkowych dla Jasia, Zygmunt ze swego ciemnego kąta patrzył na pobladałą już twarz młodej kobiety, myśląc z mieszaniną niepokoju, zazdrości i ciekawości: „Czy ona jest spokojna i obojętna, czy namiętna i gwałtowna?“ Potem, jak zaciśnięcie się szponów, chwycił go za pierś ból zazdrości na wspomnienie Rzeweckiego. Sama mu wyznała, że nie kochała tego człowieka, ale był jej mężem, jej właścicielem przez lat dziesięć... miał przez lat dziesięć prawo nazywania jej swoją! Jakieś nieznośne halucynacye, dokładne widzenia, dotyczące przeszłości Józefy, czepiły się wyobraźni Zygmunta. Spozrzegał bohaterską postać Oskara, jego wydatną pierś, muskuły, które tak chętnie pokazywał i porównywał ze stalą... Postać tę zbliżał w myśli do wykwintnej Józefy i drżał z gniewu i oburzenia. Ile ten Herkules trywialny i gruby musiał w niej podeptać delikatności, jak sponiewierać jej dumę i wstydlivość niewieściej, jak on się musiał obejść brutalnie z naiwną nieświadomością młodej dziewczyny, jak on, mówiący wiecznie o swych zdobyczach w świecie niewieścim, musiał nie pojmować różnicy, zachodzącej między subretką a taką, jak Józefa, kobietą. Zygmunt cierpiał za tę przeszłość, a jednocześnie doświadczał szalonej zazdrości.

— Jedziesz jutro rano, jak zwykle? — zapytała syna pani Bielmońska.—Jest zwierzyna do zabrania i różne zapasy...

— Ah, prawda! — zawołał, — Mania właśnie upomina się o sarnę!

W duchu pomyślał:

— Co za dobra rzecz te potrzeby codzienne, te pospolite troski o jedzenie, ubranie... Można-by zwaryować, gdyby się puściło wodze wyobraźni i pozwoliło myśli wyłącznej żywić się naszym mózgiem!

— Jaką zwierzynę mi mama daje?—zapytał, czepiając się tematu zwierzyny, jako wybawienia od męki obrotu wyobraźni około owej myśli wyłącznej.

Gdy Józefa, nocująca w Zarębiu z powodu zadymki, znalazła się w swoim pokoju, opanował ją na nowo wstyd mimowolnego rumieńca i doznanego wzburzenia. Jak zwykle, poczęła w myśli szydzić z siebie

samej: Moznaby myśleć, że pozowała na wylękle dziewczę, rumieniące się przy zbliżeniu się lada mężczyzny! Dlatego, że szwagier opasał jej kibić ramieniem, drżała, jak liść! Wdowa, mająca za sobą dziesięć lat małżeństwa, bawiła się w skromnisiostwo! Gdyby była usłuchała pierwszego swego natchnienia, była-by się wyrwała z objęcia Zygmunta i uciekła, jak spłoszona sarna! Była po prostu śmieszna, śmieszna! Dobrze, że w tym kącie kanapy było ciemno i nikt nie mógł dostrzedz tego głupiego rumieńca i załęknienia!

Pomimo tych żartów z samej siebie, czuła mimowolne zaniepokojenie. Coś w niej zostało z tego dreszczu, który ją przebiegł, z tego zmieszania, z tego strachu, który ją ogarnął przytuloną do piersi tego człowieka. Wszedłszy do łóżka, owinęła się kołdrą, jakby szukała ochrony nietylko przed zimnem, ale przed jakimś grożącym jej niebezpieczeństwem.

— Nerwy! — myślała, wpadając znowu w żartobliwy nastrój względem samej siebie, — taka skromnisia, jak ja, musi być nerwowa! To wypływa z natury rzeczy! Że wiatr huczy na dworze i świszczce w kominie, więc zaraz jakieś strachy, złe przeczucia, obawa przyszłości i głupie marzenia, czepiające się głowy, jak puch złe zaszytej poduszki!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

---

# NAUCZANIE POCZĄTKOWE.

Z POWODU DZIEŁA J. W. DAWIDA <sup>1)</sup>.

---

## I.

### Stan kwestyi u nas.

Moda i reklama—zamiast nauki i krytyki,—wywierają, niestety, dotąd jeszcze równie silny wpływ na nasz rozwój umysłowy, jak na ubiór naszych elegantek i dandysów. Nie napróżno od bardzo dawna narzekano na naszą skłonność nie do postępu, lecz do powierzchownych „nowinek.“ Lada teoryjka, wymyślona przez Francuza, Anglika, Niemca lub Włocha, znajduje u nas, jako nowość, rozgłos entuzjastyczny, z zaniebdaniem najistotniejszych potrzeb naszego normalnego rozwoju umysłowego. Stroimy się tylko dla pozorów w pawie piórka obcej „nauki,“ a zresztą grzebiemy spokojnie w naszym śmietniku, nie troszcząc się na seryo o nadanie mu porządniejszego wyglądu.

Smutną ilustracją takiego położenia rzeczy są nasze stosunki wychowawcze, a szczególnie nauczanie początkowe i wychowanie przedszkolne. Tutaj mieliśmy sposobność pokazać, czego własnym ro-

---

<sup>1)</sup> „Nauka o Rzeczach. Rys jej historycznego rozwoju, podstawy psychologiczne, metoda, oraz wzory lekcji.“ Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego.“ Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892. Str. 691.

zumem dokonać możemy przy krytycznem zastosowaniu wyników prawdziwej nauki do naszych potrzeb indywidualnych; tutaj otwierało się szerokie pole działalności dla poważnej pracy i sumiennej dbałości o własne dobro i o dobro naszych dorastających dzieci. Tymczasem, cóż w samej rzeczy zrobiono u nas na tem polu w ostatnich dziesiątkach lat? Porzuciliśmy dawny patryarchalny sposób wychowania, prawda, że pozbawiony podstaw teoretycznych, nieudolny, błędny pod wieloma względami, lecz naturalny, wytworzony przez zdrowy instynkt, dobrą wolę i tradycyę, oparty na wzajemnej, serdecznej miłości rodziców i dzieci, nauczycieli i uczniów,—a natomiast, dzięki modzie i reklamie, zastosowaliśmy do praktyki niezrozumiane i nieprzetrawione samodzielnie teorye, z mętnych źródeł zaczerpane!

Ledwo usłyszeliśmy, że za granicą nabrała pewnego rozgłosu „metoda pogładowa,“ a wnet obdarzaliśmy nasze dzieci wszelkimi możliwymi i niemożliwymi obrazkami, bez myśli o tem, że obrazek nie daje dziecku dokładnego wyobrażenia samej rzeczy,—o co właśnie chodzi przy zastosowaniu metody pogładowej. Dalej, w naszym ferworze realistycznym wykresliliśmy bez żalu ze słownika pedagogicznego wszelkie wyrazy, nie dające się uwidocznnić „pogładowo,“ więc wszelkie pojęcia „oderwane“ i wytwory „fantazyjne,“ — a zapomnieliśmy przytem, że różne bajki, powiastki i legendy dostają się do uszu dziecka przez mamki i niańki, lub wytwarzają się nawet w umyśle jego samorodnie z własnych jego doświadczeń, jak u ludzi pierwotnych, że zatem takie objawy fantazyi, bez odpowiedniej opieki, wyrastają chwastem w duszy dziecięcej, przytłumiając rozwój najzdrowszych zarodków samodzielnych uczuć i dążeń.

Z „metodą pogładową“ poszła w parze „nauka o rzeczach“ w znaczeniu najtrywialniejszym. Nauki przyrodnicze stały się i na tem polu najgłośniejszem hasłem. Uczą się dzieci od małego przedewszystkiem i prawie wyłącznie przedmiotów, zaczerpanych z zakresu zoologii, botaniki, mineralogii, fizyki, chemii, anatomii, fizjologii i t. p. Wpoić w dzieci pojęcie porządku i praw „natury“—oto ideał nawet pierwszego nauczania! Znam takich rodziców i pedagogów, którzy w imię zasad metody „pogładowej“ nie mówią już dzieciom nic o Bogu wszechmogącym i wszystko widzącym, oddając rozwój wewnętrzny młodocianego umysłu, a szczególnie jego poczucie moralne, na los szczęścia, to jest właściwie bezpośrednim instynktom i przypadkowym zewnętrznym okolicznościom. Potem się dziwią, że synek, według najnowszej mody „dobrze“ wychowany, przywykły kierować się wyłącznie „pogładowym“ sądem swych zmysłów, pozbawiony poczucia odpowiedzialności za swoje czyny przed wyższym, moralnym porządkiem świata, schodzi na niebezpieczne bezdroża i przez żaden wzgląd na „prawa natury,“ na

„fizyczny porządek“ świata, nie daje się zwrócić na drogę choćby „honoru,“ lub „względności“ dla swoich, lecz dalej brnie w brudzie moralnym, wiodącym prędzej czy później do zupełnego upadku! Czyż można się spodziewać sumiennego spełnienia obowiązków, szlachetnego nastroju ducha, poświęcenia i cnoty bez odpowiedniego zasiewu moralnego, bez kształcenia dziecka w tym kierunku podczas owej epoki życia, która ma znaczenie zasadnicze dla całego dalszego rozwoju człowieka, dla całego jego sposobu myślenia i czucia w dojrzałym wieku?

Nie wiele lepiej działo się z „metodą froeblovską“ nauczania dzieci przy pomocy *zabawy*. Z chwilą, gdy metoda ta weszła w modę, narodziło się u nas moc domorosłych zwolenników i zwolenniczek zasady wychowawczej *utile dulci*, doprowadzonej do ostatecznych granic... karykaturalności. Już teraz nic nie istniało wyższego i lepszego w pedagogice nad zabawę naukową i naukę zabawną! Dzieci, zaledwie zaczynające chodzić i mówić, już się uczyły tańczyć i śpiewać,—tańczyć przedewszystkiem—bo jakże to dobrze łączy się nauka gimnastyki z przyjemnością, gdy np. chłopczyk czteroletni wywija ohochozo mazura z panienczką tegoż wieku! Więc dalej kinderbale, baliki, wieczory i wieczorki tańczące dla naszych „buziaków“ w salonach, w ogrodach zoologicznych, na majówkach—gdziebądź, byleby tylko dziatwa wczesnie przyzwyczaiła się do trudnego obowiązku przepędzania czasu zabawą! Że w następstwie młodzież taka już w szesnastym roku życia z góry patrzeć musi na wszelką wogóle zabawę, że w przesyceniu swem szukać musi nowych, silniejszych rozdrażnień nerwowych, a wskutek tego wędnąć przed dojrzaniem, — o tem nie pomyślano wcale. Podobnie nie pomyślano o tem, że rozwój umysłowy dziecka wiąże się jak najściślej z jego *pracą myśli* i samodzielnem natężeniem uwagi, z właściwym użytkowaniem władz umysłowych, podobnie jak wzrost i zdrowie ciała zależą od ruchu i pracy fizycznej. Dziecko, bawiąc się, uczyło się patrzeć na rzeczy i ludzi, sądzić o sobie i świecie; z uśmiechem na ustach przebyło naukę pisania, czytania i rachunku, a uwzględniając przytem metodę „poglądową,“ przyczepiano i „naukę“ innych przedmiotów do wesołego oglądania podobizn zwierząt, roślin, minerałów lub do opowiadań „Robinsona.“

Pomimo tego wszystkiego, pomimo tej staranności, aby nauka była dla dzieci jak najpojętniejszą, dziwiono się w końcu, że chłopcy i dziewczynki w późniejszym czasie nie nabierali zamiłowania do poważnej nauki, że ich męczyła, że wołać czytać pierwszą lepszą powieść, a szczególnie romanse denerwujące, aniżeli historję, lub jaką książkę istotnie nauczającą, do ich wieku zastosowaną. A jednak były to tylko skutki nieumiejętnego i bezwzględnego stosowania owej „metody“ uczenia zabawą. Dziecku, które, dzięki ciągłym rozrywkom, nawykło

do nieprzerwanego zadowolenia swoich zachcianek, nie przyuczywszy się nigdy do wyteżenia swych sił i władz umysłowych, do *pracy* na serwo, nie przyszło nigdy na myśl, że życie nie jest wcale szeregiem zabaw, lecz *zadaniem* do rozwiązania, *obowiązkiem*, że zatem i nauki przyswoić sobie nie można bez usilnej pracy, bez przyniesienia jej w ofierze rozlicznych przyjemości życia. Nie przeczuwali nawet w swej zniechęcałości, że jedyne szczęście człowieka polega na sumiennem spełnieniu swych zadań życiowych, że przyjemności i zabawy mają dla nas wartość tylko wtedy, gdy wypełniają chwile wolne od zajęć poważnych, gdy są podobne do dni świątecznych po pracy tygodniowej, lub do słodczy, dodawanych do właściwych a posilnych pokarmów codziennych. Więc jakimież owocami mogła nas obdarzyć ta modna metoda nauczania przy pomocy „zabawy,” inaugurowana u nas bębenkami i trąbkami dziecinnymi, pozawieszanymi na szyi i ramionach naszych wychowawców i wychowawczyń.

Najsmutniejsza to, że, pomimo całego owego hałaśliwego ruchu na polu naszej praktyki pedagogicznej, aż do chwili wyjścia powyżej zaznaczonej książki p. J. Wł. Dawida, nie było u nas ani jednej pracy, która-by poddawała owe głośnie „metody“ krytycznemu rozbiorowi, która-by, dotykając tych ważnych spraw, nie była poprostu objawem sugestyi hipnotycznej, wywołanej przez bezwzględne ubóstwienie wszystkiego, co modne, nowe, a przytem obce.

Sąd ten może się wyda zbyt surowym, szczególnie w obecny czas tak zasłużonego pod wieloma względami pedagoga, jakim jest A. Dygasiński, który w r. 1882 ogłosił wykłady pedagogiczne p. t. „Pierwsze nauczanie w domu i w szkole.“ A jednak owego sądu cofnąć nie mamy powodu, bo właśnie i w tej pracy autor, według własnego zeznania w przedmowie, starał się jedynie być wiernym duchowi czasu i nie myślał ani na chwilę rozpatrzeć krytycznie wewnętrznej racyi owego „ducha czasu.“

Pierwszorzędną zasługą p. Dawida jest to, że przerywa nasze głoślowne gadania o „nauce“ u obcych, o ich wielkich postępach w zakresie metod wychowawczych, a zmusza nas raz przecie do samodzielnego zastanowienia się nad kwestyą wychowania i nauczania początkowego, do rozpatrywania tej ważnej kwestyi wszechstronnie, krytycznie, ze stanowiska nie samego tylko „ducha czasu,“ lecz ze stanowiska racjonalnych potrzeb i zasad wychowania.

Na podstawie skrętnie zebranych materyałów, dotyczących zarówno historii rozpatrywanego przedmiotu, jak i danych z zakresu psychologii i dydaktyki, autor daje wykształconemu czytelnikowi możność wzniesienia się po-nad wszechwładną modę i wyrobienia sobie własnego dojrzałego sądu w tych sprawach. Co prawda, mamy powody oba-

wiać się, że nawet tak gruntowne dzieło nie usunie odrazu wszystkich zaznaczonych wad wychowania początkowego naszych dzieci, bo iluż to się znajdzie u nas ojców, matek, nauczycieli lub nauczycielek, którzy-by chcieli na seryo przestudyować książkę poważną, prawie o 700 stronicach, choćby przytem szło o dobro ich dzieci lub uczniów? Zresztą i autor sam, według naszego zdania, nie wyzwolił się jeszcze do tego stopnia z pod wpływu pewnych, z góry powziętych doktryn, aby mógł służyć za nieomylnego kierownika w sprawie reformy naszych stosunków wychowawczych. Ale, budząc zmysł krytyczny tych rodziców i pedagogów, którzy uwielbiają bez miary wszystko, co ma rozgłos, uczynił pierwszy krok ku poprawie owych stosunków i dlatego praca jego zasługuje pod tym względem nietylko na szczere uznanie, lecz przede wszystkim na szczegółowszy rozbiór, bez którego uznanie przybrało-by znowu charakter tak ulubionych u nas frazesów bez myśli.

## II.

### Różne poglądy pedagogów.

Treść pracy p. Dawida ujawnia się widocznie już w samym tytule. Co do jej układu zaznaczyć należy, że, podług pierwotnego planu autora, całość miała się rozpaść na trzy główne działy: „Wstęp historyczno-krytyczny,“ następnie część I-sza: „Psychologiczne i dydaktyczne podstawy nauki,“ część II: „Wykład przedmiotu praktyczny.“ Taki podział zaznacza autor na str 8. W samej zaś książce napotykamy rażące odstępstwo od tego podziału, wykazujące, że autor podawał do druku pracę swoją przed jej ostatecznem wykończeniem, i samego wykładu nie zastosował ściśle do pierwotnego planu. W rzeczywistości bowiem po owym wstępie historyczno-krytycznym (str. 129—278) następuje *jeden* tylko dział, zatytułowany: „Część teoretyczna,“ a obejmujący siedm rozdziałów (str. 279—685), traktujących *o celu pierwszego nauczaniu, o danych psychologicznych* i wreszcie *o samej nauce o rzeczach.*

Z pierwszego wejrzenia mogło-by się zdawać, że dzieło nie jest skończonem, że ta część teoretyczna obejmuje tylko powyższą część *pierwszą* psychologiczno-dydaktyczną i że brak jeszcze części *drugiej, praktycznej.* Tymczasem, trzy ostatnie rozdziały książki, mające od str. 446 specjalnie za przedmiot *układ i metodę nauki o rzeczach,* zawierają w sobie zarazem: *„wzory lekcji metodycznych,“* więc zapewne odpowiadają owej drugiej części pierwotnego planu. Chociaż treść pracy na tej sprzeczności w podziale nie ucierpiała, żalować jednak wypada,



że dzieło p. Dawida nie jest jednolitem ze względu na swoją konstrukcję architektoniczną.

Na str. 213, mówiąc o pedagogice W. J. Choynackiego, autor krytykuje „niefortunny“ podział jego pracy na część *teoretyczną* i *praktyczną*, „z których druga powtarza tylko i rozwija pierwszą.“ Czyżby doświadczenie, że w pedagogice, która jest nauką i sztuką zarazem, tych dwóch części nie można traktować w odosobnieniu, było powodem, że p. Dawid w toku pracy odstąpił od swego pierwotnego, czysto abstrakcyjnego podziału?

Wstęp historyczno-krytyczny zaznajamia czytelnika wyczerpująco z poglądami wydatniejszych pedagogów na sprawę początkowego nauczania, a szczególnie na naukę o rzeczach. Autor rozbiera tutaj główne zasady, stanowiące o celu i zadaniach nauczania początkowego i kładzie przez to fundament do własnego poglądu na tę sprawę. Nieposlednią zasługą tej części historycznej jest szerokie uwzględnienie swojskiej literatury pedagogicznej (str. 183—278), co nawiązuje na nowo przerwana nić tradycji z lepszą naszą przeszłością i na polu pedagogicznym. Okazuje się bowiem w samej rzeczy, że większość naszych pedagogów z końca XVIII-go i pierwszej połowy bieżącego wieku stosunkowo przewyższa znacznie dzisiejszy poziom naszego wyrobienia pedagogicznego.—Ustawy Komisji Edukacyjnej (1783), oraz prace A. Kamińskiego (1774), M. Krajewskiego (1777), G. Piramowicza (1787), W. J. Choynackiego (1815), A. Kiszewskiego (1847), A. Marcinowskiego (1851) i innych, zawierają w sobie bez wątpienia zdrowsze i racjonalniejsze poglądy na sprawę nauczania początkowego, aniżeli te, jakie dzisiaj u nas cieszą się największą popularnością. Pan Dawid, który zna zapewne dobrze nasze stosunki pod tym względem, wyznaje np. otwarcie (str. 213), że praca Choynackiego odpowiada „najzupełniej ówczesnemu poziomowi wiedzy pedagogicznej,—poziomowi, do którego, niestety, i dziś jeszcze większość naszych nauczycieli się nie wzniosła.“ A do tego od siebie dodać możemy, że, ze względu na zasady wychowania *moralnego*, sam p. Dawid mógł być więcej skorzystać z owych prac naszych pedagogów, aniżeli to uczynił w istocie. W każdym razie, nie mamy powodu pogardzać naszym własnym dorobkiem naukowym, a karmić się wyłącznie okruciami, spadającymi z obcych stołów,—jak to się dzieje od tylu lat pod wpływem lekceważenia swojskiej tradycji i przesadnej uległości dla importowanego towaru.

Krytyka różnych celów i zadań początkowego nauczania, podana przez p. Dawida, odznacza się wogóle rozważą, spokojem, samodzielnością sądu i opartą jest nietylko na szerokiej wiedzy, lecz i na doświadczeniu życiowym. Nawet i tam, gdzie czytelnik, idąc za własnym

złaniem, z krytykiem się nie zgadza, argumenta jego dają zazwyczaj do myślenia i zmuszają do głębszego rozpatrzenia kwestyi spornej.

Z pomiędzy wielu uwag krytycznych, wypowiedzianych w tym wstępie historycznym, a świadczących o pewnej niezależności sądu autora od rozgłośnych haseł, zaznaczamy tu tylko kilka, godnych szczególnego uwzględnienia.

Rozpatrując zasadę kształcenia mowy dziecka i wspomagania nauki języka, bronionej przez Pestalozzgo i jego zwolenników (Grossmann, Vogl, Klauwell, Kehr i inni), autor wykazuje wysoką doniosłość mowy w nauczaniu i przyznaje, że jednym z najważniejszych zadań pierwszego nauczania będzie zawsze uzdolnienie dziecka do rozumienia, wymawiania i posługiwania się odpowiednim zasobem słów, oraz nauka czytania. Ale słusznie dowodzi, że wyrazy, wymawiane, pisane lub drukowane, są tylko znakami pewnych rzeczy i że nie można zapoznawać dziecka ze znakami wtedy, gdy obcą mu jest rzecz oznaczona. Mowa jest tylko *narzędziem* myśli, z którego dziecko nie będzie mogło zrobić użytku, jeżeli mu nie podamy treści do wyjaśnienia, udokładnienia lub utrwalenia. A treść taką dziecko znajduje tylko w samych rzeczach, więc od nich zacząć należy. Z tego też stanowiska krytykuje autor głośną metodę *wyrazów podstawowych* i dochodzi do wniosku, że ćwiczenia językowe i nauka czytania powinny się opierać na zużytkowaniu przedmiotów, poprzednio metodycznie w nauce o rzeczach przez dziecko poznanych (str. 15 i nast.).

Większą jeszcze doniosłość mają uwagi autora ze względu na zasadę kształcenia *zmysłów* (Rousseau, Basedow, Guts-Muths, Fröbel, Delher i inni), oraz *zdolności postrzegawczej* (Stoy, H. Spencer, Finger, Miss Youmans, Dygasiński). Autor wykazuje dowodnie całą powierzchowność tej zasady w stosunku do nauczania początkowego. Ponieważ zmysły są środkiem poznawania rzeczy, mówi autor, więc zwolennicy owej zasady sądzą, że, kształcąc zmysły, uzdalniają umysł zarazem i do poznawania rzeczy. Jest to jednak błąd logiczny, gdyż jeden z warunków bierze się tutaj za ogół. Bez zmysłów rzeczy poznawać nie można, ale czyż stąd wynika, że kto ma dobre zmysły, ten umie już poznawać rzeczy? Wrażenie zmysłowe jest tylko punktem wyjścia, bodźcem, który wywołuje w umyśle określoną grupę pojęć; nie jest ono obrazem rzeczy, odbijającym się w oku lub w innym organie zmysłowym, lecz jest raczej *symbolem* tylko, pod który podłożyć dopiero trzeba obrazy właściwe, jest *znakiem*, który trzeba rozumieć. Podobnie jak nie ten dobrze czyta, kto ma dobry wzrok, lecz ten, kogo nauczono czytać, tak też i postrzegać umiemy rzeczy nie w miarę doskonałości naszych zmysłów, lecz wedle tego, ile i jakie posiadamy wyobrażenia, odpowiadające znakom, przez zmysły dostarczanym. Postrzeżenie nie

jest tedy prostem wrażeniem czegoś istniejącego wogóle, jako pewna barwa, forma i t. p., lecz jest to złożona *świadomość* rzeczy, mającej pewną barwę, kształt, wielkość, położenie, nazwę i t. p. Więc też, nie nlegając z góry powziętemu „filozoficznemu doktrynerstwu,“ ani „mętnym pojęciom,“ należy dziecko wprost zapoznawać z rzeczami, nie zaś kształcić osobno przygotowawcze warunki takiego poznawania (str. 55 i następane).

Z równą trafnością ocenia autor niewłaściwe zastosowanie zasady *poglądowej*. Wykazuje on całą niedorzeczność owej praktyki, dowodzącej, że wszystko jedno, na co, byle tylko poglądać, gdy niektórzy pedagogowie (np. Wiedemann) poświęcają siedm do dziesięciu stronic dużej ósemki na „nauki“ o krzesle, o szklance, o garnku! Karci też autor surowo brak szczególnie u nas zrozumienia właściwych zasad metody poglądowej, a zarzut ten dotyczy nietylko publiczności, lecz i osób z profesyi nauczających. Kontentowano się u nas, mówi autor, po większej części „frazesem“ o nauczaniu poglądowem. Pojawił się nawet osobliwy rodzaj „postępowych“ nauczycielek, tak zwanych „z metodą poglądową,“ ale w praktyce ta poglądowość stawiała się śmieszną „farsą,“ szkodliwą dla dzieci, i służyła tylko za środek „bala-mucenia“ publiczności (str. 70 i nast., 270 i nast.).

Wreszcie nie oszczędza krytyk i przesady, jaka się wytworzyła wskutek jednostronnego rozwoju *realizmu* w początkowem nauczaniu, polegającego na udzielaniu dziecku wiadomości faktycznych, rzeczowych, zamiast średniowiecznego wpajania w umysł pojęć ogólnych i wyrazów. Wymaganie w zasadzie słuszne, wygłoszone już przez Komeńskiego, Locke'a, Rousseau i innych. Lecz cóż z niego, za przykładem Basedowa, zrobili współcześni przedstawiciele zasady udzielania dziecku *pozytywnych i użytecznych wiadomości!*

Al. Bain w programie nauki o rzeczach chciał-by widzieć nietylko lekcyce o roślinach, zwierzętach i minerałach, lecz i lekcyce z mechaniki, fizyki, chemii, jak o ruchu, ciężkości, ciepłe, elektryczności, świetle, magnetyźmie, o zjawiskach atmosferycznych i t. p., niemniej z technologii, o kredzie, wapnie, szkle, siarce i t. p., wogóle domaga się on, aby otworzono dziecku jak najwcześniej „trzy wielkie dziedziny: history naturalnej, nauk fizycznych i sztuk użytecznych, czyli wszystkiego, co służy do potrzeb życia codziennego.“ N. A. Calkins dodaje do tego osobne lekcyce o pieprzu, cynamonie, gwoździkach, imbirze, sago, sodzie, mydle, świecach, kamforze, fiszbinie, kicie szklarskim i t. p. Shelden uzupełnia te wiadomości „realne“ jeszcze lekcykami o korku, kauczuku, laku, opłatku, wosku, oleju, bawelnie, wehnie, dalej o fabrykacy szkła, materyi jedwabnych, fajansu, porcelany, igieł, gwoździ, nożów, piór stalowych i t. p. A francuski pedagog, d-r Saffray, w swoich „Le-

çons de choses“ (5-te wyd. 1882) sprowadza nauczanie początkowe do popularnego wykładu nie tylko technologii, lecz poprostu towaroznawstwa, z uwzględnieniem wszystkich prawie gałęzi rękodzielnictwa, przemysłu i handlu. Nie brak tam i takich „ciekawych“ wiadomości, jak np., że spożycie cukru wynosi we Francji rocznie 5 kilogramów na osobę, w Anglii 15, a w Rosyi i Hiszpanii tylko zaledwie 800 gramów. Chcąc przytem posilkować się metodą poglądową, d-r Saffray zaleca usilnie, aby objaśniono dzieciom wszystkie te „użyteczne“ wiadomości przy pomocy „zbiorów okazów i próbek.“

Wiadomo, że takie zbiory okazów, ponaklejanych na kartonach i poukładanych w skrzyneczkach, pojawiały się i u nas, wywołując wielkie uznanie publiczności i pedagogów, przepadających z zasady za „nowościami;“ ubolewano nad tem tylko, że takie użyteczne i piękne rzeczy sprowadzać trzeba aż z zagranicy. Na to nasz autor odpowiada ironicznie, że istotnie wyrobem takiej „poglądowości“ trudnią się przeważnie Niemcy, choć tylko—na wywóz, dla krajów bardziej naiwnych, gdyż w ich programach szkolnych napróżno-byśmy czegoś podobnego szukali (str. 90 i nast.).

Cały ten przesadny realizm i utylitaryzm zbija p. Dawid draścyczną uwagą, że wspomnieni pedagogowie podobni są do człowieka, który sądzi, iż, chcąc utyć, powinien jeść dużo—słoniny. W samej rzeczy, mówi, wśród pewnych szczególnych okoliczności, np. gdy chodzi o pracę zarobkową, może być człowiekowi bardzo pożytecznem, lub nawet potrzebnem, wiedzieć, jak się drukują płócenka, z czego się otrzymuje batyst, a z czego perkal, jak się robi atrament lub drukują książki i t. p. Ale w chwili, gdy wiedzieć nie możemy, czy wychowaniec nasz będzie płótna, czy książki, czy jeszcze co innego, kwestye te nie mają dla nas bezpośredniego znaczenia. Nauczanie początkowe musi mieć charakter *ogólny*, udzielać powinno takich wiadomości, które potrzebne są *każdemu*, z tytułu, iż jest człowiekiem i członkiem społeczności. Nadto nauczanie początkowe nie ma celu w samem sobie,—nie chodzi tu o nauczanie tego lub owego, dlatego, ażeby człowiek to umiał; lecz jest ono tylko *środkiem* wychowania. Dla nauki takiej wyobrażenia, pojęcia, wogóle wiedza pozytywna, jakiej udziela, jest jednym tylko terminem stosunku, którego terminem drugim i głównym jest: *wola i charakter* wychowawca i jego przyszła dzielność umysłowa. Stąd zadanie nauczania, według autora, polega na tem, aby przez wprowadzanie do umysłu wyobrażeń, czyli tak zwanej wiedzy, w określonym wyborze, uporządkowaniu i formie: 1) oddziaływać na wolę i w sposób trwały urobić *moralny charakter* wychowawca; 2) umysłowi jego nadać tę dzielność, dzięki której będzie on chciał i umiał tę szczupłą wiedzę, jaką nauczanie początkowe dać mu może, samoistnie zastosować

i pomnażać wedle życiowych wymagań. Dlatego też autor słusznie twierdzi, że przedmiot nauczania początkowego odpowiadać musi dwom warunkom jednocześnie, t. j. posiadać winien *wartość etyczną*, przedstawiać punkta oparcia dla pewnych *idealnych* uczuć i kierunków woli, i powtórę, być dość elementarnym, prostym i podstawowym, czyli z każdej sfery dawać tylko *pierwiastki* wiedzy (str. 103 i nast.).

Oto zdrowe, racjonalne zasady, które autor przeciwstawia jednostromnemu realizmowi w naszej sprawie, zasady, do których będziemy musieli powrócić przy bliższem rozpatrzeniu celu i treści początkowego nauczania.

Krytyka rozlicznych poglądów na zasady początkowego nauczania doprowadza autora do przeświadczenia, że żaden z zaznaczonych powyżej celów specjalnych tego nauczania, wydobywających się na jaw w historycznym rozwoju nowoczesnej pedagogiki, nie daje się z doktrynerską wyłącznością zastosować do praktyki. W tych różnych celach i zadaniach p. Dawid widzi tylko *zasady ogólne*, które przy właściwym ich rozumnieniu znaleźć winny zastosowanie we *wszelkiem* nauczaniu, a zatem nie charakteryzują należycie celu i zadań owego początkowego, przedszkolnego nauczania. I tak, jeżeli *realizm*, jak widzieliśmy, zwraca przedewszystkiem uwagę na materiał faktyczny nauczania, to zasada ta, według naszego autora, nie określa specyficznej treści nauczania początkowego, lecz dotyczy w istocie wszelkiego wogóle nauczania. Albo gdy Pestalozzi i jego zwolennicy, występując przeciwko metodzie mechanicznej i pamięciowej, domagali się kształcenia zdolności myślowych dziecka przy pomocy „nauki mowy, ćwiczeń zmysłów, zdolności postrzegawczej, rozumu i t. p.“, a zatem bronili zasady *formalnego rozwoju* umysłu dziecięcego, to nasz autor nie widzi w tem żadnej szczególnej właściwości początkowego nauczania, lecz ogólny czynnik metodyczny, którego w pedagogice nigdy z oczu spuszczać nie należy. Nareszcie i nowoczesna zasada *poglądowości* nie zaznacza rysu charakterystycznego nauczania przedszkolnego, jak to sądzą niektórzy pedagogowie, mówiąc o osobnej „nauce poglądu“ (Anschauungsunterricht), lecz jest ona także tylko ogólnem wymaganiem dydaktycznem, obowiązującym w równej mierze nauczycieli małych dzieci, jak i nauczycieli szkół średnich i wyższych. Całe nauczanie, mówi autor, powinno być *realnem, formalnie rozwijającym i poglądowem*, a więc i nauczanie przedszkolne. W tem wszystkim niema nic, coby dało dokładne pojęcie o specjalnym celu i zadaniach pierwszego nauczania.

Po-za zakresem powyższych wielce doniosłych *zasad ogólnych* nauczania, jedynym pozytywnym wynikiem, co do naszej kwestyi, wyprowadzonym przez autora z historyczno-krytycznego rozbioru dotyczą-

czasowych poglądów na tę sprawę, jest to, że przedstawiciele najrozlicniejszych kierunków uznają zasadniczą ideę nauki przedszkolnej o charakterze *przygotowawczym* i *podstawowym*. Wszyscy zgadzają się, mówi autor, że jedyną pierwszą nauką dziecka nie może być nauka czytania i pisania, że przedmiot ten poprzedzić winno pewne inne nauczanie, „lepiej odpowiadające danemu momentowi umysłowego rozwoju i zaczepiające o koło dotychczasowych interesów i wyobrażeń dziecka.“

Doszedłszy do takiego wyniku, autor obiecuje we własnym rozbiórze naszej kwestyi przyjąć za punkt wyjścia owe wspólne i żywotne pierwiastki dotychczasowego rozwoju pedagogiki, które, pracą wielu znakomych umysłów wyrobione a doświadczeniem stulecia wyprobowane i stwierdzone, dają możność wyjaśnić rzeczywisty cel nauczania początkowego. Nadto zamierza w sposób należyty uwzględnić prawa życia psychicznego, stanowiące podstawę wszelkiej racjonalnej działalności pedagogicznej. Jedno i drugie poda i nam sposobność do rozpatrzenia tej sprawy ze stanowiska różnego pod wieloma względami od poglądów autora.

### III.

#### Dane psychologiczne.

Cechą charakterystyczną współczesnego nastroju umysłowego narodów oświeconych jest górowanie *nauki*, więc teoretycznych i abstrakcyjnych funkcji myśli, nad resztą czynników życia psychicznego, nad objawami uczucia i woli. Rys ten można nazwać *intelektualizmem* w różnicy od romantyzmu poprzedniej doby. Brak nam bezpośrednich, elementarnych porywów uczucia, więc i objawów jego twórczości, — geniuszów, prawdziwie wielkich poetów i mistrzów piękna; brak nam również silnej, energicznej woli, więc napróżno szukamy wielkich charakterów, opatrnościowych reformatorów na polu religijnem, społecznem, państwowem, mężów, działających otwarcie z bezwzględną energią i porywających za sobą masy do działania.

Wielkość nasza polega na naszej *wiedzy* i jej wielostronnem zastosowaniu. Ale po-za zakresem naszej *wiedzy, nauki*, jesteśmy mali, bardzo mali! W poezyi i sztuce znać wszędzie wysiłek, tworzenie według teoretycznego szablonu, drobnostkową refleksyjność. Niema między nami śmiałków, chwytających odważnie Pegaza za złote cugle i rzucających z wyżyn obłocznych pioruny i błyskawice na ziemię. W praktyce życiowej kontentujemy się chwiejnym oportunistycznym, a heroizm nasz występuje na jaw prawie wyłącznie tylko w awanturach

podrózniczych i przemysłowych, lub, co najwięcej, w skrytych przedsięwzięciach samobójców i zbrodniarzy!

Za to *wiemy* jak najlepiej, jak się to wszystko odbywa; na wszystko mamy gotowe naukowe teorie; wzniosłe uczucia i wielkie czyny objaśniamy przy pomocy mechanicznej gry najprostszych czynników psychicznych; sprowadzamy nawet do wspólnego mianownika *geniusz i obłąkanie!*

Otóż, ten-to intelektualizm zawładnął i współczesną pedagogiką. Wiedza, wiedza, wiedza! oto jej hasło prawie wyłączne, zastosowane nietylko do wyższego i średniego, lecz i do początkowego nauczania. Poimy dzieci nasze od małości *wiedzą*, niby eliksirem życiodajnym, który ma włą ich duszę napęlić odwagą do późniejszej twardej walki o byt. Napychamy ich żołądki umysłowe śmietanką, zbieraną skrzętnie z najnowszych zdobyczy nauki, i przekonani jesteśmy, że, dzięki temu posiłnemu pokarmowi, nie uczują już nigdy żadnego głodu duchowego na drodze swego żywota. Toteż nasza młodzież męska i żeńska już w średnich zakładach naukowych tak jest mądrą, tak gruntownie obeznaną ze wszystkim, co na świecie przed milionami lat się działo, co się dziś dzieje i co w najodleglejszej przyszłości dzieć się będzie, — że nie dla niej nowego pod słońcem już niema, że wszystko, czem-by się jeszcze mogła z bogacić umysłowo, jest tylko drobnostką w porównaniu z tem, co już wie, z czem ją już mistrze wiedzy zapoznali w zasadniczych podstawach. Przecież wie ona już, że wszystko na świecie podlega stałym, niewzruszonym prawom *natury*, i poznała też główne artykuły tego kodeksu natury, — więc cóż jeszcze może być dla niej nowego, co-by nie dało się podporządkować pod ściśle określone prawa, co-by się nie dało przy ich pomocy przewidzieć z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem? Nawet historia, twórczość dziejowa ludzkości, już jej nie interesują, bo to także nic innego, jeno jeden z objawów, poddanych znanym prawom „natury.“

Jak we wszystkim, tak i pod tym względem, lubujemy się w przesadzie, i albo nie kierujemy się w wychowaniu żadnymi racjonalnymi zasadami, albo też doprowadzamy zastosowanie zasad „naukowych“ do karykaturalnej ostateczności.

Ten fetyszizm wiedzy pociąga za sobą zupełne zaniedbanie i nawet zdziczenie objawów uczucia i woli w dzisiejszem pokoleniu. Osławiona „nerwowość“ naszych czasów w tem zdziczeniu ma swoje źródło psychiczne. Człowiek, pozbawiony zdrowego uczucia i normalnej energii woli, jest w oczach lekarza zawsze „nerwowym,“ bo, nie mając w samym sobie opory psychicznej, staje się igraszką rozdrażnień, wywoływanych przez byle jakie podniety zewnętrzne. Więc też nie dziw, że, pomimo wszelkiego wykształcenia intelektualnego, ta „nerwowość,“

to zdziczenie uczucia i woli popycha dzisiaj nawet delikatne panie z wyższego świata do najbrutalniejszych zbrodni, a takich mędrców, jak np. Fr. Nietzsche, który otwarcie z zasady zaprzeczał wszelkiej moralności, nawet prawu sądenia zbrodniarzy, doprowadza do domu obłąkanych.

Prawda, że i w dawniejszych czasach nie dbano w sposób zbyt racjonalny o wykształcenie uczucia i woli młodzieży. Ale ogólny nastrój estetyczny i etyczny czasu ożywiał i te strony życia umysłowego, a nadto młodzież nie była do tego stopnia absorbowaną wymaganiami szkolnemi, samą tylko *wiedzą*, jak obecnie. Miała ona więcej czasu do zaspokojenia potrzeb uczucia i woli, mogła z większą swobodą oddawać się swym idealnym porywom, zbierać na wzór pszczoły słodycze z różnobarwnych kwiatów literatury nadobnej, sztuki pięknej i życia. Dzisiaj, wobec wymagań „nauki,“ wciskających się do pokoików dziecięcych, o tem wszystkim mowy już być nie może. Dziecko ma dzisiaj ciągle nad sobą nauczyciela lub nauczycielkę; nawet bawić się nie może na swój sposób, według *swjej* fantazyi, lecz i pod tym względem podlegać musi „naukowym“ zasadom. Policyant wiedzy naukowej śledzi każdy jego ruch, każde słowo jego i dba tylko o to, aby doprowadzić do sztucznego rozkwitu zdolności intelektualne, *myśl* drobnej dziecięcy!

Tymczasem nie *myśl*, lecz *uczucie* stanowi rdzeń naszego ustroju psychicznego. W niem, a nie w abstrakcyjnej myśli, ześrodkowują się indywidualność żywej istoty. Jak się *czujemy*—to stanowi główną treść naszego bytu, a nie to, jak o sobie myślimy.

Myśl jest światłem, uczucie ciepłem życia psychicznego. Któż zaprzeczy wielkiej doniosłości światła fizycznego i psychicznego, ale ciepło fizyczne i psychiczne są czynnikami bez porównania żywotniejszymi w ustroju wszechświata. Bez światła, w bezwzględnej ciemności żyją miliony istot, i najwyższe organizmy mogą żyć, pozbawione światła, — ale zimno bezwzględne równa się śmierci; bez pewnego stopnia ciepła niema życia. Więc ciepło jest koniecznym warunkiem, a może i współczynnikiem życia. Toż samo powiedzieć należy o *uczuciu* w stosunku do życia psychicznego. Życie psychiczne może istnieć i bez myśli, ale bez uczucia go niema. Istota, pozbawiona samoczucia, nie żyje psychicznie. Sen przerywa działanie świadomej siebie myśli, ale uczucie nie śpi; czuwa ono zawsze w głębi naszego jestestwa, stoi na jego straży, zrywa się w każdej chwili, gdy tego wymagają potrzeby życia.

Doniosłość uczucia dla życia psychicznego wzmagą się jeszcze w skutek tej okoliczności, że wola, ruchy i działanie, zależą w znacznej części od jego impulsów. Jeżeli myśl rozpatruje i wyjaśnia cele działania, to uczucie podnieca wolę ciągle na nowo, stanowi sprężynę, pobudzającą naszą energię i wprawiającą w ruch jej objawy na ze-



wnątrz. To też właściwą istotą naszej indywidualności, naszą *osobą*, *jaznią*, nie jest *świadomość myślowa*, *samowiedza*, ten sporadyczny kwiat życia psychicznego, występujący na jaw tylko peryodycznie, wśród szczególnych warunków, lecz istotą tą jest bezpośrednio poczucie naszego indywidualnego bytu, nasze *samoczucie*, podobne do korzeni, które nadają roślinie moc i trwałość, i nadto, łącząc ją z gruntem życiodajnym, warunkują jej wzrost i rozwój.

Uczucie jest to bezpośrednio przejęcie się żywej istoty własnymi swymi stanami. Zmiana tych stanów, wywoływana bądź przez bodźce zewnętrzne, bądź przez wewnętrzne czynniki, pociąga za sobą i zmianę uczuć. We wszystkich tych zmianach działa jednak jedna zasadnicza dążność, wypływająca z natury każdego ustroju, — a mianowicie dążność do pozostawiania sobą, czyli tak zwany popęd *zachowawczy*. Ale przez ten termin nie należy rozumieć tylko dążności do zachowania bytu, istnienia, życia wogóle, lecz daleko szerszą i donioślejszą dążność do wszechstronnego rozwoju złożonych w danej istocie zarodków, do przejawu całej pełni jej sił żywotnych. W tem znaczeniu popęd zachowawczy odnosi się nietylko do terażniejszości, lecz obejmuje zarazem całą przyszłość żywej istoty; nie ma na oku tylko tego, czem ona jest obecnie, lecz i to wszystko, czem być może, odpowiednio zarówno do swego przyrodzonego typu, rodzaju, jak i do swych zdolności i aspiracji indywidualnych. Z tego szerszego stanowiska, popęd zachowawczy daleko właściwiej należało-by nazywać *popędem życiowym*.

Z istotą uczucia łączą się bezpośrednio objawy psychiczne *woli*. To nie jest jakaś odrębna władza lub zdolność, dająca się oderwać od uczucia, lecz jest jego nierozzerwalnym współczynnikiem, jak to się już wykazuje z łączności uczucia z popędem życiowym. Różnica pomiędzy uczuciem i wolą polega tylko na różnym stopniu rozwoju jednego i tegoż samego czynnika psychicznego, a w istocie na różnostronnych objawach owego popędu życiowego. Przejęcie się danym żywym stanem jest *uczuciem*, a dążność do jego zmiany jest *wolą*. Póki zatem oddajemy się naszym stanom podmiotowym, przyjemnym lub nieprzyjemnym, miłym lub wstrętnym, póki te stany zmieniają się wskutek warunków od nas niezależnych, bez naszej własnej dążności do ich zmiany, dopóty pozostajemy w zakresie *uczucia*. Z chwilą zaś, gdy uczuwamy sami *dążność* do zmiany danego stanu faktycznego, bądź w celu przejścia od nieprzyjemnego stanu do przyjemnego, lub od przyjemnego do przyjemniejszego, lub wręczcie w celu zmiany dla zmiany, — wnet uczucie staje się *wolą*, bo przechodzi w popęd, dążność, działanie, ruch, a wreszcie w czyn, zmieniający zewnętrzne warunki bytu, więc i podmiotowe stany danego żywego jestestwa.

Nie trudno wskutek tego zrozumieć, że źródłem naszej woli i naszych czynów są zawsze nasze *uczucia*. Każdy człowiek tak działa, jak czuje w głębi swego jestestwa. Może on często, dla względów ubocznych, zamaskować prawdziwe dążności swego uczucia i czynami swemi okłamywać innych co do tych uczuć, — ale i te kłamliwe czyny stają się w gruncie rzeczy objawami obludy, jako nastroju uczuciowego człowieka, i nadto, przy każdym silniejszym poruszeniu uczucia występuje na jaw jego treść prawdziwa i zadaje sama kłam owym czynom obludnym, potwierdzając prawdę o bezwzględnej zależności czynów od uczuć.

Stosunek objawów *myślenia*, a zatem wyobrażeń, pojęć, sądów, wniosków, rozmowania do uczucia i woli przedstawia się tak jasno, że błędne w tym względzie poglądy, które były panującymi w psychologii aż do niedawnego czasu, mogły powstać tylko wskutek doktrynerstwa, przechodzącego bezmyślnie koło najoczywistszych faktów życia psychicznego. Myśl jest wyższy wytwór rozwoju umysłowego, zależy w swych zasadach od działania poprzednich czynników uczucia i woli. Jeżeli ze stanowiska przedmiotowego mogliśmy porównać myśl wogóle ze światłem,—to w ustroju psychicznym istot myśl ma toż samo znaczenie, jak *wzrok* w ustroju fizyologicznym. Można nawet, zdaje się, twierdzić, że myśl, a w szczególności pierwiastkowe jej objawy, to jest wyobrażenia, zjawiają się dopiero u istot, obdarzonych wzrokiem. Uczucie i wola mogą istnieć bez światła myśli, ale myśl żadna faktycznie nie istnieje bez odpowiedniego, czynnego udziału uczucia i woli <sup>1)</sup>).

Psychologia asocjacyjna, sprowadzająca całe życie umysłowe do mechanicznego kojarzenia się pojęć według praw tożsamości, kontrastu, współistnienia i następstwa, zapomina, że działanie tych praw, odnosząc się wyłącznie do sfery *wrażeń* zmysłowych, nie jest zdolnem objaśnić najelementarniejszych objawów myśli *logicznej*. Łączność bowiem logiczna myśli wypływa z odrębnych praw ustroju umysłowego i dokonuje się zawsze tylko pod wpływem pewnych podmiotowych impulsów uczucia i pewnego naprężenia energicznej woli. Tutaj zatem nie może być już mowy o procesie, odbywającym się sam przez się, mechanicznie, lecz jest to proces, wynikający zawsze z samodzielnej czynności istoty

---

<sup>1)</sup> Jeśli niektórzy psychologowie (np. Höffding) przyjmują działanie *myśli* nawet u najniższych żyjątek, to czynią to tylko dlatego, że nie mogą sobie wyobrazić elementów uczucia lub dążenia bez myśli. Ale jest to tylko wynik przeniesienia subiektywnych doświadczeń na pole obiektywnych danych. Obdarzeni wzrokiem nie mogą sobie wyobrazić poglądu na świat niewidomych. Podobnie trudno nam wyobrazić sobie uczucia bez myśli,—a jednak faktycznie u najniższych istot śladów myśli, wyobrażeń i pojęć o rzeczach nie napotykamy.

czującej i chcącej, rozpatrującej rzeczy wskutek osobistego w nich udziału. To też nie można wywierać wpływu na obce myśli, na *przekonanie* innych ludzi, przy pomocy samej tylko działalności myśli, nie oddziaływając zarazem na ich uczucie i wolę, na cały ich nastrój psychiczny.

Brak wyrobionej *myśli*, a zatem jasnych i prawdziwych wyobrażeń, pojęć, sądów, w rozwoju umysłowym człowieka porównać tylko można z brakiem *wzroku*, jasnego poglądu na świat. Człowiek taki chodzi jakby omackiem, nie widząc dobrze, co go otacza. Ale jeżeli taki człowiek posiada zdrowe uczucie i dobrą wolę, to daje sobie radę w życiu, podobnie, jak niewidomi często bardzo orientują się wśród swego otoczenia, chodzą i dokonywają różnych czynności, kierując się innemi zmysłami, a szczególniej dotykem. Przeciwnie, brak wyrobienia *uczucia* i *woli*, nienormalność ich rozwoju lub ich przytępienie równa się paraliżowi częściowemu lub całkowitemu systematu nerwowego, bo pozbawia człowieka możności naprężenia swych sił na korzyść własnej swej kultury i działania wogóle w jakimkolwiek pożytecznym kierunku.

Oto dane psychologiczne o największej doniosłości życiowej. Jesteśmy dla siebie, dla rodziny, dla społeczeństwa, dla świata, w gruncie rzeczy tem, czem się być czujemy. Wartość nasza istotna sprowadza się do naszych uczuć, bo wszystko, co tylko posiadamy: nasze życie, nasze siły fizyczne i zdolności umysłowe, nasze środki materyalne i naszą władzę, jednym słowem, cały zasób naszych dóbr, używamy na dobre lub złe, z pożytkiem lub szkodą dla siebie lub innych, stosownie do naszych *uczuć*, zależnie od ich rozwoju i kultury. Wszystko w życiu jest dla nas tylko *środkiem* wobec *celów*, wypływających z nastroju naszych uczuć. Dlatego też wewnętrzną, etyczną wartość człowieka oceniamy nie wedle samych czynów, lecz przedewszystkiem wedle *motywów*, powodujących czyny jego. A motywami są zawsze tylko *uczucia*.

Ponieważ uczucia wyrażają bezpośrednio stany, w których się znajdujemy, a stany te zależą nietylko od przyrodzonego nastroju naszego jestestwa psychicznego, lecz i od rozlicznych warunków zewnętrznych, wśród których żyjemy, przeto te warunki zewnętrzne są potężnym czynnikiem rozwoju i kultury naszych uczuć. Zmieniając warunki bytu danej istoty, zmieniamy zarazem i jej nastrój uczuciowy, a nadając tym warunkom bytu charakter stały, wywołujemy i stały nastrój uczuciowy, który, równoważąc się z nastrojem przyrodzonym jestestwa, stać się może z czasem jego drugą naturą. Świadczy o tem najdobitniej nastrój psychiczny zwierząt oswojonych w porównaniu z takimże nastrojem ich dzikich przodków.

Z powyższego wynika, że najpotężniejszym czynnikiem wychowania, to jest kształcenia samej istoty wychowawca, wyrobienia z niego człowieka, przybliżającego się do naszego ideału, nie jest *wiedza*, napełnianie jego umysłu choćby najpożyteczniejszemi wiadomościami, lecz postawienie go wśród takich realnych warunków życia i rozwoju, które, wpływając na jego nastrój psychiczny w sposób stały, nadały-by również charakter stałości pewnym zasadniczym uczuciom, zdolnym unormować w duchu właściwym jego dążności, a z czasem nawet i całe jego samodzielne postępowanie w życiu.

W dziecku od maleństwa wytwarza się pewne *samoczucie*, zależne w znacznej części od warunków jego bytu i od zachowania się względem niego otoczenia. Dziecko może się np. czuć panem, despotą swego otoczenia, choć nie ma *wiedzy* o tem, co to jest pan, despota, jeżeli otoczenie we wszystkim mu ustępuje, jeżeli w niczem nie ogranicza jego zachcianek, samowoli. W takim położeniu czuje się dziecko, jako punkt środkowy dostępnego dla niego świata i sądzi, że wszystko około niego tylko się obraca. Nie przywykając do ograniczania swych bezpośrednich popędów uczuciami, wywołanemi przez otoczenie, np. uczuciem uległości dla starszych, posłuszeństwa, szacunku dla nich i t. p., staje się z czasem chwiejnym w sobie, kapryśnym, bez wyraźnego kierunku w swych dążnościach, bo jego życie wewnętrzne pozostawało w ciągłej wibracji, w ciągłym ruchu i niespokoju, pod wpływem zmiennych warunków zewnętrznego bytu, a wśród tego niespokoju nie mogły się w niem rozwinąć żadne uczucia wytyczne, kierownicze, zdolne w niem wyrobić charakter stały, z energicznie określonymi dążnościami. Z drugiej znowu strony, przy pomocy realnego ustosunkowania indywidualności dziecka do jego otoczenia, zaszczepić możemy w jego sercu pewne stałe uczucia, np. uczucie zależności od wyższego, stojącego nad niem, porządku rzeczy, przywiązania do rodzeństwa, domu, kraju, współczucia, zadowolenia z usług, okazywanych innym, z porządku, ładu i piękności, ze spełnienia obowiązków, z poznawania rzeczy i t. p. i przez to zdolni jesteśmy samo *źródło* jego życia psychicznego ująć w pewien kształt normalny i wyźłobić koryto jego dalszego biegu. A wtedy wychowanie nie ma już charakteru zewnętrznej tylko przeróbki wychowawca, nie nadaje mu tylko ogłady konwencyjonalnej, ani też nie bogaci go tylko zasobami obcej wiedzy, lecz wnika w samo jądro jego bytu, kształci go tak, że on sam w sobie staje się innym, że z własnego popędu, wskutek swobodnych porywów własnej istoty, czyni zadość racjonalnym wymaganiom wychowawcy. Kultura nie dotyka już teraz tylko zewnętrznego wyglądu ludzkiej latorośli, nie uszlachetnia tylko jej widocznych i dotykalnych objawów, lecz obejmuje zarazem korzenie, z których wyrasta, i grunt, na którym rośnie, a wskutek

tego poprawia jej soki, staje się procesem organicznym, życiowym, zamiast mechanicznego wzrostu zaszczepionej obcej róższki na dziem drzewie.

Nie chcąc odbiegać zbyt daleko od naszego przedmiotu, nie możemy tutaj rozwinąć szczegółowiej powyższego poglądu na zasadnicze znaczenie uczucia i woli w życiu umysłowem. Po wszechstronne wyjaśnienie tej kwestyi odsyłamy czytelnika do prac Nahlowskiego <sup>1)</sup>, Horwicza <sup>2)</sup>, Volkmana <sup>3)</sup>, Krausego <sup>4)</sup>, Wundta <sup>5)</sup> i innych.

Wracając do p. Dawida, z żalem zaznaczyć tutaj musimy, że chociaż w dziele swoim obszernie rozdziały poświęca *danym psychologicznym* (str. 297 do 445), i mówi szczegółowo o *przyswajaniu umysłowem, o rozwoju umysłowym i o dziecku*, to jednak ledwo tu i owdzie wspomina półsłówkiem o uczuciu i woli. Zdawać-by się mogło, że te objawy psychiczne dla niego mają znaczenie zupełnie podrzędne. *Przyswajanie umysłowe, asymilacja treści zewnętrznej, oto prawie jedyny proces psychiczny, który dla niego ma doniosłość pedagogiczną, który uwzględnić należy przy nauczaniu.* Nie myślimy bynajmniej lekceważyć tego czynnika i ze szczerem uznaniem wspominamy o pouczających wywodach autora pod tym względem. Ale kwestya: jak treść zewnętrzna oddziałuje na *uczucie* dziecka i w jakim stosunku się znajduje do *życiowych* objawów jego *woli*, a przede wszystkim: jak należy *kształcić* uczucie i wolę dziecka, jest dla nas nie mniej ważną; kwestya zaś ta naszego autora prawie wcale nie zajmuje. Nawet przy rozpatrzeniu *rozwoju umysłowego* autor zastanawia się głównie nad „rozwinięciem elementarnych zdolności *przedmiotowego poznawania*,” a przechodząc następnie do rozbioru warunków rozbudzenia umysłowego *interesu*, znowu jedynie dla „rzeczy i zjawisk konkretnych,” ogranicza się zaznaczeniem, że przez uwagę, będącą głównym czynnikiem zainteresowania,

<sup>1)</sup> J. Nahlowsky: „Das Gefühlslieben.“ 2-ie wyd. 1884.

<sup>2)</sup> A. Horwicz: „Psychologische Analysen.“ T. I. 1872, str. 231 i nast., 350 i nast., a szczególniej druga część t. II-go: „Analyse der qualitativen Gefühle.“ 1878.

<sup>3)</sup> W. Volkmann: „Lehrbuch der Psychologie.“ 2-gie wyd. 1876. T. II, str. 289 i nast.

<sup>4)</sup> Alb. Krause: „Die Gesetze des menschlichen Herzens.“ 1876.

<sup>5)</sup> W. Wundt: „Physiologische Psychologie,“ 2-gie wyd. T. I, str. 494 i nast., T. II; 327 i nast., tegoż „Ethik,“ 1-sze wyd. 1886, str. 372 i nast., tegoż „Vorlesungen ueber die Menschen- und Thierseele.“ 2-gie wyd. 1892, str. 225 i nast. 14 i 15 lekcyce.

Zauważmy tutaj, że i H. Höfding uznaje, iż myślenia bez udziału uczucia i woli niema, i że łączność pomiędzy uczuciem i wyobrażeniem jest *głębszą*, aniżeli łączność wyobrażeń pomiędzy sobą. Zob. jego „Psychologię.“ 2-gie wyd. niemieckie przy udziale autora, 1893, str. 123, 219, 412 i następne. Przekładu polskiego nie mam pod ręką.

„wypowiada się *niejako* wola nasza“ (str. 403), i że interes umysłowy, nadając *wiedzy* wartość uczuciową, jest jednym z najdonioślejszych czynników tego wpływu, jaki *wiedza* wywiera na postępowanie i moralne udoskonalenie człowieka (str. 414).

Wogóle w swych poglądach na życie umysłowe trzyma się p. Dawid nie tylko *utartego*, lecz dziś już bardzo *wytartego* szablonu Herbartowsko-asocyacyjnej psychologii. Cytuje on wprawdzie czasem Horwicza, a zna niewątpliwie dzieła Wundta, ale, niestety, nie korzysta, szczególnie z tych ostatnich, w sposób należyty. Gdyby tak nie było, nie traktował-by tak ubocznie objawów uczucia i woli, a nawet na polu objawów intelektualnych, myśli, zwrócił-by baczniejszą uwagę na zaznaczoną powyżej różnicę zasadniczą pomiędzy tak zwanymi prawami kojarzenia się pojęć, czyli *asocyacji*, a prawami ich *logicznej* łączności pod wpływem *apercepcji*. Odnosno dowody Wundta są tak przekonujące, że nie wiem, czy można się powoływać na „współczesny“ stan nauki, ignorując te dowody, jak wogóle ostateczne wyniki specjalnych badań najznakomitszego „współczesnego“ psychologa. Również nie sądzę, aby się godziło tak ważne kwestye, łączące się jak najściślej z całym poglądem na człowieka, jego wychowanie, jego rozwój intelektualny i moralny, zbywać powierzchowną uwagą, w rodzaju tej, jaką napotykamy na str. 409 książki p. Dawida. Mówi on: „*Przyjmujemy* tu *apercepcję* w znaczeniu ustalonem przez Herbarta i po części filozofów angielskich w przeciwstawieniu do szkoły Wundta, w której *apercepcya* jest jednoznaczna *prawie* z pojęciem woli.“ Rozumiem dobrze, że jest rzeczą arcy wygodną trzymać się ślepo tej lub owej doktryny szkolnej; ale czyż się godzi w kwestyi zasad z całą świadomością „przyjmować“ tak sobie, z niechcenia, dla wygody, teorye, których sprzeczność z oczywistymi faktami dowodnie wykazaną została? Czy to nie doprowadza do dogmatycznego scholastycyzmu, uniemożliwiającego wszelki „postęp“ ku lepszemu? <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Co do różnicy kojarzeń asocyacyjnych i apercepcyjnych zob. W. Wundt: „*Physiologische Psychologie*.“ 2-gie wyd. 1880, t. II str. 219 i nast., 309 i nast. tegoż „*Logik*.“ 1880, t. I, str. 10 i nast., dwa pierwsze rozdziały; tegoż „*Vorlesungen ueber die Menschen- und Thierseele*“, 2-gie wyd. 1892, str. 252 i nast., 319 i nast., 334 i następane. Podobnie i Höffding wykazuje dowodnie faktyczną różnicę pomiędzy bezpośrednią *asocyacją* pojęć i tem, co on nazywa „*swobodną* ich kombinacją“ i „*właściwem* myśleniem.“ „*Nowsza psychologia*,“ mówi on, zaznaczając aktywne momenta poznawania, wystąpiła z reakcją przeciwko jednostronnej psychologii asocyacyjnej, która poznawanie starała się sprowadzić do mechanicznej łączności biernych czynników wrażeń zmysłowych.“ Zobacz l. c. str. 124 i nast., 214, 237 i nast., 243, 431 i następane. H. Münsterberg, jeden z najgłośniejszych psychologów eksperymentalnych młodszej generacji, rozchodzący się pod niejednym względem z Wundtem, w pracy: „*Studien*

## IV.

## Cel i treść nauczania początkowego.

W zasadzie p. Dawid mówi bardzo pięknie o celu wychowania i kładzie z całą stanowczością nacisk na jego zadania *moralne*. Toż samo wymaganie stosuje on i do zadań nauczania. Widzieliśmy to już po części powyżej. Rozwija on tę zasadę, jako zasadę, bliżej w rozdziale, poświęconym rozbirowi *celu* pierwszego nauczania. „Nauczanie—mówi (str. 281)—jako jedna z czynności wychowania, dąży do tegoż celu, co i to ostatnie,—w określony sposób kształcić *charakter* wychowanka, a mianowicie utrwalić w człowieku *uczucia* i *popędy moralne*, tak jednostkowe, jak społeczne, oraz do urzeczywistnienia ich w życiu zdolnym go uczynić.“

Lepiej celu nauczania i wychowania określić nie podobna. To też określenie to akceptujemy w zupełności i przyjmujemy za punkt wyjścia do dalszego rozpatrzenia tego przedmiotu.

---

zur Associationslehre,“ w „Beiträge zur experimentellen Psychologie,“ zeszyt IV-ty, 1892, czwarte studjum, str. 23 i nast., zaznacza, że doświadczenia jego, w których czterem osobom poddawał cztery razy 400 znanych wyrazów, dowiodły, że ani jeden z tych wyrazów nie wywołał u dwóch osób cztery razy tej samej asocjacji, a z tego wyprowadza wniosek, że „sama asocjacja żadną miarą nie może być zasadniczem prawem życia naszych wyobrażeń,“ gdyż nie przedstawia żadnej *stałości* (Konstanz) w kojarzeniu się pojęć nawet u jednej i tej samej osoby w różnym czasie, a tem mniej u różnych osób. „Prawa“ asocjacji Münsterberg zastępuje prawem „konstelacji,“ polegającej na wytworzeniu pewnych centrów, czyli ośrodków myśli, w około których gromadzą się szeregi innych myśli. *Stałym* kojarzeniem, według tego, mają podlegać tylko takie wyobrażenia, które wpadają w zakres dwóch konstelacji. Jak się wytwarzają same „konstelacje,“ tego nie wyjaśnia bliżej, nie może jednak zaprzeczyć, że w nich biorą udział pewne czynniki *logiczne*. Nawet taki skrajny przedstawiciel sensualizmu w psychologii, jak Fr. Paulhan, również zmuszony jest zmodyfikować zwykłe prawa asocjacji pojęć i mówić o prawie *systematycznej asocjacji*, według którego „każdy fakt psychiczny dąży do wywołania takich faktów psychicznych, które-by się z nim harmonizowały i mogły z nim dążyć do wspólnego celu i wytworzyć *system*.“ Łatwo spostrzedz, że taka „asocjacja“ już się bardzo mało różni od kojarzeń *apercepcyjnych* Wundta. Zob. Fr. Paulhan: „L'activité mentale et les éléments de l'esprit.“ 1889, str. 87 i nast. Nareszcie nie można zapomnieć, że do „współczesnych“ objawów nauki należą i prace Alfreda Fouilliée, np. jego „L'évolutionisme des idées forces,“ 1890, które już bardzo daleko odstępują od ciasnych formułek teorii asocjacji. Czyż to zawsze w sposób niepoprawny wygłaszać będziemy za naukę „współczesną“ to, co gdzieindziej już się odkłada ad acta, już się zaczyna przeżywać? Tak było z heglizmem, z materyalizmem i pozytywizmem u nas, a teraz toż samo się powtarza z psychologią asocjacyjną!

Ale nie dość uznawać w teorii tak piękne i prawdziwe zasady—choć i tego lekceważyć nie chcemy; chodzi zarazem i głównie o to, aby zasady te urzeczywistniono w praktyce, aby ów cel najwyższy wychowania i nauczania miano ciągle na oku i do niego dążono po drodze możliwie prostej i dobrej. A tego właśnie powiedzieć nie można ani o p. Dawidzie, ani o większości współczesnych pedagogów, stojących pod wpływem jednostronnego intelektualizmu.

Już bliższe określenie treści nauczania, podane przez naszego autora, pomimo pozornej łączności z powyższą zasadą, odstępuje od niej na korzyść jednostronnego *panowania wiedzy, myśli*, nad czynnikami, zdolnemi przedewszystkiem współdziałać do osiągnięcia owego celu—kształcenia *charakteru*, utrwalenia uczuć i popędów moralnych wychowańca.

Otóż p. Dawid pod tym względem mówi dalej (str. 282): „Treścią nauczania jest albo *wiedza* o moralnej istocie człowieka, albo o życiu przyrody. Oba te działy postępują w pewnym stopniu równolegle, uzupełniając się wzajemnie w osiągnięciu ogólnego celu wychowania: ukształcenia moralnej woli. Pierwszy, rozsuwając obrazy ludzkich uczuć, dążeń i czynów, stwarza dla woli określone cele i motywa, zespala nową jednostkę z moralnemi ideałami społeczności i do działania w kierunku tych ideałów skłonną ją czyni. Drugi—to jest nauka o przyrodzie, poznać jednostce tej daje środki i warunki skutecznego działania; przedstawiając człowieka, jako *cząstkę przyrody*, okazuje, jakim w tej wielkiej całości jest jego rzeczywiste stanowisko, jakie są jej siły i prawa, do których stosować się musi, chcąc osiągnąć swoje, ludzkie cele.“

Mogło-by się zdawać, że zdania te czynią wszechstronnie zadość wymaganiom zarówno pedagogiki, jak i etyki. Tymczasem śmiemy powiedzieć, że tak nie jest bynajmniej, że zdania te sprzeciwiają się właśnie bardzo rażąco tak racjonalnej pedagogice, jak i prawdziwej etyce, i dlatego doprowadzają do praktyki, rozchodzącej się zupełnie z ową piękną zasadą o kształceniu *charakteru, moralnych uczuć i woli* wychowańca.

Naprzód pytamy, czy to w istocie treścią nauczania, a szczególnie nauczania początkowego, jest tylko *wiedza*? Czy nie możemy i nie powinniśmy nauczyć dzieci i takich „rzeczy“, które nie dają się sprowadzić do nazwy wiedzy, bo są objawami, od *wiedzy* różnemi? Jeżeli np. uczy my je chętnego spełniania naszej woli, posłuszeństwa, szacunku dla starszych, względności dla rówieśników, zgodności z rodzeństwem, porządku, ograniczania swych pragnień, panowania nad sobą, wdzięczności, niesienia pomocy potrzebującym, współczucia (współradości i współbólu), ofiarności, obojętnego oddania się zajęciom, pracowitości,



znoszenia trudu, mówienia prawdy, słowności, wystrzegania się złego i na samotności, bez względu na dozór starszych, sumienności, szczerości i t. p., jednym słowem, jeżeli uczymy je *czuć szlachetnie i chcieć dobrze*, — czy można powiedzieć, że treścią wszystkich tych nauk jest *wiedza*, choćby wiedza o „moralnej istocie człowieka“? *Wiedza* o tem wszystkim tak jest różną od rzeczywistego nauczania dziecka tego wszystkiego, jak różną jest wiedza o istnieniu milionów od ich posiadania!

Gdyby nawet dziecko mogło przejąć od nas *wiedzę* o tem wszystkim — t. j. zrozumieć przyczyny i znaczenie wszystkich powyższych wymagań moralnych, — czego chyba żaden pedagog nie uzna za możliwe — to i wtedy nic-by nam zgoła ta wiedza w dziecku nie pomogła, nie przybliżała-by nas ani o krok do naszego celu: wyrobienia jego *charakteru*, prawidłowego rozwoju jego *uczuć i woli*. Wiedza taka równała-by się tylko okularom, wsadzonym na nos niewidomego, lub świeczce, wciśniętej w jego rękę! Dziecko nie *może*, choćby i chciało, kierować się w swych uczuciach i działaniach *wiedzą* o tem, jak czuć i jak działać powinno. *Tego* właśnie dopiero *nauczyć się* musi. Ono musi przede wszystkim, drogą życiowego doświadczenia, *faktycznie przywyknąć* do wymaganego przez nas nastroju psychicznego i do różnych jego objawów, a dopiero wtedy zrozumie, o co *nam* w naszej *wiedzy moralnej* chodzi. Bez tej *praktycznej* nauki, żadna wiedza nie czyni człowieka *skłonny* „do działania w kierunku moralnych ideałów społeczności“, jak sądzi p. Dawid. Skłonności bowiem nie rozwijają się przy pomocy *wiedzy*, lecz wyłącznie wskutek *nawyknień życiowych*.

Co więcej, *wiedza* w sprawach moralnych przestaje być dla nas treścią obcą, z zewnątrz nam narzuconą, dogmatyczną, lecz staje się *naszą* wiedzą, naszym własnym *przekonaniem* tylko wtedy, gdy odpowiada rozwojowi życiowemu naszych uczuć i dążeń, gdy natrafia na grunt psychiczny, należycie uprawiony, znajdujący się na tej samej stopie kultury, co i *wiedza*. Najpiękniejsze nauki o ideałach moralnych ludzkości, a choćby proste wymagania dekalogu, pozostają niezrozumiałymi dla ludzi o zdziczałych uczuciach, a budzą tylko uśmiech ironiczny w ludziach, wyzutych ze szlachetniejszych poruszeń serca.

Czyż to wszystko nie oczywiste dowody bezsilności teoretycznej *wiedzy* na polu *moralnego* rozwoju człowieka? Czyż tedy zdrowa, racjonalna pedagogika nie powinna odwrócić porządku, zaprowadzonego w sprawie wychowania przez jednostronny intelektualizm, t. j. zaczynać wychowanie nie od *wiedzy*, od wpajania w młodociany umysł teoretycznych wiadomości, choćby „o moralnej istocie człowieka“, lecz zacząć od *nauczania praktycznego* przez wytworzenie dla dziecka takich warunków *życiowego* rozwoju, aby *przywykłało* do spełniania wymagań

moralnych, aby nabierało faktycznie szlachetnych i dobrych skłonności; a dopiero w następstwie, gdy będzie posiadało rzecz, o którą chodzi, udzielać mu *wiedzy* o moralnej istocie człowieka? Przecież to metoda pogładowa słusznie dowodzi, że nie należy mówić dziecku o rzeczach, których nie zna z własnego doświadczenia. Więc też zasadę tę powinniśmy zastosować i do *moralnego* rozwoju dziecka. Naprzód musimy dziecko nauczyć czuć moralnie i działać moralnie, a potem dopiero na tej podstawie mówić mu o istocie moralnej człowieka.

Toż samo odnosi się i do strony *estetycznej* wychowania i nauczania początkowego, o której p. Dawid już wcale nawet nie wspomina, chociaż jej przecież tak bezwzględnie zaniedbywać nie można. Ponieważ jednak kształcenie estetyczne uczuć dziecka, jego zmysłu dla piękna, łączy się jak najściślej to z ukształceniem jego poglądu na świat zmysłowy, to z nauką języka, to wreszcie z jego rozwojem moralnym, przeto nad niem się tutaj również szczegółowo nie zastanawiamy, odsyłając czytelnika w tym względzie do pouczającej pracy B. Pereza o sztuce i poezji u dziecka <sup>1)</sup> i do rozpraw prof. H. Struvego o wychowaniu estetycznym <sup>2)</sup>.

Wobec zarzutów powyższych, p. Dawid może powie, że tu zachodzi tylko spór o słowa, że on bynajmniej nie wyłącza z zakresu wychowania początkowego owej *praktycznej* nauki, o której mówimy, że jednak nauczanie w ścisłym znaczeniu ma zawsze do czynienia z pewną *wiedzą*. Ale argument ten pozbawiony jest racji wobec dalszych poglądów pedagogicznych naszego autora, a szczególnie wobec jego poglądu na *rozwój moralny* dziecka w okresie przedszkolnym.

Otóż, specjalizując dalej *treść* nauczania początkowego, p. Dawid dowodzi (str. 286 i nast.), że interes i uwaga dziecka zwracają się głównie do przedmiotów świata zewnętrznego, wyznaczając *uczuciowości* i *moralnej refleksji* „podrzedną tylko rolę.“ A z tego wyprowadza wniosek, już wcale nie licujący z jego własną zasadą moralną wychowania, a mianowicie, że punkt ciężkości w nauczaniu okresu przedszkolnego leżeć nie może w części jego, obejmującej *moralną naukę* o człowieku;

<sup>1)</sup> B. Perez: „L'art et la poésie chez l'enfant.“ 1888. Autor traktuje szczegółowo, na podstawie psychologicznych danych i wielu przykładów, z życia dzieci zaczerpanych, o ich guście w strojach, o ich zamilowaniu do piękna, przyrody, o sztuce przypodobania się (grzeczność, gadatliwość, kokieterya), o muzyce, rysunku, sztuce dramatycznej, poezji i literaturze nadobnej.

<sup>2)</sup> H. Struve: „Estetyka i wychowanie estetyczne,“ w Encyklopedyi wychowawczej, tom III, str. 558—610,—oraz jego „Sztuka i piękno.“ 1892, str. 199 i nast.: „Poezya, muzyka i rysunek, jako środki wychowania estetycznego,“ i str. 231 i nast.: „O zadaniu i wychowaniu estetycznym kobiety.“

że zatem treścią główną nauczania tego *nie mogą być*, jak chcą niektórzy, powiastki, baśnie, wierszyki, sentencje *religijno-moralne*, pobudzające i zajmujące czynność dziecka uczuciową, refleksyjną i fantazyjną, lecz przeciwnie, że *przewagę i wytyczne stanowisko otrzymać powinna przedmiotowa nauka o przyrodzie*.

Jakież to zwrot wymuszony, naciągany ku doktrynom najtrywialniejszego naturalizmu! Jakto, więc dla dziecka od trzeciego do siódmego roku życia, uczuciowa i moralna strona jego stosunku do ludzi nie ma pierwszorzędnej doniosłości, ustępuje na plan dalszy wobec przedmiotów przyrody? Więc może kamień, drzewo, pies, kot, więcej je zajmuje, budzi bardziej jego *interes i uwagę*, aniżeli matka, ojciec, brat lub siostra! Może dziecko objawia żywsze uczucia i dążności, patrząc na okazy przyrodnicze, aniżeli w obcowaniu ze swymi najbliższymi? Może nauka o roślinach i minerałach podnieca bardziej jego ciekawość, aniżeli opowiadania o innych dzieciach i ludziach! Zresztą, które z tych „rzeczy“ posiadają większą „wartość etyczną“, o której przecież sam p. Dawid wspominał powyżej?

Więc proszę powiedzieć, z jakiego źródła wypływają właściwie wszelkie poruszenia duszy dziecięcej, jej smutki i radości, jej obawy i nadzieje, jej zachcianki i niechęci, jej upodobania i wstręty,—czy nie przedewszystkiem z warunków *społecznych*, w których ono się rozwija? Skąd czerpie dziecko główną treść do swych zabaw z lalką, z innymi dziećmi, jeśli nie ze swoich stosunków życiowych i z uczuć estetycznych i moralnych, wywoływanych przez te stosunki? Cóż tu ma za znaczenie *przyroda* i do tego przyroda, pojęta nawskroś materialistycznie! Jakiem prawem miał-by pedagog dla doktryn naturalizmu zmuszać dziecko do gwałtownego skoku z łona macierzyńskiego w wielki świat zewnętrzny, bez owego naturalnego łącznika, jakim jest *rodzina*? Czyż ona w tym okresie nie jest *całym światem* dla dziecka; czy ono nie patrzy na świat cały przedewszystkiem przez pryzmat rodziny, z której nie wyłoniło się jeszcze na zimny grunt... wielkiej przyrody! Czy uczuciowość, subiektywizm, jak najściślej związany z życiem rodzinnem dziecka, nie górują w niem po-nad wszelką tendencją „przedmiotowego poznawania“ przyrody?

Jakież można tedy mówić wogóle o wychowaniu i nauczaniu dziecka, a w szczególności o kształceniu jego uczuć i popędów moralnych, nie zaznajamiając go przedewszystkiem ze stosunkami *rodzinnymi*? A jeżeli uważamy za potrzebne przy pomocy tak zwanej „nauki o rzeczach“ wyrobić wyobrażenia dziecka o różnych przedmiotach, i jeżeli ta nauka o rzeczach traktuje według planu p. Dawida między innymi o psie, kurze, kaczce, żabie,—to trudno zrozumieć, dlaczego pod tą nazwą nauki o rzeczach nie miano spożytkować materiału doświad-

czalnego duszy dziecięcej i nie traktować pogładowo o matce i ojcu, o bracie i siostrze, o nauczycielce i towarzysze, o słudze, o robotniku, o ubogim i zamożnym, o lekarzu, księdzu i t. p. W każdym razie śmiało powiedzieć można, że „rzeczy“ te bardziej obchodzą dziecko i bliżej się stykają z jego stosunkami życiowymi, aniżeli powyższe, i nadto mogą być równie przystępnie i metodycznie traktowane, a nawet zapewne przystępniej, aniżeli np. lekcye o funkcyach fizyologicznych roślin, o parowaniu liściowem i t. p. Wprost nawet wyznać należy, że interes dziecka dla przyrody łączy się jak najściślej z jego życiem rodzinnem, a w oderwaniu od tego życia staje się wiedzą abstrakcyjną, nie mającą dla dziecka rzeczywistej wartości, ani zastosowania życiowego. Tymczasem p. Dawid, za przykładem naturalistycznych pedagogów, wyłącza z zakresu nauki o rzeczach pogładowe wyjaśnienie stosunków moralnych dziecka i zaniedbuje zupełnie tej najdonioślejszej strony nauczania początkowego, wymagającej szczególnego uwzględnienia, właśnie ze stanowiska i przez p. Dawida w zasadzie uznanego celu wszelkiego wychowania, t. j. kształcenia charakteru, uczuć i woli wychowanka.

Prawda, w końcu swej książki (str. 673 i nast.) p. Dawid przypomina sobie znowu, że taki jest i według jego własnego poglądu zasadniczy cel wychowania, i mówi na kilku stronicach o nauczaniu *humanitarно-etycznem*, ale tylko na to, aby zaznaczyć jego związek z nauką języka, a zatem, aby nadać temu przedmiotowi w gruncie rzeczy tylko znaczenie drugorzędne, dodatkowe. A że nadto domaga się, aby wyobrażenia dziecka *natury moralnej* nie były odosobnione i *niezależne* od jego wyobrażeń, dotyczących *rzeczy i zjawisk fizycznych*, więc wszystko sprowadza się ostatecznie do zapoznania wychowanka z przyrodą i do wcielenia go w zupełności w przebieg jej praw fizycznych. „Historya naturalna“ człowieka stanowi też szczyt nauki o rzeczach p. Dawida (str. 545). Naszemu pedagogowi chodzi w gruncie rzeczy o to tylko, aby jego wychowanec, według słów powyżej przytoczonych, zrozumiał, że jest „częstką przyrody“ i aby poznał, „jakim w tej wielkiej całości jest jego rzeczywiste stanowisko.“ To jest w istocie najwyższy cel wychowania i nauczania według p. Dawida, wszystko zaś inne, a szczególnie moralna kultura uczuć i woli wychowanka, jest zadaniem drugorzędnem, albo raczej zadaniem, rozwiązującym się samo przez się, gdy tylko ów cel najwyższy osiągniętym zostaje.

Gdybyśmy chcieli powyższy wynik poddać wszechstronnej krytyce, musieli-byśmy napisać cały traktat o etyce, a w szczególności rozebrać kwystę: czy istniał-by wogóle wśród ludzi objaw życiowy, nazwany *moralnością*, gdyby człowiek uważał siebie *tylko* za „częstkę przyrody“, gdyby się nad nią nie wynosił i nie czuł się być członkiem wyższej całości, niż jest *był fizyczny*, wyższego świata, poddanego nie

prawom ruchu cząstek materialnych, lecz odrębnemu porządkowi rzeczowy, to jest właśnie *porządkowi moralnemu*? Musieli-byśmy rozpatrzyć kwestyę: czy można wogóle zbudować jakąkolwiek etykę na gruncie naturalizmu? Nie mogąc się tutaj tą kwestyą zająć szczegółowo, wypowiemy w tym względzie tylko kilka uwag, niezbędnych do ostatecznego wyjaśnienia naszego poglądu na *treść* nauczania początkowego.

Według naszego przekonania, zgodnego już nietylko z nauką Kanta, lecz i z zasadniczymi poglądami najznakomitszych myślicieli świata, nie wyłączając ojców nowoczesnego empiryzmu, Bakona i Locke'a; według przekonania, złączonego jak najściślej z całą kulturą moralną ludzkości, a sprzecznego tylko z teoryami niewielkiej garstki doktrynerów naturalizmu; — według tego przekonania, dającego się jak najściślej naukowo udowodnić: — *porządek moralny*, któremu człowiek podlega, jest czemś zupełnie różnym od porządku fizycznego; jego prawa i wymagania nie dają się wyprowadzić z praw fizycznych, lecz stanowią odrębną całość, odrębny świat, do którego człowiek należy wskutek swej natury moralnej, który przyswaja mu pewną wyższą wartość, nie dającą się porównać z jego wartością fizyczną. Dlatego właśnie człowiek czyni siebie zależnym od tego wyższego porządku moralnego, czuje się zobowiązanym poddać się pewnym wymaganiom, rozkazom moralnym, — o ile je odczuwa lub poznaje, stosownie do stopnia swego rozwoju umysłowego. Porządkowi *fizycznemu* człowiek, jak i zwierzę, podlega z *konieczności*; porządek zaś *moralny* świata *szanuje i czci*, przeczuwając lub pojmując jego wartość wewnętrzną i wyższą. Od praw fizycznych odstąpić nie może, ale im się nie poddaje dobrowolnie, lecz, przeciwnie, stara się nad nimi zapanować, choćby przy ich własnej pomocy. Od praw zaś moralnych, uznanych przez samego siebie, odstąpić może i często faktycznie odstępkuje; pomimo to nie czuje się być ich panem, lecz ich sługą; potępia samego siebie, gdy z nimi się rozchodzi, a ucuwa swą godność, gdy się do nich stosuje i w ich duchu rozwija. Dowodzi tego fakt psychiczny, nazwany *sumieniem*.

Wiem dobrze, że naturalizm tę odrębność praw *moralnych* chciałby wyprowadzić z łączności jednostki z ustrojem *społecznym*. Ale tu chodzi o przyczyny psychiczne i zasady samego uspołecznienia człowieka, a nadto o źródło owego poczucia moralnego, domagającego się od nas nawet pewnego moralnego sposobu *czucia i myślenia*, a nadto działania, wynikającego, niezależnie od legalności lub konwenansu społecznego, z szacunku i czci dla pewnych wymagań wewnętrznych, obowiązujących bezwzględnie. Tymczasem tego właśnie wyjaśnić nie można bez uznania *moralnego porządku*, stojącego i po-nad ustrojem społecznym, nadającego i jemu dopiero sankcję moralną, a wnioskującego zarazem w najgłębsze tajniki życia psychicznego jednostki, bez względu

na wymagania społeczne. Co bowiem obowiązuje nas iść za głosem *sumienia*, naszego poczucia moralnego i wtedy, gdy względy społeczne utracają swą siłę, lub gdy nawet narażamy się na przykrą reakcyę społeczeństwa?

Jak w zakresie przyrody dochodzimy do zrozumienia zjawiska dopiero przez jego sprowadzenie do pewnego prawa ogólnego, będącego wyrazem porządku fizycznego świata; jak prawdę lub fałsz tego lub owego poglądu na rzeczy ocenić możemy tylko wtedy, gdy uznajemy istnienie pewnego logicznego porządku, wyrażającego się w tak zwanych prawach logicznych naszego umysłu, jako objawów treści logicznej świata rzeczywistego (np. prawidłowość matematyczna przyrody); tak również fakt poczucia moralnego, jako odrębnego zjawiska, zjawiska *sui generis*, może być objaśniony tylko na podstawie uznania pewnych praw moralnych, występujących na jaw w tem poczuciu, zaznaczających odrębny porządek rzeczy, któremu dany szczegółowy objaw podlega i za wyraz służy.

Oto ostateczne źródło moralności, do którego dotrzeć należy, a bez którego uznania istnieć nie może naukowa *etyka*, jak bez uznania porządku *fizycznego* świata istnieć nie może *fizyka*, jak przy zaprzeczeniu *logicznego* porządku świata mowy być nie może o *logice* <sup>1)</sup>.

Wracając do naszej kwestyi pedagogicznej, w imię powyższych uwag powiedzieć musimy, że cel wychowania: kształcenie charakteru, kultura uczuć i dążeń moralnych wychowawca, osiągniętym być nie może w zupełności ani przez naukę o przyrodzie fizycznej, jak chce p. Dawid, ani przez dodatkową naukę o istocie moralnej człowieka, lecz wymaga koniecznie zarazem i nauki o wyższym porządku moralnym

<sup>1)</sup> Wspomniany powyżej Hugo Münsterberg, myśliciel nawskroś empiryczny, w osobnej pracy „O początku moralności,” zmuszony jest wyznać, na podstawie antropologicznych i psychologicznych danych, że moralność nie wypływa z uczucia zadowolenia, łączącego się z pożytkiem lub dobrem, osobistem lub społecznem, jak to uczy pospolita etyka utylitaryzmu, lecz że moralność polega zawsze i wszędzie na uległości i czei dla pewnego wewnątrznie obowiązującego rozkazu (Gebot), bez względu na następstwa. Zob.: „Der Ursprung der Sittlichkeit,” 1889, str. 25 i nast., 61 i nast. Na szczególną uwagę zasługują tu również wywody Wundta, co do *ideału moralnego porządku świata* i co do *praw moralnych*, w jego „Etyce,” l. c. str. 82 i nast., 462 i nast., oraz jego ogólne wnioski z psychologii empirycznej, co do wewnętrznej *wartości* nieskończonego duchowego rozwoju, w ostatniej lekyi przywiedzionego powyżej nowego wydania jego książki o *duchu człowieka i zwierząt*. Zobacz też pod tym względem rozprawę prof. H. Struvego: „Psychologie der Sittlichkeit“ w I i II zeszytcie czasopisma „Philosophische Monatshefte,” z r. 1882, szczególnie rozdział 2-gi, traktujący o psychologicznym początku prawa moralnego. Skorzystaliśmy pod wieloma względami z tej rozprawy, jak i z innych prac tego autora.

świata, do którego człowiek wskutek swej istoty moralnej należy, którego jest członkiem. Tylko ta nauka, udzielana dziecku bądź przez wychowawców, bądź przez życie, rozbudza w niem najgłębsze uczucia i dążności moralne. Ona tylko czyni, że moralność staje się jego wewnętrznym udziałem, że wypływa z jego własnej duszy i zadawala najistotniejsze potrzeby jego serca i umysłu. Bez przejęcia się tą nauką, moralność zawsze i wszędzie przyjmuje tylko charakter konwencyonalny i nie łączy się organicznie z całym nastrojem psychicznym człowieka.

Rzecz oczywista, że pedagogowie naturalizmu, nadający nawet nauce o moralnej istocie człowieka „podrzedną tylko rolę“ z powodu jakoby braku moralnej refleksyi i uczuciowości w dziecku, tylko z ironicznym uśmiechem spoglądać mogą na to wymaganie zaznajomienia małych nawet dzieci z *wyższym moralnym porządkiem świata*. Przecież to, według nich, nie jest żaden realny przedmiot, dający się wyłożyć *pooglądowo*, jak np. nauka o musze, lub żabie. A jednak dobre matki od wieków znają tę naukę i umieją ją wpajać w swe dzieci, nie jako *wiedzę*, z zewnątrz umysłowi narzuconą, lecz jako *prawdę*, głęboko *odczutą*, o bezpośredniej życiowej doniosłości, złączoną organiczną spójnią z całym bytem i rozwojem dziecka. Każdy rozumie, że mamy tu na myśli *naukę o Bogu*, będącym takim samem realnem uosobieniem porządku *moralnego* świata, jak *idea przyrody*, sięgająca dalej, aniżeli nasze teleskopy i mikroskopy, staje się dla nas reprezentantem zjednoczonych zjawisk materji, więc porządku fizycznego świata.

Krytyczna teoria poznania od czasów Kanta wykazała dowodnie, że obie te idee umysłu ludzkiego: idea *wszechświata*, *przyrody* i idea *Boga* mają zupełnie też samą *wartość logiczną*, bo obie są środkami jednolitego wyjaśnienia pewnych szeregów zjawisk, przez doświadczenie danych. *Przyrody*, wszystko obejmującej, *wszechświata*, jako *całości*, nikt nie widział; jest to *idea*, wyjaśniająca łączność i prawidłowość zjawisk fizycznych. A że, obok zjawisk fizycznych, doświadczamy zjawiska o charakterze odrębnym, nie dającym się wyprowadzić z własności zjawisk fizycznych, t. j. doświadczamy i zjawiska o własnościach duchowych, które zmuszeni jesteśmy oceniać z odrębnego stanowiska ich rozumu lub nierozumu, prawdy lub fałszu, dobroci lub przewrotności, t. j. ze stanowiska *logicznego* i *moralnego*, więc wszystkie tego rodzaju zjawiska umysł nasz jednoczy również w jedną całość, jako świat *moralny*, *duchowy*, którego wyrazem jest *idea Boga*, będąca koniecznym warunkiem objaśnienia łączności i prawidłowości zjawisk moralnych, duchowych, podobnie jak *idea przyrody* niezbędną jest dla objaśnienia łączności i prawidłowości zjawisk fizycznych. W jakim stosunku znajdują się do siebie te dwa szeregi zjawisk, a zatem te dwie zasadnicze

idee, jednoczące je w sobie, — to jest przedmiot osobnych poszukiwań, których tutaj dotykać nie możemy. Tu wystarcza w zupełności ów wy-nik krytyczny teorii poznania, że idea Boga nie jest bynajmniej nau-kowo mniej uzasadniona, aniżeli idea przyrody, gdyż obie wypływają z jednego źródła, z potrzeby umysłu sprowadzenia niewątpliwych fak-tów wewnętrznego i zewnętrznego doświadczenia do pewnych zasad ostatecznych, zdolnych te fakta w sposób odpowiedni wyjaśnić.

Co do Boga, p. Dawid zachowuje w całym swem dziele dyskretnie milczenie. Nie chce on znać ani rzeczy, tym wyrazem oznaczonej, ani nawet samego wyrazu. Jemu wystarcza zupełnie przyroda fizyczna i, co najwięcej, człowiek, jako „częstka przyrody;“ — więc poco nawet mówić o Bogu. Przecież to ateizm konsekwentny nie żąda sobie na-wet trudu zaprzeczać Bogu, lecz go poprostu ignoruje. Zresztą „wiedza współczesna“ nie spogląda łaskawie na ten przedmiot; rada-by go wy-sunąć po-za nawias naszej myśli,—a jeśli go nie może zupełnie wykre-slić z pamięci ludzkiej, to uznaje go przynajmniej za rzecz niepoznawa-lną, leżącą gdzieś daleko po-za zakresem naszej pojętności, wielce skromnej w tym jedynie względzie. To też pedagog, stojący na wyso-kości tak zwanej „współczesnej nauki,“ nie ma powodu rozpatrywać nawet kwestyi, czy należy mówić dzieciom o Bogu, czy ta „rzecz“ może być wogóle przedmiotem nauczania. Niech sobie wierzący w Boga pod tym względem radzą, jak chcą, to już nie zajmuje „postępowego“ pe-dagoga!

Ze wszystkiego, cośmy powyżej powiedzieli, wynika, iż tego zda-nia podzielać nie możemy. Przeciwnie, przekonani jesteśmy, że nie mó-wiąc dziecku o Bogu, nie można najpiękniejszymi nawet zasadami wni-knąć w jego duszę, przyczynić się skutecznie do jego rozwoju moral-nego, skłonić go do działania moralnego, bez względu na sąd ludzi, z czy-stej miłości dobra, z szacunku dla ideału moralności.

Dziecko bardzo wczesnie zaczyna rozumieć, że wszelkie wymaga-nie, dotyczące jego działania, powinno mieć jakąś podstawę, i podstawę tę uznaje tylko w wyższości stawiającego wymagania, t. j. prawodawcy. Ono ulega rodzicom, starszym, bo doświadcza bezpośrednio naprzód, że są *silniejsi*, a następnie, że są *mądrsi*, *lepsi* od niego. Ten ostatni czyn-nik nabiera coraz większej doniosłości wraz z rozwojem umysłowym dziecka. Siła fizyczna nie zażywa u niego zbyt długo powagi. Siłę próbuje ono z czasem przeciwstawiać siłę, a ulega dobrowolnie osobom, nad niem stojącym, jedynie z poczucia ich wyższości moralnej. Więc szacunek dla prawodawcy, przekonanie o jego stronach dodatnich, mi-łość ku niemu,—oto pierwsze źródło *moralnego* nastroju dziecka. A że znówu sami wychowawcy nie mogą przed dzieckiem odegrać roli *pra-wodawców* w kwestjach moralnych, lecz prędzej, czy później, muszą



przed niem usprawiedliwić swe wymagania wyższem, po-nad nimi stojącym prawem, któremu i oni dobrowolnie się poddają, szanując treść jego, — przeto powołanie się na najwyższego prawodawcę moralnego staje się rzeczą konieczną. Tylko uznanie takiego najwyższego prawodawcy, który sam jest *ideałem doskonałości moralnej*, i szacunek dla niego, uzasadnić może w sposób zadawalający wymaganie *dobrowolnej uległości* prawom moralnym. Niema, bezmyślna *przyroda*, pozbawiona rozumu i charakteru moralnego, nie jest żadną powagą, mogącą obowiązywać człowieka w kwestjach jego samodzielnego działania, w kwestjach *moralnej wartości* jego uczuć i dążeń. Podobnie, powagi takiej nie ma i sam człowiek, jako „częstka przyrody,“ z cechami moralnej słabości i niedoskonałości. W nim działa prawo moralne, — to prawda, — ale nie jako jego własny wytwór, nie jako objaw jego *prawodawczej* godności, lecz jako czynnik, *dany* mu wraz z jego życiem umysłowym, a pochodzący z samej istoty wszechbytu, podobnie jak prawa logiczne jego ustroju umysłowego, jak prawa jego fizycznego organizmu.

Nauczyć dzieci czcić i kochać tego najwyższego prawodawcę, Boga, jako ideał wszelkiej doskonałości, nie jest znowu rzeczą tak trudną, jak się to wydaje pedagogom naturalistycznym. Prawda, pokazać Boga dziecku nie możemy, bo się spreparować na okaz nie daje. Ale jeśli można obudzić w dziecku miłość do kraju rodzinnego, do społeczeństwa, do ludzkości, do natury, których mu przecież także przedstawić nie można jako widzialne i dotykalne *całości*, to dla-czegóżby tego nie można było uczynić i odnośnie do niewidzialnego, lecz wszystko obejmującego Boga? Punktów oparcia w życiu wewnętrznym dziecka, w jego uczuciach i dążeniach nie brak; podobnie nie brak i wielu widzialnych i dotykalnych objawów w stosunkach moralnych rodziny i w przyrodzie, mogących służyć za środki do przystępnego wyjaśnienia idei Boga. Jeden rzut oka na niebo nieskończone, jedno pojęcie o mądrości w ustroju najmniejszego żyjątka, zawierają w sobie bogaty w tym względzie materiał, zdolny w sposób naoczny uzupełnić religijno-moralne uczucia dziecka. Chodzi tu tylko o dobrą wolę i szczerze przekonanie, bez którego naturalnie niczego dziecka nauczyć nie można. Przy tych warunkach zaś umiejętny pedagog, mający na oku zasadę o *moralnym* celu wychowania, znajdzie dostateczną sposobność do wyjaśnienia dziecku idei Boga, nawet w „nauce o rzeczach,“ bez nadwężenia przytem najsurowszych wymagań „wiedzy tegoczesnej.“

W imię tej nauki o Bogu nie myślimy bynajmniej lekceważyć treści nauczania początkowego, zaczerpanej z bezpośredniego otoczenia dziecka, a więc i z *przyrody*. Chętnie też uznajemy zasługi nowszej pedagogiki na tem polu i nawet takim wychowawcom, którzy nie zapo-

minają, jak to czyni p. Dawid, o moralnych zadaniach wychowania, szczerze polecić możemy jego lekcye metodyczne o różnych „rzeczach,“ będące wzorami umiejętnego uprzystępnienia dzieciom poglądu na przyrodę. Niechże tedy nauka o przyrodzie nie ulegnie zaniedbania! Ale przy tem wszystkiem nie przyznajemy pedagogice prawa wyrzeczenia się w sprawie wychowania tych środków kultury moralnej, które doświadczenie wieków i umiejętne zgłębienie duszy ludzkiej wykazały, jako jedynie skuteczne. Człowiek, nie czujący się uczestnikiem wyższego, duchowego świata, nie widzący żadnego wyższego celu istnienia po-nad swój byt fizyczny, pozbawiony jest nietylko szlachetniejszych motywów moralnego działania, polegających na dążeniu do najwyższej doskonałości, lecz nadto pozbawionym zostaje racjonalnych podnieć popędu życiowego wogóle. Rozczarowanie, niechęć do życia, brak energii do spełnienia obowiązków, wreszcie pesymizm i cynizm, stają się z konieczności jego udziałem. Czyż to ma być ostatecznym wynikiem wychowania, uznającego w zasadzie potrzebę „kształcenia charakteru, utrwalenia uczuć i popędów moralnych wychowańca!“

Napoleon I kazał włożyć buławę marszałkowską do tornistru każdego żołnierza. Nie odmawiajmy naszym dzieciom podobnych środków zachęty do wielkich czynów! Nie przytępiajmy ich poczucia boskiej godności! Excelsius!

FL. K. GĄSIOROWSKI.

---

# KRONIKA LONDYŃSKA.

---

Rok ten ma być dla Anglii rokiem szczególnej doniosłości. Przepowiedział to o nim, przed więcej niż półtrzecia wiekiem, słynny jasnowidz i astrolog, doktor Day, i nazwał go „wielkim rokiem ostatnim—*magnus novissimus annus.*“ Nieco późniejsza, mądra babka — *Mother Shipton* — zapisała w swych „Proroctwach,“ że... „pysznąć się będzie w długie lata wszystko roku tego macierzyństwo.“ Wreszcie i słynny Tom Moore, dawno umarły autor „wieczystego kalendarza,“ zapewnia, iż „największe w stuleciu zmiany zajdą tego roku na brytańskim tronie i w brytańskich lepiankach.“ Nie brak i mniej uroczystych wróżb i przepowiedni, a najogólniejszą—bo wyrażoną w noworocznych artykułach dziennikarskich—jest zapowiedź, uzasadniona dość rozumnie: tak się wszystko źle działo w ciągu r. 1892-go, że jużćić nastąpi niechybnie zmiana na lepsze. *Di faxint!*

To pewna, że już od swego poczęcia znalazł ten *annus mirabilis* dużo w Anglii pierwiastków, mogących usprawiedliwić jego pretensye. Przedewszystkiem—jest coś w każdym niemal kierunku tutejszego życia, co się niby zużyło, poniekąd wyczerpało, co-by chciano zastąpić jak najwcześniej innym, świeżym czynnikiem. W gospodarstwie społecznem, w dążnościach obcowania towarzyskiego, w pojmowaniu obowiązków doczesnych, w rozmyślaniach nad tem, co było, i nad tem, co będzie — w całym sposobie zapatrywania się na rację bytu wszech rzeczy jest coś, czemu nie śmie urągać pesymizm czasu, a co zdumiewa

entuzyastów swem działaniem systematycznym i bez wątpienia dodatniem. Jest wreszcie to *coś* tak wybitnie brytańskim, tak odrębnem od czynników przyczynowości innych społeczeństw, tak ściśle zespolonem z wielkiem *ego* rasy, że zapewne czas upłynie długi, zanim duch cywilizacyi innych ludów odczuje należycie prądy tutejsze... że tyle dziś omawiana dążność ludzkości do zatarcia w sobie różnic plemiennych znów się okaże fałszywą i ujawni się nieomylność zasady, każącej ludziom i narodom wyrabiać przyszłość swoją samodzielnie i ze swoich żywiołów. Anglii—Anglii wyśpiarskiej—praca ta odśrodkowa przychodzi nierównie łatwiej, aniżeli ludom stałego ładu. Truizm to oczywisty: wiemy doskonale, jak położenie geograficzne wpływa na charakter i na rozwój narodów; mogli-byśmy nawet wyobrazić sobie, jakby to lub owo plemię w bycie swym się ukształciło, gdyby—tu graniczne swe góry i wąwozy znieść mogło, a tam się szerokimi rozgraniczyć dokoła wodami.

Ów czynnik potężny, szeroko rozlany, choć jeszcze osłoniiony ogromnym kompleksem drugorzędnych przyczyn i skutków—to świadomość, mniej lub więcej wyraźna, wyższych odpowiedzialności i obowiązków, nie ulegających kontroli ludzkiej. Brakuje mi dosadnego wyrażenia: nie mogę powiedzieć, by czynnikiem tym była religijność; nie jest nim nawet, mówiąc ściśle, reakcja religijna; jest może jej zapowiedź, a jest bezwątpienia to, co spostrzegamy dziś na całym świecie: natężona ciekawość i nienasycone dociekanie tajemnic duchowego pierwiastku w człowieku i—w przyrodzie. Tylko... kiedy po-za Anglią ciekawość ta zdaje się być podżeganą bodźcem materyalizmu, lub, co najmniej, szukać wyjścia z założenia ogólnie negatywnego, kiedy zdaje się dążyć—chcieć dążyć—do obalenia i zburzenia wszystkich systemów dotychczasowych i wszystkich podwalin moralnego bytu; w Anglii ciekawość ta ma charakter wybitnie religijny i uroczysty: tutaj zdaje się ona wypływać z wszechstronnego doświadczenia systemów połowicznych, dążyć—chcieć dążyć—do przekonania się i do przekonania świata, że, jak każda zdobycz wiedzy, tak każdy nawet domysł, byle rzetelny i uzasadniony, stawia ludzkość w jaśniejszem świetle prawd katechizmowych, jedynych i ostatecznych.

Czytelnik daruje mi, że „Kronikę,” która powinna być lekką, nielekkim rozpocząłem wstępem. Zechce też czytelnik wierzyć, iż nie obracam się, nie żyję tu w atmosferze wyłącznej, nie ogarniającej całości angielskiego społeczeństwa. Jeżeli już koniecznie o to chodzi komukolwiek, to powiem otwarcie, że żyję i pracuję w otoczeniu swoim, nietutejszem. Ale z kółka tego wychodząc codziennie—czy mnie powoła obowiązek pracy, czy zwabi potrzeba rozrywki umysłowej, lub towarzyska konieczność, gdziekolwiek zajdę, wszędzie się przekonuję,

że społeczeństwo w rozmaitych swych warstwach inaczej jest nastrojone, aniżeli było nie tylko za mej dawnej, ale i za niedawnej pamięci. By nastroszenie to było miłem—nie powiem; przeciwnie, jest ono dla mnie i dla wielu wręcz nieznośnem. Jest w tutejszej atmosferze, w atmosferze salonów i klubów, teatrów i drukarni, parlamentu i targowiska pracy—jest *wyczekiwanie*, przeświadczenie o jakimś coraz bliższym przełomie we wszystkich kierunkach i warunkach bytu i pracy. Andrzej Lang, filozof trzeźwy, pisał niedawno w „Nowym Przeglądzie”, że czas wielki, by się stulecie nasze skończyło, bo ludzie zdają się być przekonani, że wiek XX musi od samego początku przynieść światu organiczne zmiany wszechstronne; i „ludzie przyjęli stanowisko wyczekujące, *an attitude of expectancy*.”

Ano, jeżeli istotnie *nova progenies coelo demittitur alto*, jeżeli „rodi się nowy porządek” jakiś — to niechby zawitał tu czemrychlej, bo dość już mamy mglistych niepewności.

Do takichże należy przedewszystkiem wielka kwestya irlandzka, większa dziś, aniżeli była kiedykolwiek dla Anglii i dla całego ustroju potęgi wielkobrytańskiej. Sądzę, że, zanim kronika ta dojdzie do czytelnika, przyszłość billu Gladstone'a zarysuje się wyraźniej. W tej chwili to tylko można powiedzieć o nim, że, jak każda doniosła reforma początkująca, nie jest on doskonałym, zawiera niemało punktów, potrzebujących jaśniejszego określenia, ma swoje wady i braki. Inaczej być nie może. Tylko w praktycznem zastosowaniu projektowanych ustaw leży sposób poprawienia ich, wzmocnienia, lub zmienienia. I z tego właśnie powodu, czego-by należało życzyć prawodawcom westminsterskim najwięcej, to—wiary w przyszłość i odwagi. Projekt zgrzybiałego bohatera wieku dlatego się spotyka z zaciętą opozycją, że stronnictwa brytańskie *wszystkie* podejrzewają dobrą wiarę reprezentantów Irlandyi: są przekonane, że, otrzymawszy samorząd ściśle ograniczony, politycy irlandzcy nie ustaną w zabiegach, dopóki nie wydrą Anglii ostatnich ustępstw, nie zmuszą jej do zrzeczenia się nawet pozorów jurysdykcyi w celtyckiej krainie. Nie tu miejsce rozpatrywać szczegółowo zasady i szczegóły billu Gladstone'a ze wszystkimi zagadnieniami, jakie stawia dziś i jakimi grozi w przyszłości; ale dziś już możemy być pewni, że projekt (jakkolwiek zmodyfikowany) przejdzie w izbie niższej i... *swego czasu* otrzyma sankcyę izby lordów i tronu. Kwestya samorządu dla Irlandyi nie może już zejść i nie zejdzie z pola praktycznej polityki tutejszego parlamentu, i ona-to, w swej fazie aktualnej, otworzyła na rozcież wrota olbrzymim niepewnościom, jakie czekają oddawna na głos decydujący rządzców i przedstawicieli rasy anglo-saskiej. W rdeniu trudności gladstońskiego billu: w sprawie rozgraniczenia interesów ogólnobrytańskich od irlandzkich i za-

kreślenia atrybutów, jakie posiadać ma reprezentacya Irlandyi w parlamencie imperyalnym, spoczywa cały problemat przyszłych stosunków wzajemnych między cesarstwem i jego składowemi częściami. Gladstone zapoczątkował reformę w duchu decentralizacyi administracyjnej i federacyi politycznej; Józef Chamberlain zdaje się być wskazanym na przeprowadzenie jej.

Czytając orędzie królewskie bieżącej sesyi i przyjmując do wiadomości programowe zapowiedzi p. Gladstone'a, członkowie izb westminsterskich zrozumieli odrazu, że sędziwy mąż stanu nie miał zamiaru ogłosić porządku prac parlamentarnych, tylko raczej chciał, by to orędzie oświadczyło Anglii i światu: Oto są ostatnie życzenia, ostatnie rozporządzenia testamentowe człowieka, sługi narodu, który lat z górą sześćdziesiąt stał rzetelnie i sumiennie na straży interesów państwa i społeczeństwa, kierował je według—nieraz błędnego może, lecz uczciwego rozumienia odpowiedzialności i potrzeb stanu, który ma niebawem zejść do grobu i z sobą pochować ostatnią żyjącą tradycyę dawnego układu stronnictw rządzących, a po sobie zostawić zapalone światła, wskazujące ścieżki, jakimi nowe pokolenie zdążać ma do wielkiego gościńca odmiennej ery dziejowej. Że się Gladstone nie myli w czytaniu horoskopu przyszłości swego narodu, dowodzi fakt, że, z wyjątkiem kwestyi irlandzkiej, wszystkie inne, żywotnego dla Anglii znaczenia, tak są pojmowane i wazone przez olbrzymią większość opinii i jej nawet ultrakonserwatywnych reprezentantów, jak on je wazy i pojmuje. Zgodność ta nie odbija się rzeczywiscie tak wyraźnie w izbach prawodawczych, gdzie, prócz osobistych ambicyi, tyle innych działa wpływów; lecz odbija się na fizyognomii społeczeństwa towarzyskiej i prześwieca w jego ruchu umysłowym.

Pisarze nasi posługują się jeszcze przestarzałemi i całkiem niewczesnemi nazwami głównych stronnictw tutejszych: piszą o torysach i whigach, zapominając, że pierwszych pogrzebał Benjamin Disraeli, a drugich William Ewart Gladstone. Obóz zachowawczy wyrzekł się toryzmu; whigizm istnieje w dziejowej tradycyi niektórych wielkich rodów magnackich. Prasa demokratyczna obrzuca wprawdzie swych przeciwników owem mianem „torysów,“ które z zaszczytne go stało się dziś niemal obelżywem nawet w pe-torysowskim obozie; ale prasa wojująca pisze „na efekt,“ gdy chce straszyć masy widmem ekonomicznej i kościelnej reakcyi. Tak samo o whigach słyszy się dziś tylko w północnej Irlandyi, gdzie prasa narodowa nazwą tą cechuje radykalistów protestanckich i katolickich, odrzucających wszelki projekt krajowego samorządu. W samej zaś rzeczy—jeśli pominiemy posłów irlandzkich—członkowie izby gmin rozdzielają się na dwa wielkie stronnictwa: zachowawcze i postępowe; każde z nich ma swoje skrzydło skrajne:

w pierwszym zasiadają ultra-postępowi przeciwnicy autonomii irlandzkiej (Chamberlain, Henry James), oraz t. zw. „neotorysi demokracji,” stawiający kwestyę robotniczą przed wszelkimi innymi (Gorst, Howard Vincent i Randolph Churchill). W skrajnym skrzydle postępowem, obecnie ministeryalnem, widzimy antagonistów tej polityki zagranicznej, która dąży do wytworzenia nowych zależności brytańskich i utwierdzenia „interesów państwa” w dotychczasowych. Wielce zdolnymi i dla rządu niewygodnymi są przywódcy tego skrzydła, Labouchère i Karol Dilke, zasiadający ponownie w izbie, mimo ciągłego protestu Steada, redaktora „Przeglądu Przeglądów” i reprezentanta narodowej partii obyczajowej, *Social Purity Party*. W tem samym skrzydle zasiada kilku, bardzo zresztą przyzwoitych i łagodnych „anarchistów,” kilkunastu republikanów i dziewięciu przedstawicieli pracy ręcznej. Mówcami ich są: mechanik John Burns, członek rady hrabstwa stołecznego, i Keir-Hardie, mularz, zasiadający ostentacyjnie w codziennym ubraniu prostego wyrobnika. Dodać należy, że ta frakcyja robotnicza, choć stoi w izbie przy obozie liberalnym i postępowym, głosi jednak otwarcie, że jest niezależną i że nie dowierza żadnemu stronnictwu, mając je oba za „gniazda obłudy, oszustwa i nieprawości...”

Punkt ciężkości w izbie gmin dzisiejszej (tak niepodobnej do izby z przed lat ośmiu!) leży bezwątpienia w skrajnym skrzydle konserwatywnem, chociaż prawodawstwo nie prędeż uczuje całą jego wagę, aż po załatwieniu kwestyi irlandzkiej, po wychyleniu się z pod tego młyńskiego kamienia. Skrzydło to godzi się prawie na cały program Gladstone'a, potępiając „Gladstonizm;” na sporą część programu Labouchère'a i Dilkego, obstając przy idei imperyalistyczno-federacyjnej; na znaczną liczbę postulatów frakcyi robotniczej, której zaufanie usiłuje pozyskać i poniekąd już sobie zdobyło. Innemi słowy: Gorst, Vincent, R. Churchill i bez zaprzeczenia sam Balfour—to politycy konserwatywno-postępowi, patrzący w przyszłość najtrzeźwiej i najpoważniej, przekonani, że: ekonomiczne warunki 40-milionowej ludności Zjednoczonego Królestwa wymagają utrzymania kolonialnej potęgi wielkobrytańskiej — i że społeczne prawodawstwo wewnętrzne, odwlekane, zapierane i uniemożliwiane zbyt długo przez kwestyę irlandzką, wymaga reform doniosłych w duchu demokratycznym. W obozie gladstońskim najwybitniejszym zwolennikiem tego samego kierunku jest hr. Rosebery, któremu dziś już naród cały przeznaczają stanowisko, zajmowane przez „wielkiego starca.”

I jest dziś znów w Londynie dom, skupiający pod swym dachem najznakomitsze i zarazem najrozmaitsze osobistości, reprezentujące prąd konserwatywno-demokratyczny w dziedzinie politycznej i społecznej, towarzyskiej, literackiej i artystycznej. Czem dla Anglii początku

naszego stulecia były salony wielkich dam takich, jak lady Holland i lady Blessington, hrabiny Jersey i baronowej Willoughby de Eresby, tem dla Anglii końca wieku jest ów niewymownie brzydki zewnątrz, a po królewsku wspaniały wewnątrz, pałac książąt Devonshire'u, stojący na Piccadilly, schowany za ohydnie posępnym murem. A wielką była potrzeba takiego w stolicy domu, takiej jego gospodyni. W ciągu ostatnich lat 30-tu nie było tu ogniska towarzyskiego, przygarniającego z najdalszych kół społecznych ludzi najuczciwszych i najzdolniejszych, kobiety wpływowo i z rozmaitych względów stojące na widowni. Wielka arystokracja saska i normandzka wzięła rozbrat *des couches nouvelles*, odstręczona od nich... wonią kuponów, piwa i bawelny. Rody takich Percy, Stanley, Howard, St. Maur, Granville, reprezentowane przez książąt Northumberland, Norfolk, Somerset, Sutherland, przez hrabiów Derby, Essex, baronów Cholmondeley <sup>1)</sup>, Stafford i t. p.—rody te, biorąc w pewnej mierze udział w sprawach publicznych, nie brały żadnego w tem życiu towarzyskiem, które, choć zwane *high-life*, choć biorące swe światło i ciepło z pewnego pałacu ulicy Pall-Mall, schodziło coraz chyżej i coraz niżej do najpospolitszego poziomu. Nie zatrzymam się nad opisem różnych stron tego życia, bo, co było do powiedzenia o niem, to wypowiadałem na tem miejscu w dawniejszych Kronikach; dość przypomnieć, że jeśli źle było przed ukazaniem się książki „hrabiego Vasili,” to po niem jeszcze „się wszystko niżej pochyliło.“ *Society in London* stało się wyuzdanem w swym cyniźmie, w pogardzie, z jaką zaledwie uznawało byt warstw „niewtajemniczonych,” czyli warstw, skazanych na pracę dobrowolną lub przymusową; wyuzdanem w sposobach, jakich szukało na pozbycie się swych niewyczerpalnych zasobów majątkowych; wyuzdanem w formach obejścia się i zachowania w kółkach własnych i przed opinią. Pewne rozgłośne skandale zapoczątkowały reakcyę, lub poradziły ściślejszą dyskrecyę; narodowa żaloba niedawna, z którą się wiąże różnie omawiana tajemnica, a z tą nie bez łącznika jest blizki ślub książęcej pary—ona także, i może najwięcej, przyczyniła się do obudzenia z letargu obojętności niejednej rodziny obywatelskiej: wielkopańskiej, gdzie jej zaszła potrzeba, skromniejszej na skromniejszych posterunkach.

*Devonshire House* jest stołeczną rezydencyą naczelnika rodziny Cavendish, wyniesionej do porządku magnackiego przez Wilhelma Orańskiego i Maryę w r. 1694,—rodziny, wywodzącej się z niderlandzkich Bentincków. Oddała ona niepomierne usługi dynastji hanowerskiej, a w parlamencie, stanąwszy od początku pod sztandarem whigów, objęła

<sup>1)</sup> Wymawia się: Czómlij!



z czasem główne kierownictwo interesów tego stronnictwa. Dzisiejszy książę, ósmy z rzędu, Spencer Compton Cavendish, przypomni się czytelnikowi lepiej pod nazwiskiem i tytułem margrabiego Hartington, jakie nosił za życia ojca. Urodzony w r. 1833, wykształcony w Cambridge, osiągnął stopień magistra *artium* w roku 1854, a doktora praw w ośm lat później. Służbę publiczną zaczął w r. 1863, kiedy, za rządów hrabiego Derby, został jednym z „lordów admiralicyi,“ czyli odpowiedzialnym w parlamencie członkiem komisji dla spraw marynarki wojennej; równocześnie przeto zasiadał w izbie gmin, jako reprezentant północnych obwodów hrabstwa Lancaster (1857—1868). Był następnie podsekretarzem w ministryum wojny, ministrem wojny, pocztmistrzem generalnym, sekretarzem stanu dla spraw irlandzkich (1871—1874), ministrem spraw indyjskich i znów ministrem wojny od roku 1882—1885. Do tegoż ostatniego roku, nietylko kolegował z Gladstonem w każdym gabinecie whigów, liberalnym, nietylko łączył się z nim węzłami najzażyłszej przyjaźni i wzajemnego szacunku; ale był przez niego obrany i wskazany z góry na naczelnika historycznej partji w izbie i w kraju, a nawet działał już w tym charakterze, kiedy, przed 10-ciu laty, starzec 74-letni ustąpił na czas pewien z areny parlamentarnej i miał zamiar skończyć pracowity żywot w zacisznej księżnicy zamku Hawarden. Mawiał wtedy Gladstone, że żaden mąż stanu nie może myśleć o podolaniu pracom pierwszego ministra W. Brytanii po przejściu—siódmego krzyżyka!

Obok Gladstone'a był lord Hartington najpopularniejszym w Anglii mężem stanu—aż do wiosny r. 1886-go. Był też najpopularniejszym filarem stronnictwa whigów, a choć magnat z rodu i wielki pan, „arystokrata“ w najszerszem znaczeniu ludowem, choć mający w sobie więcej zimnej i bezwiednej dumy, aniżeli lord Salisbury (któremu ją tak wyrzucają i stronnicy, i przeciwnicy), był Hartington ulubieńcem mas narodu i posiadał ich zaufanie bezgraniczne. Znano bowiem na wskroś jego zacy, prawy i niezawisły charakter. O Gladstone wie się dziś i wiedziało się przed dziesięciu laty, że jest politykiem namiętnym z naturalnego usposobienia: nie zarzucano mu nigdy złej wiary, nie rzucano nigdy cienia na bezwarunkową czystość jego zamiarów; ale i to wiadomo, że Gladstone jest więcej niewolnikiem, niż panem swej uczuciowości—idealistą i, w wielu kierunkach, marzycielem. Dlatego jest też dziwnie zaciętym w swych zdaniach i teoryach, nieznoszącym opozycji. Wszakże to własnej jego małżonki zdanie: „*We never contradict Mr Gladstone*“—my nigdy nie przeczy my jego słowom! Naród angielski nie może nie być serdecznie przywiązany do męża, uosabiającego rasową zaciętość, obstawanie przy raz powziętym zamiarze

z entuzjazmem, z religijnym zapalem, który przeszkód żadnych widzieć nie chce.

Hartington uzupełniał swym charakterem to wcielenie jaźni rasowej. Z temperamentu flegmatyk, nie zapalający się nigdy i niczem, mąż zasad pewnych, silnych i jasnych, a wypływających z niewzruszonego przeświadczenia o istnieniu moralnych obowiązków, o wyższej odpowiedzialności człowieka, długoletni ten kolega i przyjaciel Gladstone'a odznacza się chłodną trzeźwością i bystrością rozumowania, rzadką sumiennością w szukaniu bezwzględnej prawdy, sądem wreszcie niezależnym i stanowczym. Jeżeli w Gladstonie uczuciowość przemaga nieraz nad siłą praktycznych rozumowań, to Hartingtonowi zarzucić da się tylko zbytek tego sceptycyzmu, który płodzi tchórzliwość pewną, bojaźliwą oględność i nieuznawanie dobrej wiary w ludziach.

Rozeszli się ci mężowie i obrali skrajnie przeciwne stanowiska w kwestyi irlandzkiej, tej właśnie, której jakiegobądź załatwienie rozumne wymaga obustronnego zaufania, a wymaga go, mojem zdaniem, więcej, niż nie wiem jak genialnie obmyślonych zabezpieczeń i protektacyi, ograniczeń, rękojmi i wzajemnych ustępstw. Gladstone zaklinał ciało prawodawcze 8-go kwietnia 1886 r. tą samą prośbą uroczystą, którąśmy z ust jego usłyszeli 13 lutego 1893 r.: *„Niechże mi będzie wolno błagać was—jakbym was błagał, gdybym stąd ostatnim przemarwiaiał tchem życia—zostawcie umarłym grzebać swoich umarłych! Odrzucicie precz od siebie wszelkie przypomnienie dawnych zbrodni i złości — a kochajcie się, szanujcie i wspierajcie wzajemnie poprzez wszystkie przygody i przemiany spraw ludzkich w czasach, co przyjsć mają“* <sup>1)</sup>. Ani lord Hartington przed siedmiu laty, ani dzisiejszy książę Devonshire'u nie zdobył się na tyle odwagi, by zaufać dzisiejszym mężom stanu irlandzkim, ludziom wypróbowanego rozumu politycznego, doświadczonym w ogniu długoletniej pracy parlamentarnej, zdolnym opanować niebezpieczne żywioły w swej ojczyźnie. Nikt nie ośmielił się powiedzieć, iżby szef rodziny Cavendishów zachował, lub chciał zachować w umyśle mściwą żalobę po nieszczęśliwym swym bracie, lordzie Fryderyku, ofercie dublińskich morderców; ale dziedziczny reprezentant stronnictwa, które sprowadziło do W. Brytanii drugiego zdobywcę Irlandyi, należy wybitnie do szkoły polityków, głoszących darwinistowską teorię selekcyi naturalnej i koniecznego zaniku żywotności twórczej, konstrukcyjnej, w ra-

---

<sup>1)</sup> „Let me entreat you—if it were with my latest breath I would entreat you—to let the dead bury its dead. Cast behind you every recollection of bygone evils, and cherish, love, sustain one another through all the vicissitudes of human affairs in the times that are to come.“

sach, które żywotność tę musiały w sobie tłumić i nią się dławić po-  
przez długie wieki.

Do 58-go roku życia był lord Hartington bezzennym — i Anglia,  
i świat cały wiedział, dlaczego. Podobno w swych latach uniwersy-  
teckich jeszcze, zakochał się on był w czarownicy pięknej hrabiance  
d'Alten, córce hanowerskiego ministra stanu, i zdobył jej serce. Ale  
zaszły okoliczności, które młodą parę poróżniły: z jednej strony miała  
tam być prosta *bouderie*, z drugiej była zdrażnięta duma. Hrabianka  
oddała rękę szkockiemu magnatowi, Wilhelmu Drogo Montagu, siód-  
memu księciu Manchesteru, z którym pożycie jej było smutne. Jed-  
yny syn tego związku, wicehrabia Mondeville, lepiej był znany doroz-  
karzom londyńskim, aniżeli rodzicom, a przezwisko „wujaszka Kim,  
jakiem go obdarzyły stołeczne szansonistki, cenił wyżej od dziedzicz-  
nych tytułów. Umarł nareszcie stary książę i *uncle Kim* nastąpił po  
nim. Wtedy też zaczęto się pytać po klubach i salonach, rychło się  
skończy bezżeństwo Hartingtona? Wiedziano, że księżna była Zeno-  
bią margrabiego, że radził się jej i rad jej słuchał we wszystkich tru-  
dnościach parlamentarnych; w ciągu niejednego przesilenia ministeryal-  
nego, w klubach Carlton i Reformy pytano się wzajem: naprzód—co  
zrobi królowa? a zaraz potem: *what will the Duchess say?* co powie księ-  
żna? Nie było komeraży ujemnych, było niemało współczucia dla pary,  
tak „dla siebie stworzonej,“ tak nieszczęśliwie rozdzielonej. To też  
nie zadziwiło nikogo, kiedy, po śmierci ks. Manchesteru, dzienniki roz-  
niosły wiadomość o zaręczynach jego wdowy, liczącej wtedy (1891) lat  
56, z najwybitniejszym po Gladstone członkiem izby gmin. Ślub od-  
był się w 15 miesięcy później: na kilka tygodni przed nim umarł stary  
książę Devonshiru, a w trzy dni po ślubie—skojarzone małżeństwo od-  
prowadziło do przedwczesnego grobu biednego „wujaszka Kima...”

*Le roi est mort — vive le roi!* Ósmy książę Devonshire'u uczynił  
już dużo z pomocą takiej małżonki, by odżywić dawne tradycje pałacu  
na Piccadilly. Pan rozległych majątków w hrabstwach Derby, Lanca-  
ster, York i Sussex, kasztelan starożytnego zamku Lismore w Irlandyi,  
rozporządzający nadto wielkimi kapitałami, które ojciec nagromadził  
w ciągu długiego i bardzo czynnego życia, szef znacznej familii dziejo-  
wej, skoliigaconej po mieczu i kądzieli z najlepszą połową arystokracji  
brytańskiej, mąż niespożytych zasług na arenie politycznej i naczelnik  
potężnego stronnictwa, popularny wśród mas, mimo swego antagonizmu  
względem irlandzkiej polityki Gladstone'a, a przytem zapalony miło-  
śnik sportu (co tu ma zawsze urok swój i znaczenie)—książę otworzył  
swe komnaty wszystkim, którzy, jakimkolwiek jest ich stanowisko  
społeczne i polityczne, wierzą z nim w naglącą potrzebę stworzenia  
w Londynie tego, czego Londyn nie ma od lat zbyt wielu: *towarzystwa*

*Światowego, reprezentującego naród angielski.* To, co dziś uchodzi za *society in London*, jest wszystkim, tylko nie wyrazem społeczności londyńskiej, tem zaś mniej angielskiej. Odznacza się ono przedewszystkiem tanim cynizmem, cynizmem najwstrętniejszym, nieskończenie dalekim od tego, który podziwiamy wszyscy, który oddziaływa dodatnio, jest bodźcem społecznych reform. Współczesny cynizm tak zwanego „towarzystwa“ londyńskiego jest—niedołężnie blażeński: wyśmiewa on wszystko i w równej mierze. Dla niego rozwód jest żartem, żartem jest związek małżeński, żartem—miłość. Patriotyzm?—żart! Nie przypuszcza się na chwilę, by ktoś chciał lub mógł działać z innych, jak z samolubnych pobudek, w celach innych, jak bezwzględnie osobistych. Jeżeli, jak wielu chce, cynizm ten ordynaryjny jest chorobą wieku, jeżeli na niego cierpią i inne społeczeństwa w swych warstwach wyższych; to jednak nie ulega wątpliwości, że w Anglii nie zaraził on bynajmniej kół szerokich, kół, z powołania swego, z położenia i z obowiązku, naczelnych. Jest on wykwitem „finanseryi:“ chciwości, zawiści, gorączkowych zabiegów, pospolitej pretensjonalności, przesyty; ma charakter kosmopolityczny, czyli, co na jedno wychodzi, żydowski i brutalny.

Księżna Devonshire'u, *grande dame* w najlepszem tego określenia znaczeniu, należy dziś jeszcze do najpiękniejszych kobiet w Europie. Brunetka, wyniosłej postawy, miękkich, a jednakże bardzo regularnych rysów twarzy, z oczyma, z których przeglądają łagodność i spokój, przyćmione nieco melancholią—lat długich nastrojem—księżna jest przedewszystkiem kobietą, pełną wdzięku kobiecej prostoty, tego, co Anglicy zowią *unaffectedness*: niezdolnością do afektacji. A kobiet takich jest coraz mniej w Anglii! Z jednej strony wtargnął do salonów tutejszych śmieszny i zarazem nieprzyjemny maskulinizm, zdradzający się nie tyle w modach tualetowych, ile... w swobodzie obyczajów, w braniu udziału w rozrywkach męskich, a najwyraźniej w swobodzie konwersacyjnej z mężczyznami. Z drugiej strony, przeważnie amerykańskiej, spostrzegać się daje owa bostońska, buduarowa pogarda mężczyzn, która i tu już głosi, że kobieta będzie geniuszem i inspiratorką cywilizacyi w nadchodzącej erze, iż mężczyzna ustąpi ze wszech pól dotychczasowej działalności, stanie się tak samo niewolnikiem kobiety, jak ona jego była niewolnicą w przedchrześcijańskich czasach. Idąc w parze z szaloną zbytkownością zewnętrzną, z szukaniem i nabywaniem ile możności wszechstronnej erudycyi, pogarda ta jest niezawodnie wielce pocieszną w niektórych względach—i z tego też powodu wabi i ęci specjalne koło zcyniczających dekadentów; o ile zaś ten rodzaj „towarzystwa londyńskiego“ zaznacza byt swój nieprzebranem bogactwem materyalnym, oryginalnością swych poglądów na ogólne pod-

stawy etyki, wreszcie rozgłosem i szukaniem rozgłosu w literaturze i sztuce, o tyle też wpływa demoralizująco, rozkładowo, na bardzo szerokie koła.

O przelicznych, nie cieniach, lecz jaskrawych, rażących odmianach tego kompleksu, który jest dźwignią towarzyskiego życia w Anglii, dużo-by pisać można, dużo, coby rozświetliło zagadkę: dlaczego trudno spotkać dwóch cudzoziemców, którzy-by o charakterze naczelnych kół tutejszych zgodne mieli zdanie? By nie przeładować Kroniki zbyttnio, odkładam to ponętne zadanie do stosowniejszej pory. Tymczasem poprzestanę na przytoczeniu w oryginale odpowiedzi, danej przez autora „Robinsona:“

A true-born Englishman's a contradiction,  
 In speech an irony, in fact a fiction.  
 These are the heroes that despite the Dutch,  
 And rail at new-come foreigners so much;  
 Forgetting that themselves are all derived  
 From the most scoundrel race that ever lived.  
     The Pict, and painted Briton, treacherous Scot,  
     By hunger, theft, and rapine hither brought,  
     Norwegian pirates, buccaneering Danes,  
     Whose red-haired offspring everywhere remains,  
     Who, joined with Norman French, compound the breed  
     From whence your true-born Englishman proceed.  
 From this amphibious ill-born mob began  
 That vain, ill-natured thing, an *Englishman*.  
 The customs, surnames, languages, and manners  
 Of all these nations are their own explainers:  
 Whose relics are so lasting, and so strong,  
 They have left a shibboleth upon our tongue,  
 By which with easy search you may distinguish  
 Your Roman-Saxon-Danish-Norman English <sup>1)</sup>.

Salony księstwa Devonshire'u wypełniają się każdego czwartku osobistościami najrozmaitszemi, ale, jak trafnie powiedział Edmund Yates: „*sans reproche* nawet w towarzyskiem pojęciu moralności i przyzwoitości, a *sans peur*, bez fałszywej tchórzliwości, w wypowiedaniu swych zdań.“ Schodzą się więc tam politycy i dziennikarze najskrajniejszych przekonań: Gladstone'a wyręczają synowie i spotykają się z pułkownikiem Saundersem, najzaciętszym i w izbie gmin najzjadliw-

<sup>1)</sup> Defoe: „True-Born Englishman.“

szym mówcą antygladstońskim; p. Balfour prowadzi zwykły długie, poufne i, zdaje się, wesołe rozmowy z Williamem O'Brienem, który eks-ministra nazywał w swych dziennikach „krwiozerczym infamisem“ i gorzej...; Chamberlain szuka Morleya, lord Randolph Churchill debatuje z Harcourtem, a radykalista i republikanin Labouchère dowcipkuje w zawody z którymś księciem krwi. Tak samo schodzą się tam anglikańscy prałaci z luminarzami nonkonformizmu, głośne artystki dramatyczne zapoznają się z ascetycznymi biskupami i predykantami, Stead rozprawia głośno i namiętnie o sposobie fotografowania „duchów“ z najznakomitszym kuglarzem i przeciwnikiem spirytystów, panem Maskeyne—i t. p.

Zapyta kto: czy i w jaki sposób zyskuje na tych zebraniach ten ogół towarzystwa, który nie chce, lub nie może zjawiać się w palacu książęcej pary, czy jest stąd korzyść jaka dla najszerszej społeczności? Otóż jest korzyść istotna, nawet dotykalna, bo, należy to do idyosynkrazyi tutejszych, że o czem się dziś mówi w którymś kącie, a mówi do rzeczy, o tem nazajutrz piszą dzienniki, nad tem komentują sobotnie tygodniki, to dostarcza materiału mniej lub więcej poważnym myślicielom, zasilającym półtora tysiąca miesięcznych czasopism krajowych. Niechże kilka osób powźmie w klubie, salonie, jakąś nową ideę—to nazajutrz osoby te zwiążą się w specjalne towarzystwo, a pierwszym krokiem tego towarzystwa będzie—założenie specjalnego pisma, krzewiącego ową ideę. Czytelników i gotowych, mniej lub więcej powołanych, krytyków, nie zbraknie nigdy w kraju, którego ludność, w sobie zasklepią, czyta, jak nie czyta żaden naród.

Ale czas już wielki przejść do księgarni i teatrów.

---

Pochlebię sobie przypuszczeniem, że czytelnik nie zapomniał, co niejednokrotnie o teatrach londyńskich i o publiczności ich pisałem na tem miejscu: ta publiczność, o której pieniądze chodzi przedsiębiorcom, uczęszcza do teatrów w celu jedynym — by znaleźć w nich leniwe wytchnienie po całodziennnej pracy. Dla niej-to piszą autorowie—piszą farsy, naszpikowane tem, co Niemcy zowią *Galgenhumor*, i piszą melodramata, zwane u nas „bombami.“

W zachodnich dzielnicach Londynu, w dzielnicach mody i zbytku, jest z górą 30 teatrów, w których przedstawienia bywają najrozmaitszej wartości, lecz zawsze—farsy, lub „bomby.“ Jakoś autorowie dramatyczni nie rachują się z faktem, że jest przecież w samej stolicy, jak w narodzie angielskim, z górą 30 rozmaitych klas społecznych, z których każda ma swoje, wielce odrębne, obyczaje i ideały, odrębny smak i nawyknięcia. Dramatycy piszą na jedną modłę, według jednego sza-

blonu i... w zupełnej niezgodzie z codziennością życia publiczności. Nie myślę się zapewne, twierdząc, że, koniec końców, zawodzą się ci, którzy się spodziewają zbyt wiele od sztuki dramatycznej, jako bezpośrednio moralnej i dydaktycznej mentorki. Dramat powinien uczyć, jak nas uczy życie: milcząco, bez ostentacyi i z wyższym celem nad proste wskazanie moralnego dogmatu. Przecież nas życie nie uczy prawdomówności — natychmiastowem pograżaniem kłamców w otchłań nie-szczęścia! Życie codzienne pełne jest nauk nieublaganej moralności, wskazywanych daleko wymowniej i tem dosadniej, im bliżej i poważniej, lub wierniej patrzemy na jego fazy. Wierząc w to, lub nie wierząc, pisarze angielscy układają swe dramatyczne sztuki i naiwnie, i brutalnie: naiwnie, bo gdzież jest widz, słuchacz angielski, który-by się budował zwycięstwem cnoty nad nieprawością?—brutalnie, bo z obrażeniem miłości własnej tych, co nie potrzebują, lub co nie lubią widzieć... jaskrawych podpisów pod każdym szczegółlikiem obrazu.

To też któż tu uczęszcza na melodramat? Ha! jesteśmy w Anglii. Czytelnicy Taine'a rozumieją. Jest przecież nad Tamizą publiczność wielosettysięczna, znana jako *the Exeter Hall public* <sup>1)</sup>. Kochająca się w tego rodzaju bohomasach scenicznych, jak się kocha w średniowiecznych ilustracjach zbrodni, zbrodniarzy, i oprawców ich, i kaźni. Jest to publiczność średnio-klasowa, mniej lub więcej zamożna, lecz bytu materyalnego niepewna: świat, zostający na bezustannym dorobku, którego rezultaty uwidoczniają się tylko w coraz liczniejszej rodzinie, w ambicyi uchodzenia za coś lepszego, ambicyi, uprawianej i skrzętnie, i oszczędnie, wreszcie w zdobyciu na starość najskromniejszej niezależności. Świat to po największej części nie religijny, ale „religiancki“ i we wszech rzeczach brytańskich niesłychanie szowinistowski, biegający w niedziele za kaznodziejami, tymi nadewszystko, którzy głoszą ponure i ciasne teorye eklektyczne, neo-kalwińskie i swedenborskie, świat, słuchający we wtorki odczytów z dziedziny spirytyzmu i teozofii, wierzący w szczerość i powołanie W. T. Steada, redaktora „Przeglądu Przeglądów,“ świat najposępniejszy w świecie, którego pleć męska ma osobny dekalog *in the City*, przy zarobku, a osobny *at home*, przy domowem ognisku, którego pleć żeńska, nie potrze-

---

<sup>1)</sup> W ulicy Exeter, przy Strandzie, jest gmach olbrzymi tego nazwiska. w którym się mieści zarząd centralny „Stowarzyszenia młodzieży chrześcijańskiej,“ rozległe sale klubowe dla członków płci obojej, sale do nabożeństw i t. d. Wyrażenie, którem się posługuję w tekście, choć utarte i ogólnie przyjęte do charakteryzowania bigoterii protestanckiej, mało lub nie ma wspólnego z instytucyem samym. Cele jego i środki zasługują na wszelkie uznanie. Poświęćmy mu przy sposobności osobny artykuł.

bując pracować, gnuśniej niż nad powieściami z biblioteki *Family Herald*, zatrąwa się wiecznym (i najczęściej uzasadnionym) podejrzeniem mężów i braci o wielce czynną obłudę, w końcu: albo sentymentalizuje do upadłego, lub się przenosi za pomocą morfiny czy *brandy* w stan płacziwej rezygnacji. Świat ten przepada za melodramatami. Roskoszuje on od początku bieżącego roku w takim „Straconym Raju“ (w teatrze Adelphi), w „Naszych Chłopcach“ (Vaudeville), „W Mieście“ (Gaiety), lub w takim „Srebrnym Królu“ (w teatrze Princess's).

Ale obok tego świata daleko więcej jest setek tysięcy w Londynie, które, zarabiając grube pensye i zasługi, szukają wieczorem najłatwiejszego wytchnienia: śmiechu—dla śmiechu. Publiczność to młoda, przenosząca farsę nad najznakomiciej obsadzone arcydzieła Shakespear'a. Dla niej to, i dla całego świata sportującego, i... powiem otwarcie: dla wszystkich „błogosławionych prostego serca“ i równoważonego umysłu, słyną pewne teatry tutejsze farsami, jakich nie widziałem nigdzie po-za Anglią. Układają je najznakomitsi artyści-komicy—i oni też sami je odegrywają. Sztuki te nie mają ani cienia pretensyi do jakiegobądź wartości literacko-artystycznej, tem mniej do znaczenia dydaktycznego, a są tylko karykaturowaniem wszystkiego, co w różnych narodowego życia położeniach jest śmiesznem, lub śmiechu godnem. Rzecz jasna, że dla cudzoziemców, nie żyjących z życiem tutejszem, farsy te i wszystka ich frazeologia i mimika są i być muszą chińszczyzną. Przechodzą nad niemi do dalszego porządku.

Grasuje i tu Ibsenizm, a zwolennicy jego, nieliczni wprawdzie, biorą się z tej samej kategorii pesymistów i pesymistek *à outrance*, która na stałym lądzie rozdzwajać się zaczyna na: adeptów, pragnących szczerze i usilnie odkryć w Ibsenizmie tajemnicę przyszłości dla sztuki dramatycznej, i tych, którzy (zwłaszcza po „Budowniczym Solnessie“) pytają się wzajem, czy tylko mistrz skandynawski nie jest... *a consummate impostor*, skończonym zwodzicielem i wyzyskiwaczem schorzałych umysłów, kpiącym sobie wyśmienie ze świata i jego krytyków.

Mówi się tu, a mówi słusznie, że artyści angielscy przewyższają o całe niebo francuskich—wykształceniem ogólnem i zawodowem, zdolnościami, sumiennością i pracowitością; przewyższają ich także stanowiskiem, przyznawanem im prawie jednogłośnie, w towarzystwie społecznem. Stanowisko to zdobywa się w dzisiejszej Anglii dość łatwo: pieniędzmi. Ale, co w Anglii jest wielce trudnem do zdobycia, to właśnie pieniądze, wielkie pieniądze, takie, jakieby umożliwiały branie udziału we wszystkim, co robi świat wielki, świat, niewyczerpanie bogaty. Kiedym opowiadał artystom naszym we Lwowie, że taki Harry Nichols, komik, pobiera z górą 3,000 funtów rocznej pensyi; że miss Ellen Terry, nierozłączna koleżanka Irvinga, czerpie z kasy teatru Ly-



ceum 4,000 fst., że... rozgłośna szansonistka i taneczna akrobatka, miss Lottie Collins, zarabia więcej, niż p. Gladstone, bo do 6,000 fst.; kiedyś to opowiedział w Kole literackim, obstała mnie rzesza wielka, a gdy przekonano się o zdrowiu mem umysłowym i fizycznym, jedni pytać zaczęli o najlepszą metodę wyuczenia się angielszczyzny, a drudzy zażądali wyjaśnienia tak potwornie bezproporcjonalnego stanu rzeczy. Zadowolwszy ciekawość pierwszych, drugim odpowiedziałem, jak następuje:

— Łaskawi Państwo! Na wczorajszym przedstawieniu waszem (graliście zaśię „Zbójców“ Schillera) puste były jedne miejsca, drugie zajmowali niechrześciance; zapytałem przyjaciela mego, Henia, ile ta publiczność była warta na austryacką walutę? Henio odrzekł bez wahania: „Półtora miliona.“ Dzisiaj odegraliście państwo „Straszny Dwór;“ odśpiewaliście go ze współudziałem najczcigodniejszych talentów; teatr był nabitý — pocziwą burżoazją i studenteryą — niechrześciance zaledwie się docisnęli do najwyższej galeryi. Publiczność ta, według Heniowego obliczenia (a Henio jest prawnikiem i ekonomistą, dziennikarzem zaś *nie jest*), posiada wszelakiej gotowizny do wysokości około 80 złr. i 15 centów w. a. Dobrze. Przejdźmy teraz do jednego z 36-ciu teatrów londyńskiego Westendu; nie do Lyceum, ani Covent Gardenu, ani Drury Lane, lecz do najmniejszego z tamtejszych przybytków sztuki: do Adelphi. Na jego scenie przedstawiają koledzy wasi „Stracony Raj,“ a przedstawiają każdego wieczora, prócz niedzielnego, dodając co sobota przedstawienie poranne; koledzy wasi dają ten „Raj“ stale od 9-ciu miesięcy, i dawać go będą przynajmniej jeszcze przez 15 miesięcy. Teatr jest przepelniony codzien: gdy się zajdzie przed jego bramy w kwadrans po rozpoczęciu „Raju,“ bramy są zamknięte, a olbrzymie transparenty, efektownie umieszczone i górą, i dołem, oznajmują Londynowi, że: *No room anywhere*—niema miejsca nigdzie. I cóż sobie państwo myślicie: ileż warta owa publiczność w „Raj“ zagapiona, licząca głów wszelakich najwyżej 850? Obliczając najskromniej i tylko roczny jej dochód, warta jest od półtora do dwóch milionów funtów, czyli od 16 do 22-ch milionów papierków w. a. <sup>1)</sup>. A kapitałów nie policzono.

To jedno.

Dalej — powiedział mi Henio (który dziennikarzem *nie jest*), że.. i t. d., i t. p. Łaskawi Państwo, przejdźmy teraz do W. Brytanii i Ir-

---

<sup>1)</sup> Według autora (G. H. Malvern) broszury „Bogactwo i ubóstwo Londynu“ (1892), z której to obliczenie cytuję, Covent-Garden mieści na jednym wieczorze opery włoskiej publiczność, wartującą z kapitałami i pensjami od 180—200 milionów fst.

landyi nawet. Wielki Henryk Irving, który jest doktorem wszechniczy oksfordzkiej <sup>1)</sup>, znakomitym myślicielem i najtrzeźwiejszym (nawet obok Ruskina) estetykiem, Irving powiedział niedawno temu <sup>2)</sup>, że zauważył, jak od lat 15—20-stu, garnie się do zawodu dramatycznego młodzież zasobna, gruntownie wykształcona, często wysoko skoligaccona familijnie i posiadająca w każdym razie wszelkie warunki bezpiecznego i wygodnego w świecie bytu. Prócz młodzieży tej, szukającej artystycznych wawrzynów dla rodowych nazwisk, skądże się biorą angielscy koledzy wasi i koleżanki? Natłok kandydatów jest tak ogromny, że dyrekcye mają bezustanny kłopot wyboru: wybierają więc, kierując się dwiema wskazówkami: 1) by talent był niewątpliwy; 2) by osoba, nawet utalentowana, nie była bez takich zasobów materyalnych, jakie ułatwiają pracę sumienną i zabezpieczają od ewentualności, od przypadków, co „po ludziach chodzą.“ To też mylicie się państwo, sądząc, że aktor londyński poczyna zawód z kasową gażą—trzech tysięcy papierków miesięcznie! Poczyna i ciągnie dość długo — bez wszelkiej gaży. Waruję sobie, by mnie nikt nie posądził, jakobym chciał widzieć na scenie, choćby nawet waszej, łaskawi państwo!—wojewodzieców i podkomorzanki, starościanki i miecznikowiczów! Dalekim od tego, choćby z tej jednej racyi, że i na londyńskich scenach nie widziałem do tej pory jeszcze ani autentycznych książąt, ani prawdziwych hrabianek.

Pytacie się państwo, z jakiejże warstwy społecznej rekrutują się koledzy wasi i wasze w Anglii koleżanki? Odpowiadam: ze wszystkich tych, jakich u was niema. Z jednej strony są to synowie i córki rodzin zamożnych (jak już się rzekło), lecz ani magnackich, ni chłopskich, ani mieszczańskich, ani rzemieślniczych—rodzin zasię rozsiedlonych po drobnych willach podmiejskich i wiejskich, rodzin duchownych, ekskupiueckich, eksoficerskich, synowie i córki anglo-indyjskie i anglokolonialne. „Irving“ (nazywający się właściwie: John Henry Brodrib) urodził się w r. 1838 z ojca kapitalisty; pani Langtry jest córką kościelnego dygnitarza z wyspy Jersey; pani Kendal córką municypalnego „rycerza“ londyńskiej City; Wilson Barrett synem znakomitego mary-

<sup>1)</sup> Nietylko smutny proces krakowski, ale i inne a częste wzmianki dziennikarskie polskie mogły-by dać komu do wierzenia, że o tytuł doktorski (filozofii, prawa, teologii lub medycyny) tak łatwo w Anglii, jak o nowy kapelusz. Faktycznie tu właśnie o stopień ten jest najtrudniej, a żadne go pieniądze same przez się nie kupią. Wszechnice dają wprowadzić, tak samo jak zagraniczne, stopień doktorski *honoris causa*, lecz tylko w „prawie międzynarodowem“ i tylko osobistościom skądinąd znakomitym, wysoko zasłużonym i szeroko znanym.

<sup>2)</sup> 12-go lutego, na dorocznym bankiecie „Funduszu prasowego“ dla wdów i sierot po dziennikarzach.

narza; Edward Terry synem manchesterskiego bankiera-bawelniarza; a nestor komików brytańskich, John Lawrence Toole, urodził się przed 60-ciu laty w Londynie z ojca kupca anglo-australskiego. Większa może liczba znakomitości dramatycznych oglądała za młodu rodziców swych tryumfy przedkulisowe, a za kulisami—chowała się w otoczeniu jeżeli nie zbyt kownem, to z pewnością i wykwiutnem, i wykształconem. Młodzież ta obrała zawód rodzicielski z zapалу do sztuki i z prawdziwego, wrodzonego uzdolnienia. Panie: Ellen Terry, Bancroft, Brandon, Florencya St. John; pp.: Grossmith, Terris, A. Roberts, Karol Warner i Karol Wyndham—by o najgłośniejszych tylko wspomnieć—to dzieci, często wnuki, nieraz prawnuki artystów. Są nakoniec i meteory, są i stałe gwiazdy, błyszczące świetnie na widnokręgu sztuki dramatycznej, o których się nie ziemskiego nie wie.

Wreszcie zwrócę uwagę państwa na okoliczność najważniejszą: Z publicznością stolicy milionową i bogatą, tą, która do teatrów uczęszcza najpilniej, z bezustannym natłokiem wybornych sił artystycznych i z ciągłą z tego powodu, a „szaloną“ konkurencją, mogą sobie dyrekeye pozwolić na zbytek pozostawiania artystów przy jednych i tych samych charakterach.

Wszystkie zaś te cechy i powody sprawiają, że artyści angielscy są po największej części *specyjalistami*, każdy i każda, nietylko w odtwarzaniu charakterów, lecz w ich cieniowaniu i podcieniowywaniu, specyjalistami nietylko do ról naczelných, lecz z najpracowitszym artyzmem i do ról najdrobniejszych.

Był-bym dalej w ten sposób opowiadał lwowskim artystom, gdyby mnie byli słuchali... Lecz jedni, wzruszywszy ramionami, odeszli, a drudzy, stojąc, lub siedząc... spali. Czegom im więc nie dopowiedział, to tu dopiszę.

Artyści i artystki w Anglii, specyjalizując bezustannie, rozmijają się oczywiście z istotą zadań i celu swej sztuki. A to najgorsza, że nabierają manieryzmu, nie są zdolni do ukrycia swej tożsamości. Irving-Hamlet jest Becketem tak samo, jak Irving-Lear jest... Mefistofeilesem; Ellen Terry gra szekspirowską Juliettę z temi samemi ruchami, z tą samą dykeją, z jaką gra Rosamundę Tennysona i niemiecką Grätchen. Toole jest do znudzenia... Toolem wszędzie i zawsze. Podobny sąd wydać należy o wszystkich wielkich artystach tutejszych, z jedynym wyjątkiem Beerbohma-Tree, w którym wielu widzi prawdziwą potęgę twórczą.

Jeżeli przypuścimy jednak, że nie zbywa Anglii na artystach, to, z drugiej strony, litować się nam przychodzi nad oplakany brakiem—artystycznych dzieł. Rzecz jasna, że publiczność takie ma dramata i komedye, na jakie zasługuje. Można-by przecież wymagać, by ktoś

się ulitował nad publicznością. Przed trzema laty dużo się tu mówiło i pisało o potrzebie i o metodach wykształcenia smaku „narodowego,” chciano zakładać szkoły dla pisarzy dramatycznych. Dziś nikt już reformatorskich planów nie wnosi: przekonano się wreszcie, że o doskonałości sztuki, o dążeniu do tej pewnej doskonałości mowy być nie może w specjalnych stosunkach tutejszych. Dopóki ognisko ruchu artystycznego jest w Londynie, zamieszkałym przez kilkadziesiąt warstw narodowych, tak od siebie odmiennych, że można-by je słusznie za odrębne uważać społeczności, dopóty też dyrekcye takie sztuki wystawiać będą, jakie są zdolne podobać się publiczności „przeciętnej,” tą zaś jest w kraju nadtamizańskim zlew osób, pod wszelkim względem najsprzeczniejszego charakteru, zlew, w którym przeważa liczba kobiet i to kobiet z klas zamożnych, które są w fotelach i łóżach dlatego, że w domu się nudzą, a po-za nim, po-za ciasnem kątkiem niewielu znajomych, nigdzie nie bywają. „Rozglądając się po najlepszych miejscach w teatrze londyńskim, widzimy, jak we francuskim kościele, górujący pierwiastek uczuciowy” — powiedział Max O'Rell przed kilku laty <sup>1)</sup>, i mógł-by to zdanie powtórzyć dziś z większym naciskiem: „pierwiastek” nie tylko jest „uczuciowy,” lecz jest i dziecinny. Konsekwentnie bardzo—artyści płci męskiej stoją tu daleko więcej na widowni, aniżeli ich piękne, istotnie piękne, koleżanki: Londyn ma jedną artystkę, wybitną gwoli tylko swego talentu, miss Ellen Terry; inne muszą poprzestawać na reputacji swych szwaczek, fryzyerów, jubilerów, lub protektorów. Pani Langtry, talent szczególny, zarazem rzeczywisty, nie znoszący na scenie obok siebie drugiego „charakteru”—angielska Sara Bernhardt—zwykła używać zręcznego fortelu na zwabienie „opłacającej się publiczności:” oznajmia na afiszach, ile razy zmieni tualetę w ciągu sztuki, i kto jej suknie wymyślił i wypracował!

Dodajmy, że krytyka, że recenzja dramatyczna w organach prasy jednym się tylko powoduje celem: kupieckiej reklamy. Ale tu już powtarzać nie będę, co zaznaczyłem swego czasu <sup>2)</sup>, a co się w równej mierze odnosi do kwestyi niniejszej.

No, mówią nam przecież wielkie powagi—Saintsbury i Laug, np.— że zajaśniała jutrzeńka nowej i lepszej doby; a mówią tak, bo wystawia nam Beerholm-Tree „Hypatyę” w teatrze Haymarket, a w Lyceum Irving „wyscenizował” Tennysonowego „Becketa.” O pierwszej tragedji rozpisac się niepodobna pod koniec Kroniki, o „Bekecie” zamilczeć nie wolno.

<sup>1)</sup> „John Bull i jego Wyspa.”

<sup>2)</sup> W artykule: „Angielscy krytycy i pisarze;” zeszyt „Biblioteki” z czerwca 1891 roku.

Przed Tennysonem probowało już kilku udramatyzować epizod, częścią historyczny, częścią legendowy, którego środkową postacią jest kantuarijski biskup - męczennik. Żadna atoli próba nie znalazła przyjęcia—może z tego powodu, że pisarze poszli nadto wiernie za wskazówkami historyków (Stanleya, Robertsona, Froude'a), których poeta-laureat do współpracownictwa nie przypuścił. Ani też nie napisał Tennyson „Becketa“ dla sceny <sup>1)</sup>, tem mniej zaś dla Lyceum, teatru Irvinga—jak mylnie rozgłoszono. „Becket“ ukazał się w druku po raz pierwszy w r. 1875, kiedy Irving nie zdobył sobie jeszcze sławy „jedynego Anglii aktora.“ W cztery lata później, stojąc w okolicznościach wyjątkowych na stanowisku wyjątkowym, otrzymał Irving rękopis oryginalny „Becketa“ z listem, w którym poeta, po wyrażeniu najwyższego uznania dla artysty, zapytał: czy możliwem było-by na scenie Lyceum „przedstawienie głównych części“ dzieła? Irving odpowiedział twierdząco i zajął się stosownem przerobieniem tragedyi. Dlaczego jej nie wystawił za życia autora—nie wiadomo; próby u scenizowania dwóch innych pematów dramatycznych Tennysona, „Czary“ i „Królowej Maryi,“ nie wypadły świetnie, dowiodły raz jeszcze tylko, że tego rodzaju operacye nie osiągają zamierzonego celu: nie zapoznają z istotną wartością i z artystycznymi rozmiarami pracy oryginalnej, i tem więcej ujmują jej, im ona jest wyższą w oderwaniu.

Irving wywiązał się z trudnego zadania rozsądnie i szczęśliwie: epizod dziejowy, posiadający tyle i takich pierwiastków dramatycznych, miał zapewnione z góry powodzenie moralne; materyalne zaś zależało od zręcznej adoptacyi, takiej, która-by zachowała dziełu najwyraźniejsze cechy tennysonowskie, a zarazem uczyniła je i zrozumiałem dla londyńskiej publiczności, i, przedewszystkiem, efektownem. Irving więc skrócił tragedję więcej, niż o połowę, zachowując niemal wszystkie momenta doniosłe. Tylko dokonać nie mógł uproszczenia akcji, która jest poetycznie epizodyczną, przytem rozstrzeloną po zbyt rozmaitych kątacli Francyi i Anglii. Czytelnik zechce sobie teraz uprzytomnić przepyszne dekoracye, skrupulatnie historyczne stroje niewiast, szaty mnichów i zbroje rycerskie—wyobrazić sobie najznakomitszą obsadę ról, choćby najmniej znaczących <sup>2)</sup>, wyniosłego postawą, ascetycznego twarzą Irvinga w roli tytułowej, a oto przebieg tragedyi:

<sup>1)</sup> W dedykacyi dzieła lordowi Selborne pisał wyraźnie: „W tej oto swej formie nie jest „Becket“ przeznaczony do zadowolenia wymagań naszych teatrów współczesnych.“

<sup>2)</sup> Rolę Rozamundy objęła miss Ellen Terry; Henrykiem jest Terris; Eleonorą miss G. Ward; Fitz-Ursem,—Frank Cooper. Role, tak mało znaczące, jak wieśniaków, spotykających Eleonorę na ścieżce do lasu, jak nawet czterech siepaczy, obsadzone są przez wcale niepoślednich artystów sceny Lyceum.

Króciutka scena między Eleonorą, żoną Henryka II (rozwidzioną z Ludwikiem VII, francuskim, dziedziczką Akwitanii), i potężnym baronem Fitz-Urse: królowa, zazdrosna o przywiązanie męża do „pięknej Rozamundy,” podnieca przeciw niej barona, wiedząc, że Fitz-Urse jest aż nadto skłonny do szukania zemsty za otrzymanego od dziewczyny odkosza. Niebawem patrzymy na zewnętrzne mury zamku w Normandyi; z obszernego tarasu, na którym Henryk gra w szachy z swym kanclerzem (Becketem), widok jest rozległy na górzysto-lesistą okolicę. Kanclerz — jeszcze wtedy nie arcybiskup — odziany jest bogatą szatą purpurową, płaszczem zielonym, rzęsiście obrzuconym złotem i drogie kamieniami; wyraz twarzy poważny i smutny: dygnitarz przeczuwa od dawna ostatnią katastrofę swego życia, wie, że odwrócić ją mogła-by tylko ofiara własnego sumienia — jest więc przeświadczony o niepodobieństwie zażegnania straszego losu. Król, młody, dumny i porywczy, ma umysł zajęty walką z rosnącymi wpływami Kościoła: „Kościół—wola uniesiony—skorzystał z zamieszek dni króla Stefana, na sam tron wstąpił i po samą sięgnął naszą koronę!” Zniecierpliwiony trudnością gry, obala stół, rozrzuca figury; „mój biskup—rzecze kanclerz—do muru przywalił waszego króla.” Henryk jest atoli szczerze przywiązany do Becketa, uspokaja się więc i—prosi, by kanclerz strzegł Rozamundy, ukrytej w leśnem zaciszu, którego mapkę rysuje król na pergaminie. Rozmowa toczy się dalej o sprawach angielskiego królestwa; blizkim śmierci był ówczesny arcybiskup kantuaryjski, więc Henryk błaga kanclerza o przyjęcie tego dostojenstwa. Kiedy, po odejściu Becketa, królowa schodzi na taras i widzi zapomniany na stole rysunek, z wypisanymi słowami „jej zacisze,” Henryk zapewnia, że pergamin jest własnością kanclerza. Kłopotliwą chwilę przerywa wejście posłańca, oznajmującego zgon arcybiskupa; kanclerz oplakuje stratę przyjaciela, a Henryk, odpowiedziałwszy, że „starzy ludzie muszą umierać, inaczej-by świat zapleśniał!”—przeskakuje stół i śpieszy do ptaszników na łąki.

W obrobieniu Irvinga część ta jest prologiem. Początek zaś tragedyi ukazuje nam Becketa w Londynie, w domowisku kanclerskiem, do którego wrócił właśnie — po intronizacyi na stolicę prymasowską. Wielkie znaczenie tej sceny ujawnia się w słowach, jakimi arcybiskup opisuje swoje widzenie wiernemu Herbertowi. Nie pokuszę się o oddanie piękności i siły białego wiersza poety, ale otóż przekład: „Alboż ja jestem tym człowiekiem? Śpiącemu, zdało mi się, iżem stał w kantuaryjskiej świątyni, i do Bogam Pana mówił, i takem mówił: Król Henryk był mi przyjacielem, był bratem, był tym, co mnie podźwignął w tym świecie, i obral mnie na to Twoje wielkie arcybiskupstwo, mniemając, iżbym tedy gotów był pójść z nim przeciw Kościołowi, a ja jużci

pójdę przeciw niemu z Kościołem. Alboż ja tym jestem człowiekiem?— I Pan mi odrzekł: „Tyś jest zaiste człowiekiem tym, i więcej, niż „tym człowiekiem.“ Zaczem, wydało mi się, Pan przystąpił do mnie i powalił mnie na ziemię w świątyni, i ległem.“ Opowiadając sen, święty stoi z podniesioną ku niebu twarzą, z rozwartemi ramionami: widać w nim, nie tak egzaltację, jak rezygnację męczennika, bolejącego, że cios spaść ma z ręki przyjaciela i brata.

Ale do izby wbiega Rozamunda, szukająca kościelnego schroniska przed ścigającym ją Fitz-Ursem: baron, zmuszony ustąpić, tym sroższym staje się wrogiem arcybiskupa...

Efektowną i malowniczą jest następna scena w starożytnej ulicy miasta Northampton, wiodącej do królewskiego zamku: Między domownikami i mieszczańskimi stronnikami Eleonory z jednej, a Becketa z drugiej strony, przyszło do kłótni i bójki. Jest to obrazek tylko, zaznaczony przez Tennysona kilku słowami, mającemi nastroić wyobraźnię czytelnika do następnej sceny, ale obrazek, odtworzony przez artystów sceny Lyceum z archeologiczną prawdą, z realistyczną grubością obyczajów epoki. Ważnego tu nie zachodzi nic, rozumiemy tylko, że Becket odrzuca pomoc królowej, ofiarowaną mu pod warunkiem pokazania Eleonorze owego rysunku z napisem: „jej zacisz.“ Tymczasem w zamkowej halli stoją i siedzą różnie ugrupowani baronowie, zajęci żywymi rozmowami. Patrzymy i słuchamy wrzasku pomieszanych głosów, chrzęstu zbroi. Lecz nagle ucichają barbarzyńscy królewęta: do halli zstępuje poważny, spokojny i zdecydowany arcybiskup-kanclerz. Odczytuje on niebawem akt słynnych i przez koło monarsze wygotowanych *Constitutiones Clarendoniana*e, a czytając, zaznacza po każdym artykule, czy się w imieniu Kościoła zgadza, czy nie: „A i tego podpisać nie mogę“ — powtarza łagodnie i stanowczo. Natrząsa się z niego potężny York, przymawiają mu szyderez biskupi, dobytymi mieczami wygrażają się baronowie; ale kanclerz odmawia swej pieczęci konstytucyom. Ustępuje częściowo, złożeniem swego podpisu na akcie, kiedy z błagającymi go o to Templaryuszami łączy głos wielki jałmużnik papieski. Wspaniała ta scena kończy się przepysznie i wrażliwie: arcybiskup, stojąc na schodach granitowych, któremi ma odejść do górnych izb królewskich, dobywa krzyża swego pasterskiego i trzyma go wysoko nad tłumem możnych i hardych panów. Ci zaś—prałaci w mitrach i złocistych *cappe magnae*, baronowie w zbrojach żelaznych — stoją przed nim, głęboko schyleni i jakby uroczystą trwogą zdjęci. Zaslona opuszcza się zwolna.

Po tym burzliwym epizodzie przenosi nas geniusz sztuki do leśnego zacisza uroczej Rozamundy, tak heroicznie przywiązanej do Henryka, tak przez niego wielbionej i kochanej. Nie pospolita to miłość,

nie pospolita kochanka! Wszakże ona jest córką brytańskiego Cliffora, potężnego barona Herefordu, matką dwóch synów królewskich. I otóż młodszy z nich, maleńki Geoffroy (później arcybiskup Yorku) wybiega w początku tej sceny, czysto sielankowej, prowadzi Henryka do ukrytej w gąszczach chaty, a zostawiwszy tam „pięknego rycerza,“ wraca do zabawy z siostrzyczką Małgosią. Małgosia śpiewa. Wszystko tu wonieje lasem, ziołami—wonieje dzieci niewinnością. Dla rozumiejących język przepisuję tu prześliczne w swej onomatopiecznej prostocie strofki Małgosinej piosenki:

Babble in bower  
Under the rose!  
Bee mustn't buzz,  
Whoop—but he knows.

Kiss me, little one,  
Nobody near!  
Grasshopper, grasshopper,  
Whoop—you can hear.

Kiss in the bower,  
Tit on the tree!  
Bird mustn't tell,  
Whoop—he can see.

Stąd akcja przerzuca nas do Francji, do Montmirail, gdzie król Ludwik VII stoi obozem, gdzie Henryk toczy zaciętą i namiętą walkę słów z Becketem: arcybiskup jest niezłomny; król podziwia go, chciałby żyć z nim w dogodnej zawsze zgodzie, waha się, dręczy, unosi—wreszcie pada w jego ramiona i w obliczu rycerstwa celto-saskiego jedna się z nim uroczyście. Ale Tomasz wie! wie, że do Anglii wróci—po śmierć. Znowu zmiana sceny: jesteśmy przed lasem, w pobliżu zaciśza królewskiej kochanki. Przybyła tu Eleonora z Fitz-Ursem, spotkała zabłąkanego Geoffroya, a rozpoznawszy jego rysy, łatwym fortem znajduje drogę do chaty, staje przed Rozamundą. Królowa daje rywalce do wyboru: lek na... bezsenność, lub sztylet. „Już, już ma ugodzić, gdy (tu słabość pomysłu), rękę jej wstrzymuje zjawiający się niespodzianie arcybiskup... W akcie czwartym, na zamku w Normandji, Henryk znowu pokłócony z Becketem: wymawia mu gwałtownie ekskomunikę, rzuconą na biskupów; woła, oszalały z gniewu: „Czy nikt mnie nie uwolni od tego mnicha?“—a niebawem znajduje czterech gotowych wykonawców domniemanej woli.



Wiadomo, że Tomasz złożył swe dostojęstwa i ustąpił do zakonnej celi. Tu go więc znajdujemy, w klasztorze 9-go Augustyna, w Canterbury. Cienie śmierci w tej ubogiej celi. Becket, nieświadomy królewskiego wyroku, ale zawsze przekonany, że umrze śmiercią gwałtowną, oblicza się z czystym swym sumieniem i boleje nad niepodobieństwem pogodzenia obowiązku z wymaganiami ukochanego Henryka. Rozmyślania te przerywa Rozamunda: przychodzi usłyszeć z ust samego Tomasza, czy prawdą jest, co rozgłoszono o kłątwie, rzuconej przez niego na króla. Obecny w celi John of Salisbury rozprasza te wątpliwości, Becket wyraża się o Henryku z niewysłowioną rzewnością, a widząc smutek Rozamundy i jej przywiązanie do króla, dodaje: „Byłem raz w polu z Henrykiem w czasach onych, kiedy mnie Henryk kochał, i naszliśmy na przepiórkę, siedzącą na gniazdku, siedzącą nieruchomie; wyciągnąłem ramię, dotknąłem jej dłonią, a ona się nie ruszyła. Śnieg zamarzył był dokoła niej—i siedziała tak skamieniała, umarła, na kupce jajek, jak lód zimnych. Patrz-no! jak ta miłość, ta rodzicielska, przenika wszystkich świat Bożego stworzenia, nawet zwierzę—ptaszę!”

O ostatniej scenie tragedyi w bocznej nawie katedry kantuaryjskiej, pod normandzkimi łukami i wzorzystemi w swych barwach oknami — parę słów tylko: Tomasz, wstający z modlitwy, majestatyczny w pogodzie męczeńskiej rezygnacyi, widzi onieśmielonych siepaczy. Cios morderczy zadaje ręka Fitz-Urse'a — i święty pada na granity, błogosławiąc...

Rozbiór krytyczny dzieła uwydatnił-by jego wady i usterki, przypisali-by je atoli—scenizatorowi, który, jak czytelnik teraz pojął, musiał się łamać z niemałemi trudnościami. Ale rozbiór taki uwydatnił-by zarazem przedziwne piękności dzieła, kryształową prostotę a potęgę myśli, odzianych formą najczystszej poezyi, któremi, niby obfitą strugą blasków drogich kamieni, mieni się i jaśnieje utwór ostatniego... może ostatniego Anglii poety-laureata.

EDMUND S. NAGANOWSKI.

---

# PRZYSZŁA WOJNA

## JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI.

---

### W S T Ę P.

---

#### I.

Meteorologowie utrzymują, iż czasami do atmosfery naszej dostaje się pył kosmiczny: zmienia kolor nieba, krwawą barwą nasycą promienie słońca, dostaje się do mieszkań i do płuc naszych, wrogo oddziałując na organizmy; nie chronią przed nim nawet wyżyny szczytów górskich, dostaje się tam i brucez białość śniegów dziewiczych, przez nic innego nigdy nie zbrukanych.

W życiu publicznem, a w części i w prywatnem naszego społeczeństwa i Europy całej czemś podobnem jest w tej chwili wojna. Nią wyłącznie przesyciona jest myśl narodów, od mężów stanu, u steru stojących, poczynając, a kończąc na pracownikach, cały dzień troską o kawałek powszedniego chleba zajętych.

O konieczności wojny w przyszłości bliższej lub odleglejszej mówią w salach posiedzeń i na kurytarzach wszystkich parlamentów, w gabinetach i salonach, w buduarach i na poddaszach. Przerażające widmo wojny nie tylko dręczy wyobraźnię — pod jego fatalnem tchnieniem całe życie społeczne w niektórych państwach Europy środkowej modyfikuje się, kurczy, a nieraz nawet ścina: przemysł lęka się rozwinąć swe skrzydła, energia jednostek, niezbędna dla wytwa-

rzania nowych bogactw, zamiast podniety widzi wszędzie przeszkody i hamulce, każdy zasoby swoje chowa na czasy lepsze. Handel zmniejsza promienie swych obrotów i ogranicza się do załatwiania tylko najniezbędniejszych potrzeb na najbliższe terminy. Obawa, że jutro burzę przynieść może, pęta każdego oględniejszego rolnika, przemysłowca i kupca.

Czy jednak to zaniepokojenie umysłów nie jest złudzeniem, nie jest rodzajem epidemii, w chorych nerwach swój początek biorącej, czy też to rzeczywistość naprawdę tak groźna? Na to pytanie odpowiedzieć z całą pewnością nikt chyba nie potrafi. Każdy-by wołał, aby ta zmora snem tylko była i po ocknięciu się minęła. Któż nie pożąda twórczego tchnienia pokoju? Ale czy pożądanie, choćby powszechne nawet, zdoła zmienić bieg rzeczy!

Wprawdzie w chwili obecnej horyzont polityczny znacznie się wyjaśnił i nie widać chmurki, która-by mogła w krótkim czasie burzę prowadzić; pomimo to jednak, pozbyć się całkowicie obaw, mając szczególnie na uwadze przeszłość i stan rzeczy obecny, niepodobna.

Zastanawiając się głębiej nad samym przedmiotem, przyszedłszy do wniosku, iż szale pokoju i wojny chwiją się na obie strony w równowadze niestałej, a może tylko pozornej; lada wstrząśnienie, lada wypadek drobny i nieprzewidziany pełnąć może fatalnie drugą ku dołowi.

Badanie charakteru przyszłej wojny, oraz jej ekonomicznych przyczyn i skutków zawiera specjalne trudności tak znaczne, że, nie będąc z zawodu wojskowym, autor tej pracy nigdyby się do przedmiotu tego nie wziął, gdyby nie względy i pobudki bardzo doniosłe, natury ekonomicznej, a z pomyślnością kraju naszego jak najściślej związane.

## II.

Warszawa jest w tej chwili pierwszorzędną twierdzą, a wskutek połączenia i pokombinowania z fortyfikacyami Nowogrogeorgiewska i Iwangrodu, nabrała znaczenia bardzo ważnego punktu strategicznego.

Nie może ulegać wątpliwości, iż z chwilą wybuchu wojny miasto nasze, wskutek bliskości granicy i wskutek tego, że w murach swoich posiada pół miliona mieszkańców, zwróci na siebie szczególną uwagę rządu i stanie się przedmiotem jego opieki. Ludność będzie musiała przebyć ciężkie koleje oblężenia, lub w najlepszym razie zniesie przerwanie regularnej komunikacji i dowozu żywności.

Przed kilku laty autor znalazł się był w potrzebie opracowania memoriału, w którym bardzo szczegółowo była roztrząsana kwestya potrzeb miasta Warszawy w razie wybuchu wojny. Ponieważ rdzeniem kwestyi w danym razie był stan, jaki wojna wytworzy, to przede wszystkim wypadło zrobić przypuszczenie, iż z chwilą wkroczenia wojsk którego z państw ościennych komunikacya Warszawy z resztą kraju zostanie utrudniona lub nawet przerwana, a wskutek tego i działalność przemysłowa niezmiernie osłabnie.

Naturalnie miasto nasze i całego ludność półmilionowa znajdzie się w całkiem zmienionych i bardzo trudnych warunkach. Nie dosyć, że trzeba mieć znaczne zapasy, aby uchronić mieszkańców od głodu, ale zarobki się urwą i ludzie, żyjący z pracy, pozbawieni zostaną możności zaspokojenia swych potrzeb, gdyby nawet zapasy istniały.

Wobec tak poważnego zagadnienia, zdawało nam się, iż należało kwestyę usunięcia lub przynajmniej złagodzenia grożącej klęski w czasie pokoju, kiedy nie ma się spokoju i wszechstronnego sądu należycie zbadać, a więc przede wszystkim poznać charakter wojny współczesnej i przypuszczalny jej przebieg, a następnie na tej podstawie przewidzieć i obmyślić, co najpożyteczniejszego da się zrobić.

Wojna francusko-pruska roku 1870—71 dostarcza nam jedyne przykłady oblężenia miasta z wielką liczbą ludności, będącego punktem środkowym życia intelektualnego, przemysłowego i handlowego dla całego kraju. To też, chcąc poznać możliwe następstwa ewentualnego w razie wojny położenia Warszawy, należało zbadać stan i warunki Paryża przed i po osaczeniu go przez armie zjednoczonych Niemiec.

W 1870 r. w Paryżu nie było żadnego doświadczenia, któreby mogło ułatwić zadanie; trzeba było błądzić niemal po omacku, domyślać się, zamiast postępować wedle planu z góry ułożonego, a opartego na faktach. O potrzebach dowiadywano się wtedy dopiero, gdy one dotkliwie cisnąć poczęły; łatano wiele rzeczy wprzód nieprzewidzianych, co przy ciężkich warunkach oblężenia wśród pośpiechu narażało ludność na wiele przykrości i braków. Dziś, ponieważ się już można oprzeć na doświadczeniu cudzem, grzechem było-by nie uniknąć wielu błędów, z powodu których tyle wycierpieli paryżanie.

W tym celu badać należało zjawiska ekonomiczne nie tylko w samym osaczonym Paryżu, kiedy normalne warunki i wymagania podaży i popytu istnieć przestały, lecz i na całym teatrze wojny, zarówno lądowej, jak i morskiej, gdyż stan oblężonej stolicy, w chwili zamykania się dokoła niej żelaznego pierścienia wojsk niemieckich, zależał od ogółu warunków i skutków, przez wojnę wytworzonych.

## III

Wynikająca konieczność poznania całokształtu zjawisk kampanii francusko-niemieckiej, a następnie i wogóle charakteru wojny współczesnej, warunkowanego przede wszystkim postępami broni, udoskonaleniami technicznymi środków pomocniczych i zależnymi od nich zmianami taktyki, musiała nas wprowadzić na grunt całkiem inny, niż zjawiska ekonomiczne. Może nawet część czysto wojenna zbyt się rozrosła w stosunku do przedmiotu, będącego punktem wyjścia i celem pracy całej, lecz to stało się sposobem bardzo naturalnym. W poprzednich pracach (wpływ dróg żelaznych na ekonomiczny stan Rosyi, Finanse Rosyi w wieku XIX) wypadło nam rozpatrywać ekonomiczne skutki zarówno tych wojen, które Rosya prowadziła sama, jak i tych, które jej dotknęły pośrednio. Ztąd też przedmiot ten nie był nam już zupełnie obcy. Co zaś najważniejsza, dobrześmy wiedzieli, iż bez dokładnej znajomości technicznej strony kwestyi, która stanowi w danym razie przyczynę lub bezpośrednio wpływa na przyczyny, warunkujące skutki ekonomiczne wojen, objęcie całokształtu zjawisk i trafne ich pod każdym względem ocenienie było-by niemożliwe.

Dotychczas zawsze wywody nasze starałiśmy się opierać na cyfrach, uważając je w sprawach społecznych za świadectwo najwiarogodniejsze, bo najbardziej zabezpieczone od błędów i złudzeń subiektywizmu. Napoleon I. powiedział: „Rien d'aussi brutal que les chiffres. La statistique c'est le budget des choses, et sans budget point de salut”.

I w tym razie od przyjętego zwyczaju nie odstępujemy; bierzemy je za punkt wyjścia i za pierwszy środek zorientowania się wśród istniejących w Europie stosunków i sił. Gdzie tylko liczba mogła nam coś powiedzieć, pomocy jej wezwaliśmy, dokładając wszystkich starań, aby cyfry były dokładne. Ale jak wogóle, tak i tu, same nagie cyfry nie wiele-by nas nauczyły, czasem były-by niezrozumiałe, czasem nie wystarczające. Nie wszystko przytem daje się ująć w rachunek arytmetyczny. Trzeba było powoływać się na fakta i na dokumenta innego rodzaju.

W ostatnich kilku dziesiątkach lat w sztuce wojennej zaszły pod każdym względem wielkie zmiany, przewroty można powiedzieć. Przede wszystkim przekształcił się rdzennie stosunek pomiędzy pierwiastkami, które w wojnie uczestniczą i od których przebieg jej zależy.

Jeszcze przed laty trzydziestu liczebność armii na stopie wojennej nie różniła się bardzo od kontyngensu pokojowego. Wojny prowa-

dzone były przy pomocy wojsk stałych, a te się składały z żołnierzy zawodowych. Obecnie większość szeregowców i przeważną część oficerów utworzą ludzie, dopiero w chwili wybuchu wojny oderwani od czynności najzupełniej pokojowych. A przytem do szeregów powołani zostaną i ludzie starsi, którzy pozostawią w domu rodziny, nie-pokończone interesa, opuszczone warsztaty. Na pole walki wylegną całe narody.

Jest rzeczą całkiem naturalną, iż przy takiej masie rezerwistów, przychodzących do szeregu z szerokich gościńców życia, gdzie wszystkie powiewy i podmuchy hulają swobodnie, do armii w państwach Europy zachodniej łatwo bardzo przedostać się może agitacja anty-wojenna, a nawet propaganda socjalizmu.

W wielu tych państwach zaznaczyć się dają we wszystkich warstwach społecznych nie tylko teoretyczne, lecz nawet praktyczne usiłowania usunięcia wojny z dziejów ludzkości. Filozofowie i filantropi, mężowie stanu i agitatorowie rewolucyjni, poeci i artyści, parlamenta i kongresy, coraz bardziej i bardziej nabierają przeświadczenia, iż należy powstrzymać potoki krwi i zapobiedz klęskom, z wojny wynikającym. Była chwila, że protesta przeciwko wojnie mnożyły się i potężniały, zdawało się, iż cel usiłowań niebawem już da się osiągnąć. Nowe wojny, wywołane polityką Żelaznego Kanclerza, zwróciły i uwagę, i uczucia narodów europejskich w inną stronę. Niemniej jednak myśl całkiem nie zamarła, kielkuje i działać na umysły nie przestała.

Głosy uczonych i starania filantropów, skierowane przeciwko wojnie, znalazły niebawem ucho i wśród niższych warstw ludności. Ale każda myśl, idea, pojęcie, inaczej wygląda w umyśle oświeconym wiedzą, wyrobionym pracą naukową, inaczej zaś w głowie prostaka, który jest zdolny dojrzeć skutki, ale nie może wznieść się do pojmo-wania przyczyn, nie rozumie względów społecznych, nie wie, co to konieczność historyczna, nie potrafi myśleć abstrakcyjnie. Niedokładna wiedza, tak jak przyćmione światło, rodzi widziadła fantastyczne.

#### IV.

Groza wojny stała się w ostatnich czasach daleko straszniejszą z powodu niesłychanych udoskonaleń narzędzi zniszczenia. Ręczna broń niemiecka w r. 1870 niosła na 1000 m., obecnie zaś bije na 4000. Za granicę celności strzałów uważano wówczas przestrzeń 600 metrów, dziś zdołano ją posunąć do 2500. Znaczy to, że donośność strzałów wzrosła 4 razy. Siła i szybkość strzałów zwiększyła się trzy ra-

zy. Żołnierz ma dziś przy sobie 150 ładunków zamiast 90-u. Te, wszystkie ulepszenia stanowią, że każdy karabin jest obecnie kilkadziesiąt razy potężniejszy, niż był 20 lat temu.

Działanie armat jest dzisiaj 4 do 5 razy straszniejsze, niż było w r. 1870. Mogą one utrzymać ogień niesłychanie morderczy na odległość 2500 do 3000 metrów, a niektórzy autorowie zapewniają nawet, że działa dzisiejsze razić mogą skutecznie na 7000 metrów odległości. Szybkość strzałów armatnich wzrosła nadto jeszcze  $2\frac{1}{2}$  raza. Wynaleziono nowe pociski, napelnione materiałami wybuchowemi, o potężnym działaniu.

Rany od nowych kul w stalowych lub niklowych koszulkach, zwłaszcza na odległości bliższej nad 400 kroków, będą daleko straszniejsze. Siła uderzenia kul trzy do czterech razy większa, aniżeli w r. 1870, czyli okropność bitwy i z tego powodu wzrośnie.

Gdyby nawet uwzględnić twierdzenia niektórych autorów, że ulepszenia broni powiększają raczej ilość strzałów chybionych, niż śmiertelnych, że morderczość walki zmniejszy się wskutek uniemożliwienia bitew na bliską metę, ataków kawaleryi i starć na bagnety, że wskutek oddalenia od siebie stron walczących i konieczności zasłonięcia się szaniami, wycofanie się z pola bitwy będzie łatwiejsze; pozostanie mimo to rzeczą niewątpliwą, iż wrażenia psychiczne i moralne, jakich doznawać muszą uczestnicy przyszłych bitew, będą o wiele silniejsze i, wobec bezdymności pola bitwy, odmienne niż dawniej.

Dobrym żołnierzem, obojętnym na los swój własny i towarzyszy, może być tylko wojak z zawodu. Dziś zaś, przy obecnym systemie służby wojskowej, takich wojaków z rzemiosła jest bardzo niewiele. Nawet dla tych, których kule oszczędzą, przebycie wrażeń wojny jest przerażającą okropnością.

Przyszłe starcie międzynarodowe zapowiada się bardzo krwawo. Broń straszniejsza, a więc więcej ofiar i mniejsza możliwość pomocy, ulgi, ratunku. Większe niebezpieczeństwo — a więc potrzeba wyższego bohaterstwa, większego poświęcenia, większego zamiłowania do mordu, kiedy umysły i serca kierowane są w stronę wprost przeciwną. Pobojuwisk nie będą już zakrywały kłęby dymu, grozy wojny nie już nie osłoni. Żołnierz nie dojrzy nieprzyjaciela, często nie usłyszy wystrzału, który go drogiego życia pozbawi, ale widzieć będzie towarzysza wijącego się w boleściach konania, słyszeć będzie jęki, jak długo i szeroko rozciągnie się pobojuwisko. Zbieranie rannych podczas bitwy stanie się daleko mniej możliwem aniżeli dawniej. To też, mówiąc o przyszłych zapasach międzypaństwowych, zapominać nie należy, na jak straszną próbę narażone będą nerwy nie wojskowych z fachu i powołania, lecz obywateli, od biurka, sztybla i kopyta pod broń powo-

łanych, którzy i tak tych nerwów nie mają dosyć silnych, nawet na potrzeby życia spokojnego.

Wobec nowych warunków walki zachodzi większa potrzeba chronienia żołnierza po-za szańce, okopy i mury. Ale tem trudniej będzie skłonić wydelikacowanych żołnierzy do wychylenia się z po-za tej zasłony, do wycieczki w otwarte pole. Zapał bohaterski w imię idei w państwach zachodnich będzie dziś wywołać trudniej niż dawniej, zwłaszcza jeżeli wojna nie będzie czysto obronną.

W Niemczech np. pokolenie dzisiejsze jest o wiele sceptyczniej-sze niż to, które gromiło Francję w r. 1870. Wtedy (przyświecała wojownikom wielka idea zjednoczenia poszarpanej ojczyzny. Tymczasem po osiągnięciu tego celu warunki ogólne pogorszyły się. Zresztą, jak twierdzi Hoenig, nawet żołnierz niemiecki nie jest zdolny ogarnąć umysłem idei, za którą walczy.

Trzeba więc liczyć tylko na to, że w nawykłym do karności żołnierzu siła bezwładności przeważy nad refleksją i pobudkami natury moralnej. Te armie, w których dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo silnie są rozwinięte, posiadać będą przewagę.

Nie mogła nie podzielać na armię, długo, poważna i umiejętnie prowadzona, agitacya uczonych, humanistów i socjalistów przeciwko armiom stałym i krwawemu rozstrzyganiu sporów międzynarodowych, a przytem groźba wojny musi przestraszać nawet spokojnych obywateli, nie stawających osobiście w szeregach obrońców ojczyzny. Niezależnie bowiem od ruiny i strat ekonomicznych, od widma głodu, obawą napęłniać ich musi myśl o okropnościach, połączonych z oblężeniem i bombardowaniem miast, o brutalstwie i bezwzględności najeźdźców, o zuiweczeniu na czas pewien wszelkiego porządku prawnego, o zachwianiu bezpieczeństwa osobistego i majątkowego, nieodłącznem od wszelkich głębokich wstrząśnień społecznych.

Te wszystkie względy oddziaływają w duchu odwleczenia o ile możności chwili wybuchu wojny.

## V.

Ale z drugiej strony ludność czuje dotkliwie nadmierny ciężar militaryzmu. Nie tylko pochłania on znaczną część owoców pracy wszystkich klas i stanów, lecz jednocześnie także paraliżuje rozwój życia i pracę utrudnia. Co zaś najgorsza, przy dzisiejszym stanie stosunków nie podobna mieć nadziei, aby nastąpiła zmiana na lepsze; w tej chwili Europa stoi wobec konieczności wydania no-



wych miliardów na broń bardziej udoskonaloną. Karabiny małokalibrowe są wprawdzie wynalazkiem bardzo świeżym, ale wprzód nim cała Europa zdołała się w nie zaopatrzyć, wprzód zanim żołnierze do nich przywykli, już technika pokazuje nowe wynalazki—potężniejsze. Chęć zaś posiadania przewagi nad przeciwnikiem u jednych, a konieczność dorównania współzawodnikom u drugich, zmuszają wszystkie narody bez wyjątku do rzucenia tak niedawno jeszcze podziwianych magazynówek do tyglów na szmelc i nabywania nowych karabinów 5 milimetrowych, które wyrzucać będą pociski z siłą dwa razy większą niż karabiny obecne, a każdy żołnierz w ładownicy pomieścić zdoła nie 150, jak obecnie, lecz 250 nabojów. Rumunia i Włochy już się zaopatrują w tę broń najnowszą, w Niemczech, Austrii, Francji lada dzień sprawa ta wejdzie na porządek dzienny. Naturalnie, ani technika, ani państwa na 5-ciomilimetrowej broni się nie zatrzymają, jest to tylko jeden szczebel dużej drabiny.

Lecz naturalnie i artylerya w miejscu nie stoi. Dzisiaj chodzi przede wszystkim o zaopatrzenie się w takie działa, aby mogły zużytkować całą siłę nowego prochu bezdymnego. Zadanie zostało rozwiązane, działa takie już wyrabia w Niemczech Krupp, Canet we Francji; trzeba je kupować, pomimo nadzwyczajnych sum, bo inni wyprzedzą.

Patrząc na to, co się w Niemczech dzieje obecnie, pomimo wnieśliśmy sobie pytanie, czy parlament wiecznie zgadzać się będzie na coraz nowe i coraz uciążliwsze wydatki? Już obecnie widzimy, że parlament obawia się okazać zbyt powolność ze względu na swych wyborców. Wreszcie powstawać mogą wątpliwości, czy wogóle społeczeństwa, obrabiane przez agitacje, niosąc nieustanne i tak obfite ofiary dziełu zniszczenia, nie dojdą do kresu, po-za którym obecny aparat wojenny, oparty na służbie obowiązkowej wszystkich zdolnych do noszenia broni, okaże się niemożliwością?

Nie tylko więc na wojnę przyszłą wpłyną i obecnie wpływają zmieniające się liczebnie i jakościowo kontyngensy wojsk, nowa udoskonalona broń, lecz także i czynniki moralne, które dawniej słabo tylko na bieg wypadków oddziaływały. Mianowicie usposobienia i dążenia opinii publicznej stanowią dziś w Europie zachodniej pierwiastek, z którym kierownicy państw nie mogą się nie liczyć. Wobecnej chwili opinia ta znajduje się w stanie wyraźnego wzburzenia, obawy bliższej wojny coraz bardziej ją niepokoją.

Wskutek zawarcia „potrójnego przymierza”, kwestya możliwej wojny pomiędzy Niemcami i Austrią a Rosją stała się powszechnym przedmiotem rozpraw i wniosków, zarówno ustnych, jak i pisanych, w prasie i w broszurach, a nawet grubych dziełach.

Wobec przewidywań w kwestyi tak ściśle związanej z pomyslnością narodów, niewątpliwą przysługę w każdej europejskiej literaturze mogła-by oddać praca bezstronna, w której czytelnik znalazłby ściśle i prawdziwe pojęcie o charakterze przyszłej wojny, o jej obecnych warunkach, a dalej zarys główniejszych stosunków politycznych i społecznych, które wpłynąć mogą na przebieg kampanii, wreszcie wskazówki co do prawdopodobnych jej skutków. Tem zaś praca ta jest ważniejszą i potrzebniejszą, im dane społeczeństwo mniej jest poinformowane i z tendencyjnych głosów chwyta tylko niedokładne echa.

Wykonanie zadania podobnego w całej jego rozciągłości przechodzi, rzecz prosta, nasze siły. To też pierwotnym zamiarem naszym było wyświecić, jakie warunki znalazła-by w kraju naszym wojna, ciągnąca z zachodu, i jakieby zjawiska wywołała. O studyach czysto wojskowych nie myśleliśmy. Prędkośmy się jednakże przekualili, iż jeżeli się nie wie ściśle, co jest wojna, jaką ona będzie, jakie ona ma środki i jaką metodę, to niepodobna dokładnie wymiarować jej skutków, niepodobna wytworzyć sobie żadnego pewniejszego pojęcia, jak długo ona potrwa i w jakim stosunku stać będzie względem mieszkańców — a to są pytania doniosłości w danym razie pierwszorzędnej.

Zbadanie wszystkich kwestyi, ściślej lub luźniej z naszym głównym tematem związanych, zajęło nam już około dwu lat czasu. Niektóre części zostały już całkowicie ukończone, inne wymagają jeszcze pewnego czasu. Uważałem za właściwe, nie zwlekając do chwili, kiedy cała praca będzie mogła ujrzeć światło dzienne, zaznajomić ogół z jej ważniejszymi rozdziałami.

Gdy przejdziemy do kwestyi specjalnie wojskowych, czytelnik znajdzie wszędzie powołanie się na uznane powagi i z ich sądów będzie mógł wytworzyć sobie pojęcie orzeczy; część ekonomiczna zaś jest rezultatem studyów samodzielnych. Pochlebiamy sobie, iż ogół nasz inteligentny znajdzie w niej wiadomości, wyjaśnienia i oceny, nietylko interesujące i ciekawe, lecz także pożyteczne ze względów nawet czysto praktycznych. Przedewszystkiem chodziło nam o wyświecenie zjawisk i faktów, które w danym razie odegrywać będą rolę ważną, a z pod uwagi powszechnej się usuwają.

---

## ROZDZIAŁ I.

## Porównanie sił armii lądowych.

## I.

Porównawcze badanie różnorodnych kwestyi, dotyczących siły zbrojnej państwem: opejskich, jest tembardziej interesująca i nauczająca, że wobec wzajemnej konkurencyi w tym zakresie, każda ważniejsza zmiana, dokonana w jednym państwie, natychmiast odbija się i w innych, pobudza je do przedsięwzięcia reform w swoich armiach. W ten sposób studia porównawcze dają z jednej strony wyobrażenie o panujących w danej chwili ogólnych poglądach na organizację siły zbrojnej i celach, jakie przytem miano na widoku, a z drugiej wyjaśniają, w jaki sposób, pod wpływem warunków miejscowych, modyfikuje się praktyczne zastosowanie tych poglądów.

Ażebym się przyczynić do rozjaśnienia zagadnień powyższych, nie dosyć jest rozpatrzeć obecny stan uzbrojeń, trzeba poznać siły militarne w przeszłości, oraz ich rozwój aż do chwili ostatniej. Dla porównania postępów zbrojenia się różnych państw, za punkt wyjścia wziąć należy wojnę francusko-włosko-austriacką, gdyż od tej daty rozpoczyna się szereg wojen, powikłań, pretensyi i zamiarów, pozahaczanych o siebie, niby ogniwa jednego łańcucha.

Wprawdzie sama wojna 1859 r. stała się możliwą wskutek kampanii krymskiej; ale dopiero po Magenta i Solferino tak się stosunki ostatecznie ułożyły, takie się odsłoniły widnokreśli polityczne, iż cała Europa powołaną została do czuwania z karabinem na ramieniu.

Pogrom Austrii w r. 1866 w znacznej też części był skutkiem wojny włoskiej, a z drugiej znów strony, jeżeli nie spowodował, to w każdym razie umożliwił katastrofę r. 1870—71.

Piorunujące tryumfy oręża pruskiego w r. 1866 przeraziły przedewszystkiem Napoleona III. Spostrzegł niebezpieczeństwo i widział, że powiększenie i zreorganizowanie armii francuskiej jest koniecznością pilną i nieodzowną. Według projektu, wypracowanego w r. 1868 przez marszałka Niela i przyjętego przez izby, zamierzone dzieło miało być ukończone zaledwie w 1879 r. (w 1879!), i wtedy wojsko liniowe z rezerwami liczyło-by 800,000 ludzi, ruchoma zaś gwardya narodowa, przeznaczona do służby w kraju, wynosiła-by do 400,000 głów. Ale nawet dla tak dalekiego terminu reformę prowadzono opieszale, niedbale i nieumiejętnie, to też po wybuchu wojny, w początkach sierpnia 1870 roku, armia wraz z gwardyą narodową liczyła niewiele więcej nad  $\frac{1}{2}$  miliona ludzi, liniowezaś pułki posiadały zaledwie 330 do 340 tysięcy

żołnierzy. W Niemczech zaś w lipcu i sierpniu t. r. do armii liniowej, do wojsk załogowych i oblężniczych, powołano pod broń 1,183 tysiące ludzi. Piechota liniowa liczyła przeszło 462 tysiące. konnica zaś blisko 57 tys. głów. W końcu wojny w lutym 1871 r. pod bronią znajdowało się prawie 1,351 tysięcy ludzi, z tego zaś w armii czynnej było 937 tys. W obec takiej przewagi sił, o której sztab niemiecki wiedział doskonale, nic dziwnego, iż generał Moltke mógł powiedzieć na radzie wojennej przed samym wybuchem: „Jeżeli Francuzi za dui pięć- (t. j. 21 lipca) nie wejdą na nasze terytoryum, to nigdy Renu pomiędzy Kolonią a Moguncją oglądać nie będą”.

Niewątpliwie też, chociaż talent strategików i wzorowa administracja Niemiec zaważyły wiele, przyczyna główna tak stanowczych zwycięstw od pierwszej chwili tkwiła w wielkiej przewadze liczebnej wojska niemieckiego.

Nadto okazało się, iż wojska niemieckie, złożone przeważnie z ludzi, tylko co od pracy codziennej pod broń powołanych, nie ustępują w niczem zawodowym żołnierzom armii francuskiej.

Przykład był nietylko uderzająco wymowny, lecz wprost przerażający: miliony bagnetów stały się niezbędnym warunkiem bytu narodów.

To też wszystkie państwa Europy musiały pójść za przykładem Prus i tworzyć armie, nie, jak dawniej, z określonej liczby żołnierzy zawodowych, lecz poprostu z ogółu zdrowej ludności męskiej.

Pobita Francya, marząc o odwecie, szukała wzorów u zwycięzcy, a skutkiem tego było nowe prawo o kompletowaniu szeregów, którego ścisłe przeprowadzenie zapewniało młodej republice skompletowanie w krótkim czasie armii, równej militarnym siłom nowego cesarstwa.

Akcyja wywołała reakcyę. Bismarck pragnął zniszczyć możliwą potęgę sąsiada w zarodku, i dlatego w r. 1875 szykował się do nowego najazdu, straszniejszego niż poprzedni, który-by zadał Francyi cios ostateczny. Do wojny nie doszło wskutek stanowiska cesarza Aleksandra II, militarizm jednak w Prusach, natrafiwszy w zaborskich swoich planach na opór ze strony Rosyi, zrobił wtedy dość znaczny krok naprzód. Prawo wojskowe z r. 1874 o kompletowaniu armii, obowiązujące w Prusach, zostało rozciągnięte do wszystkich państw związku niemieckiego.

Dlatego też do bezpośredniego porównania z r. 1859 uważaliśmy za właściwe wziąć cyfry z roku 1874; do porównania cyfr tych dwu dat używamy urzędowej pracy pruskiej barona Firksa. Potem bierzemy rok 1884, aby poznać postęp militarizmu w ciągu ubiegłego dziesięciolecia; przytem jest to rok ważny w dziejach polityki europejskiej, bo rok zjazdu w Skierniewicach. Wreszcie bierzemy dane najnowsze z roku zaprzeszłego, 1891.

Naturalnie, porównywać będziemy stan i zmiany uzbrojeń tych tylko państw europejskich, których głos ma znaczenie w sprawach międzynarodowych, które zatem wpływać będą na bieg politycznych wypadków, a więc nas mogą obchodzić.

## II.

Z tego pobieżnego zarysu czytelnik przekonać się może, iż to Niemcy zapoczątkowały ruch w kierunku uzbrojeń; one wytworzyły wir, który, potężniejąc z roku na rok, porywał jednego za drugim, aż do ostatniego, bliższych i dalszych sąsiadów; one przykładem i groźbą narzuciły militarizm Europie.

Siły zbrojne na stopie pokojowej państw, które nas interesują, t. j. Rosyi, Niemiec, Austryi, Francyi, Anglii i Turcyi, w roku 1859 wynosiły 2,590 tysięcy ludzi, w r. zaś 1874—3,266 tysięcy, przyrost więc dosięgnął 27%.

Twierdzenie to łatwo się daje udowodnić cyframi. (Włochy tymczasem w porównaniu musimy opuścić, gdyż ukonstytuowały się one dopiero po r. 1859).

*Sily państw europejskich na stopie pokojowej.*

PAŃSTWA	r. 1859	r. 1874	liczebność ar- mii, w r. 1874, jeżeli liczbę 1859 r. ozna- czymy przez 100	
	t y s i ę c y l u d z i			
Rossya. . . . .	769	856	111	118
Francya . . . . .	485	635	131	
Niemcy . . . . .	547	847	155	134
Austrya . . . . .	506	563	111	
Turcyja . . . . .	200	272	136	130
Anglia. . . . .	83	93	112	
Ogółem. . . . .	2590	3266	127	
Włochy . . . . .	—	379	—	

Cyfry te całkiem wyraźnie mówią, kto w Europie w dziele przetwarzania sił narodu na potęgę militarną prym trzyma. W żadnym innym państwie potęga sił zaczepnych nie urosła tak, jak w Niemczech, t. j. 1½ raza.

Powiększenie liczebne szeregów armii pociąga za sobą wydatki: na umundurowanie, na uzbrojenie, na obfitsze zaopatrzenie magazynów w żywność, jednym słowem wymaga wielkich nakładów. Pomimo to, siły militarne państw europejskich rosły stale i bardzo szybko. Dotrzymać kroku Prusom nie było łatwo, gdyż sąsiedzi mieli zawsze pewien kłopot z wynalezieniem źródła na pokrycie nowych wydatków, oraz z uzyskaniem pozwolenia ciał prawodawczych. Przytem wywoływało to w każdym razie pewien rozgłos, oczywiście w podobnym wypadku nie pożądany. Ministrowie w Berlinie nie byli krępowani niczem, bo pocichu czerpać mogli z części olbrzymiego funduszu 5 miliardów, powstałego z kontrybucyi francuskiej i przeznaczonego na rozchody wojenne. Dotrzymać jednak kroku, wobec takiej przewagi, trzeba było, pod groźbą niechyłnej klęski w niezbyt odległej przyszłości.

## II.

Gorączkowy ruch uzbrojeń wystąpi jeszcze wyraźniej, jeżeli porównamy siły zbrojne, utrzymywane na stopie pokoju, z liczbą wojsk, które powołane będą w razie wybuchu wojny.

W r. 1859 ogół sił zbrojnych w 6-ciu wziętych przez nas państwach (Włochy znowu z porównań wypuszczamy) wynosił na stopie wojennej 4,426 tysięcy ludzi, czyli od liczby wojsk zaczepnych (2,590 tysięcy) wyższy był o 71%, wtedy, kiedy w r. 1874 przewyżka przenosi już 90% (6,272 tysięcy ludzi na stopie wojennej i 3,266 tysięcy sił zbrojnych).

*Ogół sił zbrojnych na stopie wojennej.*

PAŃSTWA	1859	1874	liczebność armii w r. 1874, jeżeli cyfry z r. 1859 oznaczymy przez 100	
	t y s i ę c y   l u d z i			
Rossya. . . . .	1447}	1652}	114}	128
Francya . . . . .	737}	1135}	154}	
Niemcy . . . . .	918}	1471}	160}	151
Austria . . . . .	710}	999}	141}	
Turcyja . . . . .	348}	500}	143}	165
Anglia. . . . .	266}	515}	238}	
Ogółem. . . . .	<b>4426</b>	<b>6272</b>		<b>142</b>
Włochy . . . . .	—	672	—	—

Okazuje się więc, że wzrost ogólnej liczby wojsk w Niemczech był jeszcze większy, niż wzrost armii zaczepnej, chociaż już tamten wynosił 55%. Powtóre, wzrost militarizmu w Niemczech odbywał się tempem szybszem niż we Francyi, Turcyi, Austrii i Rossyi. Aczkolwiek dla Anglii otrzymaliśmy liczbę większą, niż dla Niemiec, to jednakże pamiętać trzeba, iż Anglia do militarynych potęg bynajmniej nie należy, i absolutna liczba wojsk, tam istniejących, bardzo jest niska; przy wielkim więc wzroście stosunkowym armia angielska wielokrotnie pozostaje mniejszą od niemieckiej, rossyjskiej i francuskiej.

Najbliżej Niemiec pod względem postępów militarizmu trzyma się Francya. Celem zrównania wojsk swoich z armią wschodniego rywała, zrobiła ona po wojnie 1870 r. wysiłki nadzwyczajne.

W Rossyi okres od 1859—1874 r. stanowi przedewszystkiem epokę rozwoju wewnętrznego: budowały się w niej wtedy drogi żelazne, wznosiły się kominy fabryczne, to też pod względem uzbrojeń nie dostrzymywała ona wtedy kroku państwom ościennym, a przez to nawet stosunkowo słabła.

Gdyby wszystkie pierwszorzędne mocarstwa skoalizowały się były przeciwko Rosyji w r. 1859, siły jej wynosiłyby 49% sił nieprzyjaciół, w roku zaś 1874 już tylko 36%.

Różnica, jak widzimy, znaczna.

Przechodząc do porównań z terażniejszością, jeżeli liczbę żołnierzy w r. 1874 oznaczymy przez 100, wtedy liczebność armii rozpatrywanych państw w następujących latach, wziętych do porównania, wyrazi się następującymi cyframi:

	Stopa pokojowa	stopa wojenna
1874 r.	100	100
1884 r.	107	113
1891 r.	114	199

Z zestawienia powyższego okazuje się, iż w ciągu 7-miu lat ostatnich armie obu rodzajów wzrosły znacznie więcej, niż przez czas poprzedzającego je dziesięciolecia. Powtórę, armie stopy wojennej wzrastają znacznie szybciej, niż armie stopy pokojowej. Jest to konieczny skutek powszechnej służby wojskowej i stwierdza zrobioną wyżej uwagę, iż wojny przyszłe prowadzone będą przez cały naród, przez wszystkie jego siły, najbardziej uzdolnione do pracy.

### III.

We wszystkich prawie państwach europejskich ogół sił zbrojnych składa się z trzech części, z trzech pokładów, niejako bardzo odmiennie posiadających pod wieloma względami znaczenie. Pierwszą część stanowią wojska, pozostające obecnie pod bronią,—tworzą one *stopę pokojową* sił zbrojnych. Drugą część stanowią rezerwy, składające się z wyćwiczonych dawniej żołnierzy (t. z. w Rosyji urlopowani); wraz z armią czynną mogą one być wysłane po-za granicę państwa i dlatego tworzą z nią *siły zaczepne*. Wreszcie w każdym państwie po-za temi dwiema najgłówniejszemi częściami sił zbrojnych istnieje trzecia—milicya, mająca mniejszą doniosłość; tworzą ją ludzie do poprzednich części niezdatni, mniej wyćwiczeni lub zbyt już starzy: jest to pospolite ruszenie („opóczenie”) i jednorocznicy, t. j. którzy tylko rok jeden przeszli pod bronią w Rosyji, „armia terytoryalna” we Francyi, „landsturm” w Niemczech, „honwedzi” na Węgrzech i t. d. Pułki, z takich żołnierzy złożone, przeznaczone są do obrony własnego terytoryum w razie wielkiej potrzeby, dlatego też ogół sił zbrojnych może być użyty tylko w razie kampanii obronnej, na wojnę zaś zaczepną



wyruszyć mają tylko dwie pierwsze jego części; trzecia kategoria używana będzie chyba tylko do posług drugorzędnych. Nieco niżej wracamy raz jeszcze do tego podziału.

Powody, które skłaniają państwa do powiększenia raczej stopy wojennej niż pokojowej, są następujące: Pomimo, że obecne armie pokojowe stanowią właściwie tylko kadry, wypełniane dopiero przy mobilizacyi i nie wystarczające do objęcia całej ludności, zdolnej do noszenia broni, jednakże koszta utrzymania tych kadrów pochłaniają  $\frac{1}{6}$  do  $\frac{1}{4}$  a nawet jeszcze większą część (przeciętnie 28%) budżetów państw europejskich. Prócz tego znaczna część ludności (około 1%) zostaje oderwaną od pracy produkcyjnej i żyje na koszt ludności pozostałej. Przeciwnie, utrzymanie milicyi w czasie pokoju kosztuje względnie tanio: wydatki ograniczają się do przygotowania broni, amunicyi, umundurowania i t. d., urządzania ćwiczeń i utrzymywania bardzo nieznacznej liczby stopni kadrowych <sup>1)</sup>. Milicyoniści tylko na krótki czas ćwiczeń odrywani są od swych pokojowych zatrudnień. Zresztą milicye nie są co do swej liczebności określonych kadrów ograniczone i mogą się składać ze *wszystkich* obywateli kraju, zdolnych do noszenia broni. Nakoniec, jako dobrą stronę milicyi, wskazują tę okoliczność, że uczyni ona niemożliwemi wojny zaczepne; wojsko będzie zwolywane tylko do obrony ogniska domowego, a więc będzie przejęte patryotyzmem niedostępnym dla armii stałych.

Profesor Rediger, który te wszystkie argumenta rzeczników milicyi przytacza, uznaje za słuszny tylko pierwszy z nich, t. j. że armie stałe kosztują daleko drożej, aniżeli milicye <sup>2)</sup>. Ale ze stanowiska czysto wojennego, milicye o wiele ustępują wojskom stałym, mianowicie pod względem przymiotów bojowych.

„Siła armii—powiada prof. Rediger—zależy nietylko od jej liczebności, ale i od wewnętrznych jej przymiotów, od jej przydatności do poważnych działań wojennych. Pod względem zaś dyscypliny, spoistości, wyćwiczenia, *przymiotów bojowych*, milicye będą oczywiście zawsze ustępowały armiom stałym; zapal, patryotyzm, któremi się milicye odznaczały dawniej od armii kompletowanych za pomocą werbunku lub

<sup>1)</sup> Najbardziej typowy przykład milicyi stanowi armia szwajcarska; stopa wojenna tej armii prelimitowana jest na 200,000 ludzi, w czasie zaś pokoju utrzymywanych jest stale tylko 173 oficerów i 39 żołnierzy instruktorów.

<sup>2)</sup> Jeden z najgorętszych obrońców armii milicyjnych, zmarły już pułkownik w służbie szwajcarskiej. Rüstoff, twierdził, że armia stała kosztuje 6 do 7 razy drożej niż milicya. Prof. Rediger uważa te cyfry za przesadzone, gdyż armia włoska i francuska kosztują stosunkowo tylko 3 razy drożej, niż szwajcarska.

innemi sposobami z najgorszych żywiół społecznych i które w milicyi muszą zastępować dyscyplinę — obecnie ożywiają równie dobrze i armie stałe, kompletowane z całej ludności. Zapał zresztą jest rzeczą przemijającą, trudną do utrzymywania przez czas dłuższy, wobec wszystkich przygód życia obozowego; nie może więc on wynagrodzić braku dyscypliny.

„Historya daje wiele przykładów olbrzymiej przewagi armii stałych nad milicyą, że wspomniemy tu tylko o bezskutecznej walce zaimprowizowanych w r. 1870—71 oddziałów francuskich z armią niemiecką<sup>1)</sup>. Waszyngton, niewątpliwie dobrze wiedzący, czego się można spodziewać po milicyi, mówił „compter sur les milices c'est la même chose que vouloir s'appuyer sur un bâton cassé.”

„Rzecz oczywista — pisze prof. Rediger — iż w takich warunkach, pomimo, iż utrzymywanie dzisiejszych armii jest nader rujnujące, żadne z tych państw (prócz tych, które się znajdują w warunkach wyjątkowych) nie może się zrzec ich, ograniczyć, ani myśleć o zastąpieniu ich przez milicyę. Oddziały milicyjne będą tylko siłą pomocniczą, przeznaczoną głównie do służby wewnątrz kraju, na tyłach, i tylko w ostateczności — na teatrze działań wojennych”<sup>2)</sup>.

Dla pogodzenia zaś wymagań wojennych z ekonomicznymi, każde z państw stara się powiększać liczbę ludzi wyćwiczonych za pomocą zwiększania corocznego kontyngensu rekrutów, przy jednoczesnem zmniejszaniu terminu służby czynnej. Ostatnim wyrazem tej tendencji jest nowy projekt wojskowy w Niemczech.

We wszystkich krajach w ostatnich dziesięcioleciach liczba wojska w czasie pokoju wzrasta stosunkowo nieznacznie, w Anglii i Austrii od roku 1874 stale nawet się zmniejsza, we Włoszech zaś, chociaż od roku 1884 spotykamy powiększenie się, w r. 1891 znowu mamy liczbę mniejsze.

Tymczasem rozwój potęgi zbrojnej na stopie wojennej jest wszędzie olbrzymi, szalony nawet. We wszystkich niemal krajach pociągnięto już dawno do szeregów, na wypadek wybuchu wojny, możliwe maximum ludności; liczniejszej rekrutacyi nie zniosła-by ani produkcya kraju, ani finanse państwa. Z konieczności więc musiano doskonalić

---

<sup>1)</sup> Historya nowożytna podaje wprawdzie kilka przykładów zwycięstwa wojsk nieregularnych nad regularnymi (jak np. pobicie Anglików przez Boerów pod Amadżub w r. 1881, albo przez Afgańczyków w r. 1842, 1879 i 1880), ale są to wszystko wypadki wyjątkowe, w których porażka była skutkiem mylnych dyspozycyi, braku rekonesansów i t. p. (Löbell, Jahresberichte 1881, str. 540).

<sup>2)</sup> Loco citato, str. 11.

sposoby mobilizacji, aby przejście od jednej stopy do drugiej odbyło się jak najspieszniej i jak najłatwiej.

Z tego-to przedewszystkiem powodu największy i jedyny znaczny wzrost armii na stopie pokojowej znajdujemy w Rosyji (30%), gdzie olbrzymie obszary państwa stanowią naturalne przeszkody i utrudnienie mobilizacji.

Siła zbrojna na stopie wojennej najprędzej wzrasta w Niemczech: w ciągu lat 17-tu, które obejmuje nasz rachunek, spotężniała jej liczba przeszło  $2\frac{1}{4}$  razy (127%)! Potem idzie Francya, gdzie wzrost wynosił 118%, Rosyja zajmuje miejsce trzecie — siły jej na stopie wojennej od r. 1874 urosły o 104% <sup>1)</sup>.

Jeżeli rozpatrywać będziemy tylko dziesięciolecie od roku 1874—1884, to największą liczbę przyrostu znajdziemy w Rosyji. Pochodziło to stąd, iż, po kongresie berlińskim w całej Rosyji rozwinęło się głębokie przeświadczenie o ukrytych i nieprzyjaznych planach ówczesnego kierownictwa polityki niemieckiej księcia Bismarcka. I rzeczywiście polityce ks. Bismarcka przypisywano odjęcie na kongresie Berlińskim Rosyji większej części nabytków, zapewnionych przez traktat w San-Stefano, jak również, co najważniejsza, wdarcie się w głąb półwyspu Bałkańskiego Austrii przez zajęcie Bośni i Hercegowiny bez straty jednego naboju, jednego żołnierza. Zjawiły się podejrzenia, obawy, a wreszcie, po opublikowaniu traktatu z Austrią i Włochami, pewność nawet, iż pokój Rosyji zakłócony być może od strony zachodniej. Traktat ten, może rzeczywiście początkowo odporny, coraz bardziej nabierał charakteru groźnego i niebezpiecznego, i najwyraźniej ostrzem zwracał się, jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniej głównie przeciwko Rosyji.

We wszystkich państwach, z wyjątkiem Anglii, szybkość wzrastania sił zbrojnych na stopie wojennej większą jest po r. 1884, niż poprzednio. Sama ta różnica szybkości, taka gwałtowna — chociaż i poprzedni okres pokojowym nie był — świadczy, jak gorączkowo, z jakim wysiłkiem szykują się wszyscy w latach ostatnich do jakiejś katastrofy.

---

<sup>1)</sup> Obliczenia te, zarówno jak i powyższe, oparliśmy na liczbach, znalezionych w dziełach: *S. Rau*: „L'état militaire des principales puissances étrangères au printemps de 1891”, Paris 1891 (oraz roczniki poprzedzające). *Lebl*: „Militärische Jahresberichte.” *Weil*: „Les forces militaires de la Russie”, Paris 1880. *M. Block*: „Annales de l'économie politique et de statistique.” Wreszcie liczne odpowiednie statystyczne wydawnictwa rosyjskie.

## IV.

Ażeby łatwiej zorientować się w kwestyi liczebnego składu armii europejskich, wypada podzielić je według wyżej wzmiankowanych kategorii, a mianowicie: 1) na armię stałą na stopie pokoju, 2) rezerwy i 3) milicję, czyli pospolite ruszenie (opółczenie). Ostatnią kategorię podzielimy jeszcze na dwa poddziały: do pierwszego zaliczamy ludzi niezupełnie wyćwiczonych, którzy przesłużyli w szeregach niespełna rok, „Ersatzreserve“ i landszturm I-go powołania w Niemczech i Austrii, oraz t. zw. „ratników opółczenia” I-go powołania w Rosyji; do drugiego zaś ludzi zupełnie nieobeznanych ze służbą wojskową, którzy napewno, o ile przypuszczać można, nie będą wcale wezwani do służby czynnej, gdyż dwie pierwsze kategorie dostarczą niewyczerpanego prawie zasobu sił, dochodzącego do kilku milionów ludzi, z których można kompletować wojska zaczepne i pospolite ruszenie.

Liczebność armii, według wyżej omówionych trzech kategorii, przedstawia się jak następuje <sup>1)</sup>:

PAŃSTWA	Armia w czasie pokoju	Rezerwy	M i l i c y a		Ogół sił za- czepnych	Ogół ludzi wy- ćwiczo- nych	Ogół sił zbrojnych					
			wyćwi- czona	niewyćwi- czona								
	t	y	s	i	ę	c	y	l	u	d	z	i
Rosyja . .	830	2500	1300	5500	3330	4630	10130					
Francya . .	520	1000	1000	1250	1520	2520	3770					
Niemcy . .	490	2400	716	3584	2890	3606	7190					
Austryja . .	283	900	810	4400	1183	1993	6193					
Włochy . .	260	650	810	1000	910	1720	2720					
Anglia . .	215	55	30	325	270	300	625					
Turcyja . .	150	335	—	—	485	485	485					

<sup>1)</sup> Przy układaniu tej tablicy korzystaliśmy z powyżej przytoczonych źródeł, a zwłaszcza z cytowanego wyżej dzieła prof. Redigera.

Zaznaczyć tu musimy, iż obraunki ogólne, jak również porównania, łatwe nie są i mogą nieraz podlegać wątpliwości. Niedokładność pochodzi stąd, iż organizacja wojskowa w Europie nie jest jednakową; każde państwo posiada swój odrębny podział na kategorie, odrębną metodę i specjalne warunki kształcenia żołnierzy, przytem czas służby zależnym jest od kategorii, do jakiej dany osobnik zaliczonym został.

*Czas trwania służby wojskowej:*

PAŃSTWA	Coroczny kontyngens rekrutów	Rok powołania	Służba w armii czynnej lat	W rezerwie (na urlopie w zapasie) lat.	W landwerze 1-go powołania lat.	W landwerze 2-go powołania lat.	Razem lat służby:
	tysiący						
Niemcy . . .	180	20	3	4 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	5	6	18 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
Austria . . .	101	21	3	7	2	—	12
Włochy . . .	95	20	3	5	4	7	19
Francya . . .	238	21	3	7	6	9	25
Rossya . . .	230	20	5 <sup>1</sup> )	13	4	od r. 21 do 43	22

V.

Z powyższego zestawienia liczebności armii europejskich wynika, że siły zaczepne trójprzymierza nieznacznie tylko przewyższają odpowiednie siły Rossyi i Francyi.

Dla działań zaś wojennych, mających na celu jedynie tylko obronę terytorjum, Rossya sama jedna bez Francyi posiada prawie takąż liczbę żołnierza, jak i trzy państwa ościenne, należące do t. zw. ligi pokoju.

Prof. Rediger zastrzega wprawdzie, iż powołanie do szeregów wszystkich zdolnych do noszenia broni (możliwości takiego powołania

<sup>1</sup>) W ostatnich latach tylko w kawaleryi i artyleryi konnej służba czynna trwa 5 lat, w innych zaś rodzajach broni tylko 4 lata. Nadto corocznie uwalnianych jest 30 tysięcy ludzi po wysłużeniu tylko jednego roku. Formują oni osobną kategorię t. zw. „jednorocznych.” (Rediger str. 109).

dowodzą stronnicy armii milicyjnych) jest tak nadzwyczajnym wysiłkiem sił państwowych, a utrzymanie podobnej armii i zaopatrzenie jej we wszystko niezbędne przedstawia tak nieprzewyciężone trudności, że wątplić należy, aby podobny środek mógł być kiedy użyty. Niemniej przewaga liczb wiele znaczy; żadne też państwo nie zrzeka się możności wzmocnienia swojej armii czynnej zaimprovizowanymi oddziałami pospolitego ruszenia; wszędzie po wypowiedzeniu wojny mają być formowane podobne oddziały, jako aryergarda armii czynnej; ostatnia, zatrzymując przeciwnika, może dać *czas* na sformowanie i wyćwiczenie wewnątrz kraju oddziałów pospolitego ruszenia. Szczególniej, gdy państwo zechce zająć stanowisko obronne, liczebność wojsk nawet mało wyćwiczonych odegrywać może rolę niepospolitą.

„Przy akcji obronnej — powiada von der Goltz <sup>1)</sup> — zadanie jest daleko prostsze; łatwiej zachować jedność zarządu zwierzchniego; wewnątrz armii daleko mniej dowódców działa samodzielnie.

„Zaopatrywanie wojska w amunicję i wcielanie rezerw do szeregów walczących nie napotka tylu trudności, gdyż wypadnie bronić tylko jednej dokładnie określonej linii; przy posuwaniu się naprzód nie trzeba będzie dzielić wojsk, rozpraszać ich, zmieniać pozycyi, kierunków, w jednym punkcie osłabiać napad, a w drugim go popierać, jak to się dzieje przy każdym ataku.

„Niezależnie nawet od korzyści taktycznych, stanowisko obronne daje pewną przewagę. Zaopatrywanie wojska, dokompletowanie szeregów ludźmi i końmi, dowóz rozmaitego rodzaju przedmiotów — wszystko to bardziej jest zabezpieczone, gdyż strona broniąca się nie oddala się od źródła swoich zapasów, jej linie komunikacyjne nie rozciągają się wciąż dalej i dalej.

„Zjawia się także przy systemie obrony możność korzystania z większej liczebnie siły wojska, gdyż do działań wojennych można używać i tych kategorii, których strona atakująca prowadzić z sobą nie może. Fortece, znajdujące się na teatrze wojny, odciągają i absorbują znaczną część wojsk nieprzyjacielskich.”

Za najlepszy przykład korzyści, wypływających ze stanowiska obronnego, może służyć Plewna w wojnie 1877 r.

Miasto Plewna na początku kampanii nie miało żadnych fortyfikacyi. W dniu 7 lipca zajęła je bez oporu *sotniu* kozaków i dopiero potem wyparł ją oddział czerkiesów. Nie przywiązywano do tego żadnego znaczenia. We dwa dni potem do Plewny nadciągnęło 6 taborów

<sup>1)</sup> „Volk im Waffen.“

(batalionów) piechoty tureckiej i sześć armat. Dowodzący temi siłami przystąpił natychmiast do wznoszenia szańców i ściągania wojska. Rosyjanie pragnęli tę pozycję odzyskać, lecz już było za późno.

Obrońcy Plewny składali się z żołnierzy, tylko co powołanych pod broń; nie umieli oni strzelać, nie byli wyćwiczeni faktycznie <sup>1)</sup>, a jednak za okopami Plewny i Górnego Dubniaka bronili się zawzięcie. Tymczasem w polu otwartem, szczególnie przy atakach, wojska tureckie nie mogły wcale dotrzymać kroku rosyjskim, pomimo, że ostatnie były gorzej uzbrojone: miały i strzelby, i armaty starego typu. I rzecz to bardzo naturalna. Posłuchajmy, jak fakt ten objaśniają specjaliści:

„Przy akcji obronnej — powiada von der Goltz <sup>2)</sup> — wymaga się od żołnierzy przymiotów daleko mniej, niż przy akcji zaczepnej.

„Żołnierz przy obronie staje się maszyną, ma on wyznaczone swe miejsce i określoną czynność; utrzymywanie silnego ognia i wytrwałość wśród niego stanowią warunek najglówniejszy, któremu uczynić zadość mogą i młodzi, mało wyćwiczeni żołnierze, oraz rezerwiści, jeszcze na dobre nie wciągnięci do wojaczki. Samodzielność, rwanie się naprzód, pomimo jawnie grożącego utratą życia niebezpieczeństwa, spryt i przytomność umysłu są tu daleko mniej potrzebne; wystarcza, gdy przymioty te posiada nieznaczna część zwierzchników.

„Dyscyplinę prócz tego przy obronie utrzymać daleko łatwiej niż podczas ataku.

„Dzięki udoskonalonej broni, strona działająca odpornie będzie mogła zmieść wszystko, co tylko ukaże się na doniosłości jej strzałów, gdy atakujący tymczasem zmuszony jest przebywać straszne pole śmierci. Ochrona, którą daje miejscowość, i punkta ufortyfikowane — wszystko to służy broniącemu się.”

W dalszym ciągu pracy naszej wypadnie nam jeszcze powrócić do tego przedmiotu, lecz już obecnie, ażeby nie być mylnie zrozumianymi, musimy dodać, iż nie może być nawet mowy o tem, by jedna ze stron ograniczyła się tylko działalnością obronną. „O broniącym się — mówi generał Leer — nie można powiedzieć, że *prowadził wojnę* — on ją tylko *przetrzyzymał*. Prowadzić wojnę — znaczy napadać.”

Zasadą jednak wojny obronnej nie jest i nie powinno być ograniczenie się jedynie do działalności biernej, lecz zachowanie dążenia do ruchu i boju, aby w chwili odparcia szturm, albo przy innej dogodnej

<sup>1)</sup> H. Hinze. „Gurko und Sulejman Pascha.” Berlin, 1880.

<sup>2)</sup> Volk im Waffen.”

sposobności zmienić stanowisko odporne na zaczepne i, zamieniwszy się z przeciwnikiem na rolę, płacić mu pięknem za nadobne.

W tem miejscu z konieczności tylko wypadało nam objaśnić, że strona, która zajmie pozycję obronną, będzie mogła powołać pod broń ludzi nawet słabo wyćwiczonych i tym sposobem zwiększyć liczebność swej armii.

## VI.

Łatwo zrozumieć, że pod względem społecznym wielka zachodzi różnica pomiędzy żołnierzami różnych kategorii. W armii czynnej znajduje się młodzież, nie sięgająca 25 lat, lub nie o wiele wiek ten przekraczająca. Są to więc ludzie pojedynczy, w społeczeństwie nie zagospodarowani jeszcze niejako. Wielu z nich, wobec potrzeby spędzenia kilku lat w koszarach, ostateczne obranie zawodu i utrwalenie stanowiska odkłada na później, reszta zajmuje stanowiska podrzędne, łatwe do zastąpienia, niewywierające ważnego a nawet i żadnego wpływu na ogólny bieg spraw społecznych.

Co innego w kategoriach dalszych. Do rezerw czynnych we Francji np. należą dziś jeszcze ludzie, którzy z szeregów wyszli w r. 1875, a ponieważ wtedy liczyli lat 25, więc dziś mają rok 43. Rezerwy terytoryalne sięgają po rok 1866, a więc najstarsi żołnierze do nich należący przeżyli już lat 51.

Są to więc przedewszystkiem ojcowie rodzin, odpowiedzialni za byt i dobrobyt wielu istot, a następnie kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, naczelnicy całej wytwórczej pracy społeczeństwa. Nieobecność właściciela lub kierownika już jest okolicznością niepomyślną, a nawet nieraz nieszczęściem; śmierć może być poprostu hasłem do popłochu: pomocnicy rzucą się do ucieczki, pamiętając, o ile się da, o sobie, wierzyciele rozdrapią resztę.

Wobec tego obrachujmy, ilu rezerwistów czynnych, oraz ludzi, należących do armii terytoryalnych, przypada na 100 żołnierzy pozostających pod bronią. To nam da pojęcie o stopniu niebezpieczeństwa społecznego, na jakie z tego względu będą narażone różne państwa:



PAŃSTWA	Pod bronią	Rezerwy czynne	Ogół wojsk
Niemcy . . . . .	100	490	1467
Austria . . . . .	100	318	2187
Włochy . . . . .	100	250	1046
Rossya . . . . .	100	300	1220
Francya . . . . .	100	192	725
Anglia . . . . .	100	26	290
Turcya . . . . .	100	223	323

W razie tedy wojny zaczepnej w najlepszym położeniu będzie Anglia, gdyż w jej armii większość stanowi młodzież bez wpływu i znaczenia społecznego. Anglia jednak państwem militarnem lądowem nie jest i porównywaną wprost z innemi mocarstwami być nie może. Najgorsze liczby widzimy w Niemczech, gdyż tam w armii zaczepnej starsza generacya jest przeszło 5 razy liczniejsza, niż młodzi żołnierze z szeregu. Potem idzie Rossya i Austria, gdzie ten stosunek wyraża się liczbą blizką 3; dalej Włochy, gdzie starszych ludzi będzie w szeregach prawie  $2\frac{1}{2}$  raza więcej, niż młodzieży; wreszcie Turcya i Francya (prawie 2 razy).

Inaczej nieco rzecz się przedstawi, gdy pod uwagę weźmiemy ogół obywateli, którzy tak do służby czynnej, jak i do obrony terytorjum w charakterze landszturmu, opożczenia i t. p., powołani być mogą. We Francyi na 100 żołnierzy pod broń wypadnie rezerwistów wszelkiego rodzaju 725, w Anglii 290 i we Włoszech 1046. Liczba dla Niemiec 1467 i dla Austrii 2187, wypadła większa, niż dla Rosyi (1220). Lecz jasnym jest dla każdego, że cyfry dla Rosyi są tylko wynikiem działań arytmetycznych, gdyż o rzeczywistem powołaniu pod broń 10 przeszło milionów żołnierza mowy być nie może.

Odkok pomiędzy siłą zaczepną i całością obywateli, którzy mogą być powołani pod broń w Rosyi i w Niemczech, jest dość znaczny; w Rosyi siła zaczepna stanowi 33% ogółu sił zbrojnych, w Niemczech

zaś 40%. Różnica ta pochodzi stąd, że Rosyja corocznie zalicza do zapasu znacznie większą ilość żołnierzy, aniżeli Niemcy.

Chociaż coroczny kontyngens nowozaciężnych w Rosyji stanowi znacznie większą liczbę, aniżeli w Niemczech (230 tys. przeciwko 180), jednak w pierwszej w stosunku do ludności jest on o połowę prawie mniejszy, a nadto w Rosyji daleko łatwiej można uwolnić się od służby. Z liczby powołanych przyjętym zostaje do służby następujący procent młodzieży:

We Francji 76%, w Niemczech 45%, w Austrii 34%, we Włoszech 31% i w Rosyji 31%.

Z liczby uwolnionych od służby rzeczywistej z rozmaitego powodu na zupełnie zdatnych przypada 4%, którzy nie wchodzą do szeregu z powodu nadmiaru powołanych. We Francji, Niemczech i Austrii nadmiaru takiego nie spotykamy wcale. Dodać należy, iż w Rosyji większość niezaliczonych do służby uwalnianą bywa wskutek stosunków rodzinnych (51%), w Niemczech zaś (42%) z przyczyny braków natury fizycznej <sup>1)</sup>.

Dla łatwiejszego wyświeślenia tych nadzwyczajnie ważnych stosunków co do wieku żołnierzy w armiach europejskich, podajemy poniżej jeszcze jedno obliczenie, w którym czytelnicy znajdą, jaki procent armii zaczepnej i wogóle sił zbrojnych stanowi armia, pozostająca pod bronią:

PAŃSTWA	Armia pod bronią stanowi %	
	całej armii zaczepnej	ogółu sił zbrojnych
Niemcy . . . . .	17	6
Austria . . . . .	24	5
Włochy . . . . .	29	10
Francya . . . . .	34	14
Rosyja . . . . .	25	8
Anglia . . . . .	80	34
Turcyja . . . . .	31	31

<sup>1)</sup> Rediger, loco citato str. 131.

Prócz tego, wobec znaczenia społecznego wieku żołnierzy podczas wojny, o czem mówić będziemy niżej, zwrócić należy uwagę, o czem zresztą już wspominaliśmy, iż jakiegokolwiek rozmiary przybrało-by przyszłe starcie międzynarodowe, niepodobna przypuścić, aby w Rosyi, wobec ogromu ludności, całe „opółczenie“ ze wszystkich końców państwa, lub nawet część jego poważna, mogła być wciągnięta do działań wojennych. Wreszcie i o tem pamiętać należy, iż Rosya pozostaje na niższym szczeblu kultury, niż państwa zachodnie, i jest krajem przedewszystkiem rolniczym. Wskutek tego życie i działalność jednostek posiada w niej o wiele mniejsze znaczenie. Do przedmiotu tego wskutek jego wielkiej doniosłości wrócimy w innem miejscu.

## ROZDZIAŁ II.

### Trudności zaspokojenia pierwszych potrzeb ludności podczas wojny.

Do dnia dzisiejszego powtarzane bywają, jako niepodlegająca żadnemu podejrzeniu prawda, słowa Montecuculego, iż do prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy: po pierwsze pieniądze, po wtóre pieniądze i po trzecie wreszcie... również pieniądze!

To też w celu wysnucia wniosków o przebiegu i rezultacie przypuszczalnej wojny, przedewszystkiem robione bywają, szczególnie przez polityków niektórych mocarstw, obrachunki środków finansowych państw różnych.

Nie chcemy roztrząsać, czy twierdzenie Montecuculego było kiedykolwiek słuszne; w każdym razie stosować się mogło do tych tylko czasów, kiedy żołnierza trzeba było najmować, a kredyt państwowy wcale nie istniał.

Dziś warunki prowadzenia wojny są pod każdym względem odmienne. Inną i o wiele ważniejszą rolę odegrywają dziś czynniki ekonomiczne i społeczne, nie mówiąc już o wojennych, które już przekształciły się nadzwyczajnie i przekształcają się jeszcze nieustannie.

#### Środki finansowe.

##### I.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na tę okoliczność, że żadne państwo nie może posiadać tak kolosalnych zapasów gotówki, ja-

kich utrzymanie armii podczas wojny wymagać będzie: mocarstwa z najbardziej bogatym obiegiem monety metalowej, wobec ogromnych kosztów, które wojna wywoła, będą musiały uciec się do wypuszczenia pieniędzy papierowych i zaciągania pożyczek wewnętrznych. Prusy w r. 1866, a w r. 1870 Prusy i Francya musiały uciec się do emisji biletów i zobowiązań krótkoterminowych. Lecz jakkolwiek słabą była-by siła kredytowa jakiegoś państwa, na przebieg przyszłej najbliższej wojny będzie to miało wpływ zaledwie podrzędny.

Austria, która już tyle razy bankrutowała, zawieszala wypłaty asygnat, nie dotrzymywała zobowiązań, na prowadzenie wojen zawsze znajdowała pieniądze. Nawet Turcyja z tak fatalnie rozstrojonymi finansami, zaprzestać walki musiała bynajmniej nie dla braku środków pieniężnych.

Blizsze przyjrzenie się tej sprawie całkowicie nam ją wyjaśni. Chociaż koszta prowadzenia wojny dziś będą 6—8 razy wyższe, niż dawniej, jak to wyjaśnimy w jednym z następujących rozdziałów, niemniej jednak obecnie łatwiej, niż w przeszłości, mogą one być pokryte.

Wojna będzie albo obronna wewnątrz własnego państwa, albo zaczepna na ziemiach sąsiada. W wypadku pierwszym, wszystko, co kraj posiada, da się otrzymać od własnych poddanych w drodze rekwiizycyi, na kwitki, banknoty i t. d.

Na pierwszy rzut oka wydać się może dziwną okoliczność, iż państwa, posługujące się monetą papierową, w chwili krytycznej narażone będą na mniejsze zakłócenia obiegu pieniężnego, niż kraje z systemem pieniędzy metalowych: pierwsze, wskutek nabytego przyzwyczajenia do wahań waluty, łatwiej zniosą wstrząśnienia.

Nieunikniony gwałtowny spadek kursu pieniędzy papierowych nie wywoła tam zbyt wielkiego alarmu, jako zjawisko znane i przewidywane. Dowodem tego fakt, wykazany już przez nas w innem dziele <sup>1)</sup>, iż chociaż podczas wielkich kampanii 1812, 1855, 1877 r. kłopoty finansowe Rossyi były znaczne, a emisye asygnat i biletów kredytowych dochodziły do kolosalnych rozmiarów, to jednak wywoływane wstrząśnienia na przebieg wojny nie wpływały, a zamieszania wewnętrzne były na razie nieznaczne.

Dzisiaj za fakt niewątpliwy uważać można, iż po wybuchu przyszłej wojny, wskutek panicznego strachu, jaki ogarnie mieszkańców całej prawie Europy, moneta złota wszędzie zostanie wycofana z obiegu i głęboko chowana na czarną godzinę, gdyż nikt, wobec przewidywa-

<sup>1)</sup> „Finanse Rossyi w XIX stuleciu.“

nych rozmiarów przyszłego starcia narodów, nie będzie wiedział, co jutro przyniesie.

Moneta brzęcząca wyjdzie więc z obiegu, a jedynym środkiem wymiany pozostaną bilety bankowe, których wartość, szczególnie na początku kampanii wobec niepewności rezultatów walki, we wszystkich krajach, z wyjątkiem może Anglii, zbyt wielkiego zaufania wzbudzać nie będzie.

I rzecz to więcej, niż naturalna. Z zaburzeń wojen przeszłych wnioskować o doniosłości wstrząśnień przyszłych z powodu różnicy napięcia sił niepodobna.

Podczas kampanii 1866 i 1870 r. bilety banków państwowych w Prusach i w innych państwach niemieckich poczęły spadać, za złoto trzeba było płacić ażio, lecz trwało to niezbyt długo, wskutek prędkiego i stanowczego na korzyść Niemiec przebiegu kampanii i pewności, że wojna będzie zlokalizowaną.

We Francji również cały szereg sprzyjających okoliczności wstrzymywał zbyt ni spadek kursu. Kasa państwa we Francji wypuściła wprawdzie asygnacyi (Bons du Trésor) na miliard franków, prócz tego rząd upoważnił bank francuski, aby powiększył emisję biletów do wysokości 2.4 miliarda,—lecz ponieważ złoto i srebro zniknęło, brak monety obiegowej wystąpił tak silnie, iż zarządy miejskie i powytwarzane wskutek potrzeby specjalne syndykaty, musiały same wypuszczać rodzaj monety papierowej w sztukach od jednego franka do dziesięciu, opierając bezpieczeństwo emisji na papierach państwowych. Jeżeli wstrząśnienie nie przybrało wyższych rozmiarów, to naprzód dzięki stosunkowej krótkotrwałości wojny, a powtóre dzięki temu, że ludność Francji jest bardzo zasobna, a przytem zamknięcie centrum obrotów przez oblężenie Paryża tranzakcyje niezmiernie zmniejszyły; nadto bilety banku francuskiego kursowały z całą swobodą, a to wskutek nadzwyczajnego zaufania, jakie posiada bank francuski, jako instytucya prywatna, akcyjna. Nawet na giełdzie berlińskiej była chwila, że dostawcy armii niemieckiej woleli nabywać banknoty banku francuskiego, niż złote dwudziesto-frankówki.

Tak więc przewidywać należy, że nawet w tych krajach, gdzie dziś w obiegu znajduje się moneta metalowa w dostatecznej ilości, za złoto trzeba będzie płacić ażio, co znowu pociągnie za sobą konieczność ustanowienia przymusowego kursu pieniędzy papierowych.

Lecz w przyszłej wojnie spotkamy się jeszcze na początku kampanii z brakiem znaków wymiennych wogóle, który wprawdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, trwać będzie czas krótki, niemniej jednak może spowodować klęski dotkliwie.

## II.

Wiele przyczyn wpływać będzie na to, iż natychmiast po wypowiedzeniu wojny da się czuć brak pieniędzy.

Wskutek powszechnej paniki, zarówno przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, jak i publiczność, zechcą zaopatrzyć się na wszelki wypadek w gotowiznę. Prócz tego, powołani do armii zmuszeni będą pośpiesznie gromadzić środki celem uregulowania interesów i zabrania nieco pieniędzy z sobą na wojnę. Nie obejdzie się naturalnie nigdzie bez tego, aby się nie znaleźli skrzętni spekulanci, którzy potrzebować będą na razie znaczniejszych sum, celem porobienia zakupów wprzód, nim się ceny produktów podniosą, a to z zamiarem później zyskowej odprzedaży. A oprócz tego, nie małą będzie i liczba ludzi przewidujących, którzy zechcą nagromadzić pewną ilość zapasów na potrzeby własne.

W czasie zwykłym pieniądze za poczynione zakupy poszły-by zaraz w obieg i dość szybko wracały-by do banku. Wiemy z doświadczenia, że corocznie po żniwach, kiedy poczynają się czynić zakupy, powstaje u nas brak gotowizny. Lecz trwa to tylko kilka miesięcy. Tymczasem po wybuchu wojny, wskutek utrudnionej komunikacji, powrót do cyrkulacji odbywać się będzie i wolniej, i trudniej.

Nadto kurs papierów państwowych i walorów nagle i silnie z chwilą wypowiedzenia wojny spaść musi. Wobec tego, że dużo papierów wartościowych pozostawianych jest w bankach, w razie niemożności dołączenia dodatkowych zabezpieczeń, nastąpią przymusowe sprzedaże, a tymczasem znośna realizacya stanie się dla ogromnej większości walorów niemożliwą.

W dalszym ciągu kampanii, wskutek nadzwyczajnych wydatków na cele wojenne, cyrkulacya pieniężna w państwie wzrośnie i przystosuje się do nowych warunków, równowaga pomiędzy podażą a popytem na pieniądze wróci. Pierwszy strach paniczny po pewnym przeciągu czasu przeminąć winien, a wtedy kurs papierów publicznych może się podnieść i to nawet znacznie, szczególnie zaś tych, których wartość opiera się na nieruchomościach i dochodach, z powodu wojny zbyt nie narażonych. Z początku jednak najpewniejsze nawet walory mogą nie znaleźć nabywców, wskutek braku środków wśród ludności.

Oczywiście, że z żądaniem pieniędzy ludzie przedewszystkiem zwrócą się do banków i bankierów i wiele zależeć będzie od tego, o ile oni będą mogli zadosyć uczynić wymaganiom.

Gdyby w tym czasie firmy bankowe i przemysłowe nie były w możności reeskontowania znajdujących się u nich weksli i zobowiązań,

z konieczności następowały-by odmowy, a te wywołać-by mogły poważną klęskę. W „Historji Finansów Rossyi w XIX wieku“ opisaliśmy zupełnie podobne zjawiska, poprzedzające wojnę 1877 roku.

Że zaś rzeczy nie zaszyły wtedy dalej, to tylko dzięki tej okoliczności, że szanse pokoju i wojny ważyły się w ciągu długich miesięcy, a mianowicie od chwili mobilizacyi, która nastąpiła jesienią, aż do wybuchu wojny, wypowiedzianej dopiero na wiosnę.

Zjawisko to zresztą powtarza się wszędzie; widzimy je w Prusach i Austrii w r. 1866, a w całych Niemczech i we Francyi w r. 1870: kupcy i przemysłowcy rzucają się do banków, aby dyskontować weksle, publiczność zaś—celem zaciągnięcia pożyczek na papiery publiczne.

W portfelu wekslowym banku pruskiego w Berlinie d. 30 Czerwca znajdowało się 97 milionów, 23 Lipca 121 milionów talarów. Portfele banków prywatnych w tym samym czasie wzrosły jeszcze bardziej. Banki te śmiało operować mogły, licząc, że w razie potrzeby otrzymają podtrzymanie ze strony banków rządowych. Pożyczki na papiery również wzrosły, chociaż nieznacznie, gdyż banki znacznie podniosły dyskonto, a z drugiej strony publiczność posiadała wiele walorów zagranicznych, szczególnie pożyczek amerykańskich, które wskutek wojny wcale niemal nie ucierpiały i mogły być wysyłane do Amsterdamu i Londynu i tam bez straty zbywane.

Pomimo to jednak napływ sprzedających papiery publiczne krajowe był stosunkowo znaczny, a brak gotówki wielki, to też kursa spadają niepomieranie. Weźmy np. pożyczkę pruską  $4\frac{1}{2}\%$ :

lata	przed wojną	po wybuchu wojny	po wojnie
1866	98 $\frac{0}{10}$	78 $\frac{0}{10}$	97 $\frac{3}{4}\frac{0}{10}$
1870	93 $\frac{1}{2}\frac{0}{10}$	77 $\frac{3}{4}\frac{0}{10}$	94 $\frac{1}{2}\frac{0}{10}$

Widzimy tu wyraźnie zaznaczone przez nas momenta: najsilniejsze wstrząśnienie czuć się daje na początku, zaraz po wypowiedzeniu wojny, następnie zaś wszystko powoli wraca do normy.

Ze względu na to, że dzisiaj mobilizacya, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uskuteczniiona zostanie bardzo prędko, a i koncentracya wojsk dopełni się szybko, rozpoczęcie samej akcji wojennej spadnie nagle, a wskutek tego panika będzie koniecznym wynikiem niespodzianki i nieprzygotowania. Więcej, niż kiedykolwiek, zależy więc na tem, aby zarówno świadomość opinii publicznej, jak i rozumne rozporządzenia rządu, nie dopuściły do rozwielenia się wpływu przestraszenia i działania wyłącznie pod wpływem nienzasadnionych obaw lub zbyt daleko posuniętej spekulacyi. U nas jest ta kwestya ważniejsza, niż gdzieindziej: papierów zagranicznych jest mało, a gdyby i było

dużo, to też, wobec sytuacji, którą wytworzy przyszła wojna, wiele-by to nie pomogło, gdyż wojna otoczy wszystko i wszystkich niby siecią, i na zbyt po-za granicami państwa nie pozwoli. Powtórę, ludność oszczędności znacznych nie ma, a zatem ulegnie większym obawom o jutro. Zadanie więc osłabienia złych skutków, jakie wojna wywołać może, będzie tu trudniejsze znacznie, niż było w Niemczech lub Francji. Wobec tego zjawia się potrzeba, aby ludność mogła łatwo i z niewielkimi ofiarami zastawiać, a nie sprzedawać papiery. Pożądać więc należy, aby instytucje bankowe rządowe posiadały dosyć gotówki i sił, celem szybkiego i nieustannego załatwiania interesów tego rodzaju w możliwie szerokich rozmiarach.

### III.

Zaraz na samym wstępie rozpoczynającej się kampanii rząd znaczne sumy wydać będzie musiał na kupno wielkiej liczby koni, oraz zapasów różnego rodzaju. Wskutek tego ruch pieniężny szybko wzrośnie, popyt na wiele produktów, szczególnie pierwszej potrzeby, również bardzo się powiększy, gdyż i armie nabywać będą, i osoby prywatne nie zaniechają robić zapasów. Ceny pójdą w górę i wielu wytwórców w pierwszej chwili niewątpliwie cieszyć się będzie z obrotu rzeczy.

Prócz tego, wskutek koniecznego bezrobocia w interesach wszelkiego rodzaju, przedsiębiorstwa potrzebować będą mniejszej sumy gotówki. Skutkiem zaś tego, po jakimś czasie po rozpoczęciu wojny zjawi się znowu nadmiar pieniędzy w kasach. Wprawdzie masa świeżo wypuszczonych asygnat sprowadzi dotkliwe klęski, to jednak nastąpi dopiero znacznie później, po latach, a zatem po ukończeniu wojny. Wskutek więc przeładowania rynków papierowymi pieniędzmi, zaciąganie pożyczek wewnętrznych na potrzeby wojenne stanie się zupełnie możliwym. Jedne i też same pieniądze papierowe, wypuszczane ponad normalną potrzebę, będą przechodziły od rządu do dostawców i odwrotnie.

Twierdzenie nasze, iż emisja biletów kredytowych stanie się nieuniknioną we wszystkich państwach, wojną ogarniętych, wysnuwamy z niemożliwości zaciągnięcia podczas przyszłej kampanii pożyczek zewnętrznych.

Wojna, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wybuchnie nagle i bardzo szybko ogarnie całą Europę środkową. Wskutek tego wszystkie finansowe stosunki międzynarodowe zostaną zamącone i porwane, a nadto i zwykła technika zaciągania pożyczek nie będzie mogła być przeprowadzoną.



Podczas wojny francusko-pruskiej, bankier niemiecki, Jüterbock, wziął udział w zapisie na pożyczkę francuską. Wskutek tego został pociągnięty do odpowiedzialności, oskarżony o zdradę stanu, skazany na ciężką karę. Wkrótce wprawdzie udzielone zostało Jüterbockowi ułaskawienie, przykład ten jednak przekonywa, iż udział w pożyczce nieprzyjaciela uważany będzie za zbrodnię. A przytem pamiętać trzeba, że wojna ogarnie bardzo wiele krajów, wszystkie potrzebować będą kredytu, a więc nie pozwolą dawać pieniędzy nieprzyjacielowi, a nawet może i sprzymierzeńcowi, bo dla nich samych-by zabrakło.

Przypuśćmy nawet, że ani Anglia, ani Holandia do wojny wciągnięte nie będą i rynki tych państw pozostaną otwarte. Ale, jak to wykazemy niebawem, komunikacya morzem zostanie przerwana, wątpić więc należy, ażeby dla przeprowadzenia operacyi finansowej udało się ją zużytkować. Wskutek tego rynek angielski będzie nieczynny, jak gdyby nie istniał całkowicie, rynek zaś holenderski nie zdoła wystarczyć powszechnemu zapotrzebowaniu, szczególnie w czasie tak mało pewnym, przy znanej ostrożności, a nawet trwożliwości holenderskich kapitalistów. A zresztą i z Holandją komunikować się będzie bardzo trudno.

Tym sposobem nawet państwa, wzorowo pod względem finansowym uorganizowane i dające najpewniejsze gwarancye, zmuszone będą uciekać się wyłącznie do kredytu wewnętrznego.

Okoliczność ta nie wpłynie jednak decydująco na losy wojny. Kredyt wewnętrzny w różnych swoich postaciach zawsze jest w możności uczynić zadość największym nawet potrzebom i wymaganiom, które po wybuchu wojny ograniczą się do wypłacania pensyi i do zaspokajania dostawców żywności i t. p. wymagań.

#### IV.

Rzecz się nieco skomplikuje, jeżeli wypadnie toczyć wojnę na obcym terytorjum. Obecnie uważają powszechnie za rodzaj aksjomatu, iż w czasie kampanii armie zaspokajać będą potrzeby swoje na koszt kraju, będącego teatrem zapasów, i to w drodze rekwizycyi. Jeżeli zajęty zostanie przez nieprzyjaciela kraj bogaty, to znaczną bardzo część środków da się zdobyć przez nakładanie kontrybucyi pieniężnych na miasta, miasteczka i wsie i ściąganie potrzeb dla armii za pomocą rekwizycyi. Resztę wydatków armia wkraczająca pokryje własnymi asygnatami, i tylko w wyjątkowych razach, przy ściąganiu zapasów i dostaw z terytorjów niezajętych, tą ilością pieniędzy metalowych, jaką na wszelki wypadek będzie miała z sobą. W okolicach, opanowanych

przez nieprzyjaciela, ludność nie ma wolnej woli ani wyboru, a w każdym razie woli papier kredytowy, chociażby nie mający swej nominalnej wartości, aniżeli jakiś prosty kwitek.

Po wojnie 1812 roku, chociaż finanse Rossyi znajdowały się w stanie rzeczywiście opłakanym, niemniej wojska ruskie mogły wszystkie prawie swoje potrzeby w Niemczech opędzić za pomocą asygnat <sup>1)</sup>.

Ciekawą w danej kwestyi i nauczającą rzeczą będzie rzucić okiem na wydatki armii rosyjskiej w wojnie lat 1812 — 1815 i na sposoby zadawania swych potrzeb w jej pochodzie przez Niemcy do Paryża.

W chwili wkraczania wojsk Napoleona w granice Rossyi, suma asygnat, znajdujących się w obiegu, wynosiła 572 miliony rubli, zaś 2-go Kwietnia 1815 roku cyfra ta doszła do 820 milionów rubli, to jest wzrosła o 248.

Rozchody na wojska lądowe, wedle budżetu finansowego, wynosić miały:

	Na utrzymanie:	
	ludzi	koni
W roku 1812	770,000	256,000
„ „ 1813	979,000	349,000
„ „ 1814 wewnątrz państwa	760,465	163,000
„ „ „ za granicą	300,000	80,000

W chwili przekraczania granicy pruskiej przez wojska rosyjskie stan kasy państwa po kampanii 1812 roku był bardzo kłopotliwy: podatki wpływały opieszale, 12 milionów rubli przeznaczono już na zapomogi dla ludności, lecz na tem nie podobna było poprzestać; potrzeba było bez zwłoki wynaleźć pieniądze na ratowanie ludności w guberniach, przez wojnę zniszczonych. Chcąc wybrnąć z kłopotów i aby nie potrzebować posyłać dla armii za granicę znacznych transportów złota i srebra, minister finansów przedstawił Cesarzowi projekt *wypuszczenia asygnat na pruską walutę srebrną*. Projekt ten jednak zatwierdzenia Cesarzowskiego nie uzyskał i trzeba było za granicą płacić asygnacjami czysto rosyjskimi. Dla wypełnienia zaś zobowiązań, w ten sposób zaciągniętych, oraz dla ułatwienia cudzoziemcom realizacji asygnat, urządzone były w Prusach i w Niemczech „kantory wymiany.“ Jednak już w Lutym r. 1814 wydane zostało rozporządzenie, wstrzymujące aż do następnego rozkazu wymiany tych asygnacyi. Przyczem zalecono dyrektorom banków wynaleźć dosyć gładki pretekst, aby ludność nie została zaniepokojoną.

W Sierpniu zaś Reskrypt Najwyższy nakazał wypłacać okazicielom asygnacyi 3-cią część sumy nominalnej gotówką, licząc po 29 hie-

<sup>1)</sup> „Finanse Rossyi,“ t. I-y.

żących talarów pruskich za 100 rubli asygnacjami, na pozostałe zaś  $\frac{2}{3}$  wydawać obligacje 7-o procentowe, płatne jedna po 9, druga po 18 miesiącach, licząc po 30 talarów bieżących za 100 rubli asygnacjami.

Ówczesny minister skarbu, Gurjew, wobec pilnej potrzeby ratowania finansów, przedstawił także Cesarzowi projekt wstrzymania wypłat przez armię czynną. Natomiast miały być wystawiane przez generałów intendentów *bony* („kwitancii“) w dwóch językach, rosyjskim i krajowym, z oznaczeniem sumy w monecie krajowej. Miały być one spłacane po upływie 12-u miesięcy od daty wystawienia, zaraz na zlecenie lub po okazaniu, z procentem  $\frac{1}{2}\%$ .

Ale armia już wtedy wracała do kraju i nie było potrzeby wykonania powyższego projektu. Nadzwyczajne po-za budżetowe wydatki na wojnę lat 1812, 1813 i 1814 utworzyły sumę 179.9 milionów, rachując asygnacjami według kursu, a mianowicie:

W roku 1812 wydano	18.8	mil. rubli
„ „ 1813	123.0	„ „
„ „ 1814	38.1	„ „

Środki na pokrycie sum tych zaczerpnięto ze źródeł następujących:

	1812 r.	1813 r.	1814 r.	Razem
	w milionach rubli			
Z funduszków kasy państwa	1.0	20.8	24.0	45.8
Z sum specjalnych (emisje nowych asygnat i fundusze różnych instytucji)	17.8	55.2	19.0	92.0
Subwencja angielska	—	—	42.1	42.1
			Ogółem	179.9 m. r.

Z tej sumy monetą brzęczącą zapłacono tylko 18.3 mil. r. (co przy obliczeniu według kursu na asygnacje dało 73.3 mil. rubli), zaś asygnacjami wydano 106.6 mil. rubli.

Nie jest także bez znaczenia szczegół, jakie sumy poszły na różne części armii:

	1812 r.	1813 r.	1814 r.	Razem
	w milionach rubli			
Główna armia czynna	16.7	81.6	11.5	109.8
Armia polska (zaliczka)	—	16.8	1.7	18.5
Legion rusko-niemiecki	1.1	2.9	—	4.0
Legion, uformowany w Orle	—	0.6	—	0.6
Korpus, oblegający Gdańsk	—	0.4	—	0.4
Armia rezerwowa	—	13.3	22.2	35.5
	17.8	115.6	35.4	168.8

Do tego dodać trzeba:

Wydatki ogólne dla wszystkich armii	1.0	6.8	2.8	10.7
Zapomoga dla armii pruskiej	—	0.5	—	0.5
				Ogółem 179.9 m. r.

Nadzwyczajne wydatki z lat 1812, 1813 i 1814, rozkładają się na następujące kategorie, według potrzeb i przeznaczenia:

1) Żołd dla wojska	112.2 mil. rubli
2) Zwiększone wydatki na żywność dla wojsk konsystujących za granicą	5.3 " "
3) Umundurowanie, obuwie, kozuchy, bielizna	19.2 " "
4) Konie	7.9 " "
5) Przewóz wojsk i taborów	5.2 " "
6) Szpitale	1.5 " "
7) Ogólne wydatki na utrzymanie	16.1 " "
8) Rynsztunek legionów	4.6 " "
9) Komunikacye pocztowe i sztafety	1.6 " "
10) Jeńcy	5.4 " "
11) Rozmaite wydatki (zaliczki wojskom pruskim, przewóz wojsk z Finlandyi)	0.9 " "

Władza wojskowa z końcem r. 1815 przy zamykaniu rachunków winną jeszcze była: pułkom 13.7 mil. rubli i dostawcom 11.9 mil. rubli asygnacyami.

Prócz tego, wojska przy przejściu przez kraje nieprzyjacielskie zaopatrywały się w żywność na koszt mieszkańców, wskutek tego później wyznaczone zostały komisye, mające na celu rozpatrzenie rachunków i sum przypadających obcym krajom. Według Najwyżej zatwierdzonych ukazów i konwencyi od r. 1817 do 1819 wypłacono:

Prusom	3,829 tys. rubli sreb.
"	5,828 " " asyg.
Hannowerowi	643 " " sreb.
Danii	400 " marek
Niemcom	1,025 " rubli
Bawaryi	1,722 " "
Austryi	3,081 " "

## V.

Warunki przyszłej wojny pod wieloma względami całkowicie są różne od tych, jakie towarzyszyły wojnom dawniejszym. Siły, w ruch

puszczone, osiągną przerażających rozmiarów i przypominać będą owe hordy barbarzyńców, o jakich mówi historia Greków i Rzymian, z tą tylko różnicą, że teraz panować będzie wśród nich ład, karność, a wszystkie potrzeby i ewentualności są przewidziane.

Lecz inna i, pod względem społecznym, stokroć ważniejsza okoliczność odróżni wojnę przyszłą od jej poprzedniczek. Dawniej, gdy wojna toczyła się czy to po-za granicami, czy na granicach państwa, wewnątrz kraju, w miejscach niezajętych przez nieprzyjaciela, życie toczyło się niewiele zmienioną koleją. Dzisiaj pod broń powołane zostaną narody całe, walczyć będzie główny zastęp sił, zdolnych do pracy wytwórczej, wskutek tego skomplikowana maszyna życia społecznego wojnę odczuje daleko dotkliwiej, aniżeli w przeszłości. Wynika stąd, że państwa przygotowane być powinny nie tylko do prowadzenia kampanii, lecz także do spotkania i zniesienia kataklizmu ekonomicznego, który będzie nieodzownym skutkiem oczekiwanej wojny. Ażeby wyjaśnić faktycznie, jakiego rodzaju względy mieć należy na widoku i jakie mianowicie przygotowania mogą się okazać niezbędnymi, przytoczymy w charakterze przykładu kilka konsyderacji i postulatów, które są wynikiem zmian i potrzeb, pokrótce omówionych w rozdziale niniejszym, a które niżej w odpowiednich miejscach zostaną dokładniej wyjaśnione.

1. Przedewszystkiem—jak to już powiedzieliśmy—w czasach dzisiejszych miarą siły i wytrzymałości w razie prowadzenia wojny ocena pieniężnych zasobów państw tylko w bardzo ograniczonym stopniu istnieć może. Niebawem po wypowiedzeniu dużej wojny, złoto i srebro zniknie z obiegu i żadne państwo bez emisji pieniędzy papierowych obejść się nie będzie mogło.

2. Ponieważ wojna przerwie komunikacje i wypłaty po-za granicami własnego państwa ustaną, a przytem, w razie prowadzenia kampanii na terytorium nieprzyjacielskim, zbyt wielkie zapasy monety brzęczącej potrzebne nie będą, regulacja więc zapasów złota i srebra następować może stosownie do stanu i wymagań skarbu, oraz według ogólnych potrzeb państwa.

3. W interesach ludności leżeć będzie, ażeby emisje pieniędzy papierowych były ograniczone do najmniejszych możliwie rozmiarów, a to z powodu klęski, jaką następnie sprowadził-by bardzo wielki spadek wartości znaków obiegowych. Pomimo to jednak pragnąć należy, ażeby zaraz na początku wojny cyrkulacja, początkowo nagle zatamowana przez okoliczności wyżej wyluszczone, przywrócona została jak najprędzej do normalnych rozmiarów, a zatem, ażeby szybko były usunięte skutki braku pieniędzy; to zaś skutecznie się da tylko przez szerokie otwarcie podwojów kredytu ze strony państwa. Ponieważ cyrkulacja po chwilowym zastoju szybko wzrośnie, nie trudno więc

będzie w krótkim czasie nadmiar znaków obiegowych wycofać, gdyby nawet początkowo wypuszczono ich za wiele.

4. W państwach zachodnich, gdzie organizm społeczny jest bardzo skomplikowany, a prądy socjalistyczne nie przestają działać rozkładająco, rządowi na początku kampanii bardzo zależeć będzie na tem, ażeby wytworzyć, utrzymywać i rozdmuchiwać zapał i ducha wojennego.

W tym celu każda ze stron wojujących starać się będzie, aby zaraz po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich zapewnić sobie przewagę i chociażby drobne i niewiele znaczące zwycięstwo, którego natychmiast podnieść nie omieszka do znaczenia decydującego tryumfu. Oczywiście zaś rzecz, iż taką przewagę zyskać łatwiej może państwo, które prędzej stanie w pełnym rynsztunku swoich sił bojowych i rzuci je na nieprzyjaciela.

Wobec ogromnych obszarów państwa russkiego, prawdopodobnie wypadki pierwszej chwili za decydujące uważane być nie mogą. Oczywiście jest rzeczą, iż za tem wcale nie idzie, ażeby koniecznie jakieś zwycięstwo zaraz na początku kampanii odniesionem być miało. Zajęcie odpowiedniej pozycji obronnej może sparaliżować wszystkie przewagi, jakie da łatwiejsza mobilizacya; lecz cokolwiek-by nastąpiło, roztropność nakazuje nie przeceniać chwilowych skutków geograficznego położenia i wypadków, stąd wypływających. Ogromne obszary stanowią z początku przeszkodę i trudność, ale niebawem przyczyniają się do wytworzenia siły odpornej niesłychanej i pozwalają z małemi stosunkowo stratami bardzo przedłużyć walkę i wyprowadzić na scenę potężnych sprzymierzeńców: Bezdroże, Głód i Mróz.

Nie należy więc dać się zbyt alarmować przed czasem, a to dlatego, że gwałtowne a jednorazowe rzucenie wielkiej liczby walorów na rynek naraziło-by sprzedawców na znaczne i niepotrzebne straty.

5. Ułatwienie właścicielom możności zachowania posiadanych walorów leży w interesie kredytu państwa, środkiem zaś ku temu byłoby ułatwienie przyjmowania ich na zastaw i do przechowania.

6. Z chwilą wypowiedzenia wojny wszelkie instytucje rządowe, mogące wpływać na rozszerzenie kredytu, winny być przedewszystkiem zaopatrzone w odpowiednie instrukcje.

Nadto dla umożliwienia i ułatwienia operacyi niesłychanie ważnem jest przesyłanie przekazów wypłat, zleceń kupna i sprzedaży i t. p. drogą telegraficzną. W tym celu dla umożliwienia komunikacyi pomiędzy ważniejszymi punktami handlowymi, posiadającemi oddziały banku państwa, winny być przewidziane niektóre udogodnienia i przedsięwzięte środki ostrożności, a to w celu zabezpieczenia się od zbytnej

gorliwości organów niższych, szczególnie wobec różnych zakłóceń zwykłego biegu rzeczy, co wojna niewątpliwie wszędzie wywoła.

Wobec tego wielką przysługę interesom ekonomicznym wyświadczyć-by mogło opracowanie przez bank państwa, łącznie z odpowiedniami władzami, pewnych przepisów specjalnych co do sposobu przyjmowania i załatwiania telegraficznej korespondencji handlowej. Może-by nawet było pożytecznym polecić czuwanie nad wykonaniem tych przepisów urzędnikom banku, do tego wydelegowanym, chociażby na czas krótki i tylko na początku kampanii. Jednorazowy i niezbyt znaczny nakład, jakiby się tu okazał niezbędnym, był-by nic nieznaczącym drobiazgiem wobec olbrzymiej korzyści, jaka była-by rezultatem utrzymania ciągłości, pewności i szybkości korespondencji w chwili bądź-co-bądź krytycznej. Zamierzona zaś reforma banku, dążąca do nadania tej instytucji organizacji doskonalszej i bardziej inteligentnej, gwarantuje, iż przy jego pomocy, wobec udoskonalonej techniki dzisiejszej telegrafu, szybkość i stałość korespondencji handlowych była-by zapewnioną.

7. Przy ogromnej trudności dla organów rządowych w chwilach kryzysu oceny zdolności kredytowej, otwarcie w banku państwa dla instytucji bankowych i znaczniejszych firm specjalnego kredytu, z którego-by mogły one korzystać dopiero po wybuchu wojny dla reeskonta, było-by środkiem, mogącym przynieść znaczne materialne i moralne korzyści. Środek ten mógł-by usunąć bez wszelkiego ryzyka to skrepowanie kredytu prywatnego, które bez użycia środków zaradczych niewątpliwie wystąpi, jako rezultat niepewnego czasu, jako skutek obaw i powątpiewań, wywołanych przez wojnę, co do wypłacalności przedsiębiorców i kupców.

8. Bardzo pożyteczną rzeczą było-by przygotowanie jeszcze w chwilach pokoju projektu specjalnych komitetów opieki, składających się z ludzi zaufania, którzy-by zajmowali pierwszorzędne stanowisko w sferach kupieckich, przemysłowych, obywatelskich i urzędniczych. Delegacje takie mogły-by być powołane do działania we wszystkich miejscowościach, gdzie się znajdują kantory i oddziały banku państwa. Opierając się na instrukcyi, korzystając ze wskazówek i schematów, również w czasie pokoju opracowanych, komitety mogły-by przynieść niemałą korzyść i być zarodkiem instytucji pomocniczych dla pokonania trudności, jakie milionowe armie napotykać będą przy zaopatrywaniu się w żywność. Może nawet stać-by się one mogły ogniwem przejściowym do nowego systemu zaopatrywania wojska nawet w czasie pokoju, dodatkowo do zwykle praktykowanych dostaw przez licytację, i gospodarczego gromadzenia zapasów przez urzędników.

Wszystkie przytoczone wyżej konsyderacje i postulaty są tylko luźnymi myślami, rzuconymi przez nas dla wykazania potrzeby zbadania

przedmiotu, i tym sposobem następnie osłabienia wstrząśnięć, a tem samem utrzymania wedle możności normalnego działania sił ekonomicznych podczas wojny.

Było-by lekkomyślnością z naszej strony, gdybyśmy chcieli podawać propozycje stanowcze.

Zdaje nam się tylko, że, jak na wypadek wojny odnośnie do armii w odpowiednich ministeryach leżą opracowane plany mobilizacji, koncentracji wojsk, zaspokojenia ich potrzeb i wreszcie działań, tak coś podobnego stworzyć-by należało i względem innych części organizmu społecznego.

Wojna wkracza w tak rozliczne dziedziny działalności społecznej wogóle, a szczególnie w sferę kredytu i obrotów przemysłowych i handlowych, że, niby tama, przeciąć może cały bieg rzeki życia wewnętrznego i zewnętrznego. Chcąc więc złagodzić wstrząśnienie, należy koniecznie przewidzieć najdotkliwsze ciosy i przygotować się odpowiednio.

Badając przedmiot szczegółowo, przyszliśmy do przekonania, że wobec dziś już istniejących danych o ruchu towarów, o handlu i przemyśle i produkcji rolniczej, można było-by odtworzyć bardzo blizki prawdy obraz tego, co wybuch wojny w życiu wewnętrznym kraju naszego wywoła.

W tym celu wczesne przygotowanie, tak, jak to się czyni dla działalności armii, było-by praktycznem.

Wypadki, szczególnie z początku wojny, następować będą po sobie z nadzwyczajną szybkością. Organa władzy przywalone zostaną nadmiarem czynności czysto wojennych; ekonomiczne potrzeby ludności, chociażby najważniejsze, siłą konieczności nabiorą znaczenia drugorzędnego.

Wiele z przyszłych potrzeb dało-by się bez nadzwyczajnego wysiłku częściowo lub może i całkowicie zaspokoić. Tymczasowe jakies pomysły, poczęte w ostatniej chwili wśród pośpiechu i niepokoju, niedosyć gruntownie zbadane, oparte nie na chłodnej rachubie, zamiast pożytku mogą przynieść szkodę i stać się źródłem klęski i niedoli, spadających nietylko na cywilną część ludności.

Uwagi nasze nie są bynajmniej rezultatem przypuszczenia; że projekta i plany środków ekonomicznych i finansowych nie istnieją i nie są gotowe do wprowadzenia w życie. Przeciwnie, sądzimy, iż one istnieją, a to tembardziej, że mamy wskazówki niejakię o ich egzystencji gdzieś indziej.

Z symptomatów pojedynczych i biorąc na uwagę systematyczność charakteru niemieckiego, wnosić można, że szczegółowe, odpowiednie do potrzeb każdej miejscowości, opracowania w rodzaju proponowanych



przez nas poczynionemi zostały w Niemczech. W miastach ufortyfikowanych, jak Toruń, Poznań, Królewiec, leżą gotowe najszczegółowsze instrukcye dyrektywy, przewidujące wszelkie możliwe wypadki. Instrukcye te są corocznie prawie przepatrywane i, stosownie do nowych okoliczności, będących skutkiem zmiany stosunków i wpływów ekonomicznych i innych, zmieniane i doskonalone.

Gwarancya wykonania instrukcyi zapewniona już jest obecnie w czasie pokoju. Z przedsiębiorcami robót i dostaw pozawierane są formalne umowy na wypadek wojny. Z chwilą ogłoszenia mobilizacyi kontrahenci bez żadnego nowego wezwania rozpoczynają wykonywać swoje obowiązki.

Nie idzie za tem, ażeby w czasie pokoju wypracowany plan działań miał być wprowadzony od razu w razie wojny. Wszystkiego przewidzieć niepodobna, co „*Sa Sacré majesté le Hasard*”—jak mawiał Fryderyk Wielki, w przewidywaniach zmiany nakazać może. Lecz każdy przyzna, że łatwiej to uczynić w gotowym planie działań, niżli go tworzyć.

„Na wojnie—mówił Napoleon—wszystko jest rezultatem rachuby. Wszystko, co nie zostało ściśle obmyślane w szczegółach, nie daje rezultatów pewnych. Wojna wszakże nie jest zastosowaniem mechaniki. Umiejętność wojenna polega na przedwstępnie dokładnem rozważeniu wszystkich szans możliwych i następnie na ściśłem określeniu, matematycznym niemal, udziału przypadku. Kwestya taktyki przytem jest drugorzędną, wszystko znaczy moment psychiczny.“

Czyż tego samego powiedzieć nie należy i odnośnie do wojny, która toczyć się będzie w sferze interesów ekonomicznych?

b) Trudności zaspokojenia głodu i pierwszych potrzeb ludności.

W niektórych państwach może się okazać niepodobieństwo ekonomiczne prowadzenia wojny, wyniknie ono jednak wcale nie z trudności wytworzenia lub wynalezienia środków finansowych na cele wojenne. Rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich wywoła natychmiast bardzo doniosłe zmiany nawet w powszednim życiu narodów. Ze skutków tych zmian ogół może w tej chwili nigdzie nie zdaje sobie dośyć wyraźnie sprawy. Skutkiem wojny w wielu punktach Europy może być *głód* i cały szereg klęsk ekonomicznych niesłychanie dotkliwych. Obawy tego wstrzymywać mogą i wstrzymują zachcianki wypowiedzenia wojny. Szczególniej państwa, które przy normalnym biegu rzeczy potrzebują sprowadzać zboże i inne produkta pierwszych potrzeb dla ludności, znajdują się w położeniu bardzo przykrem.

Kolejami dowóz stanie się niezmiernie trudny, a zresztą i nie będzie skąd dowozić, bo rzadko który kraj na lądzie Europy nie będzie musiał sam dla siebie szukać i sprowadzać żywności.

Dostarczycielki powszechnie zboża, Rossya, Węgry, chociażby nie potrzebowały same całej produkcyi własnej, to wobec zajętych przez wojnę granic, jednym nie będą mogły, drugim nie będą chciały nie użyzyć.

Transporta morzem z Ameryki, Indyi i innych zaoceanowych krajów staną się wprost niemożliwe, bo ani podobna wątpić, że od razu rozwinię się, jak to dowiedzimy w rozdziale traktującym o wojnie na morzu, na wielką skalę piraterya i wszelką komunikację ze spichrzami zaoceanowemi jeżeli nieprzerwie całkowicie, to w każdym razie utrudni niesłychanie. Koszta przewozu i ubezpieczenia ładunków wskutek wielkiego ryzyka podniosą się niesłychanie; przy niepewnej i nieakuratnej dostawie zapanuje co najmniej najdokuczliwsza drożyzna.

Ażeby dowieść, jak dalece najmniejsze zatrzymanie w dostawach podnosi ceny, dosyć będzie przytoczyć, że podczas wojny krymskiej, chociaż utrudniona została dostawa tych tylko transportów, które pochodziły z Rossyi i były wożone morzem, cena pszenicy w Anglii w roku 1854 w porównaniu z ceną roku 1852 podskoczyła w górę o 85% <sup>1)</sup>.

Podczas zaś wojny amerykańskiej, jeden jedyny statek korsarski „Alabama“ wystarczył do zaniepokojenia okrętów handlowych i wywołania takiego samego skutku.

Poniższa tabliczka wykaże nam stopień niebezpieczeństwa, w jakim się znajdują różne państwa Europy w razie wybuchu wojny ze względu na potrzebę wyżywienia ludności:

Produkcyja i przywóz w milionach pudów pszenicy, jęczmienia i żyta <sup>2)</sup>.

Państwa	Produkcyja własna milionów pudów	Przywóz w milionach pudów		Przywóz stanowi następujący % własnej produkcyi
		z Rossyi	z krajów innych	
Niemcy . . . . .	569	68	32	17.5%
Francya . . . . .	601	18	40	9.6%
Anglia. . . . .	224	44	169	95.0%
Włochy . . . . .	147	22	16	25.8%

<sup>1)</sup> W 1852 roku kwarter 40 pensów.

„ 1854 „ „ 72 „

„ 1855 „ „ 74 „

<sup>2)</sup> Dla obliczeń przyjęliśmy średnie okresu 1883—1887.

Ażeby rzecz dokładniej jeszcze wyświetlić, obrachujemy, ile dni może żyć ludność każdego kraju z pszenicy, jęczmienia i żyta, u siebie wyprodukowanych.

Państwa	Produkcya własna	Przywóz	
		z Rosyi	z innych krajów
starczy na dni			
Niemcy . . . . .	311	32	22
Francya . . . . .	333	10	22
Anglia. . . . .	187	36	142
Włochy . . . . .	289	43	33

Czyli w chwili wybuchu wojny największe niebezpieczeństwo zagrazi Anglii, która blisko połowę potrzebnego do wyżywienia ludności ziarna sprowadza z zewnątrz, w ogromnej większości z za oceanu. W lepszym, ale w każdym razie w fatalnym położeniu znajdują się Włochy i Niemcy: zbożem przywiezionem z za granicy, głównie z Rosyi, żywią się ludzie w pierwszym kraju 2½ miesiąca, w drugim blisko 2. Francya potrzebuje cudzego ziarna tylko na jeden miesiąc życia, Austria może się bez niego obejść zupełnie.

W najlepszym położeniu znajdować się będzie oczywiście Rossya, w której po ustaniu eksportu wytworzy się nie brak, lecz nadmiar zboża, i kłopotu z żywnością żadnego nie będzie. W tym samym okresie 1883—1887, dla którego zrobiliśmy obliczenie poprzedzające, wywóz roczny pszenicy, jęczmienia i żyta z Rosyi wynosił corocznie 242 miliony pudów, co stanowi 21.6% całej produkcji.

Prócz tego, wyżej wymienione państwa produkują też i owsa, niezbędnego do wyżywienia koni, mniej, niż im potrzeba.

Produkcya owsa i przywóz pozostają z sobą w takim stosunku:

P a ń s t w a	Produkcya własna w mi- lionach pu- dów	Przywóz w milionach pudów		Przywóz sta- nowi nastę- pujący % własnej pro- dukcji
		z Rosyi	z innych krajów	
Niemcy . . . . .	228	11	1	5.3%
Francya . . . . .	200	8	5	6.5%
Anglia. . . . .	187	26	16	22.4%
Włochy . . . . .	13	0.8	0.7	11.5%

Takiż sam obrachunek dla owsa, jak wyżej zrobiliśmy dla innych rodzajów ziarna, da nam liczby.

P a ń s t w a	Produkcya własna owsa	Przywóz owsa	
		z Rosyi	z innych krajów
s t a r c z y n a d n i			
Niemcy . . . . .	346	16	3
Francya . . . . .	344	14	7
Anglia. . . . .	299	41	25
Włochy . . . . .	327	20	18

Rossya owsa corocznie z granic swoich wywozi 51,134 tys. pudów, co stanowi 16.7% całej produkcji.

Austria również braku z powodu owsa nie ucierpi. Rachunki powyższe stosują się naturalnie tylko do roku pierwszego, jeżeli zaś wojna potrwa dłużej, co wielu przewiduje, to wskutek ubytku olbrzymiej masy sił roboczych produkcya w wielu krajach upadnie znacznie, a w dodatku proporcjonalnie do stopnia kultury, jak to następnie wykazemy. Wtedy brak żywności stanie się klęską tak wielką i do tego stopnia dotkliwą, że poprostu uniemożliwi dalsze prowadzenie wojny.

## II.

Ażeby się o tem przekonać, niedość jest rozpatrywać same tylko cyfry przeciętne. Są naturalnie takie części kraju, w których żywności na miejscu jest dosyć, w innych obawa głodu zjawić się może, przy normalnych warunkach, dopiero na przednowku, lecz są prowincye, w których brak zboża może się dać czuć nawet natychmiast po żniwach.

Ażeby kwestyę daną oświetlić dokładniej, zróbmy odpowiedni obrachunek. Obliczmy mianowicie, o ile produkcya miejscowa nie wystarcza przy zwykłym stanie rzeczy na wyżywienie jednego przeciętnego mieszkańca. Ażeby nie obarczać pracy niniejszej zbyt długimi kolumnami cyfr, ograniczymy się tylko do różnych części Niemiec, jako do kraju w danym razie najważniejszego, tem bardziej, że nam chodzi głównie o przykład, o zilustrowanie tabelki poprzedniej. Każdy czytelnik z tego wypadku łatwo wytworzy sobie pojęcie o stanie rzeczy w krajach innych.

Wedle obliczeń, przeprowadzonych dla całego państwa niemieckiego, przeciętny mieszkaniec spożywa rocznie:

pszenicy . . . . .	3.64 pudów
żyta . . . . .	7.58 pudów
jęczmienia . . . . .	3.12 pudów
	<hr/>
razem. . . . .	14.34 pudów

Z drugiej strony, z danych statystyki urzędowej wiemy, że w tychże Niemczech 13% ogólnej produkcji pszenicy, 15% żyta i 10% jęczmienia idzie na zasiew. Na zasadzie tych danych budujemy następujące zestawienie:

## Nadmiar i niedobór zboża, wypadający na 1-go mieszkańca.

P r o w i n c y e	Nadmiar produkcji miejscowej w stosunku do 1-go mieszkańca w pudach	Niedobór produkcji miejscowej w stosunku do 1-go mieszkańca w pudach
Prowincye Saskie . . .	5.5	—
Ks. Poznańskie . . . .	3.4	—
Prusy Wschod. i Zachod.	1.4	—
Bawaryja . . . . .	1.4	—
Hessya . . . . .	0.8	—
Westfalia . . . . .	—	1.3
Szląsk . . . . .	—	1.7
Król. Pruskie (przecięt.)	—	2.0
Brandenburgia (i Berlin).	—	5.1
Hessen-Nassau . . . .	—	5.8
Królestwo Saskie . . .	—	7.3
Prowincye Nadreńskie .	—	7.4
Baden . . . . .	—	7.8
Wirtembergia . . . .	—	8.2
Reszta państwa . . . .	0.7	—

Widzimy więc, że z wymienionych prowincyi państwa niemieckiego (a w niewymienionych, ogółem biorąc, produkcya równa jest niemal konsumcyi, więc na rezultat obrachunku nie wpływa), tylko w prowincyi Saskiej, w Poznańskim i w Prusach wschodnich i zachodnich, a więc w całej wschodniej, graniczącej z Rosyją, części państwa, produkcya znacznie przewyższa miejscowe potrzeby. Przewyżkę, ale

zbliżającą się do zera, znajdujemy jeszcze tylko w Bawaryi i Hessyi. Wszędzie indziej konsumcyja zboża przenosi jego produkcję, a w niektórych częściach cesarstwa, jak w Brandenburgii, Badeniu, Wirtembergii, w Królestwie Saskiem i prowincjach Nadreńskich, brak wynosi przeszło połowę potrzeb.

Ponieważ w tych częściach państwa klasa rolnicza wynosi około 42% ogólnej liczby ludności, a klasa ta, pod wpływem obawy głodu, zapasy ziarna oczywiście przedewszystkiem dla wyżywienia swoich rodzin zachować zechce, przeto na potrzeby pozostałej części ludności koniecznem będzie, od pierwszego dnia po żniwach, sprowadzenie zboża. W czasie pokoju potrzebujące prowincye mogły korzystać z dowozu z Ameryki i Rossyi, lub też nabywać zboże z nadmiarów produkcji prowincyi wschodnich państwa niemieckiego. Z chwilą wypowiedzenia wojny i to źródło wyschnie. W prowincjach wschodnich właśnie, wobec bliskości teatru wojny, dokonywać się będą zakupy dla armii.

### III.

W. J. Niedźwiedzki, w nader zajmującym artykule. „Walka z głodem podczas przyszłej wojny,“ dochodzi do wniosku, że w składach wojsk niemieckich na granicy Rossyi znajduje się zapas zboża, wystarczający na miesiąc, lub najwięcej na półtora miesiąca dla armii, która według wszelkiego prawdopodobieństwa przeciwko Rossyi operować będzie. Liczebność tej armii tenże autor oblicza na 960,000 ludzi i 220,000 koni. Lecz pamiętać należy, że, według opinii innych bardzo poważnych pisarzy wojennych, liczebność armii, mającej przeciwko Rossyi wystąpić, za nisko obliczoną została.

Według zdania dyrektora akademii wojennej, profesora generała Leera, każda ze stron wojujących posiadać będzie 1 milion w służbie czynnej i 200,000 ludzi (w oddziałach pomocniczych, a zatem nie 960,000, lecz 1,200,000 ludzi, których trzeba będzie wyżywić. Ponieważ wojska na teatrze wojny nie będą w możności wyżywienia się środkami, jakich dostarczy dana miejscowość, wspomniane zatem wyżej zapasy intendentury trzeba będzie ciągle uzupełniać, jeżeli nie dla całej armii, to dla znacznej jej części. Gdyby więc nawet Poznańskie lub Prusy wschodnie czy zachodnie mogły użyczyć chleba prowincjom sąsiednim, co jest bardzo mało prawdopodobne, bo niewątpliwie po przejściu i pobyciu wojska spichrze i stodoły całkowicie się opróżnią, to i tak cena zboża była-by zbyt wysoką, właśnie z tych powodów, że o wiele przenosiła-by środki uboższej klasy ludności.

Wogóle dla zrozumienia sytuacji, jaka się w Europie całej utworzy po wybuchu wojny, należy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, względy i prawa ekonomiczne, które wówczas działać będą.

Przedewszystkiem już sama obawa, że się wojna przeciągnie i zapasy wyczerpią, może znacznie odrazu podbić ceny. W roku bieżącym mieliśmy żywy przykład, jak obawa braku z powodu nieurodzaju natychmiast wytworzyła drożyznę.

Takie są według przeciętnych obliczeń rezultaty produktywności i potrzeb przy średnich urodzajach.

Nie można tu jednakże pominąć jednej jeszcze okoliczności. Obfitość zbiorów w różnych latach bywa nader różną, a zatem i potrzeby dowozu ziarna mogą być różne. Przyjrzyjmy się nieco bliżej zmianom, które odnośnie do rozmiarów urodzajów powstać mogą.

W tym celu przyjmiemy średni przeciętny urodzaj lat 1885—1889, zamieszczony w pierwszej rubryce poniższej tabliczki w milionach hektolitrów, za sto, i obliczymy różnice produkcji w tym okresie.

P a ń s t w a	Przeciętny urodzaj w roku 1885—1889 w milionach hektolitrów.	Maximum	Minimum
		urodzaju, biorąc liczbę pierwszej kolumny za 100	
Rossya . . . . .	627.3	114.7	86.2
Niemcy . . . . .	255.1	106.2	91.9
Francya . . . . .	255.1	102.6	96.6
Austro-Węgry . . .	251.9	108.4	87.1
W.-Brytania. . . .	113.7	104.5	95.4
Włochy . . . . .	80.4	105.5	91.9
Rumunia . . . . .	51.2	135.5	77.7
Serbia. . . . .	9.4	131.9	91.5

Z powyższych cyfr widzimy, że w Niemczech rezultaty zbiorów najlepszych przeniosły cyfrę przeciętną o 6%, najgorszych były od niej niższe o 8%. W r. 1886, na który właśnie przypada maximum



plonów, przywóz zboża był o  $\frac{1}{3}$  część mniejszy, niż przywóz normalny w okresie 1881—1887. W roku zaś 1889 wskutek nieurodzaju przywóz był urosł o połowę niemal (46%). Na zasadzie tego faktu wnioskować można, że prawdopodobieństwo wybuchu wojny, gdybyśmy tę jedną okoliczność, wzięli na uwagę, większe było w roku 1886, niż w 1889. W innych państwach różnice co do urodzajów są nieznaczne, z wyjątkiem Rosyi i Austro-Węgier, tam bowiem wobec niższej kultury wahania uwydatniają się bardziej; w Rosyi odchylenie się od liczby przeciętnej w obie strony dochodzi do 14%, w Austrii niedobór wynosi 13%, nadwyżka 8%.

Wszystkie te względy: produkcya zbyt mała w stosunku do konsumpcyi, ustanie dowozu z zewnątrz państwa, zwiększone zapotrzebowanie ze strony samych mieszkańców, duże i nagłe zapotrzebowanie zboża dla armii—wszystko to działać będzie w jednym kierunku, a potęgując się wzajemnie, podbije niesłychanie ceny.

Obok tego zaś pamiętać należy, iż znaczna część zarobków ustanie całkowicie, inne się zmniejszą znacznie lub nieco.

Z chwilą przerwania dróg komunikacyjnych i wskutek wstrząśnienia, jakie wojna wywoła, produkcya fabryk, kopalń, praca rzemieślników i całego niemal przemysłu, z wyjątkiem tych, którzy wyrabiać będą przedmioty na potrzeby armii, zupełnie ustanie. Oprócz tego ojcowie rodzin, powołani do szeregów i, przy szybkiej mobilizacyi w armii niemieckiej np., wysłani bezzwłocznie w ciągu kilku godzin do swoich korpusów, pozostawią rodziny, w ogromnej liczbie wypadków, bez zapewnionego jutra. Jednocześnie zatem ze zjawieniem się drożyzny odrazu zmniejszą się sposoby wyżywienia ludności. Zestawiwszy te dwie okoliczności, dojdziemy do strasznego wniosku, że w niektórych państwach wojna pozbawi zupełnie miliony kawałka powszedniego chleba.

Będzie to tem straszniejsze, iż w tym samym czasie i dla tych samych powodów zdrożają również inne produkta, niezbędne do życia.

#### IV.

Trudno przesądzać, czy wobec obecnego nastroju ludności, oraz wskutek propagandy, która nurtować nie przestanie wśród mas, państwa będą mogły pozostawać bezczynnym świadkiem tak poważnych, niebezpiecznych wstrząśnień, a regulacyę cen zechcą pozostawić całkowicie na pastwę zwykłym warunkom podaży i popytu, czy będą mogły nie troszczyć się o zabezpieczenie bytu rodzin tych przynajmniej, których ojcowie pójdą narażać życie swoje w walce z nieprzyjacielem.

W każdym razie, wątpliwości ulegać nie może, iż wytworzy się położenie trudne, a jednocześnie rachować się wypadnie ze względami innymi, przewidywać je i uprzedzać.

W rozdziale, poświęconym znaczeniu propagandy socjalistycznej w organizmach społecznych Europy zachodniej, wyjaśnimy, jak obecność doktryn negacyjnych i żywiołów destrukcyjnych wpłynąć może na przebieg wypadków podczas kampanii i mocno skomplikować stosunki po ukończonej wojnie, niezależnie nawet od jej rezultatu. Szczególnie niebezpiecznym okazać się może przedłużenie kampanii, ten zaś wypadek jest przez pisarzy wojskowych bardzo przewidywany.

„Wskutek pobudowania dróg żelaznych — twierdzi np. prof. Leer — *okres operacji przygotowawczych* skrócił się bardzo. Tymczasem ruchy już na teatrze wojny będą prawdopodobnie bardziej niż dawniej powolne i zajmą więcej czasu, a to dlatego, iż koleje żelazne w nadzwyczajnie tylko rzadkich wypadkach do marszów bojowych użyć się dadzą i za linie operacyjne służyć nie mogą. Armie zaś współczesne po drogach zwyczajnych z taką szybkością, jak wojska Napoleona, poruszać się nie potrafią, gdyż skutek swego ogromu rozciągnąć się będą musiały na przestrzeni nie tylko absolutnie lecz i stosunkowo większej (dla łatwiejszego wyżywienia i rozmieszczenia), a powtórę, mają one przed sobą do spełnienia zadania szersze“<sup>1)</sup>.

Dalej autor przechodzi od operacji pojedynczych do całych kampanii i powiada: „Przy znacznie mniejszych siłach wojennych lata 1812, 1813 i 1814 tworzą jeden ciąg wojny trzyletniej. Ileż więc czasu potrzeba będzie, aby (wedle wyrażenia von der Goltza) zwalczyć nowożytnego Anteusza i oderwać go od ziemi, która będzie mu słała jedną armię za drugą?“

A więc, według tegoż prof. Leera, nadciągająca nawałnica nie skończy się — jak przypuszczają niektórzy — kilkoma piorunowej szybkości błyskami, lecz ciągnąć się może długie lata.

W razie wojny państw zachodnich z Rosyją, kampania, według zdania najwybitniejszych autorów francuskich i niemieckich, nie będzie mogła być ukończoną w ciągu jednego roku, prawdopodobnie wymagać będzie lat kilku. Zobaczmy, jakie stąd wypływają konsekwencje:

W skład niemieckich sił lądowych wchodzi cała męska ludność państwa od 17 do 45 roku życia włącznie. Jeżeli przyjmiemy, że do robót w polu mogą być użyci robotnicy od 15 do 65 roku życia, w takim razie 56% sił roboczych znajdować się będzie na polu walki.

---

<sup>1)</sup> Profesor generał Leer (autor znanego dzieła o Strategii) „Skomplikowane operacje“ wydanie akademii wojskowej. Petersburg 1892.

W razie nadzwyczajnym, jeżeli nawet nie cała wskazana część klasy robotniczej powołana zostanie do szeregów, nie mniej jednak ilość robotników rolnych zmniejszy się do tego stopnia, że nie będą oni mogli wykonać tej sumy robót w polu, która w czasie pokoju wymaga współdziałania całej męskiej ludności. Już ta jedna przyczyna w zupełności wystarcza, żeby podczas wojny produkcja rolna znacznie spadła, a co z tego wynika, aby wzrosła potrzeba przywozu zboża: wyżywienie ludności stanie się zatem coraz trudniejszym.

Oprócz braku robotników, może się też okazać brak koni roboczych.

Jeżeli mamy wierzyć danym zawartym w „L'année militaire“ z roku 1892, różne państwa w czasie mobilizacji będą potrzebowały następującej ilości koni:

P a ń s t w a	Armie na stopie pokojowej posiadają	W razie wojny potrzebować jeszcze będą	Ilość koni w kraju w tysiącach	Z 1,000 posiadanych przez kraj koni trzeba będzie wziąć w razie wojny sztuk
	koni w tysiącach			
Rossya . . . . .	160	340	25000	1.36
Francya . . . . .	142	308	3000	10.26
Anglia . . . . .	15	14	2000	0.70
Włochy . . . . .	45	75	750	10.00
Austria . . . . .	77	173	4000	4.32
Niemcy . . . . .	116	334	3000	11.13

Z liczby potrzebnych dla armii niemieckiej 218 tysięcy koni większa część również musi być wzięta od rolników. Naturalnie, iż to na sprawy rolne, a w szczególności na prowadzenie robót, musi oddziaływać niepomyślnie. Nie należy zapominać, że przy tak intensywnym sposobie gospodarowania, jaki jest w Niemczech, płodozmian urządzony jest w ten sposób, że pola zupełnie nie odpoczywają, zasiewy następują bezpośrednio jeden po drugim, opóźnienie zatem w robotach pociąga za sobą skutki niezwykle zgubne, nieznanie zupełnie w gospodarstwach mniej skomplikowanych i mniej udoskonalonych.

Dalej, jak wiadomo, w Niemczech jest zwyczaj świętowania przed rozpoczęciem robót w polu, tak zwane dni pokuty (Busstage), a następnie w ciągu lata roboty trwają już bez przerwy i wypoczynku, w niedzielę i dni świąteczne tak samo, jak i w powszednie. Nadto, przy zwykłych warunkach praca robotnika w Niemczech zużytkowywana jest tak intensywnie, że o możliwości zastąpienia pracy powołanych do szeregów robotników przez spotęgowanie pracy tych, którzy pozostali w domu, mowy nawet być nie może. W niemieckiej armii znajdować się będzie 38%, we francuskiej 42%, w austriackiej 49% robotników rolnych.

Jeżeli dalej uwzględnimy nawet, że pewna część robotników fabrycznych użyta zostanie do robót w polu, to i tak śmiało twierdzić można, że urodzaj roku następnego w porównaniu z latami poprzedzającymi zmniejszy się przynajmniej o 15%.

Zupełnie inaczej przedstawiają się rzeczy w Rosyi. Tu robotnika rolnego o wiele łatwiej jest zastąpić, niż gdziekolwiekbyś indziej, ponieważ największa część gruntów chłopskich znajduje się w posiadaniu gminy. W guberniach, położonych dalej na wschód, stosunek ten coraz bardziej wzmagą się na korzyść gminy, gdyż rozporządza ona coraz większemi obszarami ziemi.

Wogóle nie jesteśmy stronnikami tej formy władania ziemią i uważamy ją za główny powód złego stanu chłopskich gospodarstw w Rosyi; w tym jednak specjalnym wypadku, gdy chodzi o warunki, jakie wojna sprowadzi, i o skutki, jakie wywoła, przyznać trzeba, iż szkody, przez nią rolnikom zrzadzane, łatwiej zneutralizować się dadzą w gospodarstwach, będących w posiadaniu gminy, niż w majątkach osobistych. Gmina nigdy nie pozwoli zmarnieć kawałkowi ziemi, który był uprawiany przez robotnika, powołanego do wojska. Uprawia go gromada na rachunek rodziny rekruta, a ten po powrocie wstępuje w swoje dawne prawa.

Patrząc z tego punktu widzenia, musimy przyjść do wniosku, że niski stopień rozwoju gospodarstw w Rosyi przyczynia się właśnie do łatwiejszego zniesienia klęsk i strat, które występują jako następstwo wojny. Przytem rolnictwo w pierwotnej swojej formie jest zawsze mniej wrażliwe na nieporządek w gospodarstwie, niż wysoko intensywna kultura. Brak ladu i dozoru nie może zaszkodzić melioracyom i wogóle poprawnemu systematowi gospodarczemu tam, gdzie tych melioracyi wcale niema, a gospodarka nie opiera się na talencie i umiejętności jednostek, lecz prowadzona jest wedle pierwotnej, powszechnie znanej rutyny. To też rolnik, wracając do gospodarstwa, może być pewny, że znajdzie zupełnie to samo na swojej w najlepszym razie trzypółowce, co pozostawił, idąc na wojnę.

Robotnicy fabryczni w największej liczbie wypadków nie przestają należeć do gminy, a więc, w razie wybuchu wojny, ci, którzy powołani nie zostaną, powrócą do swoich wsi i zastąpią przy uprawie roli walczących parobczaków i gospodarzy. Oprócz tego, ponieważ w Rosyi niema zwyczaju pracowania w niedzielę i w znaczną ilość dni świątecznych, więc gdyby synod udzielił pozwolenia, ubytek rąk roboczych dał-by się całkowicie powetować pracą we dni, dziś przeznaczone na odpoczynek.

Rzućmy tylko okiem na liczby. Mężczyzn pomiędzy 20 i 50 rokiem życia w szeregach armii (licząc tylko siły zaczepne) znajduje się w Niemczech 31% (3 miliony), w Austrii 28%, we Francyi 47%, w Rosyi zaś tylko 15% (3 $\frac{1}{2}$  miliona) całej ludności. Ponieważ zaś niedziela stanowi siódmą część tygodnia, czyli 15% całego czasu roboczego, więc brakujący zastęp sił roboczych może być w zupełności pokryty jedynie pracą w niedzielę, nie licząc wcale nawet świąt.

## V.

Rozumie się, że kłopoty i nieszczęścia, jakie spaść mogą na państwa wskutek braku zboża na wyżywienie ludności, nie mogły nie zwrócić dotychczas na siebie uwagi zarówno rządów, jak i ekonomistów. Sprawa to jednakże tak oderwanej natury, że, pomimo całej doniosłości, zupełnie prawie nie doszła jeszcze do świadomości ogółu. Przysławne uczucie patryotyzmu przysłania w tym razie i powstrzymuje rozumowania, wyjaśniające szczegóły danej kwestyi, oraz wywołujące refleksje i zwątpienia. Zresztą ani sfery rządowe, ani znawcy nie chcą robić z tego przedmiotu kursujących sporów, narzekań, obaw, aby nie osłabiać ducha, a przez to w razie wojny i siły rzutu. W Niemczech sprawa ta już niejednokrotnie była poruszana przez socyalistów w parlamencie, nigdy jednakże nie stała się tematem narad publicznych, zawsze przekazywano ją specjalnej komisji. Rząd zaś komisjom tym komunikował projekta swoje zaopatrywania państwa w zboże, sprowadzane z Egiptu morzem przez kanał Sueski i Włochy, oraz lądem kolejami szwajcarskimi i austryackimi, a także z Węgier i Rumunii. O ile projekta te mają za sobą widoki urzeczywistnienia, postaramy się wykazać przy rozbiorze danych, dotyczących komunikacji wodnych podczas wojny.

W każdym razie, gdyby nawet pod obroną włoskiej i angielskiej floty dało się wozić zboże przez kanał Sueski, ryzyko i drożyzna przewozu podniosły-by do tego stopnia cenę ziarna, iż wszystkie przewidywane przez nas zjawiska nie omieszkały-by wystąpić.

Nie brakło też projektów zażegnania złego w inny sposób, lub przynajmniej osłabienia jego skutków.

Autor broszury „Auf der Schwelle des Krieges (1891)” przypuszcza, że wojna wybuchnąć może w chwili, jaką rząd francuski wybierze.

Wojna tegoczesna pozostaje w zależności od handlu międzynarodowego, którego pomocy potrzebuje cała niemal Europa, gdy chodzi o żywność dla mieszkańców.

Nie wiele krajów jest dziś zdolnych wyżywić ludność własnymi zapasami, jak to bywało w czasach dawniejszych. Dlatego też, w razie wojny, nieprzyjaciele starać się będą przede wszystkim przeszkadzać sobie wzajem w regularnym dowozie artykułów żywności dla zaspokojenia potrzeb mieszkańców. W obecnym czasie istnieją tylko trzy wielkie państwa, które mogą uważać się za niezależne co do sposobów wyżywienia swoich poddanych, mianowicie: Stany Zjednoczone, Austro-Węgry i Rosya. Dla wszystkich innych niezależność ta nie istnieje.

Niemcy np. z chwilą zakazu przywozu zboża z Rosyi znajdują się w położeniu obleganej fortecy, niezbyt obficie i nie na długo zaopatrzonej. Jeżeli więc wojna zaciągnie się na długo, produkcyja wewnętrzna się zmniejszy, dowóz morzem wobec groźby ze strony potężnej floty przeciwników ustanie, stan będzie poprostu niepodobny do przetrzymania.

Wobec tego autor wymienionej broszury proponuje utworzenie w państwie tak zwanego „żelaznego” zapasu zboża, nietylko na potrzeby armii, lecz i na zabezpieczenie ludności. Zapas taki nietylko-by więc usunął widmo głodu, lecz w znacznym stopniu bronił-by także od nieuniknionej w tych wypadkach drożyzny.

Z powyżej przytoczonych danych o ilościach corocznie sprowadzanego na potrzeby ludności zboża, trudno wyprowadzić wniosek, o ile projekt ten możliwym jest do urzeczywistnienia.

Zapasy, które należało-by utrzymywać i odnawiać, wymagały-by corocznie takich wydatków, że w obecnym czasie trudno-by było na to uzyskać zezwolenie parlamentu.

W Anglii sprawa wyżywienia ludności w czasie wojny jeszcze bardziej interesuje ogół.

„National Review” podaje mowę Samuela Bekera, w której znajdujemy rozumowania, dotyczące pomienionego przez nas przedmiotu. „Przyzwyczajeni jesteśmy do tego stopnia, żeby wszystko niezbędne dla wyżywienia się i ciągłości pracy było dostarczane do naszych portów, że nie możemy nawet wyobrazić sobie innego stanu. Niema jednakże wątpliwości, że w razie wybuchu wojny z silnem morskiem

państwem, cena zboża może się znacznie podnieść w całej Anglii, co nie pozostanie bez wpływu na przemysł i nastąpią trudne warunki bytu, jakie dotąd nigdy się jeszcze nie zdarzały, przy obecnym bowiem stanie samoobrony Anglii, nie jest ona w możności zaopatrzyć się w dostateczną ilość żywności."

Lord Charles Beresford, dowodzący jedną z części angielskiej eskadry na morzu Śródziemnym, utrzymuje, że w razie wojny Anglia nie może liczyć na dowóz żywności morzem. Admiral Gorunbi, przewodniczący na jednym z meetingów, zwołanych celem wystosowania adresu do rządu z prośbą o przedsięwzięcie środków zabezpieczających dowóz żywności, powiedział, że: „jeśli-by kiedykolwiek, nawet podczas świetnych zwycięstw na morzu, dowozy artykułów żywności do Anglii chwilowo zostały wstrzymane, wywołało-by to sytuację o wiele gorszą, niż nader dotkliwe klęski w bitwach morskich."

## VI.

Wskutek wyżej wymienionych okoliczności, w czasie wojny może się okazać brak i innych jeszcze produktów, niezbędnych do życia codziennego.

Najważniejszym z nich jest mięso; rozpatrzmy przeto, w jakim położeniu znajdują się różne państwa co do produkcji tego artykułu.

Liczbowe dane, które mogą nas w tej kwestyi poinformować, przedstawiają się w sposób następujący:

Handel mięsem w r. 1890.

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P	u	d	y
Austria . . . . .	19847	537713	517866	—
Rossya. . . . .	1200	99513	98313	—
Włochy . . . . .	7494	88476	80982	—
Niemcy . . . . .	1756394	1019919	—	736475
Francya . . . . .	1235860	122976	—	1112884

Okazuje się, że mięsa, produktu po zbożu najważniejszego, Austria, Rossya i Włochy wytwarzają więcej, niż spożywają. Pozostałe państwa zmuszone są dokupywać na zaspokojenie potrzeb wewnętrznych. W Niemczech w 1890 roku przywóz przeszło o 736 milionów pudów przewyższał wywóz. We Francyi jeszcze bardziej, bo o 1,112 tysięcy pudów.

A więc też same kraje, które mają u siebie dosyć zboża, mogą nie lękać się również braku mięsa. Przeciwnie, Niemcom i Francyi zabraknie prawdopodobnie w razie uporeczywej wojny obu głównych produktów żywności.

Zapewne, że w Niemczech i we Francyi znajdują się tak znaczne inwentarze w gospodarstwach rolnych, iż niedobór mięsa, wynikły z ustania przywozu, można będzie zastąpić przez bicie inwentarza; lecz w takim razie, wobec znacznej wartości posiadanych przez wspomniane państwa ras bydła, ceny mięsa znacznie podskoczą w górę.

Odmienne nieco cyfry znajdujemy co do produkcji i konsumcyi masła:

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P	u	d	y
Francya . . . . .	400221	1808162	1407941	—
Austria . . . . .	5146	621111	615965	—
Rossya. . . . .	133235	385340	252105	—
Włochy . . . . .	19212	182616	163404	—
Niemcy . . . . .	543505	429529	—	113976

Nietylko Austria i Rossya, lecz również Włochy, a szczególnie Francya, produkują więcej, niż im potrzeba. Niemcy, i masła, tak samo jak zboża i mięsa, wytwarzają mniej, niż spożywają.

Tylko pod względem wywozu i przywozu soli Rossya znajduje się w położeniu mniej dogodnym, niż państwa zachodnie, bo kiedy one mogą wywozić znaczne ilości za granicę, w Rossyi brakuje na potrzeby wewnętrzne, przy normalnym stanie rzeczy, przeszło pół miliona.



Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P	u	d	y
Austria . . . . .	—	616582	616582	—
Niemcy . . . . .	1279614	1217694	10897327	—
Włochy . . . . .	—	11780366	11680366	—
Rossya. . . . .	1052316	456084	—	596232

Zaznaczyć jednak należy, iż przy wewnętrznej produkcji, wynoszącej około 70 milionów pudów corocznie, brak ten bardzo łatwo wypełniony być może przez zwiększenie wytworczości.

Austria i pod tą pozycją zajmuje miejsce dogodne.

Co się tyczy zaopatrzenia się w naftę, która dziś stanowi dla ludu przedmiot niezbędującej potrzeby, położenie Rossyi jest bardzo korzystne.

Niesłychanie bogate kopalnie Kaukazu pozwalają Rossyi nie sprowadzać wcale prawie nafty, wywóz odwrotnie jest bardzo wielki. Niemcy, Włochy i Francya nie mają zupełnie co wywozić, wszystko sprowadzają z zagranicy. W Austrii import jest też bardzo wielki, chociaż produkcya miejscowa (w Galicyi) wzrasta nieustannie.

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P	u	d	y
Rossya. . . . .	12	760707	760695	—
Austria . . . . .	15400551	380776	—	15019775
Włochy . . . . .	4270692	—	—	4270692
Francya . . . . .	7916946	—	—	7916946
Niemcy . . . . .	39485700	—	—	39485700

Kwestya węgla kamiennego przedstawia się w sposób następujący. Przywóz pod odjęciu wywozu wynosi we Francyi 491 milionów pudów, w Austrii 99 milionów pudów, a w Rossyi 93 miliony pudów. Wywóz węgla z Niemiec o 274 miliony pudów przewyższa przywóz.

W najkorzystniejszym zatem położeniu co do opalu znajdują się Niemcy, następnie Austria, będąca w możności pokrycia niewielkiej stosunkowo różnicy pomiędzy przywozem i wywozem, powiększając produkcję, chociaż prawdopodobnie, wobec wstrzymania działalności wielu fabryk, nie będzie to zupełnie potrzebne. W Rosyi, jakkolwiek produkcya węgla w kopalniach dąbrowskich, wynosząca około 130 milionów pudów, prawdopodobnie zostanie wstrzymana, brak węgla uczuć się nie da, ponieważ zamknięcie fabryk bezwątpienia zmniejszy zapotrzebowanie. Nadto należy zwrócić na to uwagę, że w nader wielu miejscowościach Rosyi, jako materiału opałowego, używają drzewa, co przy obfitości lasów zabezpiecza państwo na bardzo jeszcze długi przeciąg czasu, rozumie się powiększywszy ich eksploatację. W okręgu kopalń dąbrowskich ludność miejscowa będzie musiała na wypadek wojny bezzwłocznie przystąpić do użytkowania, dosyć często w rozmaitych okolicach spotykanych, pokładów torfu.

Po żywności występuje odzież. Rosya znowu posiada warunki szczęśliwsze, bo obecnie już pewną a coraz znaczniejszą część bawełny, przeszło 40% własnych potrzeb, sprowadza z Azji, w czem jej wojna przeszkadzać nie będzie; też na miejscowe potrzeby nie zabraknie.

Zresztą brak odzieży prawdopodobnie nigdzie dotkliwie czuć się nie da i na szali wypadków nie zaważy, gdyż we wszystkich krajach istnieją u ludzi pewne zapasy, a dla wojska dostatecznie zapewne opatrzone magazyny.

Ogromnie ważną będzie okoliczność, o ile państwa energicznie i pośpiesznie potrafią zaopatrywać armie swoje w broń i amunicję wszelkiego rodzaju. Wszystkie jednak mocarstwa są pod tym względem, zdaje się, dostatecznie zabezpieczone. Nadto, z wyjątkiem Włoch, Turcyi i Rumunii, wszędzie rozwinięte są bardzo warsztaty, produkujące broń i pociski. Zapasy zaś materiałów, których wewnątrz kraju mieć nie można, są niewątpliwie obrachowane na wojny dłuższe. Zbyt to względ ważny i zbyt oczywisty, aby go gdziekolwiek lekceważono lub przeoczono.

Na podstawie wyżej przytoczonych względów i obliczeń, dochodzimy do wniosków następujących:

1) Przewagę w wojnie przyszłej mieć będą te państwa, które ją dłużej wytrzymać zdołają.

2) Kwestya żywienia ludności przy anormalnych warunkach czasu wojennego wystąpi na plan pierwszy; państwa więc, którym własna produkcya nie wystarcza, będą musiały bardzo dbać o to, aby sprzęt dokonany został jak najdokładniej, czyli przed zupełnem ukończeniem zniw na wojnę zdecydują się chyba w ostateczności.

3) Najprawdopodobniej wojna wybuchnie w tym roku, kiedy urodzaj w państwie, mającem zamiar ją wypowiedzieć, będzie większy od normalnego. W latach nieurodzajnych pokój można uważać za pewniejszy.

4) Przed wybuchem wojny, jako najpoważniejszy znak zwiastujący, wystąpi gorączkowe zaopatrywanie się we wszelkie artykuły żywności tych państw, które mogą się obawiać braku własnych środków do wyżywienia ludności.

5) W czasie wojny, a zwłaszcza po jej ukończeniu, wskutek przewrotu w zarobkowaniu i wyżywieniu ludności, mogą wybuchnąć bardzo silne ruchy ludowe.

W rezultacie musimy się zastrzedz, że pewność naszych przypuszczeń jest w ścisłej zależności od tego, o ile racjonalnem jest przypuszczenie, że żegluga morską dla okrętów kupieckich w czasie wojny nie będzie możebna.

Podstawę do tego przypuszczenia wyluszczyliśmy w następującym rozdziale.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

---

## Z cyklu „ITALIA.”

---

### I.

#### Nad Ticino.

.....

---

Lombardji pola mi się pokazały  
We mgłach szerokich, kryjących błękity;  
Kości Barbarossy cwałował w nich biały,  
Przed nim szlak mleczny, perłami wybity,  
Za nim się grzywy tumanem rozwiały,  
Nad nim szumiące w potokach piór kity.  
Pędził, do starych bojów rżąc, do chwały,  
Do szczęków mieczy, dzwoniących w dziury,  
Do warku cięciw i do świstów strzały.  
Lecz kraj był cichy i smutkiem nakryty  
Rzeczy, co przeszły, i ech, co skonały,  
I sam we własne nie wierzył już świty.

— Na koń! Na konia!... Kto będzie dość śmiały  
Osiąść rumaka z srebrnymi kopyty? —  
Cisza. W dolinach wiunice zadrżały.

Okrzyk, odrzucon przez Alpów gdzieś szczyty,  
Wracał je trącać dreszczem, a wiatr mały  
Ros z nich otrząsał złote chryzality.

I nagle pastuch lombardzki zdziczały  
Rozgarnął w strony liść jasno podszyty,  
I patrzył we mgły, a nozdrza mu grały...

---

## II.

### W Parmie.

---

Nad opactwem San Paolo  
Sieje żarem strop niebieski;  
Abbatessa Giovannina  
W parlatorium chce mieć freski.

Abbatessę Giovanninę  
Już pół wieku habit kryje,  
Gruby habit z ciemnej wełny,  
Gruby kaptur aż po szyję.

Abbatessa Giovannina  
Jest z Piaczeny blizkiej rodem,  
A żywota surowością  
Przed wszystkimi idzie przodem.

Teraz w celi zadumana  
Piękną głowę w myślach kłoni,  
I podpiera białe czoło,  
Na wysmukłej białej dłoni.

— Z czarodziejstwa swojej sztuki,  
Mistrz Correggio w Parmie znany;  
On swym pędzlem przeczaruje  
Parlatorium nagie ściany.

Mistrz Correggio w swej palecie  
Ma te wszystkie barwy, blaski,  
Jakie tylko ludzkie oczy  
Cieszyć mogą z bożej łaski. —

Nad opactwem San Paolo  
Gasną w mrokach zorze blade,  
Abbatessa Giovannina  
Długą z mistrzem ma naradę.

Długo zgodzić się nie mogą  
Na wybranie fresków treści,  
Choć się ciśnie tłum postaci  
Z świętych legend i powieści.

Z starej biblji, z starej księgi,  
Mistrz poddaje obraz, słowo;  
Abbatessa Giovannina  
Przechy ręką, przeczy głową.

Przykrzy sobie pode drzwiami  
Najciekawsza nowicjuszka:  
Z cicha mówią, szmer zaledwie  
Dolatuje do jej uszka.

Już i pełnia księżycowa  
Błysła w szyby bladym złotem,  
Kiedy pojął mistrz Correggio,  
Co ma fresków być przedmiotem.

Od poranku San Paolo  
Rozebrzmiało pracy wrzawą;  
Lecz mistrz zamknął się w komnacie  
Z swem natchnieniem i swą sławą.

Drobnym krokiem mniszki drepcą  
Ze schowaną w kaptur głową,  
O cudownem malowaniu  
Szepecą sobie to i owo.

Co?... Ucieczka do Egiptu?...  
Co?... Herodjas?... Jana głowę?...  
Albo może pokłon Magów?...  
Albo cuda Mojżeszowe?...

Próżno gubią się w domysłach!  
Nieme ściany, głuche mury...  
Na silentium dzwonek woła,  
Do „inchiostra”, do klauzury.

Sama tylko Abbatessa,  
Wstęp ma wolny do komnaty;  
Często widać cień jej smukły,  
Często słyszać chrzęst jej szaty.

Sama tylko Abbatessa  
Na rusztowań wchodzi deski  
I odrzuca kaptur z czoła,  
Żeby lepiej widzieć freski.

To pochwali, to przygani,  
Tu myśl nową rzuci śmieie:  
Do podziwu mądra pani,  
Na malarskiem zna się dziele!

Aż błysnęły nagle mury  
Z pod kryjącej je osłony;  
Mistrz Correggio pędzle złożył,  
Fresk precudny już skończony.

Na błękitnych tłach plafonu,  
W lwim zaprzęgu Eros pędzi,  
A dokola drobne „pussi” <sup>1)</sup>  
Sieją róże po krawędzi.

---

<sup>1)</sup> Amorki.

Amorkowe ciała świeże,  
 Na lazurów dna rzucone,  
 W hyacyntów i narcyzów  
 Żywą wiją się koronę.

Nad kominkiem łowcza Djana  
 Orszak sprawia swój myśliwy;  
 Nimfy wiążą jej sandały,  
 Prężą łuki i cięciwy.

W fryzie tańczą Gracje białe,  
 Bachus z grona sos wysysa,  
 A na głównej ścianie Wenus  
 Płacze śmierci Adonisa.

Klaszczą mniszki zachwycone,  
 Przyklaskuje całe miasto...

. . . . .  
 Prawda, wieki zaczynały  
 Ledwo — wiosnę swą szesnastą!

---

### III.

#### W zatoce Baji i Willa Cycerona.

---

Cycero?... Tu więc morze rytm dało mu boski,  
 Rozperlając toń myśli na dźwięki i głoski,  
 I w każdą perłę lejąc muzykę echową,  
 Tak, że wskrós wieków do dziś słyhać każde słowo?..

Cycero?.. Z tej więc fali, co łódź moją trąca,  
 Wstała ta mowa nagła, silna, błyskająca  
 Słonecznemi iskrami, lub pogardy pianą,  
 Mowa, której Rzym słuchał, ugiąwszy kolano?



Tu więc, po tym mirtowym przechodząc się chłodzie,  
Kąpał wieńczone czoło w błękitnej pogodzie,  
I upojon tych winnic pochlebny szelestem,  
Myślał że tłumy, stawał i witał je gestem?

Tu, wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie,  
Uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie,  
W którym — choćby przeklinał i wołał: „banita!”  
Drżała piękność, od kształtów amfory odbita?

. . . . .

Katylino, widzę cię! W wielkiej, jasnej sali  
Siedzą Rzymianie, w togach swych senackich biali.  
Twarze śniade, na czaszkach nisko cięte włosy,  
Półkrężnym siedzą wieńcem, dawać mają głosy.

Namysł, nieufność, trwoga, ściągnęły oblicza;  
W pośrodku dym z trójnoga kadzielnego znicza,  
Cienkiem, błękitnem pasmem po sali się wije,  
Owiewając odkryte ramiona i szyje.

Gesty latają w posły; coraz to z pod togi  
Wytknie ręka dwa palce, jak księżyc dwurogi,  
Owdzie brwi podniesionych łuk groźnie napięty,  
A wielki palec sterczy schylony i zgięty.

Ty sam, na rogu ławy, gwałtowne tve oczy  
Wbiłeś w ziemię. Wzrok ciśnie, napiera ją, tłoczy;  
Twarz z bronzu pobieliała, a obiedwie pięście  
Wparte w kolana. Wściekły bunt słyhać w ich chrzęście.

Włos zjeżony, kark zgięty, nie skruczą, lecz losem.  
Milczysz... Gdybyś się ozwał, nie swoim snać głosem,  
Lecz zdławionego gardła krzykiem, mową wilczą.  
Milczysz... Pioruny, bijąc w chmury z chmur, tak milczą.

Widzę cię! Ława pusta za tobą w polowie:  
Odsunęli swe togi ostrożnie mężowie,

By nie dotknąć się szaty, co ciebie okrywa...  
Pustka cię otoczyła, nad hańbę zelżywa!

Jeden z siedzących wyżej schylił czaszkę łysą  
I czoło, naznaczone w poprzek grubą rysą;  
Oczy w dłoń schował; palce kościste i twarde  
Cisną wstecz, w głąb źrenicy, lzy, wstyd, czy pogardę.

Szmer i ruch idzie izbą; zwrócono w bok głowy —  
Spojrzeniem się tłómaczą i dzielą, nie słowy;  
Coraz to skośnym ogniem odstrzeli powieka,  
Duchy wiszą na ustach jednego człowieka.

Przed ławami mąż stoi; mąż pięknej postaci.  
On jeden wpośród zboru pogody nie traci,  
I ku ławom gest czyniąc pieścioną swą dłońią,  
Mówi... Jak jasne perły, tak słowa się gonią.

Mówi... Państwo, vis, virtus, starej Romy cnota...  
Głos dźwięczniejszy od spiżu, a twardszy od młota!  
Mówi... Każde z słów jego na złota kłaść wagę.  
Cycero! Kto mu przeciw stanąć ma odwagę?

Promień słońca upada i blask mu swój ściele:  
Mówi... Prawo, lud, spokój, współobywatele...  
Wielkie słowa! Głos wpada w kolumny i ginie  
W szepcie korynckich liści: śmierć... śmierć Katylinie!...

. . . . .

Slucham, i rękę falom puściwszy z mej łodzi,  
Myślę, jak głos retora daleko dochodzi...  
I myślę, jak głęboki nurt morza i siny,  
I jaka blada na dnie ta twarz Katyliny...

## IV.

## „Sul mare.“

. . . . .

Co ranek patrzę w okno me,  
O najwcześniejszej zorzy,  
Kiedy najpierwszy brzask i świt  
Na morzu się położy.

I widzę łódź na jasnym tle  
Złotoróżanej fali,  
Jak lekko płynie, lekko mknie,  
Jak się jej żagiel pali.

Żagiel pochyły, drobna łódź  
Ni wioseł, ni kół zgrzytu;  
Tylko ją świeży morza dech  
W świetlistość pędzi świtu.

Żagiel pochyły, drobna łódź,  
Tak chyżo w brzask ucieka,  
Jakby ją drogi wołał głos,  
Głos drogi gdzieś zdaleka.

Cały rój potem statków mknie,  
Przed oknem mojem biały;  
Jedne jak srebrne mewy wód,  
Drugie jak srebrne strzały.

Lecz żaden z nich nie płynie tak  
Nagle, a lekko, z cicha,  
Jako ten jeden wczesny ptak,  
Co ranną zorzą dycha.

Powrotu jego nie wiem gdzie  
Szukać i czekać trzeba;

Nie widzę nigdy go na tle  
Zachodniej luny nieba.

Lecz gdy się zbudzę, on już straż  
Poranną cicho trzyma,  
I niesie żagiel pelen róż,  
Który mu zorza wzdyma.

I patrzę za nim w złoty szlak,  
W jutrzenny szlak bez końca,  
I myślę, że to jest mój duch,  
Co leci na wschód słońca.

I myślę, że to jest mój duch,  
Co w jasny świt ucieka,  
I że go woła drogi głos,  
Głos drogi gdzieś zdaleka...

MARYA KONOPNICKA.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Miesiąc ubiegły przynosił czytelnikom gazet wrażenia ściśle polityczne, nie przynosił wrażeń dyplomatycznych. To znaczy, że krążyły w powietrzu echa miejscowych wewnętrznych kłopotów różnych państw; nie działo się jednak nic, lub prawie nic takiego, co dotyczy powikłanych interesów międzynarodowych. W tej sferze panuje wciąż jednakowy spokój. Było-by wielce dodatnim rysem stosunków, gdyby ten spokój stanowił oznakę czegoś innego, niż chwilowego zastoju. Skoro jednakże uzbrojenia nie ustają, uprzedzenia nie pękają, urazy nie rozprasają się, interesa nie przestają się krzyżować, więc i ów spokój nie jest czem innym, jak przedłużającym się zawieszeniem broni. Prawda, że ma ono cechy trwałości i może się Bóg wie jak długo utrzymywać. Ta okoliczność wprowadza dziś większą równowagę do umysłów, niż widzieliśmy przed kilku laty, kiedy lada depresja, lada słówko ministra budziły panikę na giełdach i szerzyły obawę wojny. Teraz nawet giełdy stały się mniej wrażliwe. Opinia publiczna zupełnie się uspokoiła i czeka przyszłych wypadków bez chorobliwej gorączki. Nie można tego nazwać inaczej, jak objawem dodatnim, bowiem giełdowe i prasowe paniki niczego nie rozwiązywały, niczego nie przyspieszały nawet, a natomiast wprowadzały do życia ekonomicznego i umysłowego żywioł zniechęcenia, niepewności i zastoju.

Uwagę publiczną pochłaniały sprawy wewnętrzne państw. We Francji wciąż jeszcze Panama, w Niemczech wciąż projekt reformy wojskowej, w Anglii wciąż bil irlandzki, w Austrii zawsze ta sama zagadka o utworzeniu stałej w parlamencie większości. Streśnemy pokrótce przebieg wypadków.

W sprawie skandałów panamskich zapadł wyrok pierwszej instancji, skazujący administratorów Towarzystwa panamskiego, w tej liczbie obu Lessepsów, na kilkuletnie więzienie. Skazani apelowali. Zanim wyrok otrzyma potwierdzenie w wyższych instancjach, tymczasem rozpoczął się przed sądem przysięgłych proces o przekupstwa, wytoczony z jednej strony administratorom towarzystwa, którzy przekupywali, z drugiej pewnej liczbie przekupionych. Braki podwójnego śledztwa, sądowego i parlamentarnego, nie zostały dotąd zapełnione i „lista“ przekupionych członków parlamentu nie jest dokładnie wiadoma; to jest powód, dla którego stanęło przed sądem tylko kilku „przekupionych.“ Z tych kilku zaledwie jeden przyznaje się do winy, ex-minister Bailhaut, reszta zaś stanowczo zapiera się, żeby brała łapówki za wota. Zatem najciekawsza i najdonioślejsza część tej sprawy, przekupstwa parlamentarne, ciągle jeszcze potrzebuje wyświe tlenia. Jeden Bailhaut i paru innych, wątpliwych, mały to rezultat jak na stu kilkudziesięciu przekupionych deputowanych, o których mówią oskarżenia ogólnikowe. Publiczność francuska zostaje ciągle pod tem wrażeniem, że interesowani używają wszelkich środków do zatajenia prawdy; pomawiano o to i rząd, który jakoby nie dość energicznie ści gal Artona, mającego w swem posiadaniu ową legendową „listę.“ Zresztą Karol Lesseps, broniąc się, twierdzi, że towarzystwo panamskie nie przekupywało deputowanych. Dawało ono pieniądze na cele rządowe, ulegając naciskowi ministrów i wpływowych przywódców; sądziło jednak, że wyświadcza przez to usługę rzeczypospolitej, bo pod tym pozorem wyludzano od niego pieniądze. Ci, co je w ten sposób wyludzili, byli to, jak ujawnił Lesseps: Freycinet, Floquet, Clémenceau, Rouvier.

Zanim przysięgli orzekną winę lub niewinność oskarżonych, tymczasem zeznania jednej z osób wezwanych do świadczenia, mianowicie pani Cottu, spowodowały podanie się do dymisji ministra sprawiedliwości, Bourgeois. Pani Cottu zeznała, że naczelnik policyi tajnej, niejaki Soinoury, usiłował ją skłonić do oddziaływania na Lessepsa, aby „zbyt wiele“ nie mówił, rozumieć należy: aby nie mówił rzeczy, dotyczących wyludzania pieniędzy przez byłych ministrów na cele rządowe, oraz starał się od niej wydostać jakieś dokumenta „kompromitujące deputowanych z prawicy.“ Za te usługi p. Soinoury ofiarował pani Cottu zawieszenie procesu i wypuszczenie na wolność jej męża oraz

innych uwięzionych administratorów towarzystwa panamskiego. Bourgeois, minister sprawiedliwości, znowu przeczy, aby ten szantaż polityczny dokonany był z jego polecenia. Jednakże podał się do dymisji. To nie spowodowało upadku całego gabinetu, który wszakże trzyma się tylko dlatego, że oportuniści nie mają odwagi wejść w sojusz z prawiwą konstytucyjną, a z drugiej strony, że w łonie dzisiejszej większości niema amatorów na teki ministeryalne w tych trudnych i powikłanych okolicznościach.

Sprawa reformy wojskowej w Niemczech posunęła się o tyle, że specjalna komisya parlamentu, której powierzono projekt do zbadania, takowy w całości w pierwszym czytaniu odrzuciła. Rząd nie przystawał na kompromis, większość komisji nie chciała się zgodzić na całość projektu. Pytanie, jak się skończą następne czytania i jak się zachowa parlament? Może on pójść za zdaniem swojej komisji, lub nie pójść. Rozstrzygnięcie leży w ręku centrum, które jest w tej chwili panem położenia. Jakoż teraz zaczną się zapewne poufne targi między tem stronnictwem a rządem. Gdyby nie doprowadziły do pożądaných wyników, jest możliwem, że parlament ulegnie rozwiązaniu. Tak przynajmniej dają do zrozumienia sfery urzędowe.

Bil irlandzki Gladstone'a, który miał przyjść pod obrady izby gmin w dniu 10 marca, nie utrzymał się wówczas na porządku dziennym. Zdarzyło się tak nieszczęśliwie, że Gladstone zachorował. Bez niego, który jest głównym filarem reformy i którego powaga musi być ciągle rzucana na szalę przekonań izby, rozprawy są niemożliwe. To też odłożone zostały aż do czasu wyzdrowienia Gladstone'a, czyli że nie nastąpią wcześniej, jak po świętach wielkanocnych.

W Wiedniu zdarzył się ciekawy epizod parlamentarny, najciekawszy niezawodnie w całej historii walki politycznej od chwili upadku ugody czesko-niemieckiej, mianowicie: wymiana mów pojednawczych między lewicą niemiecką i młodoczechami. Plener był w tym razie mówcą lewicy, Herold mówcą młodoczechów. Prasa wyciągnęła stąd wniosek o nastąpić mogącym porozumieniu obu stronnictw i zaczęła już snuć z tego motywu daleko sięgające kombinacje. Pokazało się jednak wkrótce, że owe przemówienia pojednawcze były tylko manewrem parlamentarnym, a nie istotną zapowiedzią nowej ugody. Zarówno lewica, jak młodoczesi uznali za korzystne i efektowne popisać się gotowością do pojednania. Miało to być korzystne, bo powinno było napędzić zbawienego strachu hrabiemu Taaffemu; efekt mówi sam za siebie. Swoją drogą użycie hasła zgody przez młodoczechów i lewicę niemiecką, choćby dla celów ubocznych, jest już wielce znaczące. Dwa te stronnictwa tak zawzięcie z sobą wojują, że o raptownem, przez nie nieprzygotowanem pogodzeniu się ich, myśleć nie

można. Myśl pojednania musi się z początku ukazywać nieśmiało, przypadkowo, ze względów postronnych. Ale do niedawna nawet w tej formie ukazanie się jej było niepodobne. Prasa młodoczeska, a zwłaszcza żarliwe *Narodni Listy*, uderzyły na alarm, protestując przeciw paktowi z lewicą po przemówieniach Plenera i Herolda. Nie zmienia to jednak ukrytego sensu manifestacyi. Polega on na tem, że oba stronnictwa przychodzą widocznie coraz bardziej do przeświadczenia o jałowości walki, jaką z sobą toczą, a która, wyczerpując je, nie przynosi żadnemu pożytku i nie otwiera przed żadnem widoków zwycięstwa. Kiedy przeświadczenie to stanie się mocniejszym niż dziś i powszechniejszem w kołach niemieckich i młodoczeskich, kwestya zawarcia ugody będzie znowu aktualną. Życzyć-by tylko w takim razie trzeba obu stronnictwom, żeby ją szczęśliwiej rozwiązały, niż przy pierwszym układzie Niemców ze Staroczechami.

W Serbii odbyły się wybory do sejmu. Obalily one stanowczo liczebną przewagę radykalistów. W nowym sejmie są oni w mniejszości; większość stanowią liberalni. Nie jest ona znaczną, bo wynosi zaledwie kilka głosów. Kiedy się jednak zważy, że doszli do niej z nicości prawie — w poprzednim rozwiązany sejmie zasiadało ich zaledwie kilku — wypadnie uznać, że zwycięstwo po stronie rządu było niemałe. Swoją drogą jednak, rząd będzie zmuszony liczyć się z opozycją, a nawet dla swobodnego rozwoju swojej działalności ustawodawczej dobrze-by mu było wejść w porozumienie bądź z grupą postępowców, bądź z umiarkowańszym odłamek obozu radykalnego. W tym też kierunku będzie się zwracała serbska dyplomacya sejmowa stronnictwa rządowego i gabinetu Awakumowicza.

Po szarej, przytłaczającej półmrokiem jesieni, po śnieżnej i mroźnej zimie, dusza ludzka, a z nią dokoła wszelkie życie organiczne, nawpół obumarłe lub senne, rwie się do światła i ciepła. Ucho i wzrok chciwie chwytają najdrobniejsze objawy budzenia się natury i — rzecz dziwna — pomimo, że to rozstawanie się ze snem długotrwałym dotkliwe ślady zostawia, pomimo, że pierwsze przebłyski wiosny znaczą swe kroki na mieniu i życiu ludzkim, jednak ten okres życiodajny rodzi wielką radość w sercach; obfitość światła, rozlewającego się w przyrodzie, zagląda do głębi duszy, pod czaszkę do mózgu, skołatanego troskami o życie codzienne, utrudnione surowością zimy. W tym roku bardziej niż w latach poprzednich radość łączy się z troską, bo jednocześnie z silniejszym drgnieniem tętna przyrody zrodzą się nowe środki roznoszenia śmierci; nowy rozkwit życia w naturze, zabierze daninę w postaci życia ludzkiego, a surowymi poborcami będą wszelkie epidemie. Ale i ostrożność nie śpi, wzmaga się ona i rozszerza, w miarę



przybliżania się wiosny. Komitety obywatelskie i służba zdrowia są półgotowe do walki. Niezbita zaś prawda, że sprzymierzeńcem epidemii jest nędza, coraz bardziej zajmuje uwagę powszechną, więc komitet obywatelski zwraca się do instytucji dobroczynnej o pomoc w tym względzie i sam tego rodzaju ratunek w swym programie uważa za najracjonalniejszy. Istotnie, filantropia, której nigdy chyba nie zbrakło pola do szerzenia swej działalności, tym razem powinna zdwoić swe usługi, ale w sposób bardziej niż kiedykolwiek oględny, t. j. nie w znaczeniu oszczędnościowem, lecz — w rodzaju tych usług. Częstokroć ofiary, nawet szczodrze przez nią sypane, idą na marne, nie przynoszą pożytku obdarzonym, ani zadowolenia moralnego obdarzającym. Otóż przedewszystkiem powinna być ograniczona działalność jałmużnicza, która właśnie jest najczęściej bezowocną, a natomiast należało-by rozwijać wszelkie stałe organizacje dobroczynne, pozostawiające trwalsze ślady swych usiłowań.

Zdaje się, że w tym duchu organizacja dobroczynności będzie w całym państwie przekształcona. Wszelkie w tym względzie dojrzałe urzędnictwo na zachodzie zwróciły uwagę władzy i oto ministerjum spraw wewnętrznych powołało komisję, która ma się zająć reformą. O ile można wnosić z kroków przygotowawczych, przekształcenie organizacji dobroczynnej będzie miało na celu troskę o polepszenie ogólnych warunków bytu tych warstw, które pomocy potrzebują. Według statystyki sanitarnej Londynu, w pewnych dzielnicach tego miasta śmiertelność wynosiła r. 1889 sześćdziesiąt osób na tysiąc, obecnie zaś tylko siedmnaście. Tak ponysłny stan rzeczy przypisywany jest zbudowaniu dla ludności ubogiej nowych domów, według wymagań higieny. Kasy emerytalne, oszczędnościowe i wogóle wszelkie instytucje finansowe chętnie udzielają pożyczek długoterminowych na hypotekę spółek, nabywających lub budujących takie domy, z zachowaniem wszelkich warunków zdrowotnych. W Belgii za czyste utrzymanie mieszkań ludność uboga dostaje nagrody pieniężne; instytucje zaś dobroczynne, ponoszące te wydatki, są pewne, że dadzą się one pokryć z lichwą już samem zabezpieczeniem społeczeństwa od klęsk epidemii. Wogóle filantropia na Zachodzie dąży nie tylko do poprawienia warunków mieszkalnych, ale do dostarczania warstwom ubogim zdrowej strawy. W tym celu szeroko działające towarzystwa spożywcze zniżają tam środki utrzymania dla biednych i niezamożnych o 20—30%, co wraz z działalnością tanich jadalni zaspokajają pierwszorzędne potrzeby mas całych i pozwala im być mniej wybrednemi i twardemi w przyjmowaniu wszelkich zobowiązań pracy. Korzystają zatem z organizacji dobroczynnej nie tylko ubodzy, ale pośrednio i ci, którym

taniaść wyżywienia ludności szarej daje możność zyskania sił tanich i wytrzymałych. Pomijając wszelką obosieczność organizacyi dobroczynnej, musimy przyznać, co już nieraz czyniliśmy na tem miejscu, że pod wielu już względami systemat filantropijny, w braku innego, wydał na Zachodzie sporo owoców pomyślnych. Na te właśnie jej strony i szczegóły zwróciła uwagę komisya, powołana przez ministerjum spraw wewnętrznych, a więc przypuszczać można, że reforma będzie wzorowana na urządzeniach zagranicznych.

Taniaść wyżywienia nietylko leży w obrębie działalności dobroczynnej. Uprzystępnienie wszelkich środków bytu warstwom niezamożnym i średnio-zamożnym jest najgorętszą kwestyą chwili. To też każdy objaw w tym zakresie chętnie notujemy i podnosimy. Tym razem mamy do zaznaczenia wielce pożądaną zmianę w działalności sklepów spożywczych na prowincyi. Oto w gub. Kieleckiej firmowi właściciele takich sklepów zawarli między sobą układ, zobowiązujący ich do brania towarów w najlepszych gatunkach bezpośrednio od kupców hurtowych. Do układu tego między innemi przystąpiły: Dąbrowa, Jędrzejów, Miechów, Pińczów, Proszowice, Skalbmierz, Stopnica, Suchedniów i Wolbrom. Delegaci zawarli w Warszawie umowę z 63-ma wybitnymi hurtownikami na korzystnych warunkach. Tym sposobem upośledzeni i lekceważeni spożywcy prowincjonalni będą mieli możność nabywać towar tani i dobry. I to także jest w związku z warunkami uzdrowotnienia; taniaść i dobroć towaru wpłynie na jakie takie poprawienie dobrobytu, a świeżość produktów spożywczych niezafałszowanych ochroni zdrowie od szwanku. Te dwa czynniki bardzo ważną w ogólnej sumie ochrony zdrowia. Nie idzie wszakże za tem, ażebyśmy mieli przypisywać cudowne skutki umowie sklepów gub. Kieleckiej z hurtownikami warszawskimi. Wskazaliśmy tylko to zjawisko, jako wzór do naśladowania dla innych, jako zaczątek lepszej organizacyi handlowej, korzystnej dla masy odbiorców. Jest to wszelako fakt sporadyczny, kilkakrotnie już się powtarzający na prowincyi; dopóki więc będzie tylko zjawiskiem oderwanem, wpływ jego nie zarysuje się tak widocznie, jakby się spodziewać należało, a nawet mogą poniekąd zneutralizować go inne czynniki—spekulacya i niezaradność. Wszelkie jednak chociażby nieśmiałe przekraczanie granic rutyny i nierozumienia zobopólnych interesów każe się spodziewać zmiany istniejących warunków na lepsze.

Powyższą zabieglivość firm sklepowych witamy sympatycznie jeszcze z tego względu, że wzrost ich rzetelności utrudni poniekąd działalność fałszerzy-spekulantów, której obecnie nie krępują nawet

analizy. Przed kilku tygodniami pisma rolnicze zwróciły uwagę na zatarg pomiędzy jedną z fabryk nawozów sztucznych w Sosnowicach a kierownikiem stacji rozbiorowej we Wrocławiu, który potępił produkt, wyrabiany w tej fabryce. Z obroną wszakże wystąpił inny rzeczoznawca. Dzieje się to bardzo często; właściciel towaru, otrzymawszy nieprzychylną opinię jednego chemika, udaje się do drugiego, który stwierdza nieskazitelność produktu. To świadectwo jest obroną dla przedsiębiorcy i zarazem środkiem reklamy, podczas gdy ogół dostaje odeń fałszowane przedmioty. Jakim sposobem zabezpieczyć życie i mienie odbiorców od takiej gry karygodnej? Jedynym tu środkiem mogą być publiczne instytucje rozbiorowe. Dziś załatwiają tę ważną czynność prywatni specjaliści, zależni od przedsiębiorców. Są towarzystwa ubezpieczeń na życie, niema tylko asekuracyi zdrowia, szwankującego od produktów podrabianych, bo stowarzyszenie, działające w tym zakresie, zbankrutowało-by bardzo szybko, albo musiało-by do każdego z ubezpieczonych codziennie posyłać chemika dla zbadania produktów zakupionych na obiad. Ale i tutaj byłby kłopot nie lada, w razie gdyby np. ubezpieczonemu przyszła ochota zjeść obiad lub wieczrę w restauracyi, albo wypić wina wątpliwej marki. Towarzystwo musiało-by bardzo wysokie premia pobierać, szczególnie od tych, którzy mają słabe organa trawienia.

Całkiem słuszną jest myśl ubezpieczenia stróżów dobra publicznego, niosących swą pomoc podczas epidemii. Delegowani do miejsc dotkniętych zarazą lekarze mają być ubezpieczeni do wysokości 5,000 rs., studenci 3,000, felczerowie—500 rs. Owo stopniowanie tłumaczymy wzrostem potrzeb. Rodzina lekarza ma ich szerszą skalę, student—jest tylko członkiem takiej rodziny, gdzie oprócz niego najczęściej jest jeszcze jakaś głowa; ale studenci przecież pochodzą z różnorodnych warstw społecznych, posiadających mniej i więcej potrzeb, więc tym razem uznaną ich wyższość nad felczerami można usprawiedliwić większym nakładem, potrzebnym dla zdobycia szerszej wiedzy. W projekcie atoli owej asekuracyi zapomniano jeszcze o jednej kategorii pracowników: siostrach miłosierdzia i posługaczach, narażonych częstokroć na większe niebezpieczeństwo, niżeli lekarz, student lub felczer. Ludzie ci mają również rodziny, utrzymywane licho z narażeniem życia. Gdy więc taka głowa padnie ofiarą swego zajęcia, osierocona uboga gromadka nie otrzyma przecież ani emerytury, ani zarobku, odpowiadającego wynagrodzeniu jej żywiciela. Bardzo więc było-by pożądanem, ażeby przed zatwierdzeniem powyższego projektu zwrócono uwagę na konieczność wyluszczonego przez nas uzupełnienia.

Dotychczas nie mają prawie żadnych sposobów asekuracji swego mienia mieszkańcy nadrzeczni. Na odgłos pękania lodów i szumu fal wezbranych zabiły z trwogi tysiące serc i znowu, jak niezliczone razy przed tem, ludzie poczuli zupełną bezsilność swego położenia. W całej niemal Europie rzeki, zasilone z gór obficie, poczyniły szkody i spustoszenia na znacznych obszarach, w przeciągu kilku godzin zabrały mienia całych wiosek i stworzyły liczne gromady nędzarzy. I u nas wobec śnieżnej zimy oczekiwano katastrofy i przepowiadano większe niż kiedykolwiek jej rozmiary. To też pisma codzienne, zwyczajem dorocznym, stworzyły oddzielne rubryki do notowania stanu Wisły i jej dopływów we wszystkich miejscowościach kraju. Taki dział informacji, skrętność i szybkość w notowaniu szczegółów, godne są pochwały. Większą atoli usługę mieszkańcom nadbrzeżnym oddała ostrożność administracyja, zawczasu przedsięwzięta. Dzięki temu, tu i owdzie poczyniono możliwe zabezpieczenia, a ludność ostrzeżono sygnałami odpowiedniami o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Na szczęście uwalniające się z więzów lodowych rzeki były tym razem łaskawsze dla ludzi i zabrały stosunkowo niewiele daniny.

Kto wie, może z czasem, gdy się utworzy i rozwinie zaprojektowane przed rokiem, czy też przed dwoma laty, towarzystwo ubezpieczenia rolników od klęsk żywiołowych, mieszkańcy nadrzeczni, o ile są rolnikami, obojętnie będą patrzeć na swój dobytek, chałupy i stodoły, płynące po wartkich falach, nie będą rozpaczać na widok pól zamulonych. Jest to marzeniem ogółu ziemian, ażeby mózż ze spokojem filozoficznym znosić ataki żywiołowe; to też pod wpływem niedościgłych marzeń o usunięciu wszelkich czynników, niepokojących rolnika przez cały rok, stworzono mnóstwo najdziwaczniejszych pomysłów, w których przebiega jedna myśl przewodnia: ratunku przed zagładą ekonomiczną. W szeregu pomysłów chorobliwych, dziwacznych, nielogicznych, przebrzmiałych bez echa, utonęły wskazówki dość racjonalne i projekta nie pozbawione cech praktyczności. Co rok one się powtarzają w mniej lub więcej zmienionej formie. Tym razem p. Ks. Radziszewski, znany już ze swoich rad dla podźwignięcia rolnictwa, podał w odrodzonym „Tygodniku ekonomicznym i kolejowym” wniosek, wypływający z poprzednich planów projektodawcy. Autor radzi, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie wypuściło nową seryę listów zastawnych 3-procentowych na sumę 60 milionów rs. wartości nominalnej i udzielało pożyczek do wysokości 75% szacunku, t. j. o 25% więcej niż dzisiaj. Kombinacya ta wynika z tego względu, iż do takiej wysokości mają być udzielane pożyczki na sola-weksle z banku państwa, a więc hipotekę ziemiańską uznano poniekąd oficjalnie za zdolną do

korzystania z kredytu do rzeczowej wysokości; potwierdzają to zresztą lokacje po Towarzystwie kapitałów prywatnych. Od tego nowego długu stowarzyszeni płacili-by  $6\frac{1}{2}\%$ , z których  $3\%$  na oprocentowanie, tyleż na amortyzację, a  $\frac{1}{2}\%$  na utworzenie rezerwy i ubezpieczenie regularnego wpływu rat. Zdaniem p. Radziszewskiego, emisja takich listów, przy dzisiejszych warunkach rynku pieniężnego, tudzież przy skróconym na 21 lat terminie umorzenia, była-by chętnie przyjętą przez naszych kapitalistów po kursie 85 za sto. Gdyby zaś ustanowiono ją w złocie, znalazła-by skwapliwych nabywców w Niemczech, Francji i Belgii po kursie może nawet wyższym. Dla ziemian pożyczka taka była-by o wiele korzystniejszą, niż wekslowa, gdyż w ciągu trzech już lat mogła-by być umorzona w stosunku  $\frac{1}{10}$ , a więc dłużnik co trzy lata dopełniał-by ponownie, jako pożyczkobierca, część umorzona, bez powiększania corocznych rat.

Taka jest zasadnicza treść pomysłu p. Radziszewskiego. Nie będziemy się wdawali w jego rozbiór, gdyż to zaprowadziło-by nas zbyt daleko. To jedno tylko zaznaczymy, że wobec faktu, iż  $3\%$  ruszka pożyczka państwowa, w złocie, notowana jest po  $79\frac{1}{4}$  za sto, mniemanie, iż takąż pożyczka w walucie papierowej, oparta na drugim numerze hypoteki, mogła-by osiągnąć kurs 85 za sto, nie opiera się wcale na prawdopodobieństwie. Państwowa pożyczka niemiecka 3-procentowa, wypuszczona w kraju, obfitującym w tani kapitał, osiąga zaledwie 86 za 100. Żywe interesowanie się ogółu ziemian wszystkim, co dotyczy ułatwienia kredytu, ta ciągła dążność do coraz nowych rojeń w tym zakresie, nie jest wcale zjawiskiem pomyslnem. Świadczy to, że tonących coraz jest więcej, że każdy z nich radby się chwycić słomki, chociaż-by zbutwiałej, tembardziej, że owe słomki wytwarzają bańki mydlane, w których zabarwiony świat i jego warunki inaczej się odbijają niż w rzeczywistości. Myśl o nowym kredycie bruzdzi po głowach wszystkim dłużnikom, chociaż-by ich dobra, obciążone pożyczkami i wyczerpane lichą gospodarką, stanowiły mniejszą wartość, niż daje suma długów. Tem bardziej objaw powyższy razi, że więcej się u nas mówi i rozstrnuwa projektów na tle nowych kombinacji kredytowych, niżeli—o środkach polepszenia uprawy, wprowadzenia udoskonaleń technicznych, dających możność taniego, a zatem więcej procentującego wytwarzania, o rozszerzeniu wiedzy fachowej, o spółkach rolniczych akcyjnych, o uregulowaniu handlu, usunięciu szkodliwego pośrednictwa, udogodnieniach komunikacyjnych i taryfowych. Wogóle wszystko, co wymaga wytrwałej, żelaznej pracy, długiej walki z niepowodzeniem, mniej ma wyznawców, niżeli chociażby najniedorzeczniejszy projekt o nowych kombinacjach kredytu, które mają cudownie, bez

żadnego wysiłku i w krótkim czasie postawić ziemian na trwałym gruncie ekonomicznym. To też, o ile przypominamy, mniej obudził zajęcia projekt kredytu melioracyjnego, któremu towarzyszyła-by praca i kontrola jej postępów, niżeli pomysł wszelkiego rodzaju „ulg” i fantastyczne projekta kredytowe.

Całkiem inną postać przybiera żądanie kredytu przemysłowego dla rozwoju produkcji fabrycznej. Rzecznikiem wytwórców wielkoprzemysłowych jest p. Nikodem Krakowski, który w osobnej broszurze wyłożył i uzasadnił potrzebę systematycznego zasiłku w gotowiznie dla fabrykantów. Kredyt taki jest jednym z najpotężniejszych czynników rozwoju produkcji. Dziwić się tylko należy, że oddawna uświadomiona wśród interesowanych potrzeba takiego czynnika odżywczego, dopiero dziś wyraźniej się zarysowała, gdy zapowiedziano rozszerzenie działalności banku państwa. Na zachodzie rezultaty kredytu przemysłowego dostatecznie już oceniono w praktyce, a teoretycznie między innymi znaczenie jego określa R. Hiernaux w sposób następujący (w dziele konkursowem p. t. „Organisation du Crédit au travail”): „Kredyt dyskontowy, który wystarcza na potrzeby handlu, nie jest dostateczny dla przemysłu, gdyż ten wymaga zwykle unieruchomienia większych kapitałów, wznoszenia obszernych budowli, tudzież ruchomości ważnych i złożonych, podczas gdy przedsiębiorstwo handlowe nie pochłania wielkich kosztów organizacji. Kupiec po skutecznieniu pierwszych zakupów wydaje na nowo pieniądze dopiero po sprzedaniu towaru; dość często zbywa wieczorem ten, który rano otrzymał. Czasem dostarcza klientowi towarów, które jeszcze do jego magazynu się nie dostały. Przemysławiec nie może działać w sposób tak doraźny; zmienia on istotę lub formę zakupionych materiałów surowych, a złożony proces fabrykacji wymaga nieraz bardzo wiele czasu. Przemysławiec nie może ściśle zastosować swoich zakupów do sprzedaży.”

Otóż niezbędny jest kredyt obrotowy na potrzeby bieżące lub podtrzymywanie mniej produkcyjnego peryodu i—zakładowy na rozszerzenie fabryki, rozwój produkcji, ulepszenia, wprowadzenie nowych maszyn i narzędzi i t. p. Taki rodzaj kredytu musi być koniecznie długoterminowym. P. Krakowski żądał, ażeby Bank handlowy w Warszawie przystąpił do założenia dwóch filii na potrzeby przemysłu: w Łodzi i Sosnowicach. O ile wszakże wnosić można z planu reformy Banku państwa, żądanie powyższe będzie zbyt ciężkie, gdyż instytucja państwowa rozszerzy odpowiednio ustawę i pozakłada swoje filie wszędzie, gdzie są tylko ogniska produkcji. Właśnie w tym celu zbierane

są szczegóły od osób i instytucji zainteresowanych tym przedmiotem lub z nim obeznanych. Między innymi sekcya rolna warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wybrała delegację, która, sformułowawszy konieczność kredytu dla rolnictwa, zaznaczy ze swojej strony pożytek z rozszerzenia operacji Banku państwa. Jeżeli żądania rolników tudzież przemyslowców będą uwzględnione, to w zakres działalności zreformowanej instytucji wejdzie nietylko udzielanie pożyczek na zastaw zabudowań fabrycznych, ale także wszelkich maszyn i motorów. Taka forma kredytu przemysłowego istnieje z pomyślnym rezultatem w Finlandyi. Nietylko maszyny i zabudowania fabryczne podlegają zastawianiu (przy czem majątek pozostaje w rękach dłużnika), ale nawet wszelkie warsztaty rzemieślnicze, posiadające jakiegokolwiek motory mechaniczne, mogą korzystać z pożyczek bankowych. Pożądane rozszerzenie mniej więcej w tej formie kredytu państwowego ma wszelkie prawdopodobieństwo urzeczywistnienia, gdyż wskazywanie potrzeb i życzenia licznych grup interesowanych, o ile wiemy, przychylnie są przyjmowane przez wyższą władzę, stojącą na czele reformy.

Jak widzimy, kredyt zajmuje dziś żywo wszystkie umysły; każdy go pożąda, ale nie każdy ma ułatwioną do niego drogę. Kogo nie stać na zagwarantowanie zwrotu majątkiem, ten daje rękojmię w postaci swych zarobków, o ile te nie są już zanadto obciążone. Od czasu do czasu wśród ogółu rozlegają się skargi na ciężar lichwy, na lombardy prywatne. Skąd to zło pochodzi?—starano się nieraz ową łamigłówkę rozwiązać, chociaż tak prostą do zrozumienia. „Potrzebne nam kasy!” Gdy te powstaną przy każdej instytucji pracodawczej, lichwa pójdzie na suche lasy, a przynajmniej na liche miasteczka i sioła. Tu i owdzie kasy powstały, a lichwa nic nie straciła ze swej siły i wpływu. Skądże to? Przecież można czerpać pożyczki i zapomogi! Tak! Ale zapomoga bywa udzielana w wyjątkowych razach, a pożyczkę trzeba zwrócić. W przedsiębiorstwie ona procentuje, podwaja się i potraja, ale w kieszeni przeciętnego biuralisty szybko topnieje, najczęściej idzie na opędzenie pilnych, ciężkich długów poprzednich, na załatwienie pierwszorzędnych potrzeb domowych, na lekarstwa lub naukę dzieci. Pożyczkobierca więc, wykołatawszy pewną sumę ze swej kasy, staje się jeszcze uboższym, bo dług musi zwrócić z pensyi nierozciągliwej, przytem załatwiło się tę i ową potrzebę, może nie tak bardzo pilną. „Gdybym nie miał sumy pożyczonej, obyłbym się bez tego, co niby jest konieczne.”— Tak rozumuje przeciętny pracownik o sumieniu zbyt czulem. Więc kasy szkodliwe? — Nie! tylko niekorzystne warunki bytu neutralizują ich wpływ dodatni.

Wobec takiego stanu rzeczy, lichwa i lombard są to dwa „przedsiębiorstwa” najbardziej się oplacające. Pierwszego zysków określić dokładnie niepodobna; drugi—daje pojęcie o swym rozwoju i powodzeniu w sprawozdaniach dorocznych. Tak zwane „Warszawskie Towarzystwo akcyjne pod zastaw ruchomości” obraca kapitałem 800,000 rs., składającym się z 16,000 udziałów po 500 rs. Ogólny zysk wynosił 179,936 rs., dochód zaś czysty 83,875 rs., czyli 10%. Ładny interes, a tem się różniący od innych przedsiębiorstw, że gdy wogóle odczuwają one wszelkie przesilenia i niepowodzenia ekonomiczne, lombardy w takich okresach najobfitsze plony zbierają, i dotychczas, pomimo ciągłego przyrostu liczebnego, nie wchodzą sobie w drogę.

„Kuryer Warszawski” na nudy wielkopostne odnowił sekretarza i między innymi zadaje swym czytelnikom dość żywotne pytanie, jak np.: „Ile kosztuje w Warszawie utrzymanie miesięczne rodziny średniozamożnej, złożonej z czterech osób?” Odpowiedzi, o ile ściśle, będą ciekawe, przytem dowiemy się, jak dalece jest u nas rozwinięte zamiłowanie i zdolność do rachunków. Podsuńmy przy tej sposobności redaktorowi zabawy nauczającej jeszcze jedno ciekawe pytanie: „Jak sobie radzą ci, którzy już nie mają ruchomości na zastaw w lombardach?” Dla ułatwienia dajmy zaraz jedną odpowiedź: „Marzą o kasach, własnych i... cudzych. Pracownicy księgarscy, którzy zapewne bardzo boleją nad upadkiem czytelnictwa, nietylko marzą, ale już projektują założenie własnej kasy, no i zapewne o zgromadzeniu funduszków w sposób uznany: za pomocą koncertów, rautów, odczytów i t. d. Życzymy im powodzenia i większego zainteresowania się publiczności stworzeniem funduszu, niżeli obecnie—towarem księgarskim.

Na ogólnem zebraniu akcyonaryuszów kolei Terespolskiej, prezes rady, p. L. Kronenberg, wyjaśnił stan rokowania w sprawie byłej kasy. Przypomnijmy, iż rząd przy skupie kolei uznał za należący do niej majątek między innymi fundusz eksploatacyjny, tudzież pewne nieruchomości dodatkowe, jak: szkołę techniczną, magazyny tranzytowe i t. d. Towarzystwo zatem wystąpiło z roszczeniami do tej własności, gdy zaś to było bezskuteczne, zaproponowało przelew z kapitałów spornych 350,000 rs. do kasy emerytalnej na pokrycie emerytur już przyznanych, oraz składek urzędników na służbie pozostałych. Fundusz kasy wynosi obecnie 803,700 rs. w papierach procentowych i 5,440 rs. w gotowiznie, podczas gdy same pensye emerytalne wymagają rocznie 105,646 rs. Gdyby więc uzyskano ową sumę żadaną 350,000 rs., emeryci otrzymali-by do proporcjonalnego podziału cały kapitał, posiadany przez kasę w dniu jej



zamknięcia, urzędnicy zaś — wniesione wkłady z 5% składanym. P. Kronenberg, w nadziei, że rząd na układ powyższy przystanie, prosił akcyonaryuszów o pełnomocnictwo i, naturalnie, otrzymał je. Tak więc uczestnicy byłej kasy, szczególnie nieemeryci, uzyskają zwrot swych składek, których utrata była-by dla nich zbyt wielkim uszczerbkiem.

Kto wie, czy wobec możliwych zawodów nie była-by praktyczniejsza, zamiast urządzania kas, asekuracja posad, zaprojektowana już za granicą. Towarzystwo, które na taki pomysł wpadło, chce wciągnąć do ubezpieczenia pracowników handlowych, nauczycieli, oficyalistów rolnych, urzędników, robotników, słowem cały ogół ludzi, sprzedających swoją pracę za umówioną cenę. Naturalnie, Towarzystwo, dla własnego interesu, będzie wnikać w przyczyny utraty posady, jak się np. bada powody pożaru i szuka przypadku, czy też rozmysłu. W wielu wszakże wypadkach, niewątpliwie nawet w przeważnej liczbie, utrata posady nie zależy od pracownika, np. z powodu likwidacji przedsiębiorstwa, upadku firm, ograniczenia personelu, skutkiem pogorszenia się warunków ekonomicznych. Takie masowe pozbawianie pracy z przyczyn powyższych jest zjawiskiem powszednim, zarówno u nas, jak i za granicą. Otóż asekuracja, czyli zapewnienie utrzymania usuniętym aż do chwili uzyskania nowego zajęcia, będzie istotnie pomocą tak wielką, jakiej dotąd prawie nigdzie nie dały kasy. Oto są wypracowane zasady nowego ubezpieczenia przez „Norddeutsche Assecuranz Gesellschaft”: Składka wynosi zaledwie 2% rocznej pensji ubezpieczającego się i powinna wpływać w pierwszej połowie każdego miesiąca. Nadto przy zapisie płacić należy jednorazowo 3% miesięcznej pensji. Najtrudniejsze będzie sprawdzanie przyczyn utraty posady. Towarzystwo wymienia swe warunki w polisie, że utrata miejsca nie może nastąpić z winy ubezpieczonego, t. j. przez umyślne zaniedbywanie obowiązków, „brak szacunku dla chlebobdawcy”, nadużycia i t. d. Czy zawsze jednak można będzie dociec łatwo istotnej przyczyny? „Brak szacunku dla chlebobdawcy” jest to tak rozciągliwy warunek, że kto wie, czy dla Towarzystwa nie będzie największą rękojmnią znacznych zysków. W każdym razie nad ujemnymi warunkami tego rodzaju asekuracji górują dodatnie, już chociażby ze względu na zabezpieczenie bytu po stracie zajęcia z przyczyn jasnych, nie podlegających żadnym wątpliwościom, jak: likwidacja przedsiębiorstwa, upadek firmy, ograniczenie personelu skutkiem nieprzyjaznych warunków ekonomicznych i t. d.

W obecnej dobie wyszukiwania coraz nowych źródeł dochodu dla skarbu, powszechne budzi zajęcie podatek od mieszkań, który w roku bieżącym będzie zastosowany do mieszkańców miejskich. Pobór ten wyniesie 2—5% ceny lokalu rocznie. Przytem w planie rozmiarów ciężaru przepisy bardziej uwzględniają ludzi obarczonych rodziną, niżeli samotnych, jak również stosunkowo najwięcej płacić będą mieszkańcy, zajmujący wspaniałe lokale w pierwszorzędnym dzielnicy miasta. Ten nowy podatek wpłynie niewątpliwie na charakterystyczną wędrówkę lokatorów miejskich. Warstwy średniozamożne popłyną do dzielnic dalszych, niezamożne — na przedmieścia i krańce miasta. Oprócz zamożnych, pozostaną nieporuszeni tacy jeszcze, którym na czasie zależy, których prace i interesa wiążą z daną dzielnicą do tego stopnia, że zaoszczędzenie rocznie kilkunastu lub kilkudziesięciu rubli było-by pozorem tam, gdzie w życiu przysłowie: „Czas płaci — czas traci“ ma ściśle zastosowanie. Znaczna atoli większość, mająca inne wyrachowanie, będzie wolała kosztem jednej godziny snu, zamienionej na wędrówkę pieszą do zajęcia, zrobić oszczędność na lokalu. Z czasem dla tej masy wszelkich biuralistów i kantorzystów ożywią się dzielnice dotąd zaniedbane, rozwinie się w nich szerzej handel sklepowy, zakłady jadłodajne, życie klubowe i t. d.

Potężny czynnik kulturalny — telefony — zaczyna przenikać na prowincję. Już nie mówimy o wielkich fabrykach, odosobnionych od mrowisk miejskich; zaczynają korzystać z tego udogodnienia nawet właściciele ziemscy. Tym sposobem zyskują na sprężystości administracyjnej, na pośpiechu wszelkich informacyi i rozsyłania rozporządzeń na folwarki; mogą ograniczyć liczbę „posyłek“ i koni. Jeżeli więc ten środek doskonałego i szybkiego porozumiewania się rozszerzy wśród ziemian, nastąpi zwykle zjawisko, towarzyszące wszelkim udoskonaleniom technicznym: oszczędność na sile najemnej. Jeden administrator rozległych dóbr zastąpi dziesiątki innych, kosztownych urzędników, służących mu obecnie do pomocy. Zwyczajny niższego rzędu oficyalista będzie słuchał rozkazów przez telefon i załatwiał wszelkie sprawy gospodarcze. Ci, których-by to ulepszenie dotknęło, niech się pocieszą myślą, a raczej pewnikiem, że warstwy ziemiańskie, z małymi wyjątkami, niezbyt są skwapliwe do wprowadzania wszelkich nowości. Gdzie niema jeszcze ulepszonych i najpotrzebniejszych machin i narzędzi rolniczych, gdzie uprawa roli nie idzie w parze z wynikami nauki, tam i telefony nie prędko znajdą zastosowanie.

Jeszcze jesteśmy w tym błogim okresie rozwoju, kiedy oddawanie się badaniom naukowym jest uważane częstokroć za naganny zbytek.

Jeżeli rolnik studjuje gorliwie chemię i chce ją stosować do praktyki, sąsiedzi nazwą go pogardliwie „uczonym,“ kurczącym, usiłującym być mądrzejszym od kwoki. Cóż mówić o tych, którzy przy nawale pracy chlebobdajnej są zamiłowani w naukach, nie mających związku z ich zajęciem utylitarnem! Ludziom takim rozsądne grupy ogółu dają poklask, płytkie—obdarzają ich ironią, lub niechęcią. Może właśnie pod wpływem tak charakterystycznego zjawiska różnie przyjęto wieść o nabyciu przez parę osób zamożnych narzędzi astronomicznych po zmarłym d-rze Jędrzejewiczu i projekcie urządzenia (dzięki inicjatywie hr. Ksawerego Branickiego) obserwatorium w Willanowie. Będzie to podobno coś w rodzaju „Uranii“ berlińskiej. Jeżeli tak—mile witamy ten objaw zainteresowania się pięknym odłamem nauki. W stolicy niemieckiej głównym celem stowarzyszenia lubowników tej gałęzi wiedzy jest popularyzowanie astronomii. Przystępny bilet pozwala każdemu śmiertelnikowi wysłuchać ciekawego odczytu, urozmaiconego ponętami doświadczeniami, t. j. ukazaniem słuchaczom przez teleskopy gwieździstych przestworów i ich tajemnic, o ile te potrafił zgłębić umysł ludzki. A więc jeżeli taki cel będzie miało przyszłe obserwatorium w Willanowie, pociągną tam tłumy nie tylko dla świeżego powietrza, mleka i restauracyi. Oderwanie się chociaż na godzinę od pracy i trosk ziemskich także coś znaczy, jest lekarstwem już nie dla ciała, lecz—dla ducha i umysłu.

Obserwatorium willanowskie może da sposobność popularyzowania cząstki wiedzy dla szerszego ogółu. Dotąd takie uprzedsiębiorstwo różnych odłamów nauki drogą wykładów publicznych bywa dorywcze i—nieczęste. Dlaczego? Czy mamy za mało uczonych? Tak źle nie jest, mamy ich sporą garstkę, ale są oni przeważnie uczonymi dla siebie; zresztą trudno od każdego z nich wymagać chęci (połączonej z pewną ofiarą), a tembardziej daru popularyzowania nauki. Jest to jedno z najtrudniejszych zadań. Znamienną wszakże cechą naszego społeczeństwa inteligentnego jest nie liczba *uczonych*, ale zaliczanych do tej kategorii—*erudyty*. W ścisłym określeniu jest to różnica olbrzymia. Uczony miewa chwile natchnienia, umysł szeroki, samodzielny, skłonny do śmiałych badań i wniosków, do jasnego sformułowania badanych zjawisk; przebiega obszerne dziedziny nauki i zawsze pozostawia pożyteczne owoce swej pracy, wreszcie pobudza inne umysły do samodzielnych dociekań, do poważnego myślenia. Erudyt—czasem wzbudza podziw, czasem... jest przedmiotem żartów. Praca jego częstokroć jest bogatą, ale mało ponętą źródłem, nagromadzeniem surowych, suchych faktów, w których umysł bystry rozejrzawszy się dokładnie, może zaczerpnąć materiału nieraz do bardzo ciekawej i pouczającej pracy

samodzielnej. Nasi erudyci, niestety, najczęściej nawet takiego pożytku nie przynoszą. Są oni bądź encyklopedyą żywą, bądź marnieją lata całe nad obliczeniem np. wyrazów w słowniku lub inną podobną robotą. Szkoda tych sił, które przy rozległej wiedzy i niezmordowanej pracy mogły-by istotny przynieść pożytek społeczeństwu.

Podobnie, jak umysł erudytów, zamknięte są przed szerszem kołem ludzi wykształconych wszelkie zbiory naukowe, któremi się chlubią ich właściciele, lecz się nie zastanawiają częstokroć nad tem, ile-by to cennych wskazówek mogły one dostarczyć w tej lub owej dziedzinie wiedzy. Nieumiejętność korzystania z takich skarbów nie jest wyłącznie naszą cechą. Znany wypadki odkrywania nieocenionych materiałów przez młodych badaczy z dziedziny np. antropologii, socjologii, w bibliotecznych archiwach wielkich miast europejskich, gdzie przedtem szukali dowodów dla poparcia swych roztrząsań naukowych znani w całym świecie cywilizowanym uczeni. Jakim sposobem bystry ich wzrok i umysł mógł przeoczyć ważne dla siebie dowody? Oto prosto byli oni za wielcy do robienia uciążliwych poszukiwań, do grzebania się w zbiorach, męczenia wzroku i płuc kurzem i stęchlizną biblioteczną. Tacy badacze posługują się sekretarzami, a więc pozostają całkowicie na ich łasce; gdy tymczasem młodych i mniej wielkich uczonych nie zrażają uciążliwe poszukiwania, połączone częstokroć nawet z wysiłkiem fizycznym.

W ciągu ostatnich paru tygodni ubyłoby znowu kilku pracowników na niwie naukowej i artystycznej. We Lwowie zmarło dwóch muzyków w krótkich odstępach czasu. Pierwszy Ludwik Marek, pianista, dyrektor dwóch szkół muzycznych, zyskał w swem mieście popularność, a poza nim w świecie artystycznym i wogóle w kołach ludzi muzykalnych — rozgłos i uznanie. Urodził się w Tarnopolu r. 1837. Rozpoczął popisy publiczne bardzo wczesnie, gdyż w 13-ym roku życia. Już jako wykształcony wirtuoz (pod kierunkiem Hellebranda, Mikulego i innych) rozpoczął szereg koncertów w Rosyi i Rumunii. W r. 1872 udał się do Liszta. Odtąd stał się ulubieńcem melomanów, a szkoła, otworzona przez niego we Lwowie, zyskała odrazu powodzenie, tembardziej, że jej kierownik był zdolnym pedagogiem. Wykształcił też kilku wybitnych muzyków. Umarł 18 stycznia r. b. Pozostawił kilkadziesiąt kompozycji, nad ostatnią zaś (gawot) pracował jeszcze na dwa dni przed śmiercią. Obok utworów fortepianowych i orkiestrowych, pieśni, kantaty, opery, wydał przed rokiem zbiór ćwiczeń z objaśnieniem o systemie gry fortepianowej.

W ślad za Markiem poszedł do grobu Wilhelm Czerwiński. Pozostawił po sobie kilka wybitniejszych kompozycji na fortepian; jedna z nich p. t. „Na jeziorze,“ cieszyła się dość szerokim powodzeniem. Znawcy przypisują znaczną wartość artystyczną wielkiemu koncertowi fortepianowemu z orkiestrą, tudzież medytacyom na temata z preludyów Bacha. Dużo napisał marszów, kantat, pieśni świeckich i kościelnych. Oprócz sporej liczby wydanych, wiele jeszcze pozostało w tece.

W Hiszpanii zmarł znakomity i zasłużony poeta, José Zorilla, syt sławy i laurów. Przed czterema laty doczekał się złotego wieńca, włożonego mu przez rodaków na skronie w odwiecznym zamku Karola V. Ten piewca szczęśliwy, którego witano z wielkimi owacyami na każdej stacyi kolejowej, był romantykiem, pokrewnym z Calderonem i Gonzalesem. Zbliżony przytem w swej twórczości do Wiktora Hugo, Chateaubriand'a, Lamartine'a, umiał jednak swym utworom nadawać cechy oryginalne, świeże, potrafił żywo przemawiać do serc i fantazyi swych ziomek, odczuwać ich dążenia i potrzeby. Najbardziej wpływ Wiktora Hugo zaznaczył się w jego dramatach, cieszących się dotąd ogromnem powodzeniem na scenach hiszpańskich. Oto najcenniejsze: „Sancho Gareca,“ „El punal del godo“ i— „Traidor in confeso martir.“ Z komedyi do wybitniejszych należy „Don Giovanni Tenorio.“

Jeszcze „Nauczycielka“ nie przestała nęcić publiczności, gdy oto laureat, autor tej sztuki, Władysław hr. Koziembrodzki, zakończył życie w sile wieku. Urodzony r. 1839 w Kołodziejówce, kształcił się w zawodzie technicznym, następnie słuchał wykładów w Sorbonie, poczem zamieszkał na pewien czas w Szwajcaryi. Do wybitniejszych utworów jego należą: „Hrabia Maryan,“ „Po ślizkiej drodze,“ „Miłe złego początki,“ „Pokusa,“ „W jesieni,“ „Balowe rękawiczki,“ „Stryj przyjechał,“ „Zazdrośni,“ „Reprezentant domu Miller i S-ka.“

Eryk Jachowicz, synu popularnego bajkopisarza, Stanisława, zmarł w Warszawie. Urodzony w tem samem mieście r. 1842, skończył także tutaj gimnazjum realne i Szkołę Główną. Pracując następnie w Towarzystwie kredytowym miejskiem, uprawiał jednocześnie niwę dziennikarską. Znany był, jako pracowity „robotnik“ na tem polu. Nic jednak po sobie wybitnego nie zostawił. Utonął, jak wielu innych, w powodzi dziennikarskiej. Był referentem wszelkich spraw bieżących, przeważnie życia miejskiego, które znał dobrze, i tych granic skromnych nigdy nie przekroczył.

Zenon Rappaport zakończył życie 16 lutego w Warszawie. Urodzony r. 1833 w gub. Wolińskiej, skończył gimnazjum w Warszawie,

następnie wstąpił na wydział literacki w Akademii medycznej w Petersburgu, nie skończywszy jednak studyów, zaciągnął się do szeregów urzędniczych w departamencie dochodów niestałych. Zawód pisarski zaczął bardzo wczesnie, gdyż w szesnastym roku życia ogłosił już „Kaliszankę“ (r. 1849). Następnie ukazały się: „Pamiętnik literacki“ (1851), „Pamiętniki Wampira“ (1862), „Podróż do Krakowa“ (1876), „Wycieczka do Wiednia“ (1880), „Sztuka podobania się płci pięknej“ (1881), „Podróż do Tulonu“ (1885). Po-za tem napisał sporo powiastek, broszur okolicznościowych, drobnych rzeczy humorystycznych. Czytelnicy pism humorystycznych znali tego autora dobrze, ukrywającego się pod pseudonimem Kamertonu. W r. 1862 Rappaport wraz ze swym przyjacielem, Władysławem Sabowskim, redagował w Warszawie pismo codzienne „Telegraf brukowy.“ Od r. 1858 do 1862 pisywał stale felietony muzyczne i teatralne w „Gazecie Codziennej.“ Ostatnio zasilął „Kolce.“ Od kilku wszakże lat milczał zupełnie.

W Kowlu 10 lutego zmarł Oskar Stanisławski. Urodzony r. 1814 w m. Ostrowcu (Księstwo Poznańskie), wstąpił do gimnazjum wojewódzkiego w Piotrkowie, potem kształcił się cztery lata za granicą. Następnie wszedł do służby administracyjnej Królestwa Polskiego. Roku 1849 otrzymał posadę sekretarza-referenta w radzie administracyjnej, r. 1860 — naczelnika wydziału sprawiedliwości w tejże radzie i na tem stanowisku utrzymał się do r. 1869. Na polu literatury Stanisławski pracował dość dużo w swoim czasie; był jednym z główniejszych współpracowników „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej“ Orgelbranda. Przełożył wiele powieści z języków francuskiego, niemieckiego i angielskiego; przetłumaczył dla użytku szkół „Historję powszechną“ Ditmara, obowiązującą w gimnazyjach przez lat kilka od r. 1861-go. Napisał dwie oryginalne powieści: „Ślepy“ i „Zabielscy,“ tudzież komedję p. t. „Anna sekretarzem,“ wreszcie przez pewien czas redagował „Gazetę Niedzielną“ i „Opiekuna Domowego.“

Jan Prusinowski zmarł w Żytomierzu. Zajmował niegdyś wybitne stanowisko w gronie literackim. Urodzony w gub. Podolskiej we wsi Podorożcu r. 1818, szkoły ukończył u Bazylianów w Lubarze. Wstąpił na wydział prawny uniwersytetu kazańskiego, poczem przeniósł się do wszechnicy w Moskwie, gdzie otrzymał stopień naukowy. Osiadłszy w Żytomierzu, przemieszkał tam lat 40. Pisywał dużo. Do ostatnich chwil zasilął swemi korespondencyami „Gazetę Polską,“ dawniej zaś drukował swe prace w „Opiekunie Domowym,“ „Bibliotece Warszawskiej,“ „Tygodniku Mód,“ „Tygodniku Powszechnym“ i w innych. Oddzielnie wydał kilka prac, między innemi: „Oto są grzechy

mojego żywota“ (Kijów, 1850), „Poezye“ (Warszawa, 1856), „Z podań ludu i obcej mowy,“ „Książeczka rymowana dla dzieci“ (Warszawa, 1889). Większość utworów pozostała w rękopisach. Poezye jego, pełne uczucia i ciepła, cieszyły się powodzeniem, a i teraz krążą w melodiach Moniuszki, Kątskiego i innych.

W dniu 5 b. m., w 65 roku życia, zmarł w Paryżu Hipolit Taine. Od lat ostatnich pracował bez wytchnienia, zawsze jednako, zawsze z napięciem wszystkich sił umysłu i wrażliwości swojej. A był to umysł niepospolity, zarówno rozległy, jak przenikliwy, wrażliwość na rzeczy piękna i słuszności wyjątkowo czuła. To też we wszystkich dziedzinach, do jakich wstępował ten niezmordowany pracownik, zostały po jego przejściu ślady głębokie i trwałe. Krytyka piśmiennictwa i sztuki, dociekania nad umysłowością, nauka dziejopisarska, kolejno korzystały z ówczesnych wysiłków wszechstronnego badacza. Oczywiście z 25 tomów pism zbiorowych, jakie zostawił Taine, nie wszystkie jednakowo są szacowne; tyle jednak pewna, że mieści się w nich sporo rzeczy pierwszorzędnej wartości, które ostaną się trwale w nauce i literaturze. Niektóre przedmowy i studia literackie, parę rozdziałów z książki „O inteligencji,“ kilka ustępów z „Dziejów piśmiennictwa angielskiego,“ kilkanaście z „Początków Francji,“ składają się na drogo-cenną spuściznę pisarską. Zresztą sam szacunek tej namacalnej spuścizny, jaką zostawił Taine, nie wystarcza jeszcze dla należytej oceny jego działalności; wypada nadto uwzględnić całą doniosłość wpływu, jaki wywarł drogą pośrednią na inne wrażliwsze umysły. Taine był pisarzem niezwykle „suggestywnym,“—że użyjemy ulubionego dziś wyrażenia,—zachęcał, zmuszał czytelnika do samodzielnego myślenia, znajdował licznych uczniów i licznych zapewne przeciwników, lecz wszędzie budził ruch i zajęcie, wytrącał z sennej obojętności sceptycznej, albo leniwej.—Oprócz naukowej, zostawił też piękną spuściznę moralną, przykład prawego charakteru i długiego życia bez skazy. Do stanowiska znakomitości europejskiej doszedł samodzielnie, nie czyniąc nigdy ustępstwa ze swych przekonań, jakkolwiek wśród niezbyt pomyślnych warunków życiowych. Był protestantem, z owej dobrej „rasy“—jakby on sam powiedział—reformatorów francuskich XVI w., uczonych, jak stary Robert Estienne, nieugiętych, jak namiętny d'Aubigné; znalazł też wśród współczesnych najlepszego opiekuna w osobie współwyznawcy, w Gnizocie.—Taine zastrzegł sobie w testamencie pogrzeb religijny, lecz bez wszelkich honorów urzędowych, bez ostentacyi i mów pochwalnych; również stosownie do ostatniej woli zmarłego, ciało jego wywieziono z hałaśliwego Paryża i pochowano w zakątku wiejskim Sabaudyi.

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— „Rozprawy Akademii umiejętności.“ Wydział matematyczno-przyrodniczy, serya II, tom II. (Ogólnego zbioru tom dwudziesty drugi). Z VII tablicami i 33 rycinami w tekście. W Krakowie, 1892.

Książka obejmuje następujące prace: Józef Puzyna: „Kilka uwag z ogólnej teoryi krzywych algebraicznych;“ Władysław Szajnocha: „Źródła mineralne Galicyi, pogląd na ich rozpołożenie, skład chemiczny i powstawanie“ (z trzema tablicami porównawczemi); F. Mertens: „O zastosowaniu teoryi funkcyi symetrycznych do wyprowadzenia układu zupełnego utworów niezmiennikowych dla form o dwóch zmiennych;“ Julian Schramm: „O wpływie światła na chemiczne podstawianie;“ Edward Janczewski: „Zawilee Anemone L. Studium morfologiczne“ (z tablicą I, II i III); Stefan Niementowski: „O anhydrozwiązkach;“ N. Cybulski i J. Zanietowski: „O zastosowaniu kondensatora do podrażnienia nerwów i mięśni, zamiast cewki Du-Bois-Reymond'a“ (z 27 rycinami w tekście); A. J. Stodólkiewicz: „O pewnym kształcie układów równań różniczkowych o różniczkach zupełnych;“ Władysław Szymonowicz: „Zakończenie nerwów we włosach dotykowych myszy białej“ (z 6-ciu rycinami w tekście); Stefan Niementowski: „O kwasie ametyloftalowym;“ Józef Kowalski: „Wpływ ciśnienia na przewodnictwo elektrolatów“ (z tablicą IV); Maryan Raciborski: „Przyczynek do flory retyckiej Polski“ (z tablicą V); Maryan Raciborski: „Desmidya zebrane przez d-ra F. Ciastonia z podróży naokoło ziemi“ (z tablicą VI i VII).



— Wydawnictwa Komisji historycznej Akademii umiejętności w Krakowie: „Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące, od r. 1507 do 1795.“ Tom XII, zawiera: prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa (1507—1795). Pierwotnym zamiarem Komisji było zamieścić w części drugiej cały materiał, odnoszący się do spraw cechowych z epoki 1587—1696. Materiał ten jednak wzrósł tak dalece, że niepodobna go było objąć jednym tomem, pomimo znacznych jego rozmiarów (1,105 stron). Tym sposobem część pozostałego materiału przejdzie do tomu trzeciego, w drugim zaś kończy się na r. 1648. Dwie grupy akt cechów zaczynają w tej epoce bardzo często się zjawiać, mianowicie: ogólne zatwierdzenie przywilejów, pojedynczym cechom przez poprzednich królów nadanych, dokonywane zazwyczaj podczas sejmów koronacyjnych, tudzież republikowanie tych przywilejów na rynku krakowskim dla zapobieżenia „przeszkodnictwu“ i „sturarstwu“ (nazwy, nadawane partaczom). Przywileje takie bywają różne: jedne zawierają zatwierdzenie dawnych w ogólnych wyrazach bez bliższego ich określenia (te są najliczniejsze), drugie—przytaczają dawne przywileje bądź w streszczeniu, bądź nawet w całym tekście. Trzecie wreszcie dodają do dawnych nowe postanowienia. Przywileje tej ostatniej kategorii stanowią zupełnie nowy materiał i wchodzą do niniejszej książki. Przywileje pierwszej kategorii, jako rzecz prostej formy, nie przedstawiają zgoła żadnego naukowego interesu, więc z małymi wyjątkami nawet zarejestrowane nie zostały. Wydawnictwo niniejsze jest w znacznej mierze owocem trudów Wilhelma Gąsiorowskiego, zmarłego w dniu 19 kwietnia r. z.

— *Romuald Koppens T. J.* „O sposobach oznaczania spółgłosek miękkich.“ Kraków. Nakład Akademii umiejętności. 1893.

Autor swoje badania językowe opiera na Psalterzu Floryjańskim, zwanym dawniej Psalterzem Małgorzaty. Zachowany do naszych czasów, przekazał potrójny tekst: łaciński, polski i niemiecki, co ułatwiło wyjaśnienie niejednej zagadki, której nie podobna było-by rozwiązać, gdyby istniał jeden tylko przekład polski. O tym psalterzu pisano dużo rozpraw. Dotąd wszakże nikt szczegółowo nie roztrząsał jego ortografii (prof. Nehring tylko pobieżnie o nią potrącił). Niniejsza rozprawa obejmuje dział najważniejszy w tym zakresie — pisownię spółgłosek miękkich.

— „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego.“ Rok 1892. Wydawnictw Towarzystwa tom XIII. Kraków, 1892.

Oprócz działu sprawozdawczego, książka obejmuje część naukową i krytyczną, na które się złożyły następujące prace: dr Leon Kryński:

„Wyniki badań bakteriologicznych powietrza w Zakopanem;“ P. S.: „Zakopane w pełnej ziemi;“ Leopold Świerz: „Wycieczka do Morskiego Oka zimową porą;“ „O zaprowadzeniu w naszym kraju narciarstwa;“ dr Daniel Wierzbicki: „Wyniki spostrzeżeń meteorologicznych, dokonanych staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego w r. 1891.“

— „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego“ zeszyt 141 wyszedł z druku i zawiera między innymi artykuły: Turów, Tursko, Turza, Tustań, Tuszyn, Twerecz, Tyczyn, Tykocin, Tylmanowa, Tylża, Tyniec, Tynna.

— *Dr Nadmorski.* „Kaszuby i Kociewie. Język, zwyczaje, przesady, podania, zagadki i pieśni ludowe w północnej części Prus zachodnich.“ Poznań, 1892.

Rzecz ta, opracowana na podstawie kilkoletnich badań autora, mieści charakterystykę gwary kaszubskiej w stosunku do gwar połabskich i polskich; parafrazy kaszubskie i gwary kociewską. Dalej: okolice, zamieszkałe przez Kaszubów i Kociewiaków, podania i piosnki, przywiązane do okolic i miejscowości, zwyczaje i przesady przy urodzeniu, chrzcie, ślubach i pogrzebach, wieszce i upiory, zwyczaje w czasie Bożego Narodzenia, Nowego Roku, Trzech Króli, zapust, Wielkiego Piątku, Wielkanocy i Zielonych Świątek, opis sobótek, święcenia ziela i owsa; charakterystyka pracy w polu i w domu, urodziny, uroczystości żniwne, zabawy dzieci i starszych, uroczystości weselne, opisy mieszkania, ubioru i pożywienia. Krośnięta, zmory, jeźdźcy nocni i inne duchy, pieniądze palące się, przepowiednie śmierci, powstawanie umarłych; czarownice i guślarze, uroczenie zwierząt i ludzi, zażegnania i leki, zaklęcia, środki przeciw wściekłości, zabobony złodziei, zagadki i przysłowia, imiona osobowe, nazwy dni i miesiące, zwierząt domowych i dzikich, nawoływanie i odpędzanie zwierząt, wyrazy dziecinne.

— „Przewodnik naukowy literacki.“ Rok XXI. Tom XXI. Zeszyt I, styczeń. 1893. Lwów, 1893.

Zawiera: „Studjum o Erneście Renanie“ przez ks. Jana Gnatowskiego; „Roztrząsanie filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej,“ przez Wojciecha Dzeduszyckiego; „Sole potasowe w Galicyi, ich występowanie i użytkowywanie,“ przez d-ra Władysława Szajnochę; „Wpływ stolicy apostolskiej na rokowania pokojowe Kazimierza Wielkiego z Czechami i Zakonem niemieckim,“ przez K. J. Gorzyckiego. Kronikę literacką.

— *Dr Zofia Daszyńska*. „Szkice metodologiczne. Zastosowanie obserwacji i eksperymentu w naukach gospodarczych. Kilka słów o metodzie statystyki historycznej.“ Warszawa. Gebethner i Wolff. 1892.

Na początku pierwszej pracy („Zastosowanie obserwacji i eksperymentu w naukach gospodarczych“) autorka postawiła pytanie: o ile metody, stosowane do poznawania faktów przyrodniczych, służyć mogą do ujęcia zjawisk ekonomicznych? Na zasadzie wypowiedzianych uwag, sformułowała taką odpowiedź: Najważniejsze metody przyrodnicze, obserwacja i eksperyment, zastosować się dają w całej pełni i także w zakresie zjawisk gospodarczych, a pojęte w obszernym znaczeniu, wystarczają w zupełności do poznania tej dziedziny. Że jednak zjawiska, spotykane tu, są o wiele więcej złożone, niż przyrodnicze, trzeba więc do nich stosować sposoby badania bardziej skomplikowane, niż do pierwszych. Zadaniem szkicu drugiego było przedstawienie metody, jaką się posługuje statystyka historyczna, wskazanie materiału, jakim rozporządza, i zapisanie najważniejszych rezultatów, do których już doszła. „Nie powinniśmy tracić nadziei—pisze autorka,—iż uda się nam odtworzyć wprawdzie nie cały rozwój ilościowy ludności w cyfrach absolutnych, ale stosunki typowe, według których rozwój ten w różnych epokach się układał. Dzisiejsza statystyka ludnościowa daje nam cały szereg takich typów, ściśle związanych ze stanem ekonomicznym i zdrowotnym krajów. Mamy tu zawsze równanie, którego każdą wielkość odnaleźć-by można, jeśliby wszystkie inne były znane. Im lepiej wzajemna zależność pierwiastków, składających się na życie społeczne, wiadomą będzie, tem łatwiej znaleźć rozwiązanie.“

— *Dr Ernest Brücke*, profesor fizjologii uniwersytetu wiedeńskiego. „Jak ochraniać życie i zdrowie dzieci?“ Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Zadaniem autora jest dać nie tylko wskazówki rodzicom do wychowywania dzieci małych, ale i młodocianego pokolenia po-za granicami wieku dziecięcego. Rady swoje podaje nie z ogólnego stanowiska, lecz ze stanowiska rodziców. Książka obejmuje wskazówki, dotyczące karmienia dziecka piersią matki, pielęgnowania go po-za żywieniem, karmienia przez mamkę, sztucznego odżywiania niemowląt, żywienia mieszaną strawą. Dalej: warunki mieszkalne, pobytu na wsi, przepisy, dotyczące odzieży i łożka, hartowanie i ćwiczenie ciała, pielęgnowanie jego części (oczu, uszu, organu powonienia, skóry, włosów, zębów), wystrzeganie się zatruc, ochrona przed zakaźnymi chorobami (ospa, błonica, dyfteryt, szkarlatyna, odra, różyczka, koklusz, świnka, cholera azyatycka, gruźlica, krwawa biegunka, tyfus plamisty, brzuszny, choroby oczne i t. d.). „Co było z kołyską?—pisze autor na czele

swej książki.—Czy usunięto ją z powodu złych następstw, które dziwnym sposobem wówczas dopiero spostrzeżono, kiedy dzieci co najmniej przez dwa tysiące lat były kołysane? Bynajmniej; teoretyczne rozważania o anemii mózgu, o zawrocie głowy i o gwałtownem przerywaniu czynności mózgowej, spowodowały walkę przeciw kołysce—i cóż się okazało? Oto obeszło się bez kołyski, i przestano wychowywać krzykaczów, którzy nie byli spokojni, jeżeli ich ustawicznie nie kołysano.“ Wogóle cała książka napisana jest dla profanów, którzy należycie chcą oceniać warunki higieniczne w wychowaniu dzieci.

— *Julia Samson.* „Wychowanie dziewcząt w rodzinie. Rady praktyczne matki.“ Przekład Jadwigi Sadowskiej. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Pod nazwą „wychowanie“ autorka rozumie połączenie kształcenia serca i umysłu z układnością form. Rezultat ten, zdaniem jej, nie mógłby być osiągniętym dla dziewcząt, pozbawionych wpływu życia rodzinnego. Wychowanie publiczne, gdzie dziecko nie może oddychać tą ciepłą atmosferą, autorka uważa za odpowiednie tylko dla chłopców. Dziewczętom zaś nic i nikt nie zastąpi matek-kierowniczek. Ażeby się latorośl nie skoszlawiła, potrzebny jest zdrowy sąd matki i nieustanne jej czuwanie nad dzieckiem. „Inteligentna matka niekoniecznie winna się starać o to, aby córka jej była uczoną, ale aby otrzymała wykształcenie poważne i o tyle rozległe, o ile umysł będzie ku temu podatny.“ „Trudno jest rzeczywiście być jednocześnie kobietą światową i czujną matką. Rozpraszenie się jest przeciwnem systematyczności, niezbędnej w wychowaniu dziecka. Poświęcająca się matka, jeśli naturalnie nie jest zaabsorbowana ciężką pracą, powinna się oddać w zupełności temu zadaniu.“ Autorka obrazowo w formie opowiadania kreśli kilka rysów z życia młodego dziewczęcia i jego towarzyszek, w tym celu, ażeby z owych różnorodnych charakterów wychowawczynie-matki mogły czerpać nauki i wysnuwać stosowne wnioski. Kwestyi religijnej autorka nie dotyka w swem dziełku, lecz pozostawia ją uznaniu wychowawczyń.

— *Paweł Mantegazza.* „Sztuka ożenienia się.“ Przekład z włoskiego J. N. Warszawa, 1893.

Pisząc tę książkę, autor miał na myśli trzy kategorie mężczyzn: niecierpliwych, którzy się chcą ożenić za wcześnie, hulaków, którzy się żenią za późno, i niezdecydowanych, którzy się wahają między małżeństwem a stanem bezzennym i—nigdy się nie żenią. W formie obrazowej, potocznej, Mantegazza roztacza przykłady małżeństw różnorodnych, ich pożycia i t. d., ostrzega czytelnika przed nierozważnym, złym wyborem, i w rezultacie zachęca do związków małżeńskich dobrze zharmonizowanych.

— *Gabryel Korbut*. „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym.“ (Odbitka z tomu IV Prac filologicznych). Warszawa. Druk Józefa Jeżyńskiego. 1893.

Pracę swoją autor oparł na bogatym, zebranych osobiście materiale, którego jednak nie wyczerpał całkowicie, szczególnie wyrazów gwarowych i technicznych. Zamiarem piszącego było przede wszystkim zwrócić uwagę na silne uleganie języka polskiego wpływowi niemieckiego, na pewne, stale się powtarzające w prasie, przyswajania wyrazów niemieckich, przemiany językowe. Słownik, załączony na końcu, zawiera wyrazy potoczne i ogólnie używane, zaczerpnięte z języka niemieckiego.

— *Stanisław Belza*. „W górach olbrzymich.“ Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893. „Odgłosy Szkocyi“, „Za Apeninami“, „Holandia.“ Kraków 1893, u Gebethnera i Spółki. Są to książki całkowicie poświęcone estetycznym wrażeniom z podróży.

— *Dr Władysław Oltuszewski*. „Istota, przyczyny i leczenie jąkania i wadliwego wymawiania. Próba popularnego wykładu fizjologii i patologii mowy“ (z pięcioma rysunkami w tekście). Warszawa.

Według autora, jąkanie jest nerwicą kurczową trzech składników mowy: oddechu, głosu i artykulacji. Wada ta, leczona metodą fizjologiczną, daje 95% wyzdrowień. Książka w dalszych rozdziałach zawiera opis belkotania, t. j. wadliwego wymawiania głosek, mowy nosowej i niemoty u dzieci słyszących. Ostatnie cierpienie polega na tem, że dziecko słyszy, widzi, może być nawet bardzo rozropne i pojętne, a pomimo to nic nie mówi. Zboczenie to, według dra O., daje się usunąć. Na końcu swej pracy autor podaje higienę mowy.

— „Niwa“ (dwutygodnik naukowy, społeczny i literacki) ukazała się pod nową redakcją. Pierwszy zeszyt mieści: „Słowo wstępne“, przez Ludomira Grendyszyńskiego; „Rozwój stopniowy wynalazków“, przez Stanisława Kramsztyka; „Główne prądy umysłowe i filozoficzne w XVIII wieku“, przez Adama Szawłowskiego; „Świeżo odnalezione utwory Reja“, przez Bronisława Chlebowskiego; „Kilka słów z powodu odkrycia Pettenkofera“, przez O. Bujwida; „Cyfra i słowo“ (wiersz), przez Antoniego Langego; „Jakób Warka“, dramat, przez Daniela Zglińskiego; „Licznymy myśli i mowy“, fantazja krytyczna, przez Ignacego Matuszewskiego. Rozbiory i sprawozdania. Sprawy bieżące, przez L. Straszewicza. Notatki naukowe. Wiadomości bibliograficzne.

## Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.” następujące książki:

— *Klemens Junosza*. „Wybór pism w X tomach.” Tom IV. „Pod wodę.” Obraz z życia wiejskiego. Nakładem autora. Warszawa.

— *Zofia Kowerska*. „Dzidzia.” Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893. Mieści następujące obrazki: „Dzidzia”, „Lew i mysz”, „Bezdzietni”, „Z poezyi szpitala.”

— *Wincenty Kosiakiewicz*. „W miasteczku.” Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

— *Adam Krechowicki*. „Najmłodszy.” Powieść w dwóch tomach. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

— *Dr W. Więckowski*. „Poradnik lekarski w chorobach wenerycznych.” Warszawa.

— *Dr A. Rothe*. „Rys dziejów psychiatrii w Polsce.” Warszawa. Paprocki.

— *M. Wodzińska*. „Amazonka.” Podręcznik jazdy konnej dla dam.” Warszawa-

— *Czesław Jankowski*. „Rymów nieco.” Kraków.

— *K. Luboradzki i H. Michalski*. „Informator kolejowy na r. 1893.” Warszawa.

— *Dr Władysław Rabski*. „Asceta” dramat w 3-ch aktach. Poznań, 1893.

— *Zygmunt Niedzwiedzki*. „Jedyne dzieło.” Kraków, 1893.

— *Paweł Lindau*. „Pasorzyt.” Powieść. Przekład Br. N.. Warszawa. u Gebethnera i Wolffa. 1893.

— *Julian Łętowski*. „Stary mąż.” Powieść. Warszawa, 1893 u Gebethnera i Wolffa.

— *Julian Morosz*. „A kiedy ono nie takie.” Studium z natury. Warszawa, 1893

— *Stanisław Belza*. „O upadłościach i bankructwach.” Wykład księgi III obowiązkowego kodeksu handlowego. Tom I (art. 437—485). Kraków—Warszawa, 1893. Gebethner i Wolff.

— *Władysław Natanson*. „Studia nad teorią roztworów.” Kraków, 1892. Nakładem Akademii Umiejętności.

— *Władisław von Rabski*. „Ueber die Satiren des Christoph Opaliński.” Inaugural Dissertation zur Erlangung der Doctorwürde von der Philosophischen Facultät der Friedrich-Wilhelms-Universität zu Berlin. Berlin.

---

# DYSKUSYA.

---

W zeszyte I-ym „Biblioteki Warszawskiej“ za miesiąc styczeń r. b., zamieszczoną została recenzja „praktycznej gramatyki języka polskiego“ przeze mnie ułożonej, z podpisem p. B-cza.

Odpowiedzieć na wszystkie zarzuty uważam za niemożliwe, gdyż zabraloby to za dużo miejsca i czasu.

Poprzestaną zatem na główniejszych.

Szanowny krytyk zarzuca mi najprzód określenie spółgłosek, że są to „szepty wywołane przez ruch narzędzi mownych“ i robi przypuszczenie (str. 176 w. 6 od góry) że „Mierzwiński mógłby to wziąć za *osobistą obrazę*, że sława jego europejska szeptem jakimś przez „gramatykarzy“ (zamiast gramatyków) nazwana“. Trudno doprawdy zrozumieć czytelnikowi, jaki związek zachodzić może między określeniem spółgłoski (jakiego również użył Józef Przyborowski, profesor b. Szkoły Głównej) a śpiewem p. Mierzwińskiego. Dalej p. B-cz zarzuca mi, że z gramatyki praktycznej uczeń nie dowie się (str. 177 w. 2 od dołu) co to za własność (!), kiedy się mówi od lew-lwa, a nie lewa; okno-okien, a nie okn i t. d. Najwymowniejszy dowód bezzasadności tego zarzutu znajdzie bezstronny czytelnik w mojej gramatyce (na str. 10 w. 4 od dołu) gdzie najwyraźniej wskazuje: „osnowę czyli temat wyrazu znajdziemy w Dopełniaczu l. p., odrzucając końcówkę np. pies Dop. ps-a (osn. ps.), orzeł osn. orł (Dop. orł-a) a zatem i lew (z osn. lw) ma Dop. lw-a“. W uwagach zaś o zakończeniach przypadków l. p. i l. m. w 2-jej deklinacji (na str. 24 i 25) jasno powie-

dziano: „*Dopelniacz l. m.* równy jest osnowie wyrazu, wraze zaś zbiegu dwu lub więcej spółgłosek trudnych do wymówienia wstawia się *e* np. cło, ceł; dział-sło, działseł; które (to *e*) niekiedy miękczy poprzedzające spółgłoski *g, k, np. okno, okien;* bagno, bagien i t. p.“. Sądzę, że każdy przyzna, iż zarzut Szanownego krytyka nie ma żadnej podstawy.

Inny znów zarzut spotyka mię od p. B-cza (na str. 179), że uprawniam formę „będę robić“ zam. robić będę i powołuję się na język czeski, gdy tymczasem (na str. 63 w. 6 od góry) w gramatyce mojej brzmi to tak: „niewłaściwie uważają tę formę (będę robić) za germanizm, gdyż znajdujemy i w językach słowiańskich: po rosyjsku *буду писать'*, po czesku *буду писати*, i w wyrażeniach mistrzów naszej literatury, np. będą jeść ludzie głodem utrapieni, będzie nędzować, pracować i t. p.

Powołuję się więc *nie tylko* na język czeski, ale także na rosyjski i na polski. Również niesłusznym jest zarzut szanownego krytyka (str. 179 w. 12 od dołu) że uprawniam formy, których zwyczaj językowy (literacki) nie przyjął, jak np. (na str. 72) *padnął* zamiast *padł*.

W odpowiedzi przytaczam ustęp odpowiedni z mojej gramatyki (na str. 72 w. 6 od dołu). „W innych czasownikach wyrzutnia *ną* jest możliwą np. pierzchnął i pierzchł; pożądaną w niektórych, np. zbrzydnął—zbrzydł; lub *na-wet niezbędną* np. zamiast *padnął—padł*, zam: kradnął—kradł i t. p.“ Zasadność i sumiennosc powyższych i wielu innych zarzutów p. B-cza każdy ocenić należycie potrafi.

Uważam za stosowne objaśnić szanownego krytyka, dla czego wspominam o „pracach filologicznych“ (widocznie nieznanych p-u B-czowi) i powołując się (str. 178 w. 6 od góry) na autorytet Baudouina, Kryńskiego i Malinowskiego, *usprawiedliwiam się* (jak mniema p. B-cz) z przyjętej pisowni wyrazów obcych na *ya, ia* (względnie na *ja, ia*), za co, jak przypuszcza p. B-cz, nie będą chyba mi *wdzięczni*, że imiona ich figurują w tak „zagadkowej natury“ (!) książeczce.

Otóż (na str. 6 w. 16 od góry) mówiąc o trojakim sposobie pisania wyrazów na *ya, ia* (*ja*) (*yja, ija*) wyraziłem się tak: „drugi sposób pisania (przez *a*), jako odpowiedni wymawianiu, a w praktyce krótki, jasny i prosty, *najwięcej zasługuje na upowszechnienie*. Dodać należy, że ten ostatni przyjęty został przez redakcyę „prac filologicznych“, wydawanych przez prof. Baudouina, prof. Kryńskiego, prof. Malinowskiego i Karłowicza“.

Przytoczyłem więc „prace filologiczne“ na dowód, że przyjęte przeze mnie zasady pisowni nie są moim wymysłem, lecz że pisownia ta już wprowadzoną została przez *prawdziwie* uczonych lingwistów, (z których dwaj są kolegami moimi ze Szkoły Głównej, z trzecim zaś porozumiałem się co do wspomnianych zasad jeszcze przed oddaniem do druku praktycznej gramatyki). Jeżeli więc szanowny krytyk uważa pisownię tę za błędną, należało raczej wykazać jej błędy i dowieść, że inna jest lepszą, ale nie robić przypuszczenia o wdzięczności, lub niewdzięczności naszych lingwistów!



Jeszcze słówko co do *poprawności językowej*, (która, jak utrzymuje pan B-cz) nie zawsze bywa *klasyczną*. Szanowny recenzent, wyrzucając mi utożsamianie form: patrzaj i patrz, wyraża się (na str. 79 w. 8 od dołu) w ten sposób: „wolno przeto używać takich tylko *skrótów* (!), (powinno być *skróceń*), które w historii języka uprawnienie znajdują, w przeciwnym bowiem razie damy niebezpieczny *impuls* do *skażenia języka* gwarą ludową“.

Przyzna mi chyba bezstronny czytelnik, że szanowny krytyk zbyt dowolnie pozwolił sobie tłómaczyć objaśnienie moje (na str. 62 w. 8 od góry) że „od wielu czasowników urabiamy *dwie* formy: zdejmij i zdejm, przyjmij i przyjm, patrzaj i patrz, i t. p. gdzież tu *skażenie* języka, którego pan B-cz tak się obawia!

D. 10 lutego, 1893 r.

### HIPOLIT WÓJCICKI.

*Wychowawiec b. Szkoły Główniej, wydziału filologiczno-histycznego, sekcji języko-słowiańskich.*

Pan Wójcicki odpowiada na kilka moich zarzutów, — zestawiny po kolei te zarzuty z odpowiedziami, które wywołały.

Udowodniłem, że nazwa spółgłosek, jakoby to były *szepty*, jest niewłaściwa, gdyż do pojęcia „szept“ przywiązujemy inne całkiem znaczenie: jeżeliby spółgłoski doprawdy były „szeptami“ tylko, to i mowa nasza byłaby tylko szeptaniem. — Następnie przekonywałem pana W., że nie wyjaśnił istoty samogłosek i mówił tylko o fizyologicznej różnicy samogłosek od spółgłosek. W odpowiedzi na ten zarzut z *głosowni*, p. W. przeskakuje do nauki odmian i składu dowody, wcale się nie stosujące do natury zarzutów, jakie mu robiłem. — Odpowiedzi na trzeci zarzut (uprawnienie formy „będę robić“ zam. robić będą) nie rozumiem wcale? Wszakże ostatecznie autor uważa formę „będę robić“ za poprawną, kiedy na str. 63 swojej broszurki wyraźnie mówi: „tryb bezokoliczny może być nie tylko przed, ale i po czasowniku, np. „będę robić lub robić będą“; a czy dowody mniemanego uprawnienia tej formy przybierał autor z pisarzy czeskich, czy z błędnych wzorców polskich — to już mało obchodzi tych, dla których drogą jest czystość języka. — Wyrażenia: uszczyp zam. uszczypnij, bieź zam. biegnij, przelęknął się zam. przelękł się, przylgło zam. przylgnęło i t. d. uważam za równie błędne; bezbłędne są takie tylko formy, które mają swoje uprawnienie w historii języka, (jak na to przytoczyłem formy: patrzaj — od patrzam, asz, a, oraz: patrz — od patrzę, ysz, y); wszelkie zaś inne subtylizowanie — na poprawne, niepoprawne oraz półpoprawne, czy to warunkowo poprawne, uważam jedynie za uprawnienie chaosu do języka wprowadzane. —

Co do „prac filologicznych“, zwracam uwagę, że ja nie mówię wcale o wymienieniu „prac“, zamieszczoneń w przedmowie; tam, jako w przemówieniu do ludzi dojrzałych, do nauczycieli np., wzmianka ta mogła być zamieszczona; ale dopytywałem się pana W., poco ona figuruje po ra drugi na str. 6?

Panu W. nie podobały się trzy wyrazy przeze mnie użyte w recenzji: impuls, skrót i gramatykarz. Co do pierwszego, to właśnie w „pracach filologicznych“, oraz w osobnych odbitkach z tego pisma, w ostatnich czasach wydanych, znajdują się dowody istnienia tego wyrazu w języku polskim; znaleźć go można nawet w popularnym słowniku Maurycego Orgelbranda. — Wyrazy *skrót* obok *skrócenie*, równie jak np. zwrot — zwrócenie, powrót — obok powrócenie i t. d. mają zarówno prawo obywatelstwa w języku, bo jedno i drugie odmienne mają znaczenie. W sufiksach rzeczowników słownych (na *anie*, *enie* i *cie*) po większej części tkwi pewien ruch, pewna czynność, pochodzenie ich od czasowników uprawniająca, tymczasem drugi kształt istotę, jądro rzeczy wyraża, — o co mi właśnie chodziło. — A więc miałyby rację chyba p. W. co do trzeciego wyrazu; bo w istocie poprawnie przyjęto mówić nie *gramatykarz*, ale *gramatyk*. Co do mnie, to rozmyślnie użyłem tego pierwszego wyrazu. Jest to wyrażenie z lekka iroczne, co widać przecie z tonu samego ustępu o Mierzwińskim.

Żeby wreszcie dać dowód, iż w recenzji mojej oszczędzałem raczej do pewnego stopnia miłość własną autora, przytaczam niektóre pominięte błędy, jak np. na str. 98, mówiąc o użyciu przecinka, autor pisze: znaki przestankowe zwane pisarskimi podzielić można na: przestankowe i toniczne“, czyli że sam robi błąd w najkardynalniejszym użyciu przecinka. W nauce odmian rzeczownika: na str. 14 (we wzorcach) p. W. dowodzi, że 4 przyp. l. p. ma *stracha*, a o drugim właściwym zakończeniu wspomnienia niema. Na str. 27 autor każe wierzyć, że w czwartym przypadku w l. m. od wyrazu *rządca* należy mówić: *rządcy*; tożsamo na str. 28 (również we wzorcach) od Moniuszko, 4 przyp. l. m.: *Moniuszkowie*, od Sapiela — *Sapiehowie*. A więc odtąd mamy się wyrażać „Widziałem wczoraj pp. *Sapiehowie* w teatrze“... O ile postawione przeze mnie zarzuty zostały przez p. W. odparte — niechaj czytelnicy „Biblioteki“ osądzą.

---

Ze względu, że zainteresowane w powyższym sporze obie strony skorzystały już z przysługującego im prawa wymiany odpowiednich wyjaśnień, Redakcja, uczyniwszy zadość słuszości, uważa dyskusję w tym przedmiocie za zamkniętą.

REDAKCJA.

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1893.

### *Filozofia.*

Wolność woli wobec życia i wiedzy, przez W. M. Kozłowskiego . . .	Str. 342
---	-------------

### *Historya.*

Reprezentacya stanowa w Polsce, jój ustrój i zakres władzy publicznej, przez A. Rembowskiiego . . . . .	1
Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej, przez A. Brücknera . .	256
Monarchizm elekcyjny i konfederacye w dawniej Polsce, przez A. Rem- bowskiiego . . . . .	425

### *Kwestye społeczne, prawne, ekonomiczne i pedagogika.*

Parcelacya w Poznańskim, przez A. Donimirskiego . . . . .	161
Nauczanie początkowe, z powodu książki W. Dawida, przez Fl. Gąsio- rowskiego . . . . .	514
O poprawności języka, przez R. Zawilińskiego . . . . .	367
Przyszła wojna, jój ekonomiczne przyczyny i skutki, przez J. Blocha .	568

### *Publicystyka.*

Depesza Imska, przez E. Lipnickiego . . . . .	104
---	-----

### *Literatura.*

Siostry, przez Zofię Kowerską . . . . .	41, 217, 472
I. W maju.—II. Wieczera Pańska.—III. Chryste o Chryste (poezya), przez L. Rydla . . . . .	338

## II

	<i>Str.</i>
Z cyklu „Italia“:—I. Nad Ticino.—II. W Parmie.—III. W zatoce Baji i Willa Cycerona.—IV. „Sul mare“ (poezya), przez Maryę Kononicką . . . . .	626

### *Studia i szkice literackie.*

Hipolit Taine, przez Szymona Askenazego (dokończenie) . . . . .	73
Upadek drugiego Cesarstwa w romansie Zoli, przez W. Bogusławskiego .	141
Listy nieznanne Juliusza Słowackiego, przez L. Méyeta . . . . .	359
Notatki do Biografii Jana Andrzeja Morsztyna, przez R. Zawilińskiego .	132

### *Nauki przyrodnicze.*

Nowe poglądy w Bakteryologii, przez Stefana Jentysa . . . . .	314
---	-----

### *Krytyka.*

Hipolita Wójcickiego „Praktyczna gramatyka języka polskiego“.—Warszawa 1892, przez B-cza . . . . .	174
D-ra Matlakowskiego „Budownictwo ludowe na Podhalu“, przez W. Gersona . . . . .	180
Sewera „W cieniu i słońcu“. Warszawa 1893, przez W. Karczewskiego.	184
Henryka Sienkiewicza „Listy z Afryki“. — Warszawa 1893, przez J. Weysenhoffa . . . . .	375
Edmunda de Amicis „Ze szkoły i z domu“, przekład Maryi Obrąpalskiej, przez A. Dygasińskiego . . . . .	—
Waleryi Marenné „Dzieci szczęścia“. Warszawa 1892, przez W. Karczewskiego . . . . .	390

### *Kronika zagraniczna.*

<i>Galicyjska</i> przez U. Prądy emigracyjne w Galicyi.—Usiłowania około podniesienia chowu bydła rogatego.—Ustawa o licencyonowaniu buhajów i o utrzymywaniu buhajów gminnych.—Fundacya p. Kaliksta hr. Hohendorffa, który ofiarował swój majątek Szutromińce na założenie wyższej szkoły rolniczej.—Zwiększenie eksploatacyi lasów i wywozu drzewa za granicę.—Projektowana na rok 1894 wystawa krajowa we Lwowie.—Kolej elektryczna i poprawa oświetlenia ulic.—Życie towarzyskie we Lwowie.—Odczyty: D-ra Emila Dunikowskiego, d-ra Finkla, d-ra Dembińskiego i ks. pałata Gnatowskiego . . . . .	123
<i>Paryska.</i> Ogłoszenie w Akademii francuskiej prac literackich uwiecznionych konkursową nagrodą. — Rozprawy profesora Rochelluma i Michała Revon. Ostatnie tomy pracy Karola Lomenie o Mirabeau — Historia Małgorzaty z Angoulême, Laferrière'a. — Augusta Moreau „Historya Stanów Zjednoczonych“. — La formation de la Prusse contemporaine“ Cavaignac'a. — Markiza de Courcy „Hiszpania po przymierzu Utrechckiem“. — Dzieło Ravaissona-Molieu o manuskryptach Leonarda da Vinci. — Ferdynanda Bussona książka o Sebastyanie Castellionie. — Studya Pawła de Rousiers o Ameyce	

- i Andrzeja Chevrillon o Indyach Wschodnich.—Korespondencya polityczna, pamiętniki kardynała Maury wydane przez ks. Ricarda.—Dwadzieścia prac wybranych przez Akademię z konkursu Moutyona.—Mowa Emila Oliviera.—„Madame Mère“ doktora Larreya.—„Cosmopolis“ Bourget'a i „Chenerol“ pani Gréville.—Wydawnictwo p. Grand Carthenet . . . . . 287
- Londyńska* przez E. Naganowskiego.—Przepowiednie na rok 1893.—Stan wyczekiwania w społeczeństwie angielskiem.—Dociekanie tajemnic duchowego pierwiastku w człowieku.—Kwestya irlandzka i przyszłość bilu Gladstone'a.—Orędzie królewskie.—Stosunek stronnictw do reformy irlandzkiej.—Salony księcia Devonshiru.—Teatra londyńskie i publiczność.—Ibsenizm na scenach angielskich.—Artyści angielscy, ich stopień ukształtowania i materialne uposażenie.—Specjalizowanie sztuki aktorskiej.—Brak literatury dramatycznej.—„Becket“ Tennyssona . . . . . 545

### *Kronika miesięczna.*

- Styczeń.* Charakterystyka ubiegłego roku pod względem politycznym.—Środki zapobiegawcze na wypadki powtórnego wybuchu cholery.—Nowe odkrycia w dziedzinie bakterjologii.—Zabiegi filantropii.—Historja walki z żebractwem.—Instytucje dobroczynne w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.—Usiłowania u nas na tem polu.—Podrożenie węgla i nafty.—Konwencya cukrowników i protest plantatorów buraków.—Rozszerzenie działalności banku państwa.—Projektowane wzmocnienie i unormowanie handlu zbożowego.—Konkursa dramatyczne w Warszawie i Krakowie.—Smutna dola artysty i pisarza Galasiewicza.—Jubileusze: Stanisława Kramsztyka i Piotra Chmielowskiego.—Działalność podróżnicza Jana Dybowskiego.—Zmarli: Siemens, Leon Krysiński, Celina Gładkowska (Julian Morosz); Ludwik Niemojewski . . . . . 188
- Luty.* Polityka pod brzemieniem skandalu Panamskiego.—Rzeczpospolita wobec korrupcyi.—Reforma wojskowa w Niemczech.—„Zamach“ kedywa egipskiego na władzę angielską.—Małżeństwa: księżniczki Małgorzaty z księciem hesskim i rumuńskiego następcy tronu z Maryą Edynburską.—Ciężka zima na Zachodzie.—Komitet ratunkowy przeciwko cholercy w Warszawie.—Polowania pod Warszawą.—Działalność tutejszego oddziału towarzystwa rozmnazania zwierzyny łownej.—Walka z kłusownikami.—Wzrost przemysłu rybnego.—Sport łyżwiarski.—Potrzeba uprawiania racjonalnej gimnastyki.—Działalność p. Heleny Kuczalskiej.—Projekt utworzenia towarzystwa dla kobiet pracujących z wyłączeniem pracowników fabrycznych.—Przysługi dla rekonwalescentów.—Przytułek dla starszych i niedolężnych rzemieślników.—Wystawa wyrobów skórzanych.—Projekt malarzy utworzenia spółki wywozowej dla zapatrywania w obrazy rynków amerykańskich.—Udział kobiet polskich w wystawie w Chicago.—Projekt urządzenia w Warszawie wystawy amerykańskiej w miniaturze.—Odczyty z higieny.—Odczyty Maryi Weryżarki o metodzie froeblovskiej.—Reforma syste-

	Str.
mu nauki w szkołach średnich.—Biuro porady prawnej w Warszawie.—Zmarli: dr Józef Rose, Adela Kirchnerowa, Józef Korytkowski i Albert Delpit . . . . .	393
<i>Marzec.</i> Wrażenia chwili.—Bieżące sprawy z zakresu polityki wewnętrznej.—Skandal panamski.—Niemiecki projekt reformy wojskowej.—Bil irlandzki Gladstone'a.—Uгода młodoczechów z Niemcami.—Wybory do skupczyny serbskiej.—Wiosna i cholera.—Postawa obronna służby zdrowia i komitetów obywatelskich.—Projektowana w Ministerjum reforma systemu filantropii.—Zwrot w działalności sklepów spożywczych na prowincyi na podstawie umowy z hurtownikami.—Myśl ubezpieczenia lekarzów, studentów i felczerów.—Konieczność ubezpieczenia mieszkańców nadrzecznych.—Projekt pana Radziszewskiego wypuszczenia przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie nowej seryi listów zastawnych.—Broszura p. Krakowskiego o potrzebie systematycznego zasiłku dla fabrykantów.—Pytanie rzucone przez <i>Kuryer Warszawski</i> .—Nowy zwrot w dziejach kasy emerytalnej drogi Terespolskiej.—Asekuracja posad.—Podatek od mieszkań miejskich.—Telefony na prowincyi.—Projekt urządzenia obserwatorium w Willanowie.—Zmarli: Ludwik Marek, Wilhelm Czerwiński, Jose Zorilla, Władysław hr. Koziembrodzki, Zenon Rappaport, Oskar Stanisławski, Jan Prusinowski i Hipolit Taine . . .	635

*Wiadomości bibliograficzne.*

Styczeń . . . . .	208
Luty . . . . .	417
Marzec . . . . .	654

*Dyskussya.*

Odpowiedź p. Hipolita Wójcickiego na ocenę książki jego: „Praktyczna gramatyka języka polskiego“, przez B-cza napisaną i w zeszycie Styczniowym „Biblioteki“ umieszczoną, oraz replika p. B-cza . . .	661
---	-----

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**